



*Suknia*  
**ŚLUBNA**

RACHEL HAUCK



Święty Wojciech  
wydawnictwo

**Hauck Rachel**

**Suknia ślubna**



1.

*Charlotte*

*14 kwietnia 2012*

Powiew wiatru, zmiana w fakturze tego, co niewidzialne, sprawił, że Charlotte podniosła wzrok i obesza kępę buków. Zawiesiła spojrzenie na wypielegnowanej zieleni Ludlow Estate i wzięła głęboki wdech czystego powietrza. Spoglądała na każdy szczegół dnia - błękitne niebo, wiosenne drzewa, promienie słońca odbijające się w przednich szybach zaparkowanych nieopodal samochodów.

Kiedy obudziła się dziś rano, czuła, że musi przemyśleć wszystko, przemodlić, zbliżyć się do nieba. Wskoczyła w ulubione szorty i wsiadła do samochodu, by pojechać na wzgórze.

Ale zamiast samotności Charlotte znalazła w swoim zakątku Red Mountain gwar i tłum kupujących, poszukujących i łowców okazji. Na terenie wspaniałej posiadłości Ludlowów trwała w najlepsze doroczna aukcja antyków na rzecz ubogich.

Charlotte, oburzona tym najściem, przesunęła okulary przeciwsłoneczne na czubek głowy. To miejsce było jej osobistym sanktuarium, nawet jeśli reszta świata nie miała o tym pojęcia. Mama zabierała ją tutaj na pikniki. Parkowały na żwirowej drodze dojazdowej

i ukradkiem wędrowały po obrzeżach Ludlow, śmiejąc się i szepcząc „Ciii...”, jak gdyby robiły coś ekscytującego, coś szczególnego.

Mama wyszukiwała miejsce na tyłach wzgórza, rozkładała koc, otwierała kubek z kurczakiem albo papierową torbę z McDonalda i wzdychała, patrząc na dolinę, w stronę Magicznego Miasta.

- Czyż to nie piękne?

- Taaa - odpowiadała zawsze Charlotte, choć jej oczy skierowane były na mamę, a nie na światła Birmingham. Była najpiękniejszą kobietą, jaką Charlotte kiedykolwiek widziała. Nawet teraz, osiemnaście lat po śmierci. Mama umiała po prostu *być*, ale zmarła, zanim zdążyła przekazać ten dar Charlotte.

Wspomnienie mamy przerwały głośnie krzyki. Licytanci i kupujący wchodzili do namiotu, w którym odbywała się aukcja, i wychodzili zeń, by rozpierzchnąć się po trawniku.

Charlotte zasłoniła oczy przed ostrymi promieniami słonecznymi. Jej ciało owiewał lekki wiatr, a ona stała tak i zastanawiała się, co zrobić. Wracać do domu czy przejść się po terenie posiadłości? Nie chciała ani nie potrzebowała niczego, co wystawiono pod tym namiotem. A nawet jeśli, to i tak nie miała pieniędzy.

Potrzebowała czasu, by przemyśleć - i przemodlić - ostatnie napięcia, do jakich doszło między nią a rodziną Tima, zwłaszcza jego bratową, Katherine. Musiała stawić czoło sytuacji i zastanowić się nad najbliższą przyszłością.

Idąc w kierunku swojego samochodu, znów poczuła na twarzy podmuch wiatru. Obejrzała się za siebie. Nad namiotem pomiędzy drzewami widać było okna drugiej kondygnacji kamienno-szklanej rezydencji, odbijające poranne światło. Wydawały się przyglądać wszystkiemu, co się tu działo.

Wtem wiatr zmienił światło, cień zasnuł okna i Charlotte odniosła wrażenie, że dom do niej mrugnął. *Chodź i zobacz...*

- Witam, witam. - Wysoki kobiecy głos zmusił Charlotte, by się obróciła. - Chyba pani jeszcze nie wychodzi?

Kobieta z pudłem w rękach wspięła się na porośniętą trawą zbocze. Charlotte rozpoznała ją. Nie tyle po głosie czy z twarzy, co po aurze, którą wokół siebie roztaczała. Była to jedna z typowych kobiet z Południa, które zamieszkiwały Birmingham. Tych z odżywioną skórą, noszących wyprasowane w kant spodnie, bawełniane bluzki i skromny sznur pereł. Zatrzymała się przy Charlotte, łapiąc oddech.

- Nawet pani nie zajrzała do namiotu aukcyjnego. Widziałam, jak pani przyjechała, kochana. Niech pani nie każe się namawiać, mamy piękne przedmioty do zlicytowania. Jest pani tu po raz pierwszy? - Zanurkowała ręką do pudła po katalog. - Musiałam pobiec do samochodu, żeby przynieść więcej. Mnóstwo ludzi w tym roku. Proszę pamiętać, że cały dochód trafia do Fundacji Ludlowów. Wydajemy miliony na granty i stypendia w całym mieście.

Charlotte przewertowała katalog.

- Podziwiam poczynania fundacji już od jakiegoś czasu.

- Cleo Favorite, przewodnicząca Fundacji Ludlowów - przedstawiła się, podając Charlotte rękę. - A pani jest Charlotte Malone.

Charlotte przyglądała się Cleo przez chwilę, odwzajemniając bez pośpiechu jej uścisk.

- Powinnam ucieszyć się, że mnie pani zna, czy raczej zacząć uciekać w stronę samochodu?

Cleo się uśmiechnęła. Zęby współgrały z bielą pereł.

- W ubiegłym roku moja siostrzenica wychodziła za mąż.

- Rozumiem. Zapewne kupiła suknię w moim salonie?

- Tak. I przez chwilę wydawało mi się, że bardziej ekscytowała ją współpraca z panią niż fakt, że ma poślubić swego narzeczonego. Pani firma jest imponująca.

- Miałam sporo szczęścia.

Tak, więcej niż mogła sobie wymarzyć biedna i osierocona dziewczyna.

- Kim jest pani siostrzenica?

- Elizabeth Gunter. Wyszła za Dylana Huntingtona. - Cleo ruszyła w kierunku namiotu, Charlotte z grzeczności poszła za nią.

- Oczywiście, pamiętam Elizabeth. Była piękną panną młodą.

- I chciała, żeby cały świat o tym wiedział. — Cleo śmiała się, ręką osłaniając twarz od wiatru. - Do licha, mój brat o mało nie poszedł z torbami. Ale w końcu wychodzi się za mąż tylko raz.

- Obiło mi się o uszy, że takie jest założenie. - Charlotte dotknęła kciukiem swojego pierścionka zaręczynowego. To z jego powodu przyjechała tu dzisiaj. Zatrzymały się u wejścia do namiotu.

- A więc, Charlotte, szuka pani jakiegoś konkretnego przedmiotu? Czegoś do salonu? - Cleo położyła pudło z katalogami na stole i ruszyła główną alejką, przekonana, że Charlotte pójdzie za nią.

- Mamy piękne szafy na sprzedaż. W katalogu znajdzie pani wszelkie informacje, gdzie i kiedy obstawiać poszczególne przedmioty. Licytator po prostu podchodzi do każdego. Odkryliśmy, że to łatwiejsze niż... A zresztą, czy ma to jakieś znaczenie? To ogromna aukcja, a przebiega bez zakłóceń. Proszę powiedzieć, czego pani szuka? - Cleo przechyliła głowę na bok i splotła ręce.

Charlotte schowała się w cieniu namiotu. Zrolowała katalog.

- Prawdę mówiąc... - *Prawdę mówiąc, przyjechałam dziś tutaj, żeby pomyśleć.* - Mój salon jest nowoczesny. Ale oglądanie też może sprawiać frajdę.

Mogła przecież przespacerować się pomiędzy tymi wszystkimi antykami, by pomyśleć, pomodlić się.

- Ależ oczywiście. Na pewno znajdzie pani coś, co się pani spodoba podczas... oglądania. — Cleo mrugnęła do niej porozumiewawczo.

- Najlepiej to działa, jeśli nie będzie się pani ograniczać i pozwoli sobie wydać trochę ciężko zarobionych pieniędzy.

- Będę o tym pamiętać.

Cleo odeszła pospiesznym krokiem, a Charlotte wybrała boczną alejkę i zaczęła przyglądać się wystawionym tam przedmiotom, jakby odpowiedź, której wypatrywała z utęsknieniem, czaiła się między starociami i antykami.

Może usłyszy „To ten jedyny”, przechodząc obok dwudziestowiecznego segmentu czy dziewiętnastowiecznej szafy.

Prawdopodobnie nie. Z reguły odpowiedzi nie objawiają jej się tak po prostu, w magiczny sposób. Nie spadają z nieba. Musiała wypracować sobie każdą odpowiedź dotyczącą jej życia. Po prostu zakasywała rękawy, oceniała sytuację, obliczała koszty i podejmowała decyzję. Inaczej nigdy nie założyłaby Malone & Co.

Przystanąła przy małym stoliku z ciemnego drewna i prześledziła palcami jego powierzchnię. Gert miała taki stół w holu. Ciekawe, co się z nim stało? Charlotte pochyliła się, by sprawdzić, czy pod spodem widnieje ślad po czerwonym pisaku.

Jednak nie. Charlotte poszła dalej. To nie był stół Gert. Wpadła w szal, gdy odkryła, że jej siostrzenica ubabrała go czerwonym mazakiem.

Na końcu alejki Charlotte zatrzymała się i westchnęła. Powinna wracać do miasta. Za kilka godzin ma wizytę u fryzjera.

Mimo to ruszyła ku kolejnej alejce, pozwalając myślom powędrować w stronę Tima i walki, która toczyła się w jej sercu.

Cztery miesiące temu Charlotte była całkowicie zanurzona w swoim stabilnym, przewidywalnym i wygodnym życiu. I wtedy budowlaniec, który zajmował się renowacją jej sklepu, przekonał ją, by dała się zaprosić na świąteczną kolację. Posadził ją obok Tima Rose<sup>^</sup> i zmienił jej życie.

Jej wzrok przykuł zmatowiały, wysłużony sekretarz. Charlotte zatrzymała się i przejechała ręką po jego gładkiej powierzchni. Gdyby słoje drewna mogły mówić, jaką opowiedziałyby historię?

Meża starającego się zapanować nad rodzinnym budżetem? Dziecka próbującego rozwiązać zadanie z matematyki? Matki piszącej list do rodziców, których opuściła, wychodząc za mąż?

Ilu mężczyzn, ile kobiet siedziało przy tym sekretarzyku? Jedna osoba czy setki? Jakie były ich nadzieje, jakie marzenia?

Mebel, który przetrwał lata. Czy tego właśnie chciała? Przetrwać, stać się częścią czegoś ważnego?

Chciała *poczuć*, że należy do rodziny Rose'ów. Ale Katherine nie pozwalała jej poczuć się częścią tej otwartej gromady braci, sióstr, ciotek, wujków, kuzynów i dozgonnych przyjaciół.

Kiedy na pierwszej randce Tim powiedział jej, że ma czterech braci, Charlotte nie mogła nawet sobie tego wyobrazić. Brzmiało to bardzo ekscytująco. Bombardowała go pytaniami. Ona miała tylko mamę. A potem, kiedy mama umarła, starą Gert.

Nie miała nawet jednej siostry, a co tu mówić o czwórce rodzeństwa. I to jeszcze braci.

Czy dlatego przyjęła oświadczyzny Tima Rose'a już po dwóch miesiącach? Fascynacja? W tej chwili nie była pewna, czy kierowała nią miłość. A może raczej chęć bycia częścią tej wielkiej rodziny? Tego też nie była pewna.

Charlotte spojrzała na filigranowy pierścionek zaręczynowy — platynowy, z jednokaratowym diamentem — który należał do babki Tima.

Ale pierścionek nie krył żadnych odpowiedzi. *Ona* nie miała odpowiedzi.

- Charlotte Malone? - Kobieta o krągłych kształtach i przyjemnej aparycji stała z drugiej strony jadalnianego stołu. - Czytałam o pani w „Ślubach z Południa”. Wygląda pani jak na zdjęciu.

- Mam nadzieję, że to dobrze? - Charlotte uśmiechnęła się.

- Oczywiście. Pani salon wydaje się magiczny. Sprawił, że chciałabym znów wyjść za mąż.



Ten artykuł to był prawdziwy uśmiech losu. Kiedy redaktor zadzwonił do niej zeszłej jesieni, był to prawdziwy uśmiech losu - ostatni z tych kilku, które ostatnio jej się przytrafiły.

- Jestem mężatką już od trzydziestu dwóch lat, a czytam „Śluby z Południa” równie gorliwie jak Biblię. Po prostu kocham śluby.

- A ja kocham suknie ślubne - odparła Charlotte.

- Nie wątpię - śmiech kobiety unosił się w powietrzu, gdy ta dotykała delikatnie ramienia Charlotte na do widzenia.

*Naprawdę* kochała suknie ślubne. Odkąd była małą dziewczynką, przyprowadzały ją o zawrót głowy - biel, połysk atłasu... Uwielbiała patrzeć, jak zmienia się twarz panny młodej, kiedy ta wkłada na siebie ślubną kreację; jak nadzieje i marzenia błyszczą w jej oczach.

Przecież i ona sama była u progu takiej przemiany - założy idealną suknię, a nadzieja i marzenia zabłysną w jej oczach.

W czym więc tkwił problem? Co ją powstrzymywało? Brała pod uwagę piętnaście sukienek, ale żadnej nie przymierzyła. 23 czerwca nadciągał szybciej, niż się tego spodziewa.

W lutym ubiegłego roku ledwo wiązała koniec z końcem; wszystkie oszczędności wpakowała w sklep - domek z lat dwudziestych w Mountain Brook, który teraz próbowała wyposażyć.

Ni stąd, ni zowąd na jej konto wpłynęła anonimowa darowizna w wysokości stu tysięcy dolarów. Tygodniami próbowała dowiedzieć się, kto mógł ofiarować jej tyle pieniędzy. Niepokój mieszał się z radością. Wreszcie zdecydowała się przyjąć ów podarek i w końcu, w końcu, wyremontowała sklep. A wtedy wszystko się zmieniło.

Jej klientką została Tawny Boswell, Miss Alabamy. Charlotte zaistniała w branży. Zadzwonili z redakcji „Ślubów z Południa”. A potem - jakby ktoś kokardą przewiązał cały ten mijający rok - Charlotte poszła na przedświąteczną kolację i usiadła obok przystojnego mężczyzny, który oczarował wszystkich obecnych. Zanim skończyli jeść pierwsze danie, Tim Rose zdobył także i jej serce.

Lekki jak piórko pocałunek przeznaczenia sprawił, że jej duszę przeniknął dreszcz. Tymczasem jej nogi owionął wiatr. Czy to był zapach deszczu? Charlotte wystawiła głowę z namiotu, ale zobaczyła jedynie dostojne słońce, rozpostarte na krystalicznie błękitnym niebie. Ani jednej waniliowej chmurki w zasięgu wzroku.

Skierowała kroki do kolejnej alejki, gdy w kieszeni jeansów zawirował jej telefon. Dixie.

- Cześć, Dix. W salonie wszystko w porządku?

- Spokojnie. Ale dzwoniła Tawny. Chce się z tobą spotkać jutro o trzeciej.

W niedzielę?

- Ciekawe, o co może chodzić. Wyczytałaś coś z jej głosu? Jest z nas zadowolona? - Charlotte całe miesiące szukała idealnej kreacji dla Miss Alabamy, czekała na sen w nocy, prosiła Boga, aby pozwolił jej spełnić marzenia Tawny.

I wtedy odkryła nowego, mało znaczącego projektanta z Paryża. Wiedziała, że znalazła własną markę, kopalnię białego jedwabnego złota.

- Oddzwoń do niej i powiedz, że możemy się jutro spotkać. Czy mamy krakersy i ser w barku? Kawę, herbatę, wodę, napoje?

- Jest wszystko. Tawny wydawała się entuzjastycznie nastawiona, więc nie sądzę, by zamierzała ci zakomunikować, że wybrała inny salon.

- Jak długo pracujemy już razem, Dix?

- Pięć lat. Odkąd otworzyłaś sklep — odpowiedziała Dix, jak zwykle pragmatyczna i spokojna.

- I ile razy straciłyśmy klienta w ostatniej chwili?

Nawet po niezliczonych godzinach przeglądania rozmaitych projektów, by znaleźć suknię idealną.

- Wtedy nie wiedziałyśmy, co robimy. Teraz jesteśmy ekspertkami — odpowiedziała Dixie.

- Wiesz dobrze, że nie w tym rzecz. Posłuchaj, zadzwonię do Tawny i powiem jej, że chętnie się z nią jutro spotkamy.

- Już jej to powiedziałam. Wiedziałam, że nie odmówisz. - Głos Dixie zawsze brzmiał pewnie. Była darem niebios. Podporą dla marzeń Charlotte. - A gdzie ty w ogóle jesteś, Char?

- Na Red Mountain. W posiadłości Ludlowów. Przyjechałam tu, żeby podumać, ale wpadłam w tłum, bo trwa aukcja. Właśnie chodzę sobie wśród antyków.

- Ludzi czy przedmiotów?

Charlotte uśmiechnęła się szeroko, patrząc na morze siwych głów w alejce.

- Jednych i drugich.

Zatrzymała się przed zamykaną szklaną witrynką z klejnotami. Unikalne dodatki były idealnym akcentem dla jej panien młodych. Charlotte miała w swoim salonie jedyne w swoim rodzaju naszyjniki, kolczyki, bransolety i tiary. Te małe rzeczy pomagały przypieczętować jej sukces.

- Skoro mowa już o ślubach — powiedziała wolno i nisko Dixie.

- A mówiłyśmy o nich?

- Czy nie mówimy o nich zawsze? *Twoje* zaproszenia ślubne są nadal na biurku w magazynie, Charlotte. Czy mam je dziś przynieść do domu? - Dix i jej mąż Jared (Dr Ciacho, jak go nazywała) mieszkali w lofcie w Homewood, drzwi w drzwi z Charlotte.

- Czekaj... naprawdę? Ciągle tam leżą? Myślałam, że wzięłam je do domu.

- Jeśli tak, to wróciły tu na piechotę.

- Ha, ha, aleś ty dowcipna, Dixie. Jasne, przynieś je do domu. Mogę nad nimi popracować jutro po kościele. Muszę sprawdzić, czy pani Rose przygotowała listę gości ze strony Tima.

- Masz spotkanie z Tawny o trzeciej.

- No tak, zatem popracuję nad nimi po spotkaniu z Tawny. Albo w poniedziałek wieczorem. Zdaje się, że na ten czas niczego sobie nie zaplanowałam.

- Charlotte, czy mogę cię o coś zapytać?

- Nie...

- Wychodzisz za mąż za dwa miesiące i...

- Po prostu byłam zajęta, Dixie, to wszystko. - Charlotte wiedziała, dokąd zmierzały pytania przyjaciółki. Zadawała sobie takie same pytania przez ostatnie tygodnie, a potrzeba uzyskania odpowiedzi przyciągnęła ją dziś aż tutaj. - Mam czas.

- Coraz mniej.

Wiedziała o tym. Wiedziała o tym dobrze.

- Mogliśmy wybrać jakiś jesienny termin. Szybkie zaręczyny, szybki ślub... to szalony czas.

- Tim jest niesamowity, Charlotte.

Wiedziała o tym. *Wiedziała*. Ale czy był tak niesamowity dla niej?

- Słuchaj, lepiej już polecę. Muszę za kilka minut stąd wyjechać, jeśli chcę zdążyć do fryzjera. Zadzwoń później.

- Baw się dobrze dziś wieczorem. I nie przejmuj się Katherine. Niech spada. Po prostu *bądź* tam z Timem. Przypomnij sobie, dlaczego się w nim zakochałaś.

- Spróbuję.

Charlotte się rozłączyła, a rada Dixie wciąż dźwięczała jej w uszach. *Przypomnij sobie, dlaczego się w nim zakochałaś.*

To było uderzenie serca, coś romantycznego. Nie była pewna, czy potrafi znaleźć w tym szaleństwie choćby jeden prawdziwy, solidny powód. Kiedy próbowała iść w stronę wyjścia z namiotu, tłum zepchnął ją na bok. Uśmiechnęła się do mężczyzny stojącego obok niej i spróbowała go ominąć.

- Przepraszam.

Nie poruszył się ani o centymetr, jakby wrósł w ziemię. Wpatrywał się w przedmiot, który miał zaraz zostać zlicytowany.

- Przepraszam bardzo, ale gdyby pan zechciał mnie przepuścić, będzie miał pan więcej miejsca. Czy chce pan to kupić? - Charlotte obejrzała się przez ramię. - Kufer?

*Ten ohydny kufer?*

- Zapraszam tutaj! - Licytator wskoczył na podwyższenie obok kufra. Piętnaście czy dwadzieścia osób ruszyło w jego stronę, zabierając ze sobą Charlotte. Potknęła się i zgubiła jeden z chodaków. - Zaraz zaczynamy licytację.

Charlotte postanowiła przeczekać, a potem znaleźć zgubiony but. Chętni na ten przedmiot wydawali się zdeterminowani. Jak długo mogła potrwać licytacja? Dziesięć minut? Byłoby ciekawie zobaczyć coś takiego z bliska.

Dwadzieścia dolców. Kufer z pewnością nie był więcej wart. Charlotte rozejrzała się. Czy ktoś z obecnych wyglądał na gotowego zapłacić tyle za nieciekawe, sfatygowane i poharatane drewniane pudło z wystrzępionymi i popekanymi skórzanymi pasami?

Licytator nie miał w sobie nic, co wyróżniałoby go w tłumie. Średni wzrost, średnia tusza. Włosy, niegdyś pewnie brązowe, teraz były... siwe? Popielate?

Miał na sobie purpurową koszulę, wsuniętą w antracytowe spodnie, które podtrzymywały skórzane szelki. Podskakiwał na podwyższeniu w nieskazitelnie czystych i białych Nike'ach.

Charlotte uśmiechnęła się. Podobał jej się, choć gdy spojrzał na nią swoimi palącymi niebieskimi oczami, struchlała. Zrobiła krok w tył, ale nadal pozostawała otoczona.

- To pozycja numer zero - powiedział licytator, a jego basowy głos wsiąkał w Charlotte jak ciepła perła.

Pozycja numer zero? Przewertowała katalog. Nie było w nim żadnej pozycji numer zero. Spojrzała na listę przedmiotów na końcu. Nie znalazła tam żadnego kufra, skrzyni, bagażu ani niczego podobnego.

- Ten przedmiot został ocalony z pewnego domu na kilka minut przed jego zburzeniem. Kufer wykonano w 1912 roku - mówił pochyłony ku zebrany - dla pewnej panny młodej.

Wzrok licytatora spoczął na Charlotte. Zabrakło jej tchu. Cofnęła się gwałtownie. Dlaczego na nią patrzył? Schowała rękę z pierścionkiem za plecy.

- Kufer ma sto lat. Cały wiek. Oryginał żelazne okucia i skóra. Stan dobry, choć wymaga renowacji.

- Co się stało z zamkiem? — Mężczyzna stojący na lewo od Charlotte wskazał zrolowanym katalogiem na masywny mosiężny zamek przy wieku.

- Cóż, to osobna historia. Jak państwo widzą, został zaspawany. - Licytator jeszcze bardziej pochylił się ku publiczności. I znów jego wędrujące, płomienne oczy zatrzymały się na Charlotte. Uniósł krzaczaste siwe brwi. - Przez dziewczynę o złamanym sercu.

Kobiety stojące w tłumie wydały z siebie rzewne „Och...” i przysunęły się nieco, by lepiej zobaczyć kufer, natomiast Charlotte zrobiła kolejny krok w tył. Dlaczego skupiał na niej swoją uwagę? Przycisnęła rękę do serca, które waliło jej w piersi.

- Ale dla tych, którzy chcą, kufer skrywa ogromny skarb.

Rozejrzał się po tłumie, który wydawał się zagęszczać, i mrugnął.

Jasne, Charlotte zrozumiała. W kufrze *tak naprawdę* nie ma skarbu. Chciał tylko, żeby wierzyli, że mógłby tam być. Niezły z niego sprzedawca. Wyrazy uznania.

- Rozpocznijmy licytację od pięciu.

Kilka osób oddaliło się i nacisk, który odczuwała Charlotte, zmalął nieco. Jej nogi omiółł przyjemny powiew chłodnego powietrza.

- Czy mamy pięć? - zapytał prowadzący.

Charlotte spojrzała na twarze tych, którzy pozostali. No dalej, niech ktoś da pięć dolarów. Ktokolwiek. Teraz, gdy poznała poniżającą

cenę kufra, wzrosło jej współczucie. Odkąd usłyszała jego historię, kufer nie przedstawiał się jej tak ponuro.

Wszyscy, *wszystko*, potrzebuje miłości.

Upłynęło kilka sekund. Proszę, niech ktoś się odezwie.

- Daję pięć - powiedziała i uniosła zrolowany katalog. Mogła przekazać kufer duszpasterstwu dzieci w kościele. Przyda im się do przechowywania zabawek albo do wysyłania artykułów pierwszej potrzeby na misje.

- Mamy pięćset - powiedział licytator. Uniósł rękę, przebierając palcami. - Czy ktoś da pięćset pięćdziesiąt?

- Pięćset? - Aż ją zatkało. - Nie, nie, ja daję pięć dolarów.

- Ale cena wywoławcza wynosiła pięćset. - Licytator kiwnął w jej kierunku. - Proszę uważniej sprawdzać ceny, młoda damo. Teraz już pani ją zna. Czy mamy pięćset pięćdziesiąt?

*Błagam, niech ktoś da pięćset pięćdziesiąt.* Jak mogła być tak głupia? Zmylił ją niewinny wygląd tego człowieka. Mężczyzna obok Charlotte uniósł swój katalog.

- Daję pięćset pięćdziesiąt.

Charlotte odetchnęła, kładąc rękę na klatce piersiowej. *Dziękuję, jaki pan miły.* Zaczęła znów wertować katalog, szukając opisu, jakichkolwiek informacji, czegokolwiek, co powiedziałyby jej coś o kufrze. Ale najwyraźniej nie było go na liście.

- Pięćset pięćdziesiąt. Czy ktoś da sześć? Sześćset dolarów. Oczy licytatora były żywe, wymowne, a policzki rumiane, choć górskie powietrze pod namiotem było dość chłodne jak na kwiecień. Kobieta obok Charlotte podniosła rękę:

- Sześć.

Z tłumu wyłoniło się jeszcze kilku chętnych. Charlotte przypatrywała się kufrowi przez wąskie prześwity między ludźmi, powtarzając sobie w duchu, że powinna wykorzystać chwilę i wymknąć się. Takie doświadczenia z licytacji już jej wystarczą.

A poza tym chciała zjeść szybki lunch. Będzie miała jeszcze dość czasu, by po wyjściu od fryzjera pojechać do domu i się przebrać, zanim Tim przyjedzie po nią o szóstej.

- Sześć. Czy mamy sześćset pięćdziesiąt? - Głos licytatora podskakiwał z każdą sylabą.

- Sześćset pięćdziesiąt - odezwał się mężczyzna po jej lewej. - Będę miał z niego części zamienne.

- Siedemset - powiedziała Charlotte. Słowa same wyskoczyły z jej ust. Chrząknęła i spojrzała w oczy licytatorowi. Części zamienne? Nigdy. Coś w środku burzyło się w niej na samą myśl, że ktoś rozbierze ten kufer na kawałki. - Ten przedmiot zasługuje na pełną miłości i delikatną opiekę.

- Prawda, młoda damo. Sam go uratowałem. A co uratuję, nigdy nie zostaje zniszczone. - Niebieskie oczy licytatora z każdym słowem błyszczały coraz bardziej, co przyprawiało Charlotte o dreszcze. - Czy mamy siedemset pięćdziesiąt?

Kobieta obok niej podniosła rękę.

- Osiem - Charlotte nie czekała nawet, aż licytator ogłosi nową stawkę. - Osiemset.

**Biegnij! Uciekaj stad! Próbowała**, się obrócić, ale nogi odmówiły jej posłuszeństwa, a stopy wrosły w trawnik. Delikatne muśnięcie kwietniowego wiatru schłodziło jej zroszone potem czoło.

Nie chciała tego kufra. Nie potrzebowała go. Miała nowoczesne, małe i - jak dotąd - nie zagrożone mieszkanie. Tak jak lubiła.

Salon Malone & Co. był urządzony z klasą, cudownie nowoczesny. Gdzie ona wstawi poobijany stary kufer? Na nową aranżację wnętrza musiałaby wydać wszystkie świeżo zarobione pieniądze. Do ostatniego centa. A z konta osobistego, i tak już pustawego, musi pokryć koszty wesela. Budżet nie przewidywał ośmiuset dolarów na kufer. A skoro już zachciało jej się wyrzucić w błoto tyle pieniędzy, to mogłaby sobie chociaż kupić buty od Christiana Louboutina.



- Woła panią, nieprawdaż? - Mężczyzna w purpurze pochylił się ku Charlotte, szumiąc krzaczastymi brwiami.

- Niestety tak.

Tim wpadłby w szal, gdyby przyniosła to do domu.

Charlotte przyglądała się kufrowi. Kim była osoba, do której niegdyś należał? Co z panną młodą z 1912 roku, o której wspominał licytujący? Czy nie chciałaby, żeby ten poturbowany starość znalazł nowy dom?

- Osiemset pięćdziesiąt - odezwał się drugi mężczyzna po jej lewej.

- Tysiąc dolarów.

Charlotte zasłoniła usta dłonią. Ale było za późno. Powiedziała to. Och, będzie musiała wyjaśnić wszystko Timowi.

- Sprzedane! - Licytator klasnął w dłonie i wyciągnął z kieszeni karteczkę. - Kufer należy do pani.

Charlotte przeczytała napis wydrukowany na kwicie: *Ocalone. 1000 dolarów*. Odwróciła się gwałtownie. Proszę pana, proszę poczekać. Skąd pan wiedział...

Ale jego już nie było. Tak jak tłumy i szmeru głosów. Charlotte stała zupełnie sama z poturbowanym kufrem w delikatnej, jaśniejącej mgle.

2.

Charlotte nachyliła się w stronę Tima i wraz z nim obserwowała rocznicowe przyjęcie jego rodziców. Od czasu do czasu w talerzach odbijały się niebieskawo-bursztynowe plamy płasających po sali świateł.

- Obiad był smaczny, prawda? - powiedziała. *Tim, przestań. To tylko pieniądze.*

- Bardzo.

Charlotte rzuciła na niego okiem. Był śliczny jak z obrazka. Jeśli mogła użyć takiego określenia. Linia jego nosa biegła prosto ku pełnym ustom i równemu, kwadratowemu podbródkowi, a długie rudawo-złote włosy połyskiwały na idealnie wyrzeźbionym policzku.

Jednak jego twarz, zazwyczaj pełna życia i czaru, była teraz ponura.

Och, dlaczego nie poczekała i nie powiedziała mu o wszystkim w drodze do domu? Teraz jego rodzina - czyli Katherine - będzie obwiniać Charlotte o to, że Tim nie bierze udziału w przyjęciu.

— Chcesz zatańczyć? Zobacz, Jack ciągle do nas macha.

Jack był młodszym bratem Tima, zaraz po nim. David, Tim, Jack, Chase i Rudy.

— Za chwilę. — Tim dał znać Jackowi, żeby poczekał.

Wszyscy zaproszeni na jubileusz byli w tej chwili na parkiecie, tańczyli i wyśpiewywali na całe gardło *Celebrate good times, come on*. Wszyscy oprócz Charlotte i Tima.

- Daj spokój, Tim. To nic takiego. Zatańczmy.

Charlotte wstała i wygładziła sukienkę. Postanowiła sobie, że będzie się dziś dobrze bawić, zapomni o nieszczęsnej wyprawie na Red Mountain i pozwoli, by tego wieczoru inicjatywę przejęła ekstrawer-tyczna Charlotte, ukryta w jej wnętrzu. Po południu, gdy siedziała u fryzjera i kosmetyczki, przeprowadziła długą rozmowę z *tą częścią swojej kobiecości*.

Miała na sobie nową sukienkę w stylu marynarskim, z obcisłą górą i krótkim, rozkloszowanym dołem, a do tego buty z cienkim paskiem wokół kostki od Jimmy'ego Choo, kupione na wyprzedaży.

Wszystko szło tak dobrze. Tim nie mógł od niej oderwać oczu i po raz pierwszy Charlotte czuła, że należy do kręgu Rose'ów.

I wtedy, piętnaście minut temu, Charlotte nachyliła się do swojego chłopaka i powiedziała:

- Aha, Tim, zapomniałam ci powiedzieć, trafiłam dziś na aukcję na Red Mountain i kupiłam kufer. Za tysiąc dolarów.

Wyrzuciła to z siebie. Nie było tak źle. I nagle dostrzegła, jak jego oczy stopniowo ciemnieją.

- Za tysiąc dolarów? - Tim zajmował się budżetem ślubnym i miał rozpisany każdy grosik aż do 23 czerwca.

Potem przy obiedzie, szeptali po cichu, choć ostro, o tym, dlaczego nie powinna była bez uzgodnienia wydawać tak wielkiej sumy. Stłumioną dyskusję przerwał dopiero deser.

- Mam nadzieję, że nie kupiłaś jeszcze sukni ślubnej. Bo w tej sytuacji nie możemy sobie pozwolić na sukienkę za pięć tysięcy dolarów.

- Nie, nie kupiłam - odpowiedziała zaczepnie. - Sukni jeszcze nie kupiłam.

Jej słowa zawisły w powietrzu i zgasiły ostatnie radosne błyski w oczach Tima.

- Pobieramy się za dwa miesiące, Charlotte. Masz salon z sukniami ślubnymi.

- Wiem, wiem.

Kiedy się w końcu nauczy trzymać buzię na kłódkę? Miała fatalne wyczucie czasu.

Zjedli ciasto marchewkowe we względnej ciszy.

- Jesteś pewien, że nie chcesz zatańczyć? - Charlotte pociągnęła go za łokieć.

Tim wstał jak poparzony.

- Idę się przewietrzyć.

- T-tak. - Charlotte patrzyła na niego zażawionymi oczyma. - Tim?

Obrócił się i spojrzał na nią z wysoka.

- Przykro mi z powodu tych pieniędzy.

- Wiem, Char. - Lekko musnął jej szyję palcami, żeby rozwiać jej obawy. - W porządku. Naprawdę. Za chwilę wrócę.

Cztery miesiące, które razem spędzili, nauczyły ją, że Tim potrzebował czasu, żeby wszystko przetrawić. Rzadko podejmował pośpieszne decyzje. Co było kolejnym powodem, by jeszcze raz przemyśleć cały ten ślub.

Nigdy nie robił niczego impulsywnie. Dlaczego więc oświadczył się tak szybko? Chwila romantycznej słabości? Nie była pewna nawet tego, czy *chciał* się z nią ożenić. Co skłoniło go, żeby po dwóch miesiącach znajomości klęknąć przed nią i wsunąć jej na palec pierścionek?

A ona? Czy chciała wyjść za mąż właśnie za niego? Chyba rano będzie musiała znów pojechać na Red Mountain.

Ale przecież jego oświadczyzny były idealne. I takie romantyczne. Charlotte bez namysłu odpowiedziała „tak”. Szła za głosem serca. Przecież tak zawsze powtarzała jej Gert.

Zespół zagrał spokojniejszy utwór, a światła nad parkietem przygasły. Pary dreptały w tańcu, kołysząc się w rytm *I Only Have Eyes for You*.

Charlotte chwyciła torebkę i ruszyła do damskiej toalety. Jeśli zostanie tu chwilę dłużej, ktoś w końcu zapyta ją o Tima.

Pchnęła drzwi prowadzące do toalety, ciesząc się, że będzie miała chwilę tylko dla siebie. Pochyliła się nad umywalką i osłaniając oczy od oślepiającego, bezwzględnego światła lamp, zaczęła studiować swoje odbicie w lustrze.

Kosmyki włosów wysunęły się z wysoko upiętej fryzury i poskręcały dookoła szyi. Dotknęła skóry pod okiem i jednym muśnięciem usunęła rozmazany tusz do rzęs. Gdy otworzyła torebkę, by wyjąć szminkę, usłyszała za sobą znajomy głos.

- Pięknie dziś wyglądasz, Charlotte.

Spojrzała w lustro. Stała za nią Katherine, żona starszego brata Tima.

- Ty również. Śliczna sukienka.

Katherine podeszła do rzędu do umywalek. Przejrzała się w lustrze, by sprawdzić fryzurę i makijaż. Była jedyną synową Blanch i Marshalla Rose'ów. Traktowała to wyróżnienie bardzo poważnie i strzegła go z zazdrością.

- Dobrze się bawisz? - Katherine uśmiechnęła się sztywno, szukając w torebce szminki. - Pokłóciliście się z Timem? W czasie kolacji cały czas szeptaliście coś do siebie. Dobrze, że nie siedzieliście na wprost Blanch. - Musnęła usta czerwienią. - Tim z reguły jest pierwszy na parkiecie, a dziś nie widziałam go tam ani razu. Nigdy nie przepuszcza *Celebrate*.

- Dziękuję, bawię się świetnie. - Charlotte zrobiła unik, żeby ugasić ciekawość Katherine. Nie jej sprawa, o czym rozmawiali. - Czterdzieści lat małżeństwa. Nieźle.

- No wiesz, Charlotte, skoro zamierzasz być jedną z Rose'ów, powinnaś zacząć zachowywać się jak Rose. - Katherine wyciągnęła chusteczkę z pudełka i wytarła nią kąciki ust. - Nieustannie zaciągasz Tima w ciemne kąty i prowadzisz jakieś prywatne rozmowy, a on nie może integrować się z rodziną. Nikt nie będzie tego tolerował.

- Ten odcień pasuje do twojej cery - powiedziała Charlotte. Nie chciała rozmawiać z Katherine o rodzinie Rose'ów. To nie miałyby sensu. Wolą pozostać na swoim terytorium. Mieć przewagę na domowym podwórku. - Moja asystentka Dixie robi makijaż pannom młodym i do jasnej cery używa właśnie jasnych różów.

Katherine wrzuciła szminkę do torebki.

- Cóż, poleciała mi ją ekspedientka u Saksa. Ale nie zmieniaj tematu, Charlotte.

- A jest jakiś temat? - Brzmiało to jak przesłuchanie. Charlotte zamknęła torebkę i sięgnęła po chusteczkę. Potrzebowała czegoś, co odwróci uwagę Katherine. Ucieczka w stronę drzwi tylko by ją rozsierdziła.

- Pozwól, że opowiem ci pewną historię. — Katherine zmięła chusteczkę i wyrzuciła ją do kosza. - Mieszkałam obok Rose'ów od trzeciego roku życia aż do pierwszej klasy liceum. David odprowadzał mnie do szkoły. Naprawdę. Był starszy ode mnie, chodził do drugiej klasy. I wtedy, latem, tuż przed początkiem kolejnego roku szkolnego, przenieśliśmy się do dużego domu na ekskluzywnym strzeżonym osiedlu. Na drugi koniec miasta. Mieliśmy basen, korty tenisowe - Katherine skrzyżowała ręce na piersi i oparła się o ścianę - ale moi rodzice musieli pracować po osiemdziesiąt godzin tygodniowo, byśmy mogli żyć w luksusie. To zniszczyło naszą rodzinę. Moi rodzice dostali rozwód dzień po tym, jak ja odebrałam prawo jazdy. - Spojrzała na swoje ręce. — Poczułam się całkowicie zagubiona, więc pojechałam do swojej dawnej dzielnicy. Do ostatniego miejsca, w którym byliśmy szczęśliwi. Dave i Tim zgrabiali liście, żeby Jack, Chase i Rudy mogli

po nich skakać. U Rose'ów czas wydawał się stać w miejscu. Z tą jedną różnicą, że Dave wyrósł na cudownego, wysokiego i dobrze zbudowanego chłopaka. Zobaczył mnie i pomachał. Podjechałam przed ich dom i w pewnym sensie zostałam tam na zawsze.

Charlotte przyglądała jej się przez chwilę w lustrze. Ich oczy spotkały się.

- Katherine, nie bardzo umiem czytać między wierszami. - Starła się nie podnosić głosu i zachować spokój. - Co próbujesz mi powiedzieć?

Podeszła do zlewu, żeby umyć ręce i wyrwać się spod obstrzału oczu Katherine.

- No to przestanę owijać w bawełnę i powiem wprost.

- Proszę bardzo. - Charlotte zakręciła kran i sięgnęła po ręcznik. Nabrała powietrza w płuca. Przestrzeń między jej sercem a żebrami skurczyła się.

- Mys'le, Charlotte, że ty i Tim to nie jest dobry pomysł. Nie pasujesz do tej rodziny. Nie chodzi o to, że nie możesz. Po prostu nie pasujesz, i tyle. Jak to będzie, kiedy się pobierzecie? To zabiłoby jego rodziców, gdyby Tim się od nas oddalił.

- A dlaczego... dlaczego Tim miałby oddalić się od rodziny? Katherine, wymyślasz sobie coś, czego nie ma. Kiedy niby Tim przegapił jakieś rodzinne wydarzenie, niedzielny obiad czy przyjęcie urodzinowe? Nigdy.

- Charlotte, Tim oświadczył ci się i dał ci pierścionek swojej babci, a znał cię tylko dwa miesiące - Katherine machała dwoma palcami przed oczami Charlotte. - Dwa. Z poprzednią dziewczyną tyle czasu zajęło mu, nim zebrał się na odwagę i zaprosił ją na pierwszą randkę. Modlił się, rozmawiał z nią po kościele, poznawał ją, rozmawiał z ludźmi, którzy ją znali, żeby dowiedzieć się, jaka jest. Chodzili ze sobą sześć miesięcy i wszyscy myśleliśmy, że to ta jedyna, bo Tim nie marnowałby czasu na randki, gdyby nie był pewien, że to dokądś

prowadzi. A wtedy ni stąd, ni zowąd spotyka ciebie na jakiejś kolacji i nie widzimy go ponad dwa tygodnie. Myśleliśmy, że stracił rozum. Mama Rose bała się, że nie zjawi się na święta.

- Ten związek dla nas obojga był zaskoczeniem - odparła Charlotte, opierając ramię o ścianę blisko drzwi. - Ale Tim pasuje do mnie. A ja do niego.

Czy rzeczywiście?

Charlotte nie spotkała wcześniej kogoś takiego. Tim sprawił, że czuła się jak nigdy wcześniej. Nigdy w miłości tak daleko się nie posunęła. I choć nieznane, w które miała pójść, przerażało ją do tego stopnia, że dziś rano uciekła z miasta w poszukiwaniu ciszy i Boga, bardzo chciała, żeby to właśnie Tim był jej mężem, człowiekiem, z którym spędzi nadchodzące czterdzieści lat. Miłością jej życia.

Katherine popatrzyła na nią spod przymrużonych powiek.

- David powiedział mi, że jeszcze nie wybrali z Timem smokingów.

- Jest jeszcze dość czasu. - Charlotte starała się odgadnąć, do czego zmierza Katherine. Dokąd ma prowadzić to przesłuchanie?

- Nie widziałam jeszcze zaproszeń i zawiadomień.

- Zaproszenia mam w domu. Katherine, czy to twoja sprawa? To my się pobieramy, Tim i ja. - Bardzo chciała, żeby przekonanie, z jakim to powiedziała, pognało jak bumerang do jej serca. - I zrobimy to po swojemu. Możesz być pewna, że nie planujemy zerwać kontaktów z jego rodzicami i braćmi.

Charlotte ruszyła do drzwi. Katherine gwałtownie zamknęła jej je przed nosem.

- Ależ *to jest* moja sprawa. Ta rodzina to moja sprawa. Tim jest mi bliższy niż mój rodzony brat. Nie będę patrzeć, jak ktoś go rani i niszczy naszą rodzinę. Wychowuję trójkę dzieci na Rose'ów i chcę, żeby dorastali w takiej atmosferze, w jakiej dorastał ich tata, a nie w bałaganie, jaki zafundowali mi moi rodzice.



Charlotte chwyciła za klamkę i mocno szarpnęła. W tej samej chwili do łazienki wpadła Lauren, dziewczyna, którą Rudy zaprosił na dzisiejszą uroczystość.

- Charlotte, tu jesteś. Tim wszędzie cię szuka. Cześć, Katherine.

- Cześć.

Charlotte wyszła, nie oglądając się za siebie. Tim, z rękoma w kieszeniach, stał oparty o ścianę.

- Hej.

- Hej. - Oparła się o Tima, pozwalając by ciepło, które z niego było, odpędziło chłód, który pozostał w niej po konfrontacji z Katherine. - Tim, naprawdę, bardzo mi przykro z powodu kufra i pieniędzy.

- Nie ma o czym mówić. Musiałem po prostu ochłonać. - Podniósł palcami jej podbródek. - Przepraszam za wszystko, co powiedziałem o sukni. Możesz kupić taką, jaką zechcesz. Coś wymyślimy.

Charlotte pocałowała go, a on objął jej talię rękoma i przyciągnął do siebie.

- Masz ochotę zatańczyć?

- Już myślałam, że nigdy nie zapytasz.

Na parkiecie przyciągnął Charlotte do siebie i spojrzał jej głęboko w oczy, gdy piosenkarz śpiewał *The House that Built Me*.

- Co tam się stało?

- Nic. - Charlotte kołysała się z nim w tańcu, zataczając kolejne kółka.

- Babskie sprawy.

- Jesteś przygnębiona. - Tim, nie siląc się na dyskrecję, wyciągnął szyję, by zobaczyć, kto wychodzi z toalety. - To przez Katherine.

- Mogłeś mnie ostrzec, że jest jak pitbull.

- Nie wiedziałem, że się na ciebie rzuci. Więcej szczeka niż gryzie - powiedział, delikatnie ujmując jej twarz w swe dłonie.

- A ugryzła cię kiedyś? - Charlotte niemal udało się uśmiechnąć. Napięcie po starciu z Katherine zaczynało opadać. - Chyba wydaje

jej się, że ma na ciebie wyłączność. Na całą rodzinę. Jeśli żylibyśmy w czasach biblijnych i coś stałoby się Davidowi...

Pocałunek Tima zamknął jej usta, urywając zdanie w połowie, i pozwolił obojgu odpłynąć w rytm melancholijnej muzyki.

- Trzymam w ramionach najpiękniejszą dziewczynę - szeptał jej do ucha - więc, jeśli się zgodzisz, wolałbym nie rozmawiać o żonie mojego brata.

Kiedy znów ją pocałował, otoczyła jego szyję rękoma i zapomniała o wszystkich problemach.

Chwilę po jedenastej Tim odwiózł Charlotte do domu i odprowadził na czwarte piętro, pod drzwi jej mieszkania. Chwycił ją delikatnie za rękę, poluzowując jednocześnie krawat i odpinając górne guziki koszuli.

- Chyba weźmiemy jutro motory i wybierzemy się na tor żużlowy - powiedział. Stał oparty o ścianę i patrzył, jak Charlotte otwiera ciężkie stalowe drzwi loftu. Pasją Tima były wyścigi motokrosowe. - Paul i Artie nie ścigali się, odkąd przenieśli się do Teksasu. - Dziś Charlotte dowiedziała się, że Paul i Artie to kuzyni ze strony jego matki, z Buchananów. - Pojedź z nami. Namówiłem nawet Dave'a i Jacka, żeby się z nami wybrali.

- Mam spotkanie z Tawny. - Charlotte włączyła światło i oparła się o ościeżnicę.

- Masz spotkanie w niedzielę? — Tim objął ją ramieniem i przyciągnął mocno do siebie.

- A ty? Ścigasz się w niedzielę? - odpowiedziała, unosząc brew, uśmiechając się i naśladowując jego ton.

- Nie ścigamy się, *jeździmy*.

- Zaczynacie się ścigać, jak tylko włączycie silniki. - Wyciągnęła rękę, by przeczesać palcami jego włosy. — Wejdiesz?

- Myślisz, że tak dobrze mnie znasz? - Przechodząc przez próg, dał jej szybkiego, figlarnego całusa.

Czy naprawdę go znała? Nietrudno było dostrzec jego zamiłowanie do rywalizacji i pasję do wszystkiego, co ekstremalne. Tak się wydawało na pierwszy rzut oka. Ale nie miała zbyt dużo czasu na przemyślenia. Tim odciągnął ją od drzwi, pozwalając, aby same się zatrzasnęły, i mocno przytulił ją do siebie.

Wtedy Charlotte uderzyła obcasem w coś twardego i potknęła się, wypadając z jego objęć.

Tim chwycił ją za rękę, ratując przed upadkiem.

- Char, wszystko w porządku?

- Wszystko dobrze... Co to za pudło? - Charlotte schyliła się i otworzyła karton, żeby zajrzeć do środka. - Aaa, to nasze zaproszenia ślubne.

- Co one robią w przedpokoju? - Tim zaniósł je na ciężki, wypolerowany stolik do kawy. Charlotte odkładała na niego pieniądze ponad rok, był to jej pierwszy prawdziwy meblowy zakup.

- Dixie przyniosła je z salonu.

Tim spojrzał na nią spod przymrużonych powiek.

- Powinniśmy sobie zrobić spotkanie ślubne? Żeby zobaczyć, na jakim etapie przygotowań jesteśmy?

Charlotte westchnęła.

- Tak. W tym tygodniu, Tim. Jest już połowa kwietnia. - Minęła go i skierowała się do jadalni, w której zostawiła tablet.

- W poniedziałek wieczorem? - Tim stuknął w wyświetlacz swojego telefonu. - Nie. Mam spotkanie rady miasta. Wiesz, wygląda na to, że ja i Dave dostaniemy to zlecenie na renowację śródmieścia.

- Naprawdę? To świetnie. We wtorek mam spotkanie z córką burmistrza.

- Córką burmistrza? - zapytał unosząc brwi. - Brawo. Jestem pod wrażeniem.

- Przeczytała o Tawny w gazecie i doszła do wniosku, że skoro jesteśmy w stanie uszczęśliwić Miss Alabamy, to może zdołamy uszczęśliwić także ją.

- Ależ oczywiście, pozwólmy, by córkę burmistrza obsłużyła Charlotte Malone. A może środa? - Tim minął kanapę i podszedł do stołu.  
- Jestem wolny. Kolacja, a potem sprawy ślubne?

- Idealnie.

Tim stuknął w wyświetlacz telefonu, a potem podszedł do Charlotte, by uraczyć ją długim, nieśpiesznym pocałunkiem.

- Lepiej już sobie pójdę, bo coraz bardziej *nie chcę* iść.

- Do zobaczenia rano. - Charlotte westchnęła nie otwierając oczu i wdychając zapach jego skóry. Potem patrzyła, jak wychodzi i jak z lekkim stukiem zamykają się za nim drzwi.

Ten dźwięk zawsze pobudzał w niej urojony lęk przed samotnością. Całkowitą samotnością.

Odkąd straciła mamę, towarzystwa dotrzymywała jej pewna nie-pewności samotność. Była jedna jedyna. Gert często puszczała starą płytę, coś o tym, że jeden to najbardziej samotna liczba. Charlotte nienawidziła tej piosenki i zawsze wychodziła z domu, gdy Gert ją nastawiała.

Charlotte Malone skończyła jako samotna wyspa, ukształtowana przez krajobraz swojej rodziny - przez narodziny i śmierć.

Zrzuciła buty i poszła do kuchni napić się wody. Zakręciwszy kurek, stanęła przy oknie. Patrząc na odległą pomarańczową poświatę, którą tworzyły światła Birmingham, starała się wybadać swoje myśli i oddzielić od nich emocje.

Podskoczyła, gdy ktoś zaczął walić w drzwi.

- Tim?

- Mam przesyłkę z Ludlow dla pani Charlotte Malone. Kufer. Charlotte przycisnęła nos do drzwi i badawczym wzrokiem zmierzyła mężczyznę przez wizjer.

- Jest nieco późno - powiedziała. Kiedy płaciła za dostawę kufra, spodziewała się, że przywiozą go w przyszłym tygodniu. A nie za kwadrans dwunasta.

- I pani mi to mówi? Podpisze pani i już mnie nie ma. Charlotte otworzyła drzwi, a chudy mężczyzna z wąskim wąsikiem i w brudnych dżinsach wtargał kufer do mieszkania.

- Lekkie to nie jest. Oby było warte tych pieniędzy. Podsunął jej kwit.

- Proszę tu podpisać.

Kiedy zniknął, Charlotte wypchnęła kufer na środek pokoju i uklękła przed zaspawanym zamkiem.

- No, kolego. Czy wiesz, ile mi dziś przysporzyłeś kłopotów?

3.

*Emily*

*Sierpień 1912 Birmingham*

Była spóźniona. Znowu. Na rogu Emily skręciła w kierunku Highland, szybkim marszem przecięła ogród pani Schell, powstrzymując się, by nie biec. Odgarnęła włosy i poprawiła luźne spinki. Pragnęła, by rozpalone sierpniowe powietrze choć trochę się poruszyło, żeby mogła oddychać. Strużka potu spłynęła jej po szyi za wysoki kołnierz aż na plecy.

Mama byłaby poirytowana. Ojciec rozbawiony. Ale spotkanie sufrażystek się przedłużyło. Tak wiele opinii i głosów. Aż rozboleła ją głowa.

Emily przyspieszyła kroku i podążyła w stronę kuchennego wejścia, przeznaczonego dla służby. Spódnica łopotała jej wokół kostek, a obcasy stukały o chodnik.

No cóż, jeśli matka zgani ją za spóźnienie, Emily zawsze może zrzucić winę na Phillipa. Zatrzymał ją, kiedy wychodziła ze spotkania. Na samo wspomnienie pocałunków, którymi obsypał ją w powozie, robiło się jej jeszcze goręcej.

Gdyby tylko zatrzymał ją przed spotkaniem. Mieliby więcej czasu i nie musiałyby słuchać godnej pożałowania przemowy pani Daily. Jej głos unosił się i opadał, unosił się i opadał.

Pani Daily rzeczywiście była zabawna. Emily zaśmiała się pod nosem, a kiedy mijala wielkie wiecznie zielone drzewo, czyjaś ręka chwyciła ją za ramię i gwałtownie zaciągnęła za pień.

Emily z okrzykiem na ustach obróciła się i podniosła pięść, gotowa uderzyć. Earl Donaldson, jej sąsiad i przyjaciel z dzieciństwa, znał siłę tego uderzenia. Wyskoczył zza drzewa o jeden raz za dużo i w końcu oberwał.

- Spokojnie, Emily, to ja. To ja.

Opuściła rękę i spojrzała w oczy Daniela Ludlowa. Poczowała, jak uginają się pod nią kolana.

- Danielu, co ty tutaj robisz?

Rzuciła mu się w ramiona. Słyszała jasno i głośno walenie jego serca. Minęło tyle czasu, całe miesiące, odkąd miała od niego jakieś wieści.

- Szukam cię, głuptasie. Gdzieś ty się podziewała?

- Gdzie się podziewałam? Właśnie tutaj, gdzie mnie znalazłeś. A gdzie ty się podziewałeś?

- Wiesz, gdzie byłem. Nie drocz się ze mną — powiedział uśmiechając się i założył na głowę bejsbolową czapkę, a jej postanowienie, żeby się na niego zezłościć, wyparowało. - Szukałem cię, kiedy byłem w mieście. Dlaczego nie przyszedłeś na żaden nasz mecz?

- Miałam ważniejsze sprawy.

- A co jest ważniejsze niż baseball? Tęskniłem za tobą. - Podniósł ją i zakręcił. Potem przycisnął jej policzek do swojego, a Emily otoczyła ramionami jego szyję.

- O, wiele rzeczy. Sztuka, teatr, wykształcenie, walka o prawa wyborcze dla kobiet, uczenie się od mamy, jak prowadzić dom.

Odepchnęła go lekko, kiedy postawił ją na ziemi, a jego ściągnięte usta pocałowały powietrze.

- Skoro tak za mną tęskniłeś, to dlaczego nie pisałeś? Istnieje również coś takiego jak telefon. Słyszałeś kiedyś o tym wynalazku?

- Proszę cię, Em. Jestem tylko biednym baseballistą. Nie stać mnie na rozmowy telefoniczne. - Daniel pogładził palcami kosmyk włosów, które zakręciły się na jej szyi. Słyszała swój oddech i czuła mrowienie, gdy jego palce muskały jej skórę. - I pisałem do ciebie. Każdego tygodnia. Pytanie, młoda damo, dlaczego ani razu mi nie odpisałaś?

Emily cofnęła się o krok, by wyjść z zasięgu jego ręki. Mieszał jej w głowie, bawił się nią, roztaczając swój urok.

- Przyjechałeś do Highland, żeby mnie przesłuchiwać? Dlaczego nie przychodziłam na mecze? Dlaczego nie odpisywałam? To ty wsiadłeś do autobusu i odjechałeś z czternastką śmierzących mężczyzn, żeby grać w jakąś głupią grę. Dorośli mężczyźni cały dzień biegają w kurzu za małą białą piłką.

- To baseball, Em. Wspaniała amerykańska rozrywka. - Daniel uniósł ramiona, jak zawsze, gdy mówił z pasją. - To najwspanialsza gra na świecie. I jest coraz lepiej, Em. - Ściągnął czapkę z głowy, przeczesał palcami gęstą grzywkę i założył ją z powrotem. Widniało na niej wielkie B, pierwsza litera jego drużyny. Baronowie. - Porządkujemy zasady gry, jest coraz więcej lig. Dobry pałkarz czy łapacz może w dzisiejszych czasach przyzwoicie zarobić. Rodzą się gwiazdy. Cy Young, Nap Lajoie, Ty Cobb. Mówią, że u Tygrysów zarabia niezłe pieniądze. Pięć tysięcy dolarów.

Pięć czy sześć tysięcy dolarów rocznie? Ojciec zarabiał tyle, a może i więcej, w miesiąc. Phillip Saltonstall i jego ojciec nawet więcej. Jeździli oldsmobilami, a nie autobusami. I mieszkali w pięknych domach, a nie w przydrożnych motelach.

- Nie obchodzą mnie Cy Young i Ty Cobb. Obchodzi mnie, obchodził mnie Daniel Ludlow. Czy przyszedłeś, żeby mi powiedzieć, że podpisujesz kontrakt wart tysiące?



Emily stała w pewnej odległości od niego ze skrzyżowanymi na piersiach rękoma i czekała. Teraz już na pewno spóźni się na kolację, ale przecież stał przed nią Daniel. Daniel.

- Tak się składa, że nie. - Odsunął się, wkładając ręce do kieszeni, a w słońcu błysnął łańcuszek jego złotego zegarka. - Nie zarabiam tysięcy grając w baseball. Dlatego rzuciłem to. Kocham tę grę i byłoby cudownie, gdybym pewnego dnia mógł kupić drużynę, ale na razie - delikatny płomień w jego przepięknych błękitnych oczach wypalił do końca gniew Emily - dostałem posadę w Instytucie Pollocka Stephensa.

- W mojej uczelni? Jako kto? Wykładowca? - Daniel wracał do domu. - Kiedy? Nie mogę uwierzyć, że rzucasz ukochaną grę. Prawdę mówiąc nie wiem, czy nie przestanę cię szanować. Co cię opętało, by zrobić coś takiego?

- Nie wiesz, Emily? Ty.

- Ja? — Czowała się bezradna wobec jego zalotów i kiedy pochwycił ją w ramiona, posłuchała swojego serca. — Ale nie odzywałeś się. Przez pięć miesięcy. Ani jednego listu. Żadnej kartki. - Pachniał mydłem i świeżo upraną bawełną.

- Pisałem do ciebie każdego dnia, przysięgam. Sam wysyłałem te listy. - Głaskał jej ramiona i całował ją po skroniach. Poczwała motyle w brzuchu. - Czy to ma jakieś znaczenie, złotko? Teraz jestem w domu.

- Tak bardzo za tobą tęskniłam. Nie mam nikogo, z kim mogłabym grać w krykieta - mówiła tuląc się do niego. - Albo uczyć się nowych tańców. Ojciec i Phillip... - Zacisnęła usta. Phillip. Daniel o nim nie wiedział.

- Phillip? - Daniel dotknął jej podbródka. Pochylił się, by spojrzeć jej głęboko w oczy, ale Emily się odsunęła.

- No, powiesz mi w końcu, co cię skłoniło, by zrezygnować z baseballa?

Skrzyżowała ramiona i zaryglowała serce. Teraz należała do innego mężczyzny.

- No cóż - zaczął mówić wolno i z namysłem, patrząc jej w oczy - przegraliśmy z Żółtymi z Memphis dwa mecze z rzędu. Chłopcy jakby się wściekli. Palili i przeklinali, pili, autobus zaczął śmierdzieć jak rynsztok w gorące, bezdeszczowe lato. Musiałem odpowiedzieć sobie na pytanie, czy wolę tych kretynów od mojej ukochanej dziewczyny. Kim jest Phillip, Emily?

- Danielu, ale ty kochasz baseball. A co z twoim marzeniem, by móc wreszcie machać kijem na dowolnym boisku, jakie tylko sobie wybierzesz, i „poczuć ten dreszcz, gdy drewno kija pęka”... Czy nie o tym mi mówiłeś? Że to właśnie kochasz w grze najbardziej? - Emily z uśmiechem przeszła powietrze wyimaginowanym kijem, próbując sprzedać Danielowi jego własne marzenie i odwieść go jak najdalej od kolejnych pytań o Phillipa. Nie miała przygotowanego planu na dzisiejsze spotkanie. Ani na jutrzejsze. Na żadne, jeśli miała być szczerą. *Och, Danielu.*

- Nie wiedziałem, że słuchałaś mnie przez te wszystkie wieczory, kiedy spacerowaliśmy po dziedzińcu uniwersyteckim.

- Słyszałam każde słowo. Uwielbiałam nasze wieczorne spacerunki.

- Gdybym miał wtedy pieniądze, zabierałbym cię do kina albo na wystawne kolacje. - Wywrócił kieszenie na lewą stronę. - Co biedny student robił z taką piękną dziewczyną jak ty? Tylko dzięki baseballowi mogłem choć sprawiać wrażenie, że jestem kimś ważnym.

- Nie musiałeś. Te spacerunki były cudownymi randkami, Danielu Ludlow. Nadal czasem myślę o tamtych chwilach.

- Ja też. I właśnie dlatego rzuciłem baseball, Emily. Kiedy myślałem o tobie, gra nie miała już dla mnie żadnego znaczenia. Czyli w każdej chwili. - Jego głos nabrał głębi, a oddech stał się płytki. Szukał jej wzroku. - Nie kocham baseballu. Kocham ciebie.

- Kochasz mnie? Jak możesz mnie kochać? Od kwietnia nie dawałeś znaku życia.

- Wysyłałem pięć czy sześć listów w każdą sobotę, prosząc cię, abys na mnie zaczekała - powiedział przyglądając się jej spod daszku czapki. - Naprawdę ich nie dostałaś?

- Czy powiedziałaś ci, że ich nie dostałam, gdyby tak nie było? - Emily minęła go i podeszła do huśtawki zwisającej z wiazu. Pomruki w brzuchu przypomniały jej, że matka zaraz zacznie podawać kolację. Ale nie mogła jeszcze zostawić Daniela. Kopnęła ziemię butem, by wprawić huśtawkę w ruch. Daniel oparł się o pień drzewa.

- Czy mówiłbym, że pisałem do ciebie, gdyby tak nie było?

- Zdjął z głowy czapkę, a splątana czupryna gęstych, brązowych włosów zakręciła mu się wokół czoła i skroni. Kiedyś Emily lubiła droczyć się z nim, mierzwiąc te loki, które tak bardzo starał się przygładzić. - Chciałbym odwiedzić cię później, wieczorem, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

Emily mocniej odbiła się stopami od ziemi i huśtawka uniosła ją wyżej. Sierpniowy wieczór mienił się całym wachlarzem kolorów

- różem, fioletem, oranżem, błękitem - ale nie podsunął jej żadnego pomysłu, jak przekazać Danielowi, drogiemu Danielowi, tę nowinę.

Patrzył na nią, uśmiechając się i posyłając jej pytające spojrzenie za każdym razem, kiedy ich oczy się spotkały. *Czy mogę cię odwiedzić?* W końcu zatrzymał huśtawkę i zniżył swoją twarz do jej twarzy.

- Czego nie chcesz mi powiedzieć?

- Nie dostałam twoich listów, Danielu.

W piersi i myślach Emily zakotłowała się panika. Ześlizgnęła się z szerokiego drewnianego siedziska i próbowała przemknąć obok Daniela, ale uwięził ją w swoich ramionach.

- Ale teraz jestem w domu. Z listami czy bez, czuję to samo. Dostałem posadę i duże mieszkanie w kamienicy Ridleyów... Emily, chcę porozmawiać z twoim ojcem.

- Z ojcem? - Emily uwolniła się z jego objęć. Kamienica Ridleyów? Czyżby Daniel miał zamiar się oświadczyć i zabrać ją tam ze sobą?

- Ta kamienica ma wspaniałe mieszkania. Nie jest to rezydencja twojego ojca... — Machnął czapką w kierunku wielkiego domu z kamienia, gdzie skrawek błękitnego nieba wydawał się spoczywać na ciemnym dachu. — Ale to dobre miejsce, odpowiednie dla zakochanych par. Tak na początek. Nie zamierzam całe życie być nauczycielem, Emily. Planuję...

- Phillip. Jest jeszcze kwestia Phillipa, Danielu.

- Co... Co masz na myśli? Jakiego Phillipa? Myślałem, że się rozumiemy, Emily.

W jego głosie słychać było pełną smutku konsternację.

- Ale ty odszedłeś. - Emily odsunęła się od niego. A niech to, jak mogła powiedzieć coś takiego?

- Nie było mnie pięć miesięcy, nie pięć lat. - Daniel dotknął jej ramienia i delikatnie obrócił ją do siebie. - Zrezygnowałaś ze mnie tak szybko?

- Danielu, kilka razy przespacerowaliśmy się po dziedzińcu uniwersyteckim, byliśmy na tańcach i przyjęciach bractwa, ale... trudno to nazwać jakimkolwiek poważniejszym porozumieniem między nami.

Emily splotła dłonie. Czy jej słowa brzmiały przekonująco? Od pięciu miesięcy wmawiała sobie, że to, co łączyło ją z Danielem, było zauroczeniem, nie miłością.

- Odnowiliśmy znajomość z Phillipem na dorocznym balu. W maju.

- Rozumiem. — Daniel odwrócił wzrok i wcisnął czapkę na głowę. Oczy Emily zalały się palącymi łzami, kiedy zobaczyła, że nos

Daniela poczerwieniał. Zakryła dłonią drżące usta, próbując złapać oddech.

- Danielu, posłuchaj mnie. Bądź poważny przez chwilę. Czy naprawdę wierzyłeś w to, że się pobierzemy? - Wyciągnęła rękę, by go dotknąć, ale natychmiast ją cofnęła. - Byliśmy i zawsze będziemy przyjaciółmi ze studiów. Niczym więcej.

*Proszę, przyznaj mi rację, Danielu. Przyznaj mi rację.*

- Nie. Byliśmy czymś więcej. Wierzyłem, że się pobierzemy. Dlatego odszedłem z Baronów i wróciłem do domu.

- Ale nie składaliśmy sobie żadnych *prawdziwych* deklaracji. Żadnych obietnic!

Nie, nie zdradziła go.

- Jak mogłem poprosić, żebyś za mnie wyszła, odjeżdżając starym autobusem? Ale oboje rozumieliśmy, co się dzieje, Em. Czyż nie? Że się kochamy i chcemy być razem.

- Phillip i ja... pasujemy do siebie. Nasze rodziny przyjaźnią się od lat. Mamy tę samą...

- ... pozycję społeczną? Jesteście równie zamożni? - Czułe błagania Daniela zamieniły się w cierpkie i agresywne docinki.

- Kiedy mnie poznałeś, wiedziałeś, kim jestem, skąd pochodzę i jakim oczekiwaniom muszę sprostać.

- Tak, ale myślałem, że poznałem dziewczynę, która ma swój rozum i wolę. Która wybierze własne życie i męża, którego będzie kochać.

Emily zebrała w sobie odwagę i zrobiła krok w jego kierunku.

- I to właśnie robię. Małżeństwo to coś więcej niż tylko szkolne wspomnienia. Więcej niż wspólne śmianie się i młodzieńcze uczucie. - Na pewno wiedział, że dziewczyna pokroju Emily musi brać pod uwagę swoją pozycję społeczną, przywileje, majątek i wykształcenie. Swoją rodzinę.

- Czyli tylko tym byliśmy? Mile spędzonym czasem? Powiedz, kochasz go? - Głos Daniela załamał się nieznacznie, gdy odwrócił się do kasztanka i karego, stojących przy jednym ze słupków, do których

ojciec zawsze przywiązywał konie. Gniadosz ojca wystawił łeb przez okno stajni i prychnął na konia Daniela, flirtując.

- Danielu, ja... — Nagle wezbrały w niej uczucia, skrywane w jakimś niedostępnym zakamarku serca. - Tak, jestem w nim zakochana, cokolwiek to znaczy. Miłość to coś biernego, nie sądzisz?

- Nie. Kochać to czasownik czynny. - Daniel wyciągnął rękę, chcąc pogłodzić palcami jej twarz. - Ale jedno jestem gotów zrobić. Kochać cię do końca moich dni. Jestem gotów mówić z twoim ojcem w tej chwili, Emily. Jestem człowiekiem, któremu może powierzyć swoją córkę. Udowodnię, że jestem wart więcej niż Saltonstall.

Odsunęła się od niego. Pełen chłodu gniew mieszał się z jej gorącymi łzami.

- Nie mogę mu tego zrobić.

- A mnie możesz?

Uczucia Daniela uwidoczniły się na jego wystających kościach policzkowych i kwadratowej szczęce. Nawet z odległości kilku kroków mogła widzieć, jak unosi się mu klatka piersiowa, i wyczuć bicie jego serca.

- Zostawiłeś mnie. Musiałam wybrać: próbować żyć dalej albo zwariować, kochając cię. - Emily zacisnęła zęby i dodała: - Była to najtrudniejsza rzecz, jaką kiedykolwiek musiałam zrobić.

- Jestem tu teraz.

- Nie, Danielu. Z nami koniec. Phillip jest cudownym człowiekiem, dobrym i uprzejmym, elokwentnym, jest czytany, wykształcony i szanowany w mieście.

- Szanowany? Saltonstall? - Zaśmiał się zimnym i gardłowym głosem.

- Powiem ci, kim on tak naprawdę jest, Em. Phillip Saltonstall jest... — Daniel przerwał i zacisnął usta. — Ma wiele... jest...

- Kim niby jest? — Emily skrzyżowała ręce na piersi. Podmuch wiatru chłodził jej skórę, ale nie serce. - Powiedz, co masz do powiedzenia, Danielu. Widzę, że sporo wiesz.

- Nie mam nic do powiedzenia. - Krok za krokiem, zaczął się wycofywać. Najpierw powoli, potem coraz szybciej. - Do widzenia, Emily.

Ale zamiast popędzić przez trawnik, złapał ją za ramiona i pocałował, namiętnie i czule.

Gorące uczucie rozpałało jej usta i serce, gdy patrzyła, jak biegnie w kierunku swojego wierzchowca i odjeżdża. Stukot kopyt odbijał się echem w zakamarkach jej serca... tam, gdzie kiedyś kryła się wiara, że kocha Daniela Ludlowa.

Chwyliła gałąź jodły, próbując się pozbierać i nie zważając na to, że igliwie wbija jej się w dłoń.

- Przepraszam cię, Danielu - wyszeptała modląc się, aby wiatr pochwycił jej słowa i zaniósł mu pocieszenie. Daniel się spóźnił. Emily postanowiła już w sercu, że wyjdzie za mąż za Phillipa Salton-stalla. Tak będzie lepiej dla wszystkich. Naprawdę.

A Daniel Ludlow po prostu się spóźnił.

4.

Emily stała przy zlewie kuchennym. Chłodna woda obmywała jej ręce, a ostatnie łzy kapały do zlewu i ginęły w otworze odpływowym.

Popołudniowe słońce rozwiesiło na drzewach czerwone i złotawe wstążki, a na ziemi cienkie, ciemne cienie. Ciepły wiatr o zapachu wiciokrzewu, który dostawał się przez otwarte okno, tańczył z zasłonkami. Emily spryskała sobie twarz wodą i przetarła oczy, by zmyć ciepło łez i wspomnienie twarzy Daniela. Jak on śmie wracać i mieszać w jej życiu? Spodziewano się Phillipa na kolacji, powinna więc doprowadzić się do porządku.

Chwyciła ręcznik z drążka pod zlewem i osuszyła twarz. Jeśli Daniel słał jej listy, to co się z nimi stało?

- A, tu panienka jest. - Molly weszła do kuchni z ogrodu z fartuchem wypełnionym po brzegi pomidorami. — Szukałam panienki. Gdzie panienka poszła po spotkaniu? I jak panienka myśli? Jest panienka gotowa, by wziąć udział w marszu o prawa wyborcze?

- Nie wiem, Molly. Wszystko to wydaje się raczej... Czy matka mnie szukała? - Emily stała odwrócona plecami do Molly, służącej i kucharki w jednym, próbując się pozbierać. - Ciepło dzisiaj, prawda?



- Straszny skwar. Tak, panienko, skwaaar. Ummm. - Śpiewne słowa Molly wzbudziły czujność Emily. Dziewczyna coś ukrywała.

- Matka panienki nie szukała.

- Molly, czy widziałaś, co robiłam przed chwilą? - Emily złożyła ręcznik i dowiesiła go na drążek.

- Och, sama nie wiem. — Molly wrzuciła pomidory do zlewu.

- Czy myśli panienka, że mam czas gapić się przez okno, by przyłapać panienkę na całowaniu jakiegoś młodego człowieka, który nie jest panem Saltonstallem?

- Och, Molly, jednak widziałaś. - Emily okrążyła stół, żeby spojrzeć Molly prosto w oczy. - To on mnie pocałował. Nie ja jego.

- Mi to wyglądało tak, jakby to panienka go jednak całowała.

- Nie całowałam. On po prostu mnie... chwycił. - Emily walnęła dłonią w gruby blat stołu, przy którym pracowała Molly. Była pięć lat od niej starsza, miała dwadzieścia siedem lat i Emily widziała w niej raczej siostrę niż służącą.

Matka zatrudniła Molly, gdy ta miała szesnaście lat. Dziewczyna przyjechała prosto z Irlandii, w torbie podróżnej mając tylko komplet odzieży na zmianę. Pewnego popołudnia, gdy matka była na zakupach w mieście, widziała, jak Molly pytała o pracę, a potem stała przerażona, podczas gdy pewien Bostończyk, który nie znosił Irlandczyków, wyśmiewał się z niej i okrutnie ją wyzywał. Matka od razu ją zatrudniła.

Tamtego wieczoru, przy obiedzie, matka powiedziała do ojca: „Taka ładna dziewczyna mogłaby szybko wylądować w jakiejś tanc-budzie. Jak osądziłby mnie dobry Bóg, gdybym na to pozwoliła, skoro miałam okazję uczynić coś dobrego?”.

- To Daniel mnie pocałował, słyszysz? - Emily pochyliła się, żeby złapać ciemnowłosą służącą za ramiona.

- Na wszystkich świętych i aniołów. — Molly odsunęła się od Emily, a jej orzechowe oczy błyszczały gniewem. - To był Daniel?

Gdzie się ukrywał przez te pięć miesięcy, po tym jak panienkę tu zostawił, żeby się panienka zastanawiała i szlochała w poduszkę?

- Nie szlochałam, Molly. Skąd ci to przyszło do głowy?

- Mam uszy przecież. A Duży Mike potrafi nawet usłyszeć, jak ptak przeżuwa robaka - odpowiedziała Molly, po czym wzięła pierwszego pomidora, pokroiła na ćwiartki i wrzuciła do miski.

Pokój Molly mieścił się tuż pod pokojem Emily. A Duży Mike, stajenny ojca, pewnego popołudnia wszedł do stajni, kiedy akurat ukryła się tam, na strychu, żeby popłakać.

- Mówi, że pisał do mnie listy - powiedziała Emily i opadła ciężko na kuchenny taboret. - Przyszedł tu dziś, żeby mi powiedzieć, że rzucił baseball i znalazł pracę i mieszkanie.

- Listy, mówi panienka? Ojej, ale bałagan! - Molly wskazała ruchem ręki na gęsty sok pomidorowy na desce do krojenia i wrzuciła kolejne kawałki warzyw do miski. — Ten nóż musi być tępy jak...

- Nóż jest w porządku. - Emily położyła rękę na ramieniu Molly. — Czy to nie ty odbierasz pocztę?

- Jeśli chce panienka wiedzieć, co należy do moich obowiązków, proszę porozmawiać z matką. Muszę przygotować kolację. - Molly odwróciła wzrok, wykręcając rękę z uścisku Emily. - Co powie panienki ojciec, jeśli na stole nie będzie jego letniej sałatki i ciasta z pomidorami?

- Molly, mów.

Szybkim ruchem przekroiła kolejnego pomidora, zaciskając blade usta.

- Co stało się z listami od Daniela? Ciach, ciach, ciach.

- Nie ma nic lepszego niż smaczna sałatka w gorącej letni wieczór. Zamówiłam na dziś lody. Przecież pan Saltonstall przychodzi na kolację. W rzeczy samej myślę, że on...

- Gdzie one są, Molly?

Molly przepołowiała kolejnego pomidora.

- Och... - Emily położyła rękę na piersi. - Ojciec. Czy on... Powiedz, że nie wrzucił ich do pieca?

Teraz Molly spojrzała na nią z furją w oczach.

- Panienko Emily, proszę się zastanowić. Dlaczego ojciec panienki miałby robić cos' takiego?

- Nie, nie mógłby. Tylko w takim razie po co w ogóle je odbierał? A może to matka?

- Na wszystkich świętych, nie. Ona pewnego dnia zostanie świętą za to, że mnie uratowała.

Emily, poirytowana kosmykami wyślizgującymi się z jej wysoko upiętej fryzury, wyciągnęła długie spinki, pozwalając włosom opaść, jednocześnie hamując narastający w niej gniew na ojca o to, że ukrywał przed nią to, co do niej należało. To do niego niepodobne.

- Molly, listy.

Drzwi otworzyły się z impetem i do kuchni wszedł Jefferson, człowiek ojca.

- Panienko Emily, tu panienka jest. - Jefferson miał na sobie jasny garnitur i sznurowaty krawat. Pot odznaczył się na jego cienkiej białej koszuli i przesiąkał przez kamizelkę. - Ojciec panienkę prosi. Jest w bibliotece.

Emily odsunęła taboret.

- Już idę. W jakim jest nastroju?

Chwyciła kawałek pomidora z wierzchu sałatki i spojrzała znacząco na Molly.

- Całkiem radosny, panienko Emily. Z błyskiem w oku.

- Dobrze. Zaraz przyjdę.

Emily odwróciła się do Molly, gdy tylko Jefferson uklonił się i wyszedł.

- Jeszcze z tobą nie skończyłam.

- Proszę odpuścić, panienko. - Molly przytrzymała ją za ramię. - Nie ma co płakać nad rozlanym mlekiem. Proszę myśleć o panu Saltonstallu. - Jej głos stał się miękki i rozmarzony. - To wspaniały, przystojny mężczyzna, w sam raz dla panienki. Ma odpowiednią pozycję społeczną. Uwielbia panienkę, chwyta się każdego panienki słowa. Jestem pewna, że pan Ludlow też jest wspaniały, ale panienki ojciec pracował ciężko, żeby dać panience takie życie... wszystko, co najlepsze. Dlaczegoż miałyby panienka poślubić kogoś tak pospolitego jak Daniel Ludlow, skoro Phillip Saltonstall zabiega o jej względy? Miłość trwa tak długo, jak długo wystarczy jedzenia na stole i pieniędzy w banku, a dzieci nie płaczą. Proszę mi zaufać, wiem coś o tym.

Emily myślała o słowach Molly, chwytając za klamkę.

- Lepiej poślubić Phillipa, prawda? Jest dobry i czarujący... Wykształcony.

Daniel również.

- Skończył nie byle jaki uniwersytet. Yale.

- Phillip jest przystojny i ma poczucie humoru.

Daniel również. Ale wyliczanie niezwykłych przymiotów Phillipa pomagało jej. Jakże krótką miała pamięć.

- Będzie wspaniałym ojcem.

Daniel także byłby silnym, kochającym ojcem.

- Nasi rodzice się uwielbiają. - Emily wyszukiwała kolejne argumenty. - Jego rodzice dadzą nam dom na Red Mountain.

- Myślę, że wie panienka, co zrobić. Tak, tak, wiedziała.

Matka Daniela zmarła, kiedy on miał piętnaście lat. Ojciec był policjantem w Birmingham. Często zostawiał Daniela i jego brata i musieli sobie dawać radę sami. Ale dobrze się spisał. Poszedł na studia, grał w baseball, otrzymał posadę na najbardziej prestiżowej uczelni w mieście, a teraz wynajął nawet mieszkanie w szanowanej kamienicy, Ridley House.

Phillip jednak miał być spadkobiercą fortuny Saltonstallów. W przyszłości byłby przedsiębiorcą, czołową postacią Birmingham. Emily działałaby w lidze kobiet bądź w jakiejś organizacji charytatywnej. Miałaby wszystko, czego pragnęła całym sercem, łącznie z posiadłością na Red Mountain, domem czterokrotnie większym niż Ridley House.

- Tak - powiedziała na głos. - Phillip to logiczny wybór. Najlepszy wybór, by osiągnąć pełną harmonię.

- Cieszę się, że to sobie wyjaśniłyśmy. Teraz niech panienka idzie zobaczyć, czego chce ojciec, i niech wynosi się z mojej kuchni. Panienka mnie rozprasza, a matka będzie pytać, dlaczego kolacja jeszcze nie gotowa. — W oczach Molly zaszklily się łzy wielkości orzecha. - Bardzo się cieszę z panienki szczęścia.

Emily zatrzymała się przy lustrze w korytarzu, żeby przygładzić włosy opadające na ramiona i przyczepić niepotrzebne teraz spinki do paska. Obciągnęła bluzkę i wytarła ręce w spódnice, z zadowoleniem stwierdzając, że po łzach nie został nawet ślad. Po spotkaniu z ojcem odświeży się i przebierze do kolacji.

Przypomniał jej się łzawy uśmiech Molly. „Bardzo się cieszę z panienki szczęścia”. Tak się przejęła? Tylko dlatego, że Emily wybrała Phillipa? Nie miała czasu się nad tym zastanowić. Stała przed drzwiami biblioteki ojca.

- Dobry wieczór, ojciec. - Bez pukania weszła do okazałego, chłodnego pokoju. Ojciec spędzał poranki w biurze, popołudniami zaś wracał do domu, by popracować wygodnie w zaciszu swojej biblioteki. Kępa topoli osłaniała ogromne okna przed tężejącym skwarem lata.

- Emily, moja droga. - Ojciec wstał z krzesła, ale nie był sam w pokoju. Kiedy Emily weszła, wstał także Phillip.

- Phillipie, ty tutaj? - Zebrała włosy na karku. Musiała wyglądać okropnie. Po tym jak rozstali się w mieście, jechała jeszcze

zakurzonym trolejbusem do domu. - Nie spodziewałam się ciebie tak szybko. - Spojrzała na ojca. - Dlaczego Jefferson mi nie powiedział?

- Przyjechałam wcześniej, żeby porozmawiać z twoim ojcem.

Phillip był przystojny i pachnący, opanowany i pewny siebie, zawsze z wesołym chochlikiem w oku. Podszedł do niej i pocałował ją w policzek w sposób, który nie urągał manierom dżentelmena. Niemniej jednak zapomniał o nich, kiedy byli sami w jego powozie.

Emily pochyliła się do niego. Przez jej myśl jak błyskawica przeleciało wspomnienie mydłanego zapachu Daniela i jego siły. Podniosła głowę, ściskając kurczowo palcami wąskie ramiona Phillipa. Odchrząknęła i powiedziała:

- Pachniesz jak wytworna perfumeria.

- Kupiłem ten zapach, kiedy byłem w zeszłym roku w Paryżu. Podoba ci się?

- Pasuje do ciebie, Phillipie. To bardzo bogata nuta - powiedziała, myśląc w duchu, że woli jednak prostszy, czysty zapach ługowego mydła bijący od Daniela.

- No cóż - ojciec odchrząknął i wyszedł zza biurka. - Muszę zadzwonić do biura. Wybaczcie.

Gdy Emily patrzyła, jak ojciec wychodzi, czuła w sercu i w żołądku, co się święci. Kiedy drzwi biblioteki zamknęły się, Phillip przyciągnął Emily do siebie, chwycił jej podbródek i pocałował ją w usta. Podniósł głowę i kiwnął w kierunku biurka ojca.

- Powiemy mu, że telefon jest tutaj? Emily ścisnęła jego rękę.

- Myślę, że dobrze o tym wie.

Co się dzieje? Ojciec zostawia ją sam na sam z Phillipem. Jego gorący pocałunek...

Phillip poprowadził Emily ku fotelowi przy oknie i musnął delikatnie jej twarz.

- Jesteś taka piękna.

- Wyglądam okropnie. Zamierzałam zmienić suknię i ułożyć włosy przed twoim przyjazdem. - Odsunęła się od jego ręki, gdy jej całe ciało przeszła fala dreszczy. Jak gdyby *wiedział*, jak ma ją dotykać.

- Lubię, jak masz rozpuszczone włosy. Musisz się tak czesać dla mnie.  
- Phillip podążył palcem po podbródku wzdłuż jej szyi, podsycając ogień, który rozpalił. - Nie zapytałem cię jeszcze, jak było na spotkaniu sufrażystek.

- Było... - Emily przełknęła ślinę, odsuwając się gwałtownie od opuszków jego palców. Co by powiedział ojciec, gdyby teraz wrócił i zastał ją zarumienioną i zdyszaną? A poza tym to, jak Phillip ją dotykał... całował jej nos... i kąciki ust, było zupełnie... sprytne i zaplanowane.

- Na spotkaniu było... wspaniale. Tak, wspaniale - powiedziała szybko, ocierając pot, który pojawił się na jej czole. - Ciepło dziś, prawda? - Jeśli dalej będzie tak dotykał, rozpułynie się w namiętą kałużę na podłodze.

Matka wychowała ją na opanowaną, skrytą damę. Co pomyślałby o niej Phillip, gdyby tak łatwo poddała się jego zalotom?

- Przepraszam. Denerwuję cię.

- Przerażasz mnie, Philipie. Staram się zachowywać jak dama, ale nawet kulturalna chrześcijanka nie zniesie więcej.

- Mężczyzna też nie. Dlatego przyszedłem. - Wyciągnął do niej rękę i znów posadził ją obok siebie. Ujął jej twarz w dłonie, szukając jej wzroku. - Poprosiłem ojca o twoją rękę.

Przyklęknął na jedno kolano.

- Och, Phillipie. - Emily przycisnęła rękę do piersi. Oczekiwanie pulsowało w jej żyłach. — Nie mam na sobie odpowiedniej sukni i...

- Znalazłem to w Paryżu zeszłej jesieni. Jak tylko go zobaczyłem, wiedziałem, że będzie dla wybranki mojego serca. Ale nie wiedziałem jeszcze, dla kogo. - Phillip wyciągnął z kieszeni marynarki drewniane

puzderko. — I wtedy wybraliśmy się razem na bal. Zanim wieczór się skończył, już wiedziałem, że cię poślubię.

Na jedwabnej poduszczyce mościł się pierścionek z pojedynczym kamieniem o kwadratowym szlifie, otoczonym mniejszymi diamentami. Misterne ułożenie, krystaliczny połysk.

- To platyna, moja droga. Diament o edwardiańskim szlifem, a wokół niego małe kamienie. - Phillip uniósł pierścionek. Drogocenne kamienie pochłonęły światło i oblały ścianę tęczą. Tak jak i serce Emily.

- Nie mogę oddychać.

- Emily Canton, czy wyjdiesz za mnie? - Phillip wsunął pierścień pełen obietnicy na palec Emily.

- Tak, och tak, Phillipie.

Padła mu w ramiona, a kiedy ją podniósł, wszystkie wątpliwości, wszystkie wspomnienia związane z Danielem uciekły przez otwarte drzwi serca Emily.

Staruszek zegar w holu wybił ostatnie uderzenia północy. Emily z lekką mgiełką gwiazdowego pyłu w oczach oparła się o drzwi wejściowe, gdy te się cicho zamknęły.

Była zaręczona. Z Phillipem Saltonstalem. Był dziś taki kochany i uroczy. Nie opuszczał jej na krok, ukradkowo całował, gdy matka śpiewała i grała na fortepianie, a ojciec nie patrzył w ich stronę.

Potem tańczył z nią na werandzie w świetle księżyca, który rozjaśniał tę wyjątkową noc, a gdy zegar zaczął wybijać dwunastą, ujął jej twarz w dłonie i pocałował ją na dobranoc. Czy mogło być coś wspanialszego?

Emily uniosła rękę z pierścionkiem do światła lampy. Był cudny. Piękniejszy niż mogłaby sobie kiedykolwiek wymarzyć. A czy ojciec



był kiedykolwiek równie szczęśliwy przez cały wieczór? A matka tak radosna i beztroska?

Gdy Saltonstallowie zjawili się w porze deseru, Emily myślała, że pięknie ze szczęścia. Ten wieczór przyćmił nawet wspomnienie najwspanialszych świąt Bożego Narodzenia, kiedy to jej brat, Howard Junior, powrócił do domu po pierwszym roku na Harvardzie.

Saltonstallowie wyglądali na zadowolonych i dumnych.

— Phillip dobrze wybrał - zachwalała pani Saltonstall. - Bardzo dobrze.

Już planowano przyjęcie zaręczynowe.

Jednak ulubionym dźwiękiem dzisiejszego wieczoru był dla Emily nieprzerwany śmiech ojca, wyraźnie zadowolonego z tego związku. Szczególnie gdy on i pan Saltonstall zniknęli w bibliotece, a po jakimś czasie wyszli i uścisnęli sobie ręce.

— Dobrze robić interesy z rodziną, Howardzie.

Firma ojca skorzystałaby na znajomości z takim człowiekiem jak Cameron Saltonstall.

Emily nieśpiesznie zaczęła wspinać się po schodach. Nagle usłyszała skrzyp drzwi na końcu korytarza. Wychyliła się przez balustradę i ujrzała Molly skradającą się z kuchni.

— Molly, dlaczego jeszcze nie śpisz? — Emily roześmiała się, gdy służąca podskoczyła, kurczowo chwytając szlafrok i podciągając go pod samą brodę. Jej gęste włosy były pozawijane w papiloty, sterczące we wszystkie strony.

— Sprawdzalam, co u panienki. Nie mogłam zasnąć, póki on nie poszedł - wyszeptala Molly i podeszła do schodów. - Proszę powiedzieć, dał panience piękny pierścionek?

— Zobacz sama. - Emily zeszła kilka stopni z wyciągniętą dłonią. — Powiedział, że kupił ten pierścionek w Paryżu. A po balu już wiedział, że pierścionek należy do mnie.

- Na wszystkich świętych i aniołów. W Irlandii mogłabym kupić wioskę za coś takiego. - Molly popatrzyła na pierścionek, a następnie na Emily. - Może weźmie panienkę w podróż poślubną do Paryża.

- Może. - Emily cofnęła rękę i przyglądała się bacznie diamentowi. - Spędzimy tam miesiąc. - Znow spójrzała na Molly. Ich oczy spotkały się na dłuższą chwilę. - O co chodzi? Powiedz.

- W tygodniu, w którym przypadał bal, płakała panienska w pokoju za Danielem Ludlowem. - Molly powoli obróciła się w stronę kuchni.

- Nadal go kochałam. Ale to się już zmieniło. - Emily pośpieszyła za nią. - Co chcesz przez to powiedzieć, ty okropna dziewczyno?

- Tylko to, że słyszałam, jak panienska szlocha. Mleka? - Molly otworzyła lodówkę.

- Mleka? Dlaczego miałabym chcieć mleka? - Czasem Molly zachowywała się przedziwnie.

- Jest panienska pewna, że nie napiłaby się mleka?

Molly postawiła butelkę z mlekiem na stole kuchennym i poszła po szklanki.

- Gdybym chciała napić się mleka, sama bym sobie przyniosła. Do czego zmierzasz Molly? Nie lubisz mleka. Mówiłaś to ze sto razy.

- Ale panienska lubi.

W ciemnej kuchni Emily widziała twarz Molly jedynie w bladym świetle księżyca.

- Chodzi o listy Daniela. Gdzie one są? W pokoju ojca?

- Chyba nie sądzi panienska, że ukryły je tutaj, prawda? - Molly zachichotała do szklanki, ale nie wzięła ani łyka.

- To gdzie?

- To mój pracodawca, panienko. Od niego zależy mój chleb powszedni i jak dotąd nie narzekam na jego smak. - Molly uniosła szklankę napełnioną do połowy. — Na pewno nie ma panienska ochoty? Mleko jest bardzo dobre. Tęsknię za świeżym mlekiem, prosto od krowy.

Pamięta panienka, jak mieliśmy krowę? Bessy. Muczała o każdej porze dnia i nocy. Teraz przywozi je mleczarz z wózkiem. Muszę panience powiedzieć, że wcale nie tęsknię za dojeniem tej krowy. Uparta z niej była damulka, jak z mojej babci Killian. Damulka ze stajni.

- Molly, przestań mi tu opowiadać... - Emily okrążyła stół i ścisnęła ramię Molly tak, że zachlupotało mleko w jej szklance. - Stajnia. Ojciec schował listy w stajni, czy tak?

Molly spojrzała na nią wymownie znad skraju szklanki.

- Nie wiem, o czym panienka mówi. Listy, krowy... Brednie jakieś. W tej stajni nie ma nic poza cuchnącymi końmi i zatechłym strychem z sianem.

- Strych! - Emily rzuciła się do szuflady, gdzie Molly trzymała zapalki. Latarnia stała przy drzwiach.

- Chyba nie pójdzie tam panienka teraz?

- Dlaczego mam czekać do rana? Do tego czasu ojciec mógłby je gdzie przenieść. - Emily zatrzymała się przy drzwiach i zapaliła lampę.

- Ostrożnie, panienko. Siano jest suche, może zająć się ogniem.

- Molly - Emily uniosła lampę - skąd wiesz, że siano jest suche?

- Nie jesteś jedyną zakochaną dziewczyną w tym domu, Emily. Wieczorem umówiłam się tam z doręczycielem, panem Dawsonem. - Molly pogwizdując ruszyła do swojego pokoju.

- Molly.

Drzwi za służącą zamknęły się, a Emily z uśmiechem pobiegła przez trawnik, z trudem stawiając kroki w wąskiej spódnicy w świetle kołyszącej się w ciemnościach lampy. A więc Molly i pan Dawson... Tworzyli ładną parę. Odsunęła zasuwę w drzwiach i weszła do stajni.

Stajnie ojca były nieskazitelnie czyste. Pięć boksów po prawej i pięć po lewej, a po środku szerokie, wyłożone kamieniem przejście. Konie uniosły łby, gdy różnym krokiem zmierzała w kierunku drabiny prowadzącej na strych.

— Ukrywać przede mną moje prywatne listy. Jakim prawem?

Stojąc już na szczycie drabiny, zrobiła miejsce, żeby postawić lampę naftową, i zaczęła przeszukiwać sterty żółtawego siana. Gdzie ojciec mógł je schować? Przejrzała ściany w poszukiwaniu szafki lub ukrytych drzwiczek. Gdyby sama ukrywała tu listy, zamknęłaby je w pudełku lub worku i schowała w kącie, przykrywając sianem.

Emily utorowała sobie drogę do najdalszego kąta. Upadła na kolana i zaczęła przeszukiwać siano. Kiedy natrafiła na drewnianą szkatułę, wstrzymała oddech. Nie zastanawiała się, co zrobi, jeśli naprawdę je znajdzie.

Podeszła ze szkatułą do światła lampy i usiadła, spuszczać nogi z krawędzi strychu. Siano, które dotąd trzymało się jej spódnicy, poszybowało swobodnie do boksów.

Było to proste cedrowe pudełko z małym mosiężnym zamkiem. Kiedy spróbowała je otworzyć, ani drgnęło. Musiała zabrać je w całości. Wcisnęła szkatułkę pod pachę i chwyciwszy lampę, pośpieszyła do domu.

Wiedziała, gdzie szukać klucza. Ojciec miał ich tuziny w środkowej szufladzie biurka. Jeśli będzie trzeba, całą noc spędzi na szukaniu tego właściwego.

W kuchni Emily postawiła lampę na kredensie. Już miała zdmuchnąć ogień, kiedy jej wzrok przyciągnął delikatny błysk. Klucz. Mały kluczyk do szkatułki.

Pocziwa Molly.

Emily otworzyła szkatułkę. Odłożyła kluczyk na stół, zdmuchnęła lampę i ukradkiem prześlizgnęła się tylnymi schodami do swojego pokoju.

5.

*Charlotte*

- Kristin, z blasku w twoich oczach wnioskuję, że jesteś bardzo podekscytowana tym ślubem. Rozumiem, że to ma być coś szczególnego. Ty i Oliver.

Charlotte siedziała na kanapie obok klientki. Różowawo-białe ściany rzucały delikatną liliową poświatę na pluszowy dywan w kolorze mokki i kanapę od Logana Stone'a. Na kolanach Charlotte leżała jej sekretna broń. Album ze zdjęciami.

- No cóż, poznaliśmy się w liceum... Charlotte odłożyła album na stolik.

- Byliśmy parą przez całe studia. - Mówiąc to, Kristin westchnęła i uśmiechnęła się. — Zerwaliśmy ze sobą tylko raz.

- Jesteście dla siebie stworzeni, to oczywiste. Skąd wiedziałaś, że to ten jedyny? — Charlotte otworzyła album na pierwszej stronie. Zawierał zdjęcia miejscowych panien młodych z ostatnich sześciu miesięcy. Wszystkie ubrane w tym samym stylu. O każdej z tych sukien Kristin powiedziałaby, że to właśnie ta, idealna. Suknia, o której „marzyła, odkąd była małą dziewczynką”.

- Oliver? - Rumieniec na twarzy Kristin przyćmił jej uśmiech. - Tak, to prawda, jesteśmy dla siebie stworzeni. Należymy do siebie. Pasujemy. Jesteśmy najlepszymi przyjaciółmi. Mamy te same pasje. Już w liceum, gdy jedno rozpoczynało jakieś zdanie, drugie je kończyło.

- Dzięki niemu czujesz się wyjątkowa, prawda?

- Tak, mimo że znamy się już siedem lat.

Charlotte przypatrywała się Kristin przez chwilę. Czy czuła się *tak samo* przy Timie? Wyjątkowo? Czy czuła, że należą do siebie? Na początku ich znajomości w dzień całkowicie pochłaniał jej myśli, a w nocy wypełniał sny, ale ostatnio, odkąd się zaręczyli... Charlotte westchnęła. W tej chwili musiała się skupić i przeobrazić tę narzeczoną w piękną, niepowtarzalną pannę młodą.

- Czy to jest suknia, którą wybrałaś? - Charlotte otworzyła czasopismo z kreacjami ślubnymi na stronie prezentującej suknię, którą wybrała Kristin. - Czy ona też, tak jak Oliver, sprawia, że czujesz się wyjątkowa?

Oczy Kristin rozbliły.

- Byłam na ślubie koleżanki kilka lat temu i od razu pokochałam tę kreację. Szukałam właśnie takiej. Będzie dla mnie idealna.

Wszystkie panny młode chciały wyglądać tak samo. Charlotte nigdy tego nie rozumiała. Jakim cudem suknia, która wyglądała dokładnie jak ta, którą Kristin widziała u swojej koleżanki, mogła sprawić, że będzie się czuła wyjątkowo?

Uważała to za swoją osobistą misję, wręcz powołanie - ubierać panny młode *naprawdę* wyjątkowo. I jeśli panna młoda otrzymywała suknię idealnie do niej pasującą, dusza Charlotte pławiła się w czystej satysfakcji.

- Jest urocza. - Charlotte trzymała czasopismo, jakby chciała dokładniej przyjrzeć się zdjęciu. - Biała, satynowa, bez ramiączek, rozszerzana spódnica, tren...

Kristin przycisnęła rękę do piersi. Jej pierścionek zaręczynowy zamigotał w popołudniowych promieniach słońca, które wpadały przez okno.

- Za każdym razem, gdy ją widzę, mam łzy w oczach. Charlotte wzięła głębszy oddech i ważyła słowa, które zaraz miała

wypowiedzieć. Kristin nie zamierzała zostać klientką Malone & Co. Przyszła do salonu dziś po południu, bo nalegała na to jej matka.

- No cóż, jeśli chcesz tę suknię, naprawdę ją chcesz, to kup ją w sklepie, w którym jest dostępna. - Charlotte spojrzała na Kristin z uprzejmym, pełnym dobroci uśmiechem i teatralnym gestem wzięła pod pachę swój album ze zdjęciami. Rozświetlone oczy Kristin pociemniały i śledziły każdy ruch Charlotte.

- Dlaczego *ty* nie możesz zamówić tej sukni? Widziałam ją w kilku sklepach. Z pewnością mogłabyś...

- Kristin, ja nie zamawiam sukni, które można znaleźć w każdym sklepie. Ja *ubieram* panny młode w to, co wypływa z ich wnętrza. Nie jestem fabryką sukien ślubnych. - Postukała w album ze zdjęciami. - Czy chcesz zobaczyć, co jest w środku?

Charlotte ponownie podeszła do swojej klientki, położyła otwarty album na jej kolanach i powoli przewracała kolejne strony.

- Czy widzisz to samo, co ja?

Strona po stronie, ta sama suknia. Jedyne panna młoda się zmieniała. Blondynka, brunetka, młodsza, starsza, chuda, pulchna...

Kristin zaczęła sama przewracać karty albumu. Z każdą kolejną stroną z jej twarzy znikало podekscytowanie.

- Skąd to masz?

- Z gazet, ze stron internetowych, z całego Birmingham. To zdjęcia z ostatnich sześciu miesięcy.

- Nie miałam pojęcia... - Dziewczyna skuliła się. - O nie... co ja teraz zrobię? Myślałam, że znalazłam idealną suknię. Idealną.

Charlotte delikatnie zamknęła album ze zdjęciami i położyła go na podłodze przy kanapie. Chciała wstrząsnąć Kristin, a nie zniszczyć ją.

- Znajdziemy idealną suknię. Zaufaj mi. Kiedy chodzimy na śluby sporadycznie, nie zdajemy sobie sprawy, że większość sukni wygląda tak samo. Ale w Malone & Co. naszym zadaniem, naszą wielką radością jest znalezienie kreacji, która będzie pasowała nie tylko do twojej figury, ale i do twojego serca. Kristin, poszukiwanie sukni, która w pełni wyrazi pannę młodą, to jedyny talent, jaki otrzymałam. - Przechyliła głowę, żeby zobaczyć twarz Kristin, i delikatnie się uśmiechnęła. - Proszę, nie odmawiaj mi tego jedynego małego talentu.

Twarz Kristin rozjaśnił uśmiech. Charlotte mówiła dalej:

- Powiem ci tak. Jeśli nie spodoba ci się suknie, które ci proponuję, to osobiście polecę ci znajomej, która ma w ofercie suknię, jakiej szukałaś. - Wskazała na zdjęcie z czasopisma, które przyniosła Kristin.

- Moja mama nalegała, bym porozmawiała z tobą, bo jak mówi, stać mnie na coś lepszego. - Kristin przejechała palcem po zdjęciu modelki, która miała na sobie, jak sądziła jeszcze przed chwilą, suknię ślubną wymarzoną dla niej.

Charlotte usiadła, starając się odczytać twarz dziewczyny.

- Rozumiem, jakie uczucia związane są z tą suknią. Wszystkie twoje przyjaciółki wyglądały pięknie w tym kroju, a ty też chcesz być piękna. Ale ja mogę znaleźć ci coś pięknego, a równocześnie wyjątkowego. Czy podejmiesz ze mną to ryzyko?

- Tak, Charlotte, tak. - Kristin chwyciła ją za ramię. - Jestem gotowa przymierzyć inne suknie. Naprawdę. Myślisz, że uda ci się znaleźć coś dla mnie? - Choć się uśmiechała, w kącikach jej oczu zbierały się łzy. - Tylko nie wpisz mnie na listę najbrzydszych kreacji ślubnych.



Charlotte roześmiała się.

- Żadna moja panna młoda nie znajdzie się na tej liście.

Gdy tak stały, Kristin chwyciła dłoń Charlotte, na której błyszczał pierścionek.

- Ty też jesteś zaręczona?

- Tak... tak, jestem. - Charlotte przekręciła pierścionek dookoła palca. Czysty i migoczący diament stworzył mieniący się wieloma kolorami wir światła. Fakt, że rozmowa zeszała na nią samą, sprawił, iż chciała zniknąć, zamknąć się w swojej skorupie. Ukryć swoje uczucia.

- Piękny. Nigdy nie widziałam takiego pierścionka. - Kristin uśmiechnęła się do Dixie, stojącej przy stoliku z napojami. — Czy pomagasz jej wybrać suknię?

- Sama nie wiem. Charlotte, czy pomagam ci wybrać suknię? — Dixie skrzyżowała ręce i pozwoliła, by w jej głosie zabrzmiał sarkazm.

- Teraz rozmawiamy o Kristin. A pierścionek należał do babci mojego narzeczonego.

Charlotte posłała Dixie karcące spojrzenie. Już od tygodnia przyjaciółka marudziła jej, by wybrała suknię. Charlotte obiecała, że się do tego zabierze. I pewnie zabrałaby się, ale dziś rano Dixie pokazała jej nową suknię Bray-Lindsay, która dopiero co przyjechała z Paryża, i pod Charlotte prawie ugięły się nogi.

- Jest za droga, nawet jeśli by odliczyć naszą marżę - powiedziała, gdy już złapała oddech.

Suknia za osiem tysięcy dolarów powinna sprawić, że poczuje się jak Kopciuszek, księżna Diana i Kate Middleton razem wzięte. Charlotte musiała to poczuć. Dixie nalegała, by ją przymierzyła, ale to był ręcznie tkany jedwab.

Jak wyjaśniłaby Timowi suknię za osiem tysięcy dolarów? Omal nie przestał z nią rozmawiać z powodu kufra za tysiąc.

- Kristin - Charlotte utkwiała wzrok w Dixie - wiesz, myślę, że mamy w salonie suknię, która byłaby dla ciebie idealna. Dziś rano przyjechała z Paryża.

- Charlotte! - Dixie ręce opadły, a brwi ściągnęły się marsowo.

- Dix, przygotuj, proszę, Bray-Lindsay dla Kristin. Pokażmy jej, co to znaczy poczuć się jak prawdziwa księżniczka.

Dixie patrzyła na Charlotte spod na wpół przymkniętych powiek.

- Jest dość droga, Kristin.

- Cena nie gra roli. - Kristin aż podskoczyła, w jej głosie brzmiało podekscytowanie. - Moi rodzice kupią, cokolwiek zechcą. Bardzo chętnie zobaczę tę Bray-Lindsay. Suknia z Paryża. Cudownie.

- No dobrze. Pozwól mi ją przygotować. Charlotte, czy mogłabym prosić cię o pomoc? - Dixie chwyciła Charlotte pod ramię i pociągnęła w kierunku drzwi. - Kristin, tu są napoje, przekąski. Proszę, poczęstuj się.

- A ty co, mógł ci się zagotować z wściekłości? — zapytała Charlotte, gdy potykając się i tupiąc po schodach szła za Dixie do przebieralni.

Przygładzone kasztanowe włosy Dixie były zebrane w perfekcyjny kucyk, firmowa garsonka Malone & Co. opinała jej krągłości we wszystkich właściwych miejscach. Charlotte mogła ją za to znienawidzić (słowa te, choć brutalne, były szczerą prawdą), gdyby Dixie nie była tak mądra i kochana, a przebywanie z nią nie dawało jej samej tyle radości. Dixie Pryor była niesamowitą przyjaciółką i wyśmienitą konsultantką ślubną.

- Tak. I wyprodukował wystarczająco dużo pary, żeby skrócić ci włosy.

W pokoju na piętrze Dixie gwałtownie otworzyła drzwi do garderoby i ściągnęła Bray-Lindsay z wieszaka.

- To była twoja suknia, Char. Zamówiliśmy ją dla ciebie.

- To ty ją dla mnie zamówiłaś. Nigdy nie mówiłam, że ją chcę. Jest idealna dla Kristin. Zastanów się, Dix, dla mnie ta suknia jest zbyt falbaniasta.

- Zbyt falbaniasta? A powiedziałaś, że Maggie Sottero jest zbyt prosta. Bray jest idealnym połączeniem prostoty i misternej roboty.

Dixie ostrożnie przeniosła suknię na manekin stojący na środku błyszczącego drewnianego podwyższenia. Tę małą scenę otaczały sofy i wygodne fotele.

- Połączeniem idealnym dla Kristin. Naprawdę, Dixie, jak możesz we mnie wątpić, spędziwszy pięć lat w cieniu mojego geniuszu? - Charlotte roześmiała się. Siadła na najbliższej stojącej sofie i patrzyła, jak Dixie pracuje. Wytworny jedwab opadał kaskadowo na manekinie. Suknia zaszeleściła i skłębiła się na podeście, tworząc klarowną mleczną rzekę. Ten widok przyprawił Charlotte o żywsze bicie serca. Ale jej radość przybladła, gdy zobaczyła, że Dixie nawet nie sili się na uśmiech.

- Chcesz wiedzieć, co mnie zaskakuje?

- Jeśli zaprzeczę, pewnie i tak mi powiesz?

- Zaskakuje mnie to, że wychodzisz za mąż za dwa miesiące, nie wybrałaś jeszcze sukni ani smokingów i zachowujesz się tak, jakby wszystko było w porządku.

- O, jeśli o tym już mowa, to Tim powiedział, że jakoś w tym tygodniu pojedzie z Dave'em wybrać smokingi. I co, w porządku?

- Jakoś w tym tygodniu? Naprawdę? Już trzeci raz obiecuje, że załatwi to „w tym tygodniu”. Dziś środa. Jeśli tym razem naprawdę chce załatwić sprawę, powinien się pośpieszyć.

Charlotte przełożyła swój magiczny album ze zdjęciami pod drugie ramię.

- Jeśli masz mi coś do powiedzenia, to słucham.

Dixie uniosła nieco spódnice sukni, jakby sama chciała zaczerpnąć powietrza i nabrać odwagi. Potem obeszła suknię i podeszła do Charlotte.

- Po prostu wy dwoje nie zachowujecie się jak para, która ma się pobrać.

- A czy jest jakaś książka, jakiś podręcznik, jak należy się zachowywać w takiej sytuacji? Chętnie przeczytam.

Dixie posłała Charlotte gniewne spojrzenie i weszła na stopień podestu.

- Czy mogłabyś przyciemnić światła? - powiedziała, poprawiając gorset i rękawy sukienki.

- Dixie, daj spokój, wiesz przecież, że zamawianie ubrań nie świadczy o wzajemnym oddaniu pary młodej.

Charlotte zrobiła krok w tył i sięgnęła ręką do panelu z włącznikami światła. Przyciemniła światła przy ścianach. Lampy wiszące pośrodku sufitu rozbliły jaśniej. Mieniające się światło oblało blaskiem suknię i spłynęło po gęstej spódnicy, tworząc na wypolerowanych panelach błyszczące jeziora, które rozlewały się na pluszowy dywan w kolorze bordo.

Jej salon był baśniową krainą. Charlotte widziała ten pokój w swoim śnie. Przez ponad rok sądziła, że ten sen nigdy się nie zrealizuje - dopóki na jej konto nie wpłynął tajemniczy podarek.

Kiedy upewniła się, że pieniądze nie budzą pod względem prawnym żadnych zastrzeżeń, nie marnowała już ani chwili. Natychmiast zaprojektowała i urządziła ten pokój.

To właśnie przymierzalnia była głównym tematem artykułu w „Ślubach z Południa”. Ale przy tak wspaniałej przymierzalni cały sklep potrzebował nowej, wytworniejszej oprawy. Zegnajcie, resztki ze stutysięcznego prezentu. Charlotte wywróciła do góry nogami i całkowicie przebudowała górne piętro, wyburzyła ściany. Pod tynkiem z lat dwudziestych odkryła kominki wyłożone kamieniem. Odsłoniła podłogę z twardego drewna czereśniowego, ukrytą pod wysłużoną, sfilcowaną wykładziną.

Jeden prezent zmienił całe jej życie.

- Zapomnij, że cokolwiek mówiłam. - Dixie zeszła z podwyższenia i pochyliła się, aby poprawić oświetloną suknię. - Lepiej powiedz Kristin, niech zadzwoni do mamy czy kogo tam chce, aby był przy niej, jak będzie przymierzać suknię. Nie będzie chciała być sama, kiedy odkryje, że to ta jedyna. - Dixie jeszcze raz ułożyła tren, tak że opadł na podwyższenie niczym śnieżna fontanna.

- Uwielbiam cię, Dix, za to, że jesteś ze mną szczerą. - Charlotte uśmiechnęła się i ruszyła do drzwi. — I że przyznałaś, że to idealna suknia dla Kristin.

- Wkurza mnie tylko, że zawsze masz rację. Jak to robisz? - Dixie naburmuszyła się i oparła ręce na biodrach.

- To chyba instynkt, szósty zmysł. Po prostu wiem - odpowiedziała Charlotte, zatrzymując się w drzwiach. - Myślę, że Bóg mówi do mnie, kiedy pracuję i pomagam pannom młodym.

To wyznanie odbiło się szerokim echem w jej piersi, a potem wsiąknęło w nią, rozbudzając cudowne poczucie pokoju.

- To poproś Go, żeby powiedział ci coś na temat twojej sukni - powiedziała Dixie, obchodząc małą scenę z wyrazem krytyki na pięknej twarzy.

- Dix, będę to wiedzieć, kiedy trafię na właściwą suknię. Na pewno.

- A czy ty w ogóle jej szukasz? Masz dwa miesiące...

- Obiecuję, będę szukać w tym miesiącu. Codziennie, dobrze? A teraz włącz *Stardust* Michaela Buble. Kristin wygląda mi na dziewczynę, która lubi takie klimaty.

- Właśnie miałam to zaproponować. - Dixie ruszyła na zaplecze po pilota. - Mądrej głowie i tak dalej, co nie?

- Jesteś dobrą przyjaciółką, Dixie.

- Chcę, żebyś była szczęśliwa, Char.

Dźwięki *Stardust* popłynęły z wysoko zawieszonych głośników. Światła na suficie były zaprogramowane tak, by tańczyły i migotały

w rytm muzyki. Kryształki Swarovskiego na misternym koronkowym gorsecie sukni przechwytywały i odbijały kapiące z sufitu światło.

- Jeśli jakakolwiek dziewczyna na świecie zasługuje na szczęście i miłość, to właśnie ty.

Melodia serca Dixie, zamknięta w jej wyznaniu, rozrzewniła Charlotte.

- Wiem, że chcesz dla mnie jak najlepiej. Jest wiele rzeczy, które czynią mnie szczęśliwą, wiele rzeczy, które kocham. Ale teraz chcę sprzedać suknię Bray-Lindsay Kristin i uszczęśliwić tę dziewczynę. To będzie radość dzisiejszego dnia.

Było już po siódmej, gdy Charlotte wchodziła do swojego mieszkania. Kiedy sięgnęła do kontaktu przy wejściu, torba zsunęła się jej z ramienia. Charlotte z trudem utrzymywała równowagę, obciążona pocztą i dokumentami, które przyniosła do domu, by jeszcze nad nimi popracować.

Ulotki wypadły jej z rąk i z trzepotem opadły na ziemię. Przechodząc przez salon w mrokach nadchodzącej nocy, Charlotte potknęła się o zabytkowy kufer, pozostawiony na środku pokoju. Jęknęła i powstrzymała przekleństwo, które cisnęło się jej na usta.

- Głupi kufer. - Kopnęła go i pochyliła się, żeby pozbierać rozrzuconą pocztę. Co ona z nim zrobi? Zamek nadal był zaspawany, a blade, spękane drewno potrzebowało ogromnej dawki środków pielęgnacyjnych. Kufer wymagał wysiłku i uwagi, których w tym momencie nie miała zamiaru mu poświęcić.

Ale mniejsza o to. Dzień był naprawdę udany. Kristin Gillaspay kupiła Bray-Lindsay z Paryża i umówiła się na przyszły tydzień na pierwszą przymiarkę oraz konsultację w sprawie sukienek dla druchen.

Dixie przybiła Charlotte piątkę, gdy ostatnia usatysfakcjonowana klientka wyszła ze sklepu.

„Nigdy nie znudzę się patrzeniem na to, jak pracujesz”.

„Mama zawsze mi mówiła, bym używała moich mocy do czynienia dobra”.

Dobrze było się roześmiać po całym dniu pracy. Chociaż nie było już jej tak do śmiechu, kiedy rozbiła sobie palec u nogi o ten stary śmieć. W jadalni Charlotte rzuciła na stół torbę oraz plik katalogów i wydruków, które miała przejrzeć. Pochyliła się, żeby rozetrzeć bolący palec. Kopanie drewnianych kantów sprawia ból.

Zostawiła kufer w salonie, żeby Tim go zobaczył. Może mógłby coś z nim zrobić. W końcu uwielbiał odnawiać śródmiejskie budynki i staredzielnice Birmingham. W porównaniu z tym kufer był drobnym i nieskomplikowanym przedsięwzięciem. Może przesuszona skóra i popękane drewno poruszają w nim jakąś czułą strunę. Bo na pewno nie zrobiły wrażenia na Charlotte.

Wyjęła z torebki telefon i sprawdziła, czy Tim odpowiedział na trzy smsy i dwie wiadomości głosowe, które mu zostawiła.

Na wyświetlaczu telefonu nie było nic. Kiedy zadzwoniła do jego biura, asystent powiedział jej, że Tim wyszedł przed południem i jeszcze nie wrócił. Jest „w terenie”.

Charlotte spoglądała przez okno swojego mieszkania na czwartym piętrze na bursztynową poświatę roztaczającą się nad miastem i potok jasnych świateł samochodowych, obwieszczający koniec dnia pracy. W tej ciszy mogła słyszeć bicie swojego serca. I pytania, które wciąż sobie zadawała: o Tima, o ich ślub.

Jego popołudniowe milczenie spotęgowało jeszcze wątpliwości. A może ten niepokój był po prostu skutkiem dociekań Dixie, jej pytań o to, dlaczego Charlotte nie wybrała jeszcze sukni? Po prostu większą frajdę sprawiało jej ubieranie innych panien młodych, takich jak Kristin.

*W porządku, przyznaj się. Czy się ociągała? Dlaczego nie rozpływała się w zachwytach, jak jej klientki? Dlaczego nie miała swoich wyjątkowych marzeń ślubnych?*

To zderzenie myśli i uczuć sprawiło, że poczuła ukłucie w sercu. Może Tim nie był naprawdę tym *jedynym!* Poza mamą tylko jego kochała. Najbardziej na świecie. Ale czy rozpływała się i rumieniła jak Kristin Gillaspy mówiąca o swoim Oliverze?

Charlotte spojrzała na pierścionek, który należał do babki Tima. Miała na palcu kawałek długiej historii rodziny Rose'ów. Jej oddech stał się płytki, jakby przebiegła kilka kilometrów.

Dziewczyna, której drzewo genealogiczne nie miało ani jednego konaru, wchodziła w rodzinę o głębokich korzeniach. Drzewo Charlotte zaczynało się na jej mamie jako pniu, a kończyło na Charlotte - jedynej gałęzi. Żadnego ojca, żadnego rodzeństwa. Żadnych dziadków. Żadnych ciotek i wujków.

- Charlotte, wpędzasz się w depresję.

Wstała, rozpięła guziki żakietu i ruszyła w kierunku sypialni, by przebrać się w wygodne dżinsy, luźną koszulkę i grube skarpety.

W drodze do sypialni kątem oka dostrzegła swoje zaproszenia ślubne pod stolikiem do kawy. Ach, tu są. Poprosiła Tima, by je tam przeniósł - blokowały korytarz.

Ale dziś wieczorem Tim miał przyjść, by w końcu zaadresowali wszystkie i wysłali.

Wiekowe belki loftu, dawniej starego magazynu, zaskrzypiały, gdy Charlotte, przebrawszy się, umywszy twarz i zebrawszy włosy w kucyk, wypchnęła pudło spod stolika. Odgłosy mieszkania uspokoiły ją, utuliły jej serce.

Pizza na kolację? Tak, ten pomysł wydawał się świetny. Wyjęła DiGiorno z zamrażarki. I wysłała sms do Tima:

*Pizza na kolację. Chcesz sałatkę?*



Czekając na jego odpowiedź, chwyciła pilota do odtwarzacza Blu-ray i wyszukała jakieś radio internetowe ze starymi przebojami.

Wyjęła tablet z torby, sięgnęła do lodówki po dietetyczną colę i skuliła się na kanapie, żeby przejrzeć pocztę elektroniczną. Pisała do niej jakaś projektantka, prosiła o spotkanie. Ale jej projekty były w stylu retro. Charlotte nie potrzebowała ich oglądać, by wiedzieć, że nie będą pasowały do nowoczesnej marki Malone & Co.

Zapach pizzy wypełnił mieszkanie. Burczenie w brzuchu uświadomiło jej, że zapomniała dziś zjeść obiad i że Tim wciąż się nie odzywa.

Ósma. *Najwyższy czas, Tim.* Rzuciła okiem na telefon, leżący obok niej na kanapie. Zdarzało się, że sygnał nie dochodził do jej mieszkania i nie docierały do niej połączenia ani smsy. Ale powodem milczenia Tima nie były zakłócenia w cyberprzestrzeni. Wiedziała o tym.

Po czterech miesiącach ich znajomości Charlotte wiedziała już, że jego popołudnia żyły własnym życiem - telefony klientów, spotkania planistyczne w ratuszu i rozmaite konsultacje wypełniały mu dzień. Ale zawsze potrafił znaleźć chwilę, by wysłać sms czy e-mail.

*Spóźnia się.*

Radio zagrało *Missingyou* Johna Waite'a. Charlotte spojrzała wymownie na wyświetlacz telefonu. Przeszył ją dreszcz. *nie tęsknię...*

Zegar piekarnika zabrzączał. Charlotte zerwała się z kanapy, uwalniając się od narastającego lęku. Po drodze do kuchni chwyciła telefon.

*I, gdzie jesteś? Jem pizzę. Nie obiecuję, że coś zostanie.* Nacisnęła „Wyślij”. Tim przepadał za pizzą. Rozpromieniał się na sam dźwięk tego słowa. Miał w zwyczaju powtarzać je w kółko, drocząc się z Charlotte i z zaskoczenia sycząc jej do ucha brzęczące „z”.

Wyciągnęła pizzę z pieca, spodziewając się, że Tim zaraz się odezwie i zaprotestuje.

Dwie godziny później Charlotte zjadła pizzę, włożyła reszkę do lodówki i posprzątała w kuchni. Potem ułożyła stertę zaproszeń ślubnych na stole, nagryzmoła swoją listę gości w notesie - czterdzieści nazwisk - włożyła zaproszenia z powrotem do pudła i wsunęła je pod stół.

Gdzie on się podziewa i co robi? Zastanawiała się, czy się na niego nie zezłościć, ale czułaby się winna, gdyby coś mu się stało. Postanowiła więc poczekać i zobaczyć, co powie, gdy zadzwoni.

Ale spóźnianie się nie leżało w jego naturze. Jak powiedziała Katherine, Tim zawsze planował i kalkulował. Każdy dzień dzielił na piętnastominutowe odcinki. Nawet doraźne spotkania, które wypełniały mu terminarz, były zaplanowane.

Za pięć dziesiąta Charlotte zaczęła szukać w telefonie numeru Davida i Katherine. Zanim nacisnęła „Zadzwoń”, wzięła głęboki oddech i powtórzyła sobie, co chce powiedzieć. *Hej, tak się zastanawiałam, czy jest u was...*

- Charlotte? - Frontowe drzwi otworzyły się. Dzięki Bogu. Odetchnęła i rzuciła telefon na stół.

- Gdzieś ty był? Miałam właśnie dzwonić do Davida i Katherine. Zrobiłam pizzę...

Jej wzrok powędrował w stronę drzwi wejściowych. Tim stał w progu, w pokrytym błotem kombinezonie motocyklisty. Wyglądał na zmieszanego. Rzuciwszy Charlotte pojednawcze spojrzenie, pochylił się i zaczął zzuwać buty.

- Paul i Artie przyszli do mnie wczoraj wieczorem po spotkaniu...

- Wczoraj wieczorem? Kiedy do ciebie dzwoniłam, powiedziałaś, że jesteś zmęczony i idziesz do łóżka.

- Byłem w łóżku, kiedy nagle zjawili się, razem z Chase'em i Rudym. - Młodszy bracia Tima byli jeszcze większymi szaleńcami i lekkoduchami niż on. - I zanim się obejrzałem, namówiliśmy Dave'a, żeby zrobił sobie wagary i pojechał z nami pościgać się.

- Dlaczego nie zadzwoniłeś?

W tonie jego głosu, w jego postawie było coś takiego, że w żołądku poczuła zimny, ciężki gład.

- Chciałem, Char. Ale była już północ, gdy wyszli ode mnie. Poszedłem do biura o szóstej, żeby trochę popracować. Wyjechaliśmy po jedenastej, żeby pojechać do Albertville... - Zdjął koszulę. Zasuszone błoto posypało się na czystą podłogę. Biały podkoszulek ciasno opinał jego klatkę piersiową oraz idealnie wyrzeźbione ramiona. Podszedł do brudu, który po sobie zostawił.

- Posprzątam to.

- Odkurzacze jest w schowku - powiedziała, wskazując mu drzwi tuż za lodówką. - Nadal nie rozumiem, dlaczego nie zadzwoniłeś ani nie napisałeś.

Tim energicznie usuwał odkurzaczem bałagan, którego narobił.

- Cały czas myślałem o tym, żeby do ciebie zadzwonić, ale w końcu tego nie zrobiłem. Mówiłaś, że przez całe popołudnie będziesz miała spotkania, więc byłem przekonany, że jesteś zajęta. - Wyłączył odkurzacze i odstawił go do schowka. Potem oparł się plecami o ścianę i przez dłuższy czas wpatrywał się w swoje skarpetki. - Myślałem, że wrócimy przed kolacją.

- Jest już dziesiąta. I dobrze wiesz, Tim, że nawet jeśli jestem zajęta, zawsze możesz wysłać sms albo zostawić wiadomość.

- Tak, wiem. - Wychylił się, by dojrzeć piekarnik w przyćmionym świetle kuchni. - Zostało jeszcze trochę pizzy?

Uśmiechnął się, ostrożnie, nieśmiało. Ujmująco.

- W lodówce. Sałatka jest w niebieskiej misce. - Charlotte zeszła mu z drogi, skazując go na samoobsługę. Jej porcja pizzy bulgotała już w żołądku.

To była jego taktyka. Tak po prostu potrafił zdobyć jej przychylność. Przychodziło mu to z taką łatwością. Ale nie dziś. Będzie musiał się wytłumaczyć.

- Przyniosłeś swoją listę gości? Moglibyśmy zaadresować część zaproszeń. Mamy jeszcze godzinę z kawałkiem. Chyba że jesteś zbyt zmęczony i musisz iść do łóżka.

Proszę bardzo, jeden złośliwy przytyk. Czy wie, jak bardzo ją zranił, nie odzywając się przez cały dzień? Charlotte wróciła na swoje miejsce przy stole i wbiła wzrok w tablet.

- Nie, nie jestem zmęczony. - Tim wyjął z szafki talerz i nałożył sobie kawałek zimnej pizzy. Ugryzł kęs, bez odgrzewania. - Nie mam tej listy. Przepraszam, Char. Nie byłem u mamy w tym tygodniu.

- Dobrze, ale musimy zaadresować pięćset zaproszeń, a mamy na to tylko kilka tygodni.

- Czy mogę zapytać, dlaczego nie zlecimy tego komuś, odpłatnie? - Tim otworzył lodówkę i wyjął z niej butelkę dietetycznej coli.

- Nie stać mnie na to.

- Wydałaś tysiąc dolarów na rozpadający się kufer, a nie stać cię na opłacenie kogoś, kto wysłałby za ciebie zaproszenia? A pomyślałaś może kiedykolwiek, czy *mnie* na to stać? Albo czy *nas* na to stać?

- Wolę wykorzystać te pieniądze, żeby ulepszyć menu albo kupić dla druhen te platynowe łańcuszki, które chciałam.

Odkąd się zaręczyli, Tim mówił w liczbie mnogiej. Nas. My. *Oni* mogli sobie pozwolić na każdy ślub, jaki chcieli.

Ale Charlotte walczyła ze sobą i nie przyjmowała do wiadomości, że Tim i rodzina Rose'ów mieliby zapłacić za cały ich ślub. *Jej* rodzina musi zapłacić, ile może. Nawet jeśli *jej* rodziną była... wyłącznie Charlotte.

Rozmowa przygasła. Tim podszedł do stołu w jadalni i usiadł, spoglądając najpierw na zaproszenia, a potem na salon.

- Czy to jest to, co myślę? Twój kufer za tysiąc dolarów?

- Tak. - Charlotte sięgnęła po jego butelkę coli i upiła łyk. - Myślisz, że mógłbyś coś z nim zrobić?

- Może. - Tim gapił się na swoją niedojedzoną pizzę. Odchylił się w tył, westchnął i przejechał palcami po potarganych, ale gęstych włosach. - Charlotte, zapomniałem o dzisiejszym wieczorze.

- Po prostu... zapomniałeś? Zapomniałeś o zaproszeniach? Zapomniałeś o mnie? O czym dokładnie zapomniałeś, Tim?

- Nie zapomniałem o tobie. - Wstał i oderwał kawałek ręcznika papierowego, który posłużył mu za serwetkę. — Zapomniałem, że chcieliśmy spojrzeć na listę gości i zaadresować zaproszenia.

- Zaplanować wesele, pomyśleć o próbnej kolacji, kwiatkach, torcie, smokingu. Ty też chciałeś załatwić to w tym tygodniu. Wybrać smokingi. A jutro jest już czwartek.

- No tak. Zapisałem smokingi w kalendarzu, ale ciągle przesuwano się to na kolejny dzień.

W tym momencie Charlotte już *wiedziała*. Brzdęk olśnienia rozbrzmiał jej w piersiach, rozświetlając umysł i duszę.

- Tim, co się dzieje?

Dźwięk własnego zwątpienia rozlał w jej duszy skrywane łzy.

- Nie wiem. - Odepchnął od siebie talerz z pizzą. Charlotte zdała sobie sprawę, że odkąd wszedł do mieszkania, prawie nie spoglądał jej w oczy. Sięgnął do pudła i wyjął jedno z zaproszeń. - Char, są piękne.

- Ale nie wyślemy ich, prawda?

Od kiedy już zdawała sobie z tego sprawę? Od soboty na wzgórzu, kiedy podmuch wiatru zmaćił jej serce pytaniami? Tim podniósł się z krzesła i podszedł do niej.

- Nie chodzi o to, że cię nie Kocham.

- Ale nie chcesz, żebyśmy się pobierali?

Złożyła ręce i delikatnie zsunęła pierścionek z palca. Kiedy położyła go na stole, głupie łzy napłynęły jej do kącików oczu. Tim wpatrywał się w ciemne okno za jej ramieniem.

- Myślałem, że tego chcę. - Próbował chwycić jej rękę, ale Charlotte ją cofnęła. - Kilku chłopaków z naszego klubu motokrosowego

wybrało się dziś z nami. Rozmawialiśmy o wielkim wyścigu na Florydzie. Że moglibyśmy pojechać. A wtedy jeden z nich spojrzął na mnie i powiedział: „Tim, zdajesz sobie sprawę, że rozmawiamy o tygodniu, który przypada zaraz po 23 czerwca? Zdaje się, że to dzień twojego ślubu. Nie będziesz wtedy w podróży poślubnej?”.

- Zapomniałeś o własnym ślubie. — Charlotte próbowała rozgrzać ramiona, po których przebiegł chłodny dreszcz. Jej wzrok spoczął na kufrze. W tej chwili czuła dziwną więź z tym poturbowanym, niechcianym pudłem. Czuła, że to jej jedyny sprzymierzeniec.

- Charlotte, przepraszam, nie chciałem cię zranić.

- Katherine martwiła się, że to ja zranię ciebie.

- Katherine powinna pilnować własnego nosa. - Tim w końcu spojrzął jej prosto w oczy. - Charlotte, kocham cię, naprawdę. Po prostu nie mam pewności, czy jestem gotów na małżeństwo. Nasz związek jakby zbił mnie z nóg. Wszystko potoczyło się tak szybko.

- Samo się nie potoczyło, Tim. To ty nadałeś takie tempo. Jakbym była wyścigiem, który musisz wygrać.

- To nie fair. Działąłem szybko, bo się w tobie zakochałem.

- To co się zmieniło?

Tim wstał i szybkim krokiem przeszedł do salonu.

- Nie jestem pewien. Zastanawiam się czy którekolwiek z nas chce tego ślubu. Nie zrobiliśmy nic, żeby doprowadzić to do końca. Ty nie masz sukni. Ja nie wpłaciłem zaliczki w Avondale.

Charlotte gapiła się na pierścionek leżący na stole.

- To co teraz?

- Przekładamy? Czekaj. - Spojrzął na pierścionek. - Włóż go, nadal jesteśmy zaręczeni.

- Czy jest ktoś inny? - Charlotte przełknęła nową falę łez, wpatrując się w swoje dłonie, złożone na kolanach. Ani drgnęła, żeby wziąć pierścionek.

- Gdyby był ktoś inny, czy prosiłbym cię, żebyś znów włożyła pierścionek? Nie ma nikogo innego, może poza mną. Poza moim egoizmem. Myślałem, że jestem gotowy, ale...

- Masz trzydzieści dwa lata, Tim. Odnosisz sukcesy jako architekt. Jeśli nie jesteś gotowy, to może ja nie jestem właściwą kobietą?

Trafność tych słów przeszła jej serce.

- A czy ja jestem właściwym mężczyzną? Dlaczego tak się ociagałaś? Czy panny młode nie zaczynają wybierać sukni ślubnej, jak tylko dostaną pierścionek zaręczynowy? Jesteś właścicielką salonu ślubnego. Masz dostęp do najnowszych i najpiękniejszych sukni na świecie. Ale... - Przerwał i zmierzył ją czułym spojrzeniem. - Powiedz mi, że wcale nie czujesz, że coś jest z nami nie tak.

- Sama nie wiem... Tak, może coś jest z nami nie tak. - Zbuntowana łąza spłynęła jej po policzku. - Myślałam po prostu, że jesteśmy zajęci, ale że w końcu usiadziemy i zaplanujemy nasz ślub. Wydaje mi się, że gdybyś naprawdę myślał o mnie jako przyszłej żonie, nigdy byś nie zapomniał ani o naszym ślubie, ani o podróży poślubnej i nie planowałbyś kolejnej okazji, by pościgać się z kumplami. - Pociągnęła nosem i wierzchem dłoni otarła drugą łzę. - Wychowały mnie mama i Gert, niewiele wiem o twojej płci. Ale przez wszystkie te lata, odkąd skończyłam liceum i zaczęłam pracować w salonach ślubnych, dowiedziałam się jednego: mężczyzna dla kobiety, którą kocha i którą zamierza poślubić, zrobi wszystko. Pójdzie do sklepu w czasie finałowego meczu rozgrywek piłki nożnej. Przymierzy dziesięć smokingów, choć już pierwszy był dobry. Zostawi kolegów i hobby, nawet przeprowadzi się na drugi koniec kraju. Wszystko z miłości. - Charlotte wzięła do ręki pierścionek, stanęła twarzą w twarz z Timem i wcisnęła mu go w dłoń. - Jeśli nie pobieramy się 23 czerwca, to po co udawać?

- Charlotte, my nie udajemy, my czekamy.

- Na co, Tim? Aż poczujemy, że to jest to? Nagle? Czułam to, kiedy mi się oświadczyłeś. Nie możesz odwołać ślubu i nadal

podtrzymywać zaręczyn! - To kolejna rzecz, której nauczyła się, pracując już dwanaście lat z parami młodymi. Najpierw w cudzych salonach, później we własnym. Gdy zacznie się odkładać datę ślubu... - Jeśli się nie pobieramy teraz, to nie jesteśmy też zaręczeni.

- Nie chcę cię stracić. - Tim wpatrywał się w pierścionek, okręcając go sobie na małym palcu. Potem przyciągnął Charlotte do siebie. - Kiedy zobaczyłem cię po raz pierwszy, straciłem dla ciebie głowę.

- Czasem nie wiemy, czego chcemy, póki tego nie dostaniemy. To... - Charlotte próbowała mu się wyrwać - to robi się zbyt skomplikowane... Panny młode... suknie... szczegóły...

Charlotte poddała się. Łkała, trzymając łokcie blisko tułowia, nadal opierała się o niewzruszoną sylwetkę i przepoconą koszulkę Tima.

Przeczuwała, że tak będzie. *Zmiana. Właśnie to* zaprowadziło ją na wzgórze w sobotę rano. Pytanie „Czy naprawdę tego chcę?” narastało - jeśli nie w Timie, to na pewno w niej samej. Ale... jakże nienawidziła rozstań. Jakże nienawidziła pożegnań.

Tim pogłaskał ją po włosach, nie mówiąc ani słowa.

- Ciii, wszystko będzie dobrze.

Kołysali się powoli, a w jego szepcie dało się słyszeć łzy. Otoczyła go ramionami i wtuliła się w niego. Jego czułość koiła jej rozpacz. Mógł z nią zrywać, ale w tej chwili był jej najlepszym przyjacielem, jej milczącą siłą.

Wyswobodziła się z jego ramion i otarła łzy z twarzy. Nadal jednak opierała się o niego ramieniem, patrząc przez korytarz w stronę sypialni.

- Będzie łatwiej, jeśli po prostu pójdziesz, Tim.

Dzięki Bogu, pozostali wierni swoim przekonaniom i nie spędzili ze sobą nocy. Byłoby znacznie trudniej. Jego strona łóżka byłaby dziś w nocy niesamowicie zimna.



- Nie masz nic przeciwko temu, że nie odprowadzę cię do drzwi...
- Charlotte...
- Idź już, Tim.

Kiedy Charlotte znalazła się w sypialni, zamknęła za sobą drzwi, zanurkowała w pościel i schowawszy głowę w poduszki wybuchła nieposkromionym szlochem. Przetrwiała śmierć mamy. Przetrwiała lata u zrzędlivej, choć dobrej starej Gert. Przetrwiała samotne święta Bożego Narodzenia i urodziny. Jak mogłaby nie przetrzymać czegoś tak błahego, małego? Zerwane zaręczyny? Będzie dobrze, wytrzyma. Oczywiście, że wytrzyma. Jeśli nie będzie słyszeć znajomego dźwięku drzwi zamykających się za Timem.

6.

### *Emily*

W migoczącym świetle lampy gazowej Emily wysypała listy z cedrowego pudełka na łóżko. Były ich tuziny, wszystkie zaadresowane równym, dokładnym pismem Daniela.

Dlaczego ojciec je przed nią ukrył? To do niego niepodobne. Emily ułożyła listy według daty stempla pocztowego, od kwietnia do sierpnia, naliczając w sumie czterdzieści.

Gdy sadowiła się na środku łóżka i opierała o poduszki, jej pierścionek zaręczynowy zahaczył o narzutę.

Pierścionek Phillipa, tak misterny i niespotykany, przybladł na chwilę przy stosie listów leżących przed nią na łóżku. Słowa i myśli Daniela, napisane jego własną ręką, wydawały się bardziej wyjątkowe niż jakikolwiek szlachetny kamień.

Emily strzepnęła sen z powiek i znużenie z serca. Co za dzień. Spotkanie sufrażystek, spotkanie z Phillipem w mieście, chwile spędzone z nim w jego powozie, rozpalone żarem jego uwodzicielskich pocałunków.

Potem pośpieszna droga do domu i niespodziewane spotkanie z Danielem. Kochany Daniel. Wspomnienie jego dotyku sprawiło, że krew zaczęła mocniej pulsować jej w żyłach.

A na dodatek oświadczyły Phillipa. Ze wszystkich możliwych wieczorów, akurat dziś. Spodziewała się ich wkrótce, może w czasie przyjęcia na zakończenie lata w Woodward, w Dzień Pracy.

Emily zanurzyła się w poduszkach i zamknęła oczy. Zastanawiała się, czy nie pójść do pokoju rodziców i nie zażądać od ojca, by wyjaśnił, dlaczego trzymał Daniela z dala od niej.

Znała go jednak zbyt dobrze. Ojciec nigdy nie reagował na napady złości, zwłaszcza takie, które zdarzały się o wpół do drugiej w nocy. Powiedziałby jej tylko, że ma się należycie zachowywać, wrócić do łóżka i na rano przygotować przeprosiny, a on, jeśli uzna, że to potrzebne, może porozmawia z nią na ten temat.

Po co teraz martwić się ojcem? Miała listy Daniela. Emily uniosła się z poduszki i wzięła pierwszą kopertę ze sterty. Pozostałe wsadziła do pudełka.

*16 kwietnia 1912*

*Najdroższa Emily,*

*jest już późno i czuję, że pora spać. Nie zasnę jednak, póki do Ciebie nie napiszę.*

*Dziś wieczorem modliłem się za nas oboje. Nie ma mnie zaledwie kilka dni, a ja już dużo myślałem o Tobie i o przyszłości, którą możemy spędzić razem, jeśli Dobry Bóg się do mnie uśmiechnie.*

*Uwierz mi, myślę o Tobie codziennie, nawet jeśli gram w baseball i na pierwszy rzut oka dobrze się bawię z chłopakami. Okropnie za Tobą tęsknię, Em.*

*Sport to ciężka praca za małe pieniądze, wierz mi. Stary Moley nas nie oszczędza, jeśli nie gramy, trenujemy. Zarządził treningi wcześniej rano, zanim ruszymy w drogę.*

*Chyba nie powinienem się skarżyć. Scully rzucił dziś piłkę nie do odbicia, podczas meczu z Petardami z Atlanty. Moley powiedział, że trzeba utrzymać tę falę zwycięstw.*

*Śpimy w podłych motelach, a nawet na boiskach. Padło cały tydzień i musieliśmy spać w autobusie. Moley znalazł jakąś miłą damę, która zgodziła się, byśmy wzięli u niej gorącą kąpiel. Po całym tygodniu mycia się w wiadrze, nie muszę nawet Ci mówić, jak wszyscy śmierdziliśmy.*

*O czym jeszcze mógłbym Ci napisać? Oczywiście, chciałbym usłyszeć wieści od Ciebie, posłuchać trochę o Twoim świecie. Dziewczyna Milтона napisała mu, że zaręczyła się z innym. Biedak. Snuł się z kąta w kąt, z nieszczęśliwą miną, póki nie dotarliśmy do stadionu, gdzie przy kasach czekało kilka ślicznotek. Zapomniał o swojej pannie bardzo szybko.*

*Ale nie martw się, Emily, moje oczy patrzą tylko na Ciebie. Kiedy będziesz pisać, czy mogłabyś przesłać mi swoją nową fotografię? Ta, którą mi podarowałaś, zniszczyła się, kiedy nasz autobus zakopał się w błocie aż po podwozie i musieliśmy staruszka wyciągać. Drogi w Tennessee nie są tak dobre jak te żużlowe w Birmingham.*

*Ale wiesz o tym przecież, w końcu to Twój ojciec finansował budowę kopalni sjenitu, dzięki czemu mamy takie dobre drogi.*

*Wczoraj były moje urodziny. Pamiętałaś? Mam nadzieję, że wysłałaś mi z wiatrem urodzinowe życzenia. Tęsknię za tortem mamy. Pamiętam ten, który upiekła na moje szesnaste urodziny, tuż przed swoją śmiercią.*

*Napisałbym więcej, gdybym wiedział, co teraz porabiasz. Przekaż moje pozdrowienia wszystkim.*

*Pamiętasz ten wieczór w bibliotece uniwersyteckiej, kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy? Moi koledzy wygłupiali się i psocili, nie zważając na zasady. Zgromiłaś nas spojrzeniem swoich ciemnych oczu. Gdy wracaliśmy do akademika, powiedziałem do swojego współlokatora: „Ożenię się z tą dziewczyną”. Mówiłem poważnie. Całe życie spędzę na uszczęśliwianiu Ciebie. Jeśli mnie zechcesz.*

*I jeszcze jedno. Wraz z kilkoma chłopakami poszliśmy do kościoła w niedzielę. Kaznodzieja trochę przesadzał z ogniem piekielnym i siarką, ale przemówiło to do Scullyego. Podbiegł do ołtarza, kiedy zadzwoniły dzwonki. Przypomniało mi się, dlaczego Go kocham. I Ciebie.*

*Przesyłam całą moją miłość i czułość,*

*Daniel*

Emily włożyła list z powrotem do koperty. Nie była pewna, co powinna czuć i myśleć. W większości były to uczniackie bzdury. Całe życie spędzi na uszczęśliwianiu jej? Mój Boże. Co za dziecinna deklaracja. Daniel powinien być mądrzejszy, jest przecież dorosłym mężczyzną.

Emily włożyła list do szkatułki i zatrzasnęła wieko. Pierścionek zaręczynowy stuknął o drewno. Wsunęła szkatułkę pod łóżko, głęboko, aż pod ścianę.

Była zaręczona. Wkrótce wyjdzie za swojego wybranka, dlaczego więc miałaby czytać listy miłosne od innego mężczyzny. Jak mogłaby być tak nieuczciwa w stosunku do Phillipa, zaledwie kilka godzin po tym, jak przyjęła jego oświadczenia?

Emily przygotowała się do snu, a potem uklękła i, jak co wieczór, zaczęła się modlić. Ale zamiast zamknąć oczy, sięgnęła ręką pod materac po oprawiony w skórę pamiętnik. Przelewała na jego karty swoje uczucia do Daniela, kiedy wyjechał z Baronami.

*30 kwietnia 2012*

*Drogi Danielu,*

*myślę o Tobie i zastanawiam się, gdzie jesteś. Proszę Boga, byś miał się dobrze i był bezpieczny. Żałuję, że nie piszesz. Tęsknię za Tobą okrutnie. Kto inny potrafi rozśmieszyć mnie, kiedy jestem*

*przygnębiona? Ojciec próbuje, ale jestem już odporna na jego stare dykteryjki. Tylko mamie nadal przypadają do gustu.*

*Wczoraj byliśmy matką na zakupach w mieście, potem pomagałam Molly w ogrodzie. Dzień był cudny i przywiódł mi na pamięć nasze spacerunki wokół uniwersyteckiego placu.*

Emily zatrzasnęła pamiętnik. Odkrywała w nim serce jedynie przed samą sobą, próbując zrozumieć swoje uczucia. Kiedy Daniel wyjechał, wiedziała, że go kocha. Tygodnie jednak mijały, a ona zaczynała wątpić.

Może był w tym palec Boży, że wyjechał i zamiast niej wybrał baseball? Kilka tygodni temu Phillip złożył jej wizytę i zaprosił ją na doroczny bal.

Zaproszenie wydawało się czymś więcej niż z tylko przypadkiem. Było jakby zrzędzeniem Opatrzności.

Emily wsunęła pamiętnik do skrytki, zanurkowała pod kołdrę i wtuliła się w nią, rozprostowując nogi na czystym prześcieradle.

Iskra gniewu wymierzonego w ojca sprawiła, że aż podskoczyła w łóżku. Odgarnęła włosy z twarzy i uderzyła pięścią w narzutę. Jak inaczej wyglądałaby ta noc, gdyby *otrzymała* listy od Daniela. Opadła znów na poduszki i sięgnęła ręką do lampki stojącej przy łóżku. Jej światło przygasało, a w pokoju narastała ciemność.

Była zaręczona. I będzie wierna Phillipowi. Słowem i sercem.

*Charlotte*

Charlotte starała się utrzymać równowagę, niosąc w jednej ręce dwa kubki latte ze Starbucksa i paczkę drożdżówek, a drugą próbując

otworzyć tylne drzwi salonu, aby przejść przez stare pomieszczenie gospodarcze do kuchni. Położyła śniadanie na stole kuchennym, poruszyła ramionami, żeby się obudzić, i wróciła do swojego niebieskiego kabrioletu po pudło z niewykorzystanymi zaproszeniami.

- Dix? — Do otwarcia zostało pięć minut. Światła na zapleczu były włączone, a z głębi dochodziła muzyka. Tego ranka był to Bach, słodkie brzmienie skrzypiec. — Dixie? Przyniosłam kawę. I coś do jedzenia.

Charlotte nachyliła się w stronę frontowego pomieszczenia, nasłuchując dziarskich kroków swojej przyjaciółki. Ale odpowiedziała jej cisza. *Hmm, pewnie jest na górze.*

Wróciła do kuchni, karton z zaproszeniami położyła na podłodze i sięgnęła po latte. Miała pewne plany względem tych zaproszeń. Śmieciowe plany. Ale najpierw - śniadanie.

Wróciły jej chęci do życia. Tak, właśnie tak. Zaczynanie od nowa może być czymś dobrym, szansą, żeby wszystkim potrząsnąć, skupić się. Może wybierze się na pokaz mody ślubnej do Nowego Jorku albo do Los Angeles? Albo do Paryża? Planowała przecież pojechać do Paryża w tym roku. Zanim Tim zawrócił jej w głowie. Zaproszenie od Bray-Lindsay było wciąż aktualne, jeszcze mogła je przyjąć.

Kiedy Tim wyszedł, a Charlotte przestała wypłakiwać sobie oczy i duszę, o północy zdobyła się na to, by zadzwonić do Dixie i poprosić ją, by rano otworzyła salon, mimo że tego dnia miała zacząć pracę później. „Nie czuję się dobrze. Muszę zostać dłużej w łóżku”.

- Dixie, hej, gdzie jesteś? - Charlotte podeszła do kontuaru, zajrzała na schody i piętro. Kasa była włączona i gotowa. Ale zamknięta. No dobrze. — Jesteś na górze?

Charlotte pochyliła się przy sukni na wystawie i poprawiła spływający tren.

- Charlotte, tu jesteś. - Dixie wynurzyła się z przymierzalni. Chwyła Charlotte za rękę i pociągnęła za sobą. - Zamknij oczy.

- I wejdź na ścianę? Nie, dzięki. Co się dzieje? Przyniosłam latte i drożdżówki.

- Świetnie, ale najpierw zamknij oczy.

Charlotte, z nogami jak z waty, ruszyła w ślad za Dixie. Wyso-  
kooktanowa adrenalina, przywracająca jej wiarę w to, że odzyska swoje  
życie, którą zatankowała podczas porannego prysznicu i wizyty w  
Starbucksie, zaczynała wyparowywać. A opary nadziei, jutra, które miało  
być zwykłym kolejnym dniem, ulatniały się. Łudziła się, że będzie to  
zupełnie nowy, świeży dzień. Zapomnij o Timie. Timie? Jakim Timie?

Nie, dzień dzisiejszy zakleszczył jej serce w mocnym, smętnym  
uścisku. *To koniec. Nie ma już miłości.*

- Dix, naprawdę, nie jestem w nastroju... - Zatrzymała się przy  
drzwiach do przebieralni. - Cokolwiek zamierzasz, nie zrobię tego.

Charlotte wstała dziś wcześnie. Włączyła lampkę, nalała dietetycznej  
coli do szklanki i przeczytała 15 rozdział z Ewangelii Jana. „Ponieważ  
beze Mnie nic nie możecie uczynić”. Gdyby miała wiarę, mogłaby zrobić  
wszystko.

- Zakochasz się, jak to zobaczysz - powiedziała Dixie. - Pamiętasz, jak  
przedstawiłaś Kristin jej suknię? No cóż, od pięciu lat stoję w cieniu  
twojego geniuszu. Wreszcie twój magiczny pył spadł na mnie i udało mi  
się znaleźć idealną suknię dla ciebie.

- Nie, Dix, naprawdę nie mogę.

- Obiecałaś mi. W tym tygodniu. Zadzwoiłam też do twojego  
narzeczonego i zostawiłam wiadomość, że będę w jego biurze około  
trzeciej z połową tuzina smokingów dla niego i dla Davida. Do  
przymiarki. Ha! Musisz wstawać wcześniej, jeśli chcesz powstrzymać  
starą Dixie. Hej, czy to nie była czasem jakaś piosenka? Tak czy siak, jest  
więcej niż jeden sposób, żeby ubrać pana młodego, i ja go znalazłam. -  
Dixie otworzyła plecami drzwi do przebieralni i pociągnęła



Charlotte za sobą. - Nie otwieraj jeszcze tych swoich błękitnych oczek, Charlotte. Nie, nie, nie.

- Dixie, posłuchaj mnie...

- Przestań się opierać. Poczekaj, niech cię ustawię w odpowiednim miejscu. - Dixie przesunęła Charlotte trochę na prawo, trzymając ją za ramiona. - Otwórz oczy. - Przyjaciółka wyskoczyła przed nią, z wysoko uniesionymi otwartymi ramionami. - Tadam!

Na podniesieniu stała prosta satynowa suknia z przepaską w talii, wykończoną włoską koronką i perłami. Rękawy do łokci, stykały się z końcówkami długich białych rękawiczek. Tiule i krynolina podtrzymywały spódnicę Kopciuszka, która przechodziła w połyskujący tren.

- Och, Dixie, jest piękna. - Charlotte przez sekundę walczyła ze łzami. Po chwili się poddała. Światła tańczyły po nieskazitelnej satynie i łapały żarzący się blask pereł. Jeśli wychodziłaby za męża, to Dixie rzeczywiście znalazła dla niej idealną suknię.

- Wiem, że czerwiec to nie jest miesiąc na rękawiczki, ale pomyślałam, że dopełniają całość. Czy naprawdę ci się podoba? Rękawy tej długości nie są teraz w modzie, ale ta suknia po prostu do mnie przemawia. A do ciebie? Powiem ci, że nie wiem, jak to robisz, że sięgasz do serca kobiety i wyciągasz z niego idealną suknię. Ale to robisz. Choć znam cię lepiej niż kogokolwiek innego, może oprócz Doktora Ciacha, nieźle się napociłam, żeby znaleźć suknię, która odzwierciedli twój charakter. No jak? - Dixie, stojąc wciąż z szeroko otwartymi ramionami, wypuściła powietrze z płuc.

- Mówiłam ci, że ten dar dostałam od Boga. - Jej głos załamywał się, ale pozbierała się, gdy Dixie zrobiła krok w jej kierunku.

- Podoba ci się? Mi bardzo. No dalej, szefowo, powiedz mi, jak się spisałam?

- Wspaniale, wspaniale się spisałaś. Jest... idealna. Ale proszę cię, odwieś ją. Nie będę przymierzać. - Charlotte odwróciła się w stronę drzwi.

- Co? Charlotte! Daj spokój, ta suknia ma wyszyte twoje imię. Widzisz, tam, w perłowym świetle... *Charlotte Malone*. Podaj mi jeden dobry powód, dla którego nie miałabyś pójść do ślubu w tej sukni.

- Ponieważ nie wychodzę za mąż, Dixie. — Charlotte podniosła rękę, na której jeszcze wczoraj błyszczał pierścienek. - Proszę, odwieś ją.

- Charlotte, na litość boską, co się stało? - Dixie wyszła za nią z pokoju. - Nie wychodzisz za mąż? Zerwałaś z nim?

- Nie, tak naprawdę to on zerwał ze mną. - Zeszła po oświetlonych schodach i poszła do kuchni po skromne pocieszenie w postaci kawy latte i ciastka. - Powiedział, że chce odłożyć ślub na jakiś czas. Ja powiedziałam, że albo się pobieramy, albo się rozstajemy. Więc chyba jednak to ja zerwałam. Ale on nie oponował...

- Och, najdroższa przyjaciółko... przykro mi. Nie do wiary. Czy powiedział, dlaczego chce poczekać? - W delikatnym tonie głosu Dixie znać było empatię. - To nie ma sensu, żadnego sensu. Wszyscy wpadają w panikę przed ślubem. Ja cała dygotałam, zanim pobraliśmy się z Ciachem. I co z tego? Tim był zakochany po uszy i nagle coś zaćmiło mu rozum? Nie rozumiem... — Dixie ruchem ręki odmówiła ciastka, które oferowała jej Charlotte.

Rzeczywiście, sprawa przedstawiona w ten sposób wydawała się zupełnie pozbawiona sensu. Ale w głębokich i ciemnych zakamarkach serca coś mówiło Charlotte, że tak musi być. A to, samo w sobie, wydawało jej się złe. Charlotte siedziała przy stoliku kuchennym, znużona powracającymi jak bumerang emocjami. Wzięła mały kęs drożdżówki. Wyglądała tak apetycznie, kiedy zobaczyła ją w Starbucksie. Teraz smakowała jak karton.

- Wszystko w porządku, Charlotte? - Dixie ścisnęła jej ramię i przysunęła sobie krzesło. - Tak mi przykro.

- Nie spałam dziś najlepiej. - Charlotte rzuciła drożdżówkę na serwetkę na stole. - Rano czytałam Biblię, ale Jezus nie mówi zbyt wiele o tym, jak rozpoznać, że facet jest tym właściwym. Dix, chciałam, żeby to Tim był tym jedynym. Ale może kierowały mną niewłaściwe pobudki? — Przy Dixie Charlotte pozwoliła łzom płynąć. — Tim jest cudowny, przynajmniej dla mnie. Lubi się bawić, jest mądry, umie mnie rozśmieszyć. Odkąd go poznałam, wyluzowałam się, przestałam cenzurować własne słowa, a później zastanawiałam się, czy nie zrobiłam z siebie idiotki. Kiedy pierwszy raz zadzwonił, by zaprosić mnie na kolację, wierzyłam, że jest w tym wszystkim Boża Opatrzność, bo nie jestem przecież aż tak ładna i na pewno nie jestem aż tak dobra we flirtowaniu.

- Żartujesz sobie? Jesteś olśniewająca. I czarująca. Komu potrzebny talent do flirtowania, kiedy jest tak mądry jak ty? Tim był cholernym farciarzem, że w ogóle zwróciłaś na niego uwagę. - Dixie usiadła. - Snob. Tim jest snobem.

- To raczej ja miałam szczęście. On nie jest snobem, Dixie. Jest szczerzy. Chciałabyś, żeby Jared się z tobą ożenił, gdyby miał jakieś wątpliwości?

- Chyba nie. - Dixie westchnęła, oparła łokieć na stole i przyglądała dłonią wysoko upięte włosy. — To mnie smuci.

- Wiem, ale może Tim ma rację. - Wątki uśmiech Charlotte zadrżał. — Wszystko działa się za szybko.

- No cóż, Charlotte, o to Tim może winić wyłącznie siebie. Ty na siebie tego nie bierz. Myślisz, że dlatego dotąd nie wybrałaś sukni? Że jakoś to przeczuwałaś?

- Kto wie... - Charlotte oparła głowę o ścianę, przetykając narastające emocje. Chciała, żeby ten dzień był już daleko za nią. Ostre światło kuchni sprawiło, że zrobiło jej się zimno i poczuła się naga.

- Tylko że kiedy przyszła na mnie kolej, by zostać panną młodą, nie wiedziałam, jak się przygotować. W głębi duszy myślałam, że suknia, cały ten dzień, wszystkie kawałki ślubnej układanki po prostu same złożą się w całość. Wtedy *wiedziałabym*, że tak ma być.

- Ale nie wiedziałaś, prawda?

- Kiedyś często śnił mi się mój ślub. To się zaczęło zaraz po liceum, kiedy moja „jedyna prawdziwa miłość” - Charlotte narysowała w powietrzu znak cudzysłowu — ze mną zerwała. W tym śnie idę w kierunku ołtarza, do pana młodego. Jestem sama, bo nie mam nikogo, kto poprowadziłby mnie do ołtarza. Ani ojca, ani brata, ani wujków.

- Rose'owie to sami mężczyźni.

- Tak, wiem. - Charlotte pochyliła się do przodu i potarła oczy palcami. Dziś nie martwiła się o makijaż. Trochę korektora i pudru.

- Kiedy Tim powiedział mi, że ma czterech braci, nie mogłam zasnąć w nocy. Leżałam w łóżku i błagałam Boga, żeby nauczył mnie czegoś o mężczyznach. Bałam się, że będę się im przyglądać jak lwom w zoo.

- Ostatnie słowa wypowiedziała z lekkim uśmiechem. - Ale chciałam odgrywać kumpelkę i grać w piłkę kopaną...

- Piłkę nożną.

- Cokolwiek.

- A wracając do snu. Co się stało, gdy szłaś do ołtarza?

- Odwracałam się na pięcie i uciekałam z kościoła. - Charlotte spojrzała na ścianę, wyobrażając sobie Tima i jego braci. Byli mężczyznami z krwi i kości, którzy jednak traktowali ją jak siostrę. — Zazwyczaj, gdzieś w pół drogi między drzwiami kościoła a ołtarzem odwracałam się i wybiegałam, krzycząc „Nieeeeeee!” - Charlotte rozerwała krawędź serwetki. - Śniło mi się to dwa, trzy razy do roku. Dopóki...

- Może to znak, że nie powinnaś wychodzić za Tima?

- ... dopóki nie poznałam Tima.

Charlotte westchnęła. Przeniosła wzrok znad latte na Dixie.

- Aha.

- Tak, aha. - Charlotte wstała, pakując ciastko z powrotem do papierowej torebki. - I co teraz? Jak poznać, że to Ten Właściwy?

Dixie przyciągnęła Charlotte do siebie.

- Trzeba wierzyć, dziewczyno, wierzyć. Na koniec dnia to wszystko, co mamy.

Charlotte oparła swój policzek o niewzruszone ramię przyjaciółki, dając upust ostatnim z porannych łez. Później znów usiadła, sięgnęła po serwetkę i wytarła nią twarz.

- Bierzmy się do pracy, Dixie. - Wstała, wygładziła zakiet i odgarnęła włosy z twarzy. - Dziś jest pierwszy dzień z reszty mojego życia.

7.

### *Emily*

Pani Caruthers miała opinię najlepszej krawcowej w Birmingham. Matka umówiła u niej spotkanie osiem dni temu, rano, zaraz po oświadczeniach Phillipa. A teraz Emily szła do jej wystawnej pracowni mieszczącej się w centrum miasta, w domu towarowym Lovemana.

Ściany przymierzalni pokrywała zielono-złota tapeta, a perski dywan zdobił nudną, porysowaną podłogę z litego drewna. Przedpołudniowe światło padało na lśniąca kanapę z końskiego włosia, hałasy dobiegające z ulicy odbijały się od szyb.

Dzwonek trolejbusu przyciągnął Emily do okna. Dziewiętnasta ulica w samym centrum Birmingham pospiesznie krzątała się wokół kamiennego domu towarowego. Emily kochała tę część miasta. Przyjeżdżała tu z Highland, kiedy tylko mogła. Kiedyś zaproponowała nawet, że mogłaby podjąć pracę w biurze ojca, ale natychmiast ją zganił.

- Jesteś damą z towarzystwa - matka wtrąciła się do ich rozmowy. - To ty zatrudniasz innych. Ty sama nie jesteś zatrudniona.

- Posłaliście mnie na studia, bym marnowała czas w domu? A kiedy muszę klęczeć w brudzie i pracować w ogrodzie, to już nie

jestem damą? - Posłała matce wymowne spojrzenie. To matka nalegała, by Emily nauczyła się ogrodnictwa.

- Dbasz o ogród dla swojej rodziny — odpowiedział ojciec, lekko uderzając ręką w stół. - Nie będziesz jeździć do miasta i odbijać karty zegarowej, pracując za płacę poniżej twoich kwalifikacji i twojej pozycji.

I tak Emily, z wyższym wykształceniem, ale bez konkretnych kwalifikacji, siedziała w domu i czekała. Daniel wyjechał, jej przyjaciele pozakładali rodziny albo wybrali się w podróż po Europie, ją zaś nuda doprowadzała do granic wytrzymałości.

Kiedy więc Molly zaprosiła ją na spotkanie sufrażystek, wręcz rzuciła się na tę propozycję. Wreszcie jakieś zajęcie. A potem Phillip przybył z wizytą i jej zdesperowane serce uległo.

Pierścionek zaręczynowy Emily stuknął o szybę, gdy nachyliła się do okna, żeby zobaczyć, co dzieje się na ruchliwej ulicy. Kiedy już wyjdzie za mąż, będzie miała własny dom i będzie mogła sama wybrać, czym chciałaby się zajmować jako pani Phillipowa Saltonstall.

Zapewne będzie miała do swojej dyspozycji pewną sumę pieniędzy, którą będzie mogła przeznaczyć na godne uwagi projekty. Jako pani swojej rezydencji będzie mogła iść na zakupy, dokąd zechce i kiedy tylko zechce.

- Litości, jak tu gorąco. - Matka powachlowała się rękawiczkami i wyciągnęła szpilki z kapelusza.

Emily położyła swoją torebkę i parasolkę na stoliku, blisko drzwi.

- Mamo, zobaczę, czy uda mi się otworzyć okno.

- Błagam, nie. Po ulicy chodzą ludzie. Chcesz, żeby cię widzieli?

- Jeśli to uchroni mnie przed zemdleniem z gorąca, tak. - Emily podniosła okno, a gwałtowny podmuch wiatru wypełnił pokój. Gęste i mgliste powietrze, które wpadło tu z zewnątrz, było ostre od zapachów miasta i zabarwione szarym pyłem z młynów i kopalń.

Emily wolała jednak to niż gorące, stęchłe powietrze w pracowni pani Caruthers.

- Litości! - Matka zatkała nos. - Zemdlejemy tu albo z gorąca, albo od wdychania smrodu kopalni.

- To zapach życia, matko. - Emily wzięła głęboki wdech. - Paliwo, konie, pot mężczyzn, perfumy kobiet.

Spojrzała w kierunku wąskich drzwi, za którymi zniknęła krawcowa, a potem obróciła się do okna i uważając na kurz wychyliła się przez parapet.

Kierowca forda przyspieszył i wyprzedził powolną, zaprzęgniętą w konie furmankę dostawczą.

- Matko, wybierzmy się do Newmana na obiad.

- Nie dzisiaj. Kazałam Molly pokroić pieczeń wołową. — Matka przerwała, gdy Emily westchnęła. O wiele za głośno, ale już nie można było tego cofnąć. - No dobrze, w końcu to twój dzień. Wybierasz dziś suknię ślubną. — Chwyła Emily za rękę. — Nie zwisaj przez okno jak dziewczka z tancbudy. Emily, kochanie, chcę żebyś wiedziała, że jesteśmy z ojcem bardzo dumni z ciebie. - Głos matki był rozanielony, a jej oczy zaszyły łzami. — Kiedy Phillip poprosił cię o rękę, ojciec nieomal pękł z dumy. Zamówił świeże cygara, żeby rozdać je w klubie. Wyrosłaś na jedną z najpiękniejszych dziewcząt w Birmingham. Jesteś mądra i utalentowana, wykształcona, na co nalegałam, i masz głowę na karku. Uczynisz z Phillipa wybitnego człowieka. Dobrze zrobił, wybierając ciebie.

Emily odsunęła się od okna. Może to dobry moment, by zadać matce pytanie, które kiełkowało w jej sercu od chwili, kiedy Phillip się jej oświadczył.

- Matko, czy kochałaś ojca, gdy za niego wychodziłaś?

- Och, wierzyłam, że to dzięki niemu wiosną rośnie bawełna, naprawdę. Był taki przystojny i mądry, opowiadał bardzo śmieszne historyjki i był bożyszczem wszystkich dziewcząt z naszej klasy.



- Babcia i dziadek cieszyli się, że za niego wychodzisz?

- Twój dziadek uważał go za głupca. - Naśladując wyraz twarzy dziadka, matka mówiła dalej niskim głosem: - Maggie, temu chłopakowi tylko głupoty w głowie. W kółko gada. O co mu chodzi z tym zakładaniem kantoru? Straci nawet ostatnią koszulę, wierz mi, na pewno straci wszystko. - Matka roześmiała się podnosząc brwi. - Teraz inaczej śpiewa.

- Bez wątpienia, szczególnie odkąd ojciec podarował mu automobil na urodziny. — Emily znów wyjrzała przez okno. Patrzyła na życie na ulicy, pozwalając myślom odpłynąć.

Kochała Phillipa. Oczywiście, że go kochała. Czy inaczej pozwoliłaby mu dotykać się i całować w ten sposób?

- Gdzie się podziewa pani Caruthers? - Matka szybko przeszła przez wąskie drzwi wewnętrzne. - Czy pożeglowała do samego Paryża po ten materiał?

Matka od lat próbowała zamawiać suknie na specjalne okazje u pani Caruthers, ale zawsze jej odmawiano. Dopiero po zaręczynach z Saltonstallami *zasłużyła* na audiencję u królowej igły i nitki. Emily nie czuła się z tym dobrze, ale jeśli wyprawka ślubna i suknia od pani Caruthers mają uszczęśliwić matkę, to uszczęśliwią też Emily.

- Usiądź, matko. I nie martw się, niedługo wróci.

Chciała, żeby matka się uspokoiła. Chciała przetrwać to dręczące uczucie, które tkwiło w jej piersi.

W przeciwieństwie do matki, Emily wiedziała, że to nie dzięki Phillipowi rośnie bawełna. Nie rozśmieszał jej też zabawnymi historijkami — a przynajmniej nie za często. Nawet gdy jeszcze byli w szkole. Niemniej jednak przyprawiał ją o dreszcze, gdy sunął palcami w dół jej szyi.

Emily spojrzała przez ramię na matkę, odpoczywającą na kanapie. Czy ojciec też sprawiał, że skóra jej matki drży z namiętności? O litości... Zacisnęła oczy i wytrząsnęła tę myśl ze swojej głowy.

Nawet jeśli miałyby dość odwagi i tupetu, by zapytać, nie chciała usłyszeć odpowiedzi.

Wychyliwszy się przez okno, wzięła głęboki, oczyszczający oddech. Tak, kochała Phillipa. Musiała go kochać.

Na rogu Trzeciej alei mignęła Emily znajoma sylwetka. Ktoś wysoki, szczupły, ubrany w charakterystyczną kamizelkę i getry w kolorze burgunda. Phillip. Serce jej podskoczyło. Podobnie jak jej ojciec, Phillip był przystojny i mądry, poważany w mieście. I z całą pewnością był obiektem pożądania wszystkich dziewcząt z ich kręgu.

Wychyliła się jeszcze bardziej i pomachała.

- Phillipie, Phillipie Saltonstall. Halo, pan w getrach. Phillipie! Jesteś jedynym mężczyzną, który nosi je w ciągu dnia.

Jakaś ręka wciągnęła Emily do środka.

- Emily Lee Canton, w tej chwili przestań wrzeszczeć. Zachowujesz się jak dziewczka z tancbudy. Na wszystkich świętych, dobrze prowadząca się dama nie wychyla się z okien na czwartym piętrze i nie krzyczy jak prostytutka na dobrze wychowanego dżentelmena. Szczególnie na mężczyznę o reputacji Phillipa, który na dodatek jest jej narzeczoną. Co ty wyprawiasz?

Matka nie ukrywała zdenerwowania, nieustannie przekładała z ręki do ręki swoje bawełniane rękawiczki.

- Matko, to przecież Phillip, mężczyzna, którego poślubię. Dlaczego nie mogę go zawołać przez okno?

Czyż nie odkrywała swoich prawdziwych uczuć? Dlaczego nie miałyby obwieścić ich całemu światu? Emily otworzyła okno jeszcze szerzej.

- Najdroższy Phillipie, jestem tutaj, w górze...

Ale słowa nagle uwięzły jej w gardle, gdy zobaczyła scenę, która rozgrywała się właśnie na ulicy.

Kobieta wiotka jak trzcina, o jasnej skórze i płowych włosach, ubrana w szafirową suknię, z kolorystycznie dopasowaną do niej

parasolką w dłoni pochyliła się do Phillipa, a ten otoczył ją ramionami i pochylił usta ku jej... szyi.

Emily wypuściła gwałtownie powietrze i cofnęła się w głąb pokoju, uderzając głową o ramę okna. Krzyknęła, gdy poczuła, że skaleczyła dłoń. Choć zaciskała powieki, nadal miała przed oczyma błyszczące w słońcu włosy tej kobiety.

- Wszystko w porządku? - zapytała matka, cały czas wpatrzona w wąskie drzwi. — Mam ochotę tam wejść i zobaczyć, co tak długo zatrzymuje panią Caruthers. To nie do pomyślenia.

Co Phillip tam robił? Kim jest ta beztrosko roześmiana kobieta, którą obejmował? I to w miejscu publicznym. Krew napłynęła jej do twarzy, policzki zaczynały ją palić. Czy nie ma ani krzty przyzwoitości? Szacunku? Za późno, z jej piersi dobył się jęk.

- Emily, co się stało? - Matka wychyliła się, żeby wyrzec przez okno.

- Nic, matko, jakiś koń zgubił podkowę. Widziałaś to setki razy.

- Przecież krzyknęłaś.

- Wałach się potknął, myślałam, że...

Co? Co myślała? Na pewno jej się tylko wydawało. Z tej wysokości nie mogła dobrze widzieć. Inni mężczyźni też nosili kamizelki i getry w kolorze burgunda. W dzień powszedni. Z pewnością Phillip nie jest jedyny.

Emily raz jeszcze spojrzała ukradkiem w okno i ujrzała finał ich umizgów. Kobieta uwolniła się z uścisku Phillipa, śmiejąc się i uderzając go lekko w ramię parasolką. Phillip pomachał jej na pożegnanie, gdy przechodziła przez Dziewiętnastą ulicę i skierowała się w stronę Trzeciej.

Emily patrzyła na Phillipa, patrzącego na *tamtą*, jak znikająca w cieniu budynków.

- Proszę, pani Canton. Wybacz mi opóźnienie, kochanieńka, ale moja asystentka nie rozpakowała tej pięknej tkaniny. Zamówiłam ją

w Paryżu sześć miesięcy temu, pewna, że czeka nas jakiś wyjątkowy ślub. I proszę, tak właśnie się stało. Uroczą Emily Canton. Odsuń się od okna, kochana, zaszkożysz swojej pięknej cerze. - Ramiona pani Caruthers uginały się po belami bogatej, szeleszczącej satyny. - Mam także jedwab, ale uważam (i zdania nie zmienię), że satyna to idealny materiał na suknię ślubną. Czy wyznaczyli już państwo datę ślubu?

- Rozważamy marzec - odpowiedziała matka z uśmiechem przepelnionym dumą. Emily zrobiło się niedobrze. Nigdy nie widziała, by matka komuś się podlizywała, a teraz właśnie, na jej oczach, nadskakiwała pani Caruthers. - Emily, spójrz na tę koronkę. Co myślisz, kochanie?

- Wydaje mi się...

*Wydaje mi się, że widziałam inną kobietę w ramionach mojego narzeczonego.* Spojrzała raz jeszcze przez okno i zobaczyła Phillipa zmierzającego Dziewiętnastą aleją w stronę zabudowań firmy Saltonstall-lów. Uniósł kapelusz, pozdrawiając trójkę dżentelmenów. Zatrzymał się i zaczął z nimi rozmawiać, śmiejąc się beztrudnie.

Jak jowialny był ten człowiek, który jeszcze przed chwilą obejmował jakąś szkapę o upiornej cerze.

- Marzec to cudowny czas na ślub. Nie za ciepło, nie za zimno — pani Caruthers i matka zaczęły konwersować, jak gdyby wszystko było w porządku i świat nadal był cudowny. - To mi daje mnóstwo czasu na uszycie sukni. Ile druhn? I oczywiście suknia dla pani, pani Canton. I zapewne dla pani matki? I wyprawa ślubna.

- Emily, co jest tak interesującego za oknem? - zawołała matka. - Proszę, pohamuj swoją ciekawość i powiedz pani Caruthers, co sądzisz o tej tkaninie. Myślałaś już o druhnach? Pani Caruthers, ta satyna jest miękka jak masło.

Emily odwróciła się i zobaczyła matkę gładzącą palcami kremowy materiał.

- Jest piękny - powiedziała, rzucając okiem. - Taki czysty i biały.

Wróciła do okna. Popołudnie przysiadło na swojej niebiańskiej gałęzi, nieświadome tego, że właśnie odłamał się kawałek jej serca. Ona była czysta. A Phillip? Serce zabiło jej mocniej na wspomnienie jego wprawnego dotyku.

- Naprawdę, wydaje mi się, że ten odcień idealnie pasuje do pani cery. Proszę, moja droga, tutaj. - Pani Caruthers zaprowadziła Emily do stołka ustawionego na środku pokoju i kazała jej na nim stanąć. Następnie przyłożyła kawałek satyny do policzka Emily. - Tak, precudnie. Czy wybierzemy krój? Tam mam żurnale.

W czasie gdy matka przerzucała strony, pani Caruthers brała miarę.

- Kochanieńka, masz dość pełną figurę - powiedziała, kiedy mierzyła obwód jej szyi. — Zacznij mocniej sznurować gorset, a może do ślubu twoja talia osiągnie idealne osiemnaście cali.

- Dwadzieścia dwa mi w zupełności odpowiadają. Lubię jeść. I oddychać.

- Jeść? - Pani Caruthers podniosła brew. - Tak, to widać. Emily posłała matce wymowne spojrzenie.

- Przedyskutujemy to, pani Caruthers. Dziękuję za troskę. Troskę? Matka zanadto starała się być miłą. Emily nie zgodzi się,

by dla ładnej figury odcięto jej dopływ powietrza i zmiażdżono żołądek. Dziewczęta z Północy niech sobie jedzą jak ptaszki, ale panny z Południa są zdrowe i krzepkie. Spojrzała ze smutkiem w kierunku okna. Kobieta, z którą widziała Phillipa, była szczuplejsza od niej, a jej filigranową sylwetkę modelował gorset.

- Tylko szczupła panna młoda wygląda szykownie. - Pani Caruthers dokładnie przyglądała się Emily zza okularów. - Myślę, że powinna pani posłuchać mojej opinii, zważywszy na to, za kogo pani wychodzi, panno Canton.

- Wolałabym, żeby zatrzymała pani swoje opinie dla siebie. - Emily zeszła ze stołka, czując, że zaraz może zemdleć. - Matko, proszę...

- Emily Canton, wiesz bardzo dobrze, że rady pani Caruthers są szczerze. Dlatego będziemy pamiętać jej znakomitą obsługę. - Matka uparcie walczyła o jej względy. - Zaprojektowała suknie dla najznakomitszych rodzin w Birmingham. A teraz, proszę, nie chmurz się i zobacz, w jakich krojach będzie ci do twarzy. - Matka puknęła palcem w ilustrację w żurnalu. - Ten model wyglądałby na tobie cudownie.

Emily pochyliła się, by spojrzeć do żurnala. Suknia była ostentacyjna. A fałdy i plisy zanadto przypominały suknię, którą miała na sobie chuderława kobieta na ulicy.

- Jest zbyt dramatyczna i ciężka. Uduszę się, mając na sobie tyle materiału. Proszę o prostą suknię, pani Caruthers.

Emily chciała po prostu iść do domu, wziąć jedną z klaczy ojca i pognać na Red Mountain, żeby oczyścić umysł, pomyśleć, wznieść serce do Boga.

Potem, może gdy Phillip przyjdzie na kolację, znajdzie w sobie odwagę, by z nim porozmawiać o tym, czego była dziś świadkiem. Chociaż odkąd są zaręczeni, rzadko komunikowali się za pomocą słów. Najczęściej mówił do niej żarliwymi pocałunkami i intymnym tonem głosu.

No cóż, dziś usiądzie po drugiej stronie salonu, poza jego zasięgiem. Może zaproponuje grę w karty albo domino.

W świetle dnia Emily rumieniła się na myśl o tym, co wypełniało głowę Phillipa. O ich nocy poślubnej. Ale ubiegłotygodniowe spotkanie z Danielem jednego ją nauczyło: mówić wprost o swoich uczuciach.

- Co mamy zatem zrobić, aby skorzystać z pani usług, pani Caruthers?

Matka stanęła z krawcową twarzą w twarz, z wysoko uniesioną głową i wyprostowanymi ramionami.

- Spiszę zamówienie, pani Canton. Wpłaci pani zaliczkę, połowę całej kwoty. Emily musi jak najszybciej wybrać fason sukni i ustalić

liczbę druhen. Oczywiście będzie też musiała wybrać suknie dla nich. Muszę także od razu zacząć szyć jej wyprawę ślubną. Mam standardową ofertę sukien i bielizny. Myślę, że będzie odpowiadała pannie Canton.

- Oczywiście. Jakże miło z pani strony. Czy ma może pani jakąś broszurkę? Na wypadek, gdybyśmy z panem Cantonem chcieli dodać coś do wyprawy Emily.

- Tak, oczywiście. Proszę wziąć żurnal na wieczór i dokonać wyboru. Oczekuję, że wpłacą państwo zaliczkę do końca tygodnia. Jak pani wie, nie narzekam na brak klientek.

Emily nie obchodziło, że pani Caruthers zwraca się do matki z wyższością. Ojciec, dzięki swojej firmie, szybko stawał się jedną z czołowych postaci Birmingham, a może nawet całej Alabamy.

- Tylko jedna krawcowa w mieście może się ze mną równać, ale nie sądzę, by mogła ze mną konkurować. Jest w dość niekorzystnym położeniu.

- To znaczy? - Emily wkroczyła między matkę a panią Caruthers. - Proszę podać nam jej nazwisko, a same zdecydujemy.

- Emily, nie bądź nieuprzejma. Bardzo panią przepraszam, nie wiem, co w nią dzisiaj wstąpiło.

Matka spiorunowała Emily wzrokiem. Jako mała dziewczynka na widok tego spojrzenia Emily uciekała w przerażeniu.

- Podam paniom jej nazwisko. Niewiele mnie to obejdzie, jeśli ją wybieriecie. Ale uprzedzam, nie jest dla was. - Pani Caruthers usiadła za biurkiem, jej szerokie biodra rozlały się na krawędzi krzesła, a rąbki sukni dryfowały po dywanie. — Nazywa się Taffy Hayes. To kolorowa, mieszka przy Piątej alei. Ma pracownię w hotelu pana Gastona. Pan Gaston zleca jej od czasu do czasu jakieś drobne prace. Ale nie będą chyba panie chciały, żeby kolorowa kobieta zajmowała się piękną białą suknią ślubną panny Canton.

- Jakże to ma znaczenie, że jest kolorowa? - Emily chwyciła torebkę i parasolkę ze stolika. - Umieram z głodu, matko. Zjedzmy coś. Utucz mnie jeszcze trochę.

- Emily, proszę cię...

- Pani Caruthers, niczego od pani nie potrzebuję, już na pewno nie sukni ślubnej. - Emily przeszła powietrze parasolką.

- Ależ panno Canton, nie słyszała pani, co powiedziałam? Taffy jest kolorowa.

- Słyszałam. Matko, wychodzimy.

Obcasy Emily zastukały na masywnych drewnianych schodach. Schodząc w dół, słyszała urywane szeptki matki i pani Caruthers, odbijające się echem po całej klatce schodowej.

Może i nie mogła w tej chwili nic zrobić w sprawie Phillipa i *tamtej*, ale mogła rozprawić się z panią Caruthers.

Już na ulicy, stojąc w promieniach światła, wzięła haust wolnego, bezstronnego powietrza. Odkąd była małą dziewczynką, nie rozumiała podziału na białych i czarnych. Słyszała zasady, powody, wyjaśnienia, ale kiedy otwierała Biblię i rozmawiała z Bogiem, żadne ludzkie mądrości nie miały dla niej sensu.

- Nie powinnaś być tak bezpośrednia w swoich przemyśleniach, Emily. Będę musiała załagodzić sytuację z panią Caruthers, ale myślę, że nie narobiłaś dużo szkód. - Matka westchnęła, co było jawną oznaką dezaprobaty. Emily patrzyła na nią z ukosa.

- W moich przemyśleniach... A czy słyszałaś, jak wyrażała się o tej drugiej krawcowej? Szkód narobiła pani Caruthers, matko, nie ja. Mam dwadzieścia dwa lata, dyplom akademicki i jestem zaręczona. Za sześć miesięcy będę miała swój dom. Jestem pełnoletnia i mogę o sobie decydować.

- Ścisz głos. - Matka całą uwagę wydawała się poświęcać w tej chwili dokładnemu naciągnięciu rękawiczek na palce. - To co, obiad u Newmana?



Kiedy mogły już przejść przez ulicę, dokładnie w tym samym miejscu, w którym przechodziła *przyjaciółka* Phillipa, matka chwyciła Emily pod ramię.

- A teraz mnie posłuchaj - powiedziała zniżając głos. - Rozumiem i doceniam twoją pasję i wolę, by postępować po swojemu. Rozumiem, że żal ci upośledzonych i potrzebujących. Twój ojciec i ja też ofiarowujemy spore datki na cele dobroczynne w całym mieście. Ale nie będziesz obrażać pani Caruthers i nie zrujnujesz naszej reputacji. Twój ojciec zbyt ciężko na to pracował. Póki w mieście nie zjawi się inna biała krawcowa jej klasy, jako przyszła pani Saltonstall będziesz na nią skazana. I szczerze mówiąc, chciałabym nie stracić jej sympatii również ze względu na mnie samą. Ja także chcę korzystać z jej usług. A nie będzie to możliwe, jeśli odrzucisz ją z *jakiegokolwiek* powodu. Nie wiesz, że buzia tej kobiety się nie zamyka? Pewnie połowa sprzedawczyń u Lovemana wie już o waszej wymianie zdań. Co będzie, jeśli pani Caruthers powie ludziom, że wolisz kolorowych?

- Jest arogancka i nieuprzejma. Nie zależy mi na tym, by korzystać z jej usług. - Emily pociągnęła matkę za sobą do Newmana. — Nie powiedziałam ani jednego słowa, które okryłoby hańbą ciebie czy ojca. Czy Saltonstallów.

- Twoje insynuacje i to, z jakim łomotem zbiegłaś po schodach, powiedziały więcej niż jakiegokolwiek słowa, Emily. Czy tego cię uczyłam?

- Zatem przepraszam cię, matko. Ale ta kobieta nie będzie szyc dla mnie sukni.

Matka zatrzymała się, zmuszając tym samym Emily, by i ona przystanęła. Fala przechodniów rozstała się wokół nich.

- Możesz sobie tupać nogą, jak już będziesz mężatką, moja panno. Wtedy będzie to sprawa wyłącznie twoja i Phillipa, niech Bóg

mu pomoże, ale na razie to twój ojciec płaci za ślub, dlatego włożysz suknię zaprojektowaną i uszytą przez panią Caruthers.

- Zaprojektowaną? Ona kopiuje pomysły z żurnali. Jest oszustką.

- O tym, jaką krawcową wybrałaś, będą pisać we wszystkich gazetach i kronikach towarzyskich stąd do Atlanty, a nawet do Nowego Orleanu i Miami. Bez wątpienia również do Filadelfii, skąd pochodzą Saltonstallowie. - Nagle matka chwyciła się za głowę. - Na litość boską, zapomniałam kapelusza. Emily, jak mogłaś mi pozwolić zostawić kapelusz? Biegnij naprzód, spotkamy się u Newmana. Jeśli znajdziesz miejsce, zamów mi kanapkę z peklowaną wołowiną i szklanę zimnego mleka.

- A jeśli będą mieli tylko ciepłe mleko? - westchnęła Emily. Droczyła się z matką, żeby zmusić ją do uśmiechu. Nie lubiła się z nią kłócić. Matka potrafiła być jej największym sprzymierzeńcem.

- Proszę bardzo, moja panno. Widzisz, uśmiech zabiera gniew. - Matka, zanim się odwróciła, by ruszyć z powrotem do domu towarowego, położyła dłoń w rękawiczce na policzku Emily. - Wszystko będzie dobrze, Emily. Zobaczysz.

### *Daniel*

Daniel dostrzegł Emily w drzwiach restauracji. Wychodził właśnie z zakładu fryzjerskiego i wkładał swój nowy brązowy filcowy kapelusz z jedwabną obwódką - całkiem ładny jak na byłego baseballistę — na świeżo ostrzyżone i przygładzone do tyłu włosy. Blask słońca, który oblał jej ciemne włosy, gdy przechodziła między budynkami, sprawiał, że przypominały węgiel z Red Mountain - bogaty i błyszczący.

Na rogu Dziewiętnastej ulicy zawahał się i przystanął, zastanawiając się, od jak dawna Emily jest w mieście. Był ciekaw, czy widziała Phillipa - czy może tak jak on była świadkiem tego, co wydarzyło się godzinę temu. Na Boga, oby nie.

Nagle ulica opustoszała. Nadszedł trolejbus. Automobile i po-wózki ciągnięte przez konie zniknęły z pola widzenia. Wiatr dziwnie ucichł. Daniel nabrał powietrza w płuca, zszedł z krawężnika i pognał na drugą stronę szerokiej ulicy.

Emily. Było w niej coś takiego, co sprawiało, że zawsze zbaczał z kursu. Zmusiła go, by zmienił swoje przeznaczenie, kiedy wiedział już, dokąd miał iść i co robić.

Najpierw baseball. A teraz dział męski w domu towarowym Lovemana. A co tam. Nowe spodnie będą musiały poczekać. Wśliznął się do Newmana i ukrył w głębi, w pomruku męskich głosów przy ladzie. Miejsca na sali zajmowały kobiety, tłum kobiet. Powietrze wypełniały ich pierzaste kapelusze i podniesione głosy. Daniel powoli przeciskał się przez ten tłum, próbując dostrzec twarze pod kapeluszami. Emily przyszła sama. Tak mu się przynajmniej wydawało. Jest tam, z tyłu, siedzi z głową pochyloną nad menu. Zabiegany kelner przystanął na krótką chwilę przy jej stoliku. Spojrzała w górę, uśmiechnęła się i powiedziała kilka słów. Kelner kiwnął głową i pomaszerował w kierunku kuchennych drzwi, niosąc na ręce tacę z brudnymi naczyniami.

- Dzień dobry. - Daniel zajął miejsce naprzeciwko Emily. Jej brązowe oczy spoczęły na jego twarzy.

- Daniel.

- Spodziewałaś się kogoś innego? - Posłał jej uśmiech. Niestety, nie tak czarujący, jak zamierzał. Nie był ani odprężony, ani spokojny, a jego głos nawet odrobinę zadrżał.

- Moja matka zostawiła kapelusz u Lovemana. Będzie tu w każdej chwili.

- Jak się masz? — Daniel wyciągnął do niej rękę przez stół, chcąc dotknąć jej dłoni, jednak chłodne spojrzenie Emily zatrzymało go w pół gestu. Cofnął więc je i dotknął swojego kapelusza.

- Mam się dobrze. A ty? - Emily uniosła menu, czytając je i, był tego pewien, próbując się za nim schować. - Byłeś u fryzjera?

- Skąd wiesz?

- Pachniesz wodą kwiatową. Ojciec i Phillip pachną tak samo, kiedy wracają od fryzjera. - Odłożyła menu na brzeg stołu i splotła dłonie na kolanach. - Widzę, że udało ci się poskromić loki.

- Nie mam już dziewczyny, która by je potargała. - Zdjął kapelusz. Powinien był to zrobić zaraz, gdy wszedł. - Przeczytałem w gazecie, że zaręczyłaś się z Saltonstallem.

- Wyglądasz na zaskoczonego. Mówiłam ci, że to się stanie.

- W takim razie cieszę się twoim szczęściem. Jeśli jesteś szczęśliwa.

Czy była naprawdę? Nie umiał tego odgadnąć, patrząc na jej spokój i opanowanie. Próbował wyczytać to w jej oczach, ale nie chciała posłać mu jednego ze swoich jasnych, bezpośrednich spojrzeń. A niech to, nienawidził tej ściany między nimi.

Od chwili, kiedy powiedział jej dzień dobry w bibliotece uniwersyteckiej, rozumieli się bez słów. Jak gdyby ich dusze grały w tym samym rytmie. Ale podczas jego pięciomiesięcznej nieobecności Emily zmieniła swoją melodię.

- Oszalałam. - Strzepnęła rękę nad stołem, zachowując się jak pruderyjna świętoszka. — To znaczy oszalałam z radości.

- Nie wierzę ci. - Tak, krótko a dobitnie. Jego spojrzenie przyciągnął pierścionek na jej palcu. Daniel odchylił się na krześle i zagwizdał. - Widzę, że nie poskąpił grosza.

- Kupił go w Paryżu, zeszłej jesieni.

- Naprawdę? Oczywiście nie miał wtedy ciebie na myśli, ponieważ zeszłej jesieni to ze mną chodziłaś na spacer.

- Co za złośliwe i samolubne słowa, Danielu Ludlow. Phillip kupił ten pierścionek dla swojej wybranki. Zachwycił się nim, a wiedział, że wcześniej czy później znajdzie kobietę, która do niego będzie pasować. - Kelner postawił lemoniadę na stole. - Czy nie czas już na ciebie? - Emily zerknęła na oświetlone wejście do restauracji. - Matka zaraz przyjdzie.

Daniel zatrzymał kelnera i wskazał na szklanekę Emily.

- Poproszę to samo, co pije ta pani.

- A więc - westchnęła, jak gdyby poddając się i godząc na jego towarzystwo — wkrótce zaczniesz nową pracę. Jako wykładowca.

- Tak jest. Mam nadzieję, że nie zapomnisz o swojej Alma Mater, Em. Uczelnia potrzebuje darczyńców.

- Jestem pewna, że Phillip będzie bardzo hojny dla instytutu.

- Phillip? Czy ty? - Uśmiechnął się. *No dalej, Em. Poddaj się. Pokaż mi swój cudny uśmiech.* - Wiesz, co mówią. Mężczyźni zarabiają, kobiety wydają. O to spierają się niektórzy moi przyjaciele i ruch sufrażystek. Po co dawać kobietom prawo do głosowania i wypowiedania się w sprawie podatków i polityki, skoro to mężczyźni odwalają całą pracę?

- To taki małostkowy, męski pogląd. Kobiety ciężko pracują. - Emily ożywiła się. Wyprostowała ramiona, uniosła brodę. W jej oku pojawił się znajomy błysk. Dawniej Daniel uwielbiał drażnić się z nią i dyskutować. - A nie dostają za to wynagrodzenia. Gotowanie, sprzątanie, prasowane ubrań mężów, rodzenie im dzieci. Pierwsze bóle porodowe zwałyby z nóg silnych mężczyzn, pracujących przy piecach Slossa czy Saltonstalla. Jaką cenę wyznaczyć za poród i narodziny? Co z niezameżną kobietą? Wdową? Czy nie powinny mieć prawa wypowiadać się na temat własnych zarobków i podatków?

- Dobrze, wygrałaś. Siedziałaś taka sztywna, że myślałem, że Saltonstall wyssał z ciebie cały ogień.

- On nie jest taki, nie znasz go.

- Powiedz mi - Daniel przechylił się przez stół - a ty znasz go? Kelner zjawił się z lemoniadą i zapytał, czy może już przyjąć od nich zamówienie. Emily odpowiedziała, że poczeka na matkę.

- Tak, znam go. Już drugi raz insynuujesz, że tak nie jest. Znałam Phillipa przez większą część mojego życia, tak jak mój ojciec, matka i Howard Junior.

Daniel oparł się o poręcz krzesła, uniósł do ust szklanekę z lemoniadą i wziął duży łyk chłodnego napoju. Bardziej potrzebny jego duszy niż gardłu. Mieszanka smaków słodkich i kwaśnych przypomniała mu, że musi dokonać wyboru. Czy zniszczy Emily tym, co wie, czy ofiaruje jej swoje wsparcie, będzie dla niej przyjacielem, którym, jak twierdził, wciąż jest?

Co do jednego nie miał jednak żadnych wątpliwości — tego, co widział dziś na rogu Dziewiętnastej i Trzeciej alei. Poznałby Salton-stalla wszędzie. Tylko on nosił getry w dzień.

- Cieszę się twoim szczęściem, Em. - Postawił szklanekę na stole i spojrzał jej w oczy. - Naprawdę, cieszę się.

- Dziękuję ci. Twoje słowa wiele dla mnie znaczą.

- Czy odnalazłaś moje listy?

- Czy to ma jakieś znaczenie, Danielu? Nasze życie się zmieniło. Jesteśmy teraz innymi ludźmi.

*Jestem tym samym człowiekiem, Emily. Tym samym i tak samo beznadziejnie w tobie zakochanym.*

- Muszę rozmówić się w takim razie z Poczta Stanów Zjednoczonych. W tych listach jest parę dobrych opowieści. Jak wygraliśmy trzydzieści do zera. Jak Broderick i Stinewalter wdali się w bójkę na gołe pięści i obu ich zszywałem igłą i nitką. Jak poszliśmy popływać w Ohio. I o tej nocy, kiedy słyszałem, jak ktoś grał na banjo i śpiewał o swojej miłości, a ja nie mogłem przestać o tobie myśleć. Chciałem cię objąć, zatańczyć z tobą, pocałować...

- Danielu, przestań. To niczego już nie zmieni. - Spuściła oczy. - Może to opatrność zainterweniowała, bo my sami nie byliśmy wystarczająco mądrzy, by wiedzieć lepiej.

- Och, ale ja myślę, że wiedzieliśmy lepiej. - Daniel przecesał ręką włosy, a kilka loków opadło mu na czoło. - Ale jeśli jesteś tego pewna, to ja też. Będę leciał. Życzę ci szczęścia, Em.

Daniel sięgnął po swój kapelusz i wstał z krzesła. Emily chwyciła go jednak za rękę.

- Danny, poczekaj. Kiedy przyjechałeś do Highland, żeby mnie zobaczyć, powiedziałeś coś o Phillipie. Coś o... och, nie pamiętam, co to było, ale rzuciłeś nań cień podejrzania. A przed chwilą zapytałeś, czy jestem pewna, że znam go naprawdę. Co miałeś na myśli?

- Czas już na mnie - uwolnił dłoń z jej uścisku. Emily znów ją chwyciła.

- Powiesz mi, jeśli w ogóle ci na mnie zależy.

- Nie wiem, czy zdajesz sobie sprawę, o co prosisz, Emily. - Przyglądał jej się przez chwilę. - Przecieżnosisz jego pierścionek.

Emily spojrzała w dół, a jej wysokie policzki oblały się purpurą.

- Ufam ci, Danielu. Niech Bóg mi wybaczy, ale tak jest. Widziałam go dziś, na rogu ulicy. - Daniel przysiadł na krawędzi krzesła. A więc widziała to samo co on. - Byłam na czwartym piętrze domu towarowego i kiedy wyjrzałam przez okno, zauważyłam go. Wiesz, Phillip jest jedynym mężczyzną, jakiego znam, który nosi getry na co dzień. Podeszła do niego chuda kobieta, a on w oka mgnieniu wziął ją w ramiona.

Głos jej się załamał. Daniel przysiadł się do niej, kładąc ramię na grzbiecie krzesła, dookoła jej ramion.

- Może była jego przyjaciółką, kuzynką, córką wspólnika.

- Naprawdę tak myślisz? — Jej ton głosu, niewinny wyraz twarzy... To wszystko, co Daniel mógł dla niej zrobić, żeby nie porwać jej w ramiona i nie zacząć obiecywać, że będzie bronił jej serca.

- To nic takiego. Jestem tego pewien. Phillip dał pierścionek tobie, a nie innej dziewczynie.

A więc Emily widziała, jak Phillip całował szyję tamtej kobiety. Na samo wspomnienie tej sceny Daniel spalił się ze wstydu. W samym środku miasta Saltonstall z inną kobietą zachowywał się tak, jak inni zachowywali się na osobności z własnymi żonami.

Daniel zrozumiał, że musi bronić swojego rywala, by pocieszyć kobietę, którą kochał. Nie chciał dalej jej ranić.

- Danielu Ludlow, ty coś wiesz, nie waż mi się kłamać. W przeciwnym razie nie byłbyś tak miły. Nikt nie będzie się bawił moim kosztem, słyszysz? - Emily uderzyła dłonią w stół. Pozostali klienci u Newmana podnieśli głowy i spojrzeli w ich stronę. - Znasz ludzi. Twój ojciec jest kapitanem policji. Kolega jest dziennikarzem. Przecież ty znasz samego starego Woodwarda. Zwerbował cię do swoich niepokonanych Baronów z Birmingham.

- Więc mogę wiedzieć to i owo? — Daniel poprawił kapelusz. Zapach skóry Emily mącił mu w sercu. - Emily, nie powinnaś zadawać pytań, na które nie chcesz znać odpowiedzi.

- Pytam, bo chcę wiedzieć. Danielu.

- Dobrze, to zadaj mi konkretne pytanie. Co dokładnie chcesz wiedzieć?

- Czy Phillip ma... - zawahała się.

- Kochankę?

Przytaknęła. Szybko. Krótko.

- Emily, posłuchaj mnie...

- Tu jesteś, kochanie, myślałam, że wyszłaś już z restauracji. - Pani Canton opadła na siedzenie naprzeciwko Emily i Daniela. - Przepraszam, że tak długo to trwało, ale pani Caruthers osaczyła mnie i nie chciała skończyć wyliczać swoich niezliczonych krawieckich talentów. O, Daniel Ludlow. Dzień dobry. — Krótkim szarpnięciem ściągnęła rękawiczki. — Co ty tu robisz?



- Szanowna pani, miło panią widzieć. Gdy wchodziłem do restauracji, zobaczyłem Emily i chciałem pogratulować jej zaręczyn. — Daniel wstał i dotknął palcami kapelusza. — Są panie najbardziej uroczymi kobietami w Birmingham.

- Dziękuję. Jest pan niezwykle miły - westchnęła pani Canton. Położyła kapelusz na stole i wsunęła rękawiczki pod jego szerokie rondo.

- Czy zamówiłaś zimne mleko dla mnie? Dzień jest taki gorący.

- Czekałam na ciebie z zamówieniem, matko. - Emily spojrzała na Daniela. - Nie chciałam, by mleko zrobiło się ciepłe, zanim przyjdiesz.

- Racja, dobra z ciebie dziewczyna. Kelner!

- Życzę paniom miłego dnia - powiedział Daniel, wycofując się w stronę drzwi. - Emily, życzę ci wszystkiego najlepszego.

Ta nagła przerwa w rozmowie sprawiła, że czuł się skrepowany.

- Przepraszam cię, matko. - Emily wstała z miejsca, minęła kelnera i poszła za Danielem do wyjścia.

- Powiedz mi - wyszeptała - czy ją ma?

- Czy ma kochankę?

Spojrzała mu w oczy. Nie mógł... to by ją zniszczyło. Wbiła paznokcie w jego ramię.

- Danielu.

- Tak. Tak mówią. Ale powinnaś sama dojść do prawdy, Emily. Wiesz przecież, że plotki potrafią być nieprawdziwe i złośliwe.

- Nie, to nieprawda! - odsunęła się gwałtownie, kręcąc głową, mrużąc swoje ciemne oczy. - Kłamiesz, Danielu Ludlow. Nie wierzę ci.

Jej oskarżenie zabolowało i Daniel żałował, że uległ jej pragnieniu poznania prawdy. Ale nie mógł już się wycofać. Warknęła na niego:

- Jesteś po prostu zazdrosny, mściwy, małostkowy.

- Chciałbym, żeby tak było. Wolałabym dziesięć razy być kłamcą, gdyby to miało znaczyć, że Saltonstall cię nie zdradza. Ostrzegałem cię, Emily, żebyś nie pytała, jeśli nie chcesz znać odpowiedzi.

Rzucił jej stanowcze spojrzenie. Potem z impetem otworzył drzwi restauracji, aż zadzwoniły. Emily wyszła za nim.

- Co chciałeś osiągnąć, okłamując mnie?

- A co chciałaś osiągnąć, pytając mnie, czy twój narzeczony ma kochankę? Zmusiłaś mnie, żebym cię zranił, a nie lubię tego.

Odwrócił się i nie oglądając się za siebie ruszył w kierunku domu towarowego Lovemana. Wszystko w nim się gotowało. A więc to było jego ostatnie spotkanie z Emily.

Zaraz jednak obrócił się na pięcie. Nie chciał, żeby ostatnim wspomnieniem Emily z nim związanym było to, że rzucił cień na reputację mężczyzny, którego planowała poślubić. Wyciągnął rękę, by otworzyć drzwi restauracji, ale pozwolił palcom ześlizgnąć się z klamki.

Stojąc przed szklaną witryną, tuż obok tabliczki z informacją „Szarlotka 25 centów”, patrzył, jak rozmawia z matką. Bez wątpienia opowiada jej, jaki to drań z Daniela Ludlowa.

*Podnieś wzrok, Emily.* Serce zabiło mu szybciej, kiedy wyciągnęła rękę po lemoniadę. Zauważyła go, więc podniósł rękę w geście pozdrowienia, starając się, by jego twarz wyrażała jedynie serdeczność. *Dobrze się czujesz?*

Emily słabo, prawie niezauważalnie skinęła głową, a z jego serca spadł ogromny ciężar. Sączyła lemoniadę, przyglądając mu się przez szybę. Czy powinien wejść do środka? Porozmawiać z nią? Żądać prywatnej audiencji i wyjaśnić, skąd wie takie rzeczy o jej narzeczonym?

Najlepiej będzie, jeśli zostawi ją teraz samą. Już dość krzywdy wyrządził.

Do Emily i pani Canton podeszły jakieś dwie kobiety, siedzące dotąd przy innym stoliku. Daniel patrzył, jak przykładają ręce do policzków w geście radości i pochylały się, by rzucić okiem na pierścionek Emily.

Saltonstall to gnida. Kupił ten pierścionek dla innej kobiety, Daniel był tego pewien. Tylko nie mógł tego udowodnić. Ale pierścionek, nieważne, jak kosztowny, to za mało, żeby wygrać taką kobietę jak Emily Canton.

8.

*Charlotte*

Charlotte chodziła po pokoju ze słuchawką przy uchu, gdy nagle usłyszała pukanie do drzwi.

- Dziękuję ci, Tawny, do zobaczenia zatem. - Ruchem ręki zaprosiła Dixie do mieszkania i mijając kanapę ruszyła w kierunku stołu. - W czwartek o pierwszej trzydzieści, na lunchu u Belliniego.

Odłożyła telefon i zanotowała w kalendarzu na tablicy lunch z Tawny.

- Tawny? - powiedział Dixie.

- Zaprosiła mnie na uroczysty lunch ze swoimi druhnami. Chce, żeby poznały „wielką Charlotte Malone”. To jej słowa, nie moje. - Charlotte uśmiechnęła się. - Tylko jedna z nich jest już mężatką, a trzy pozostałe są w poważnych związkach... Jestem bezgranicznie wdzięczna Tawny, że mi tak pomaga. Słowo jest najlepszą reklamą. Dixie, po co ci młotek i śrubokręt?

Dixie uderzyła jednym narzędziem o drugie.

- Nigdy nie wiadomo, kiedy mogą się przydać. Mogę na przykład w twoim mieszkaniu napotkać wystający gwóźdź. - Dixie udawała, że wbija gwóźdź w ścianę. - Albo znaleźć gdzieś luźną śrubkę.

- Jest jeszcze jakaś oprócz tej w twojej głowie? - Charlotte skończyła dopisywać lunch z Tawny do swojego planu zajęć.

- Albo mogłybyśmy użyć ich, żeby otworzyć kufer.

- Otworzyć kufer? - Ich oczy spotkały się, Charlotte lekko się zaśmiała. - Ale zamek jest zaspawany, Dix. Młotek i śrubokręt nie poradzą sobie z zespawanym metalem. A jeśli poradzą, to już nigdy nie odważę się wjechać na żaden most.

- No cóż, to wszystko, co miałam. - Dixie położyła narzędzia na stole. — Doktor Ciacho ma tylko skalpele i nożyczki. Jego skrzynka z narzędziami jest godna pożalowania. Znalazłam w niej jedynie widelec, młotek i ten zardzewiały śrubokręt.

- Widelec?

- Tak, ostał się po szarlotce, którą jadł, kiedy wieszał obrazki w naszym mieszkaniu. To gdzie jest ten kufer wart tysiąc dolarów? — Dixie rozejrzała się po salonie.

- W sypialni.

- Char, jak może cię nie kusić, żeby go otworzyć?

- Przypomina mi... Nie mogę przestać myśleć, że to brzydactwo przyczyniło się do rozstania mojego i Tima. - Charlotte szybko przebiegła wzrokiem po e-mailach, ciesząc się, że nie musi zajmować się Dixie i jej narzędziami. Chociaż jej przyjaciółka nieraz już wyważała zaspawane zamki do jej przeszłości, za narzędzia mając tylko swoją odwagę.

- No wiesz, nie możesz pasować tylko dlatego, że coś jest trudne albo zaspawane.

- Nie pasuję. Z wyjątkiem tego kufra.

- Char, naprawdę wszystko dobrze? - Dixie opadła na krzesło, kładąc młotek i śrubokręt na kolanach.

- Pytałaś mnie już o to tysiąc razy. Wszystko dobrze.

- Jeśli Jared zerwałby ze mną dwa miesiące przed ślubem, nadal byłabym w łóżku z pudełkiem chusteczek.

- Ty zaszywasz się z chusteczkami w łóżku, a ja pracuję. Idę do przodu. Zapominam o przeszłości. — Charlotte odłożyła tablet. — Kiedy umarła mama i musiałam zamieszkać z Gert, przez jakiś czas płakałam. Powiedziałam Gert, że jestem zbyt chora, żeby pójść do szkoły. Ale po miesiącu płakania noc w noc, przestałam. Łzy nie mogły przywrócić mamie życia. Nie dałyby mi ojca ani dziadków. Więc opłakiwałam mamę, robiąc coś, cokolwiek. Wstawałam, szłam do szkoły, walczyłam z ułamkami, uczyłam się gramatyki, stawałam się osobą, którą wybierano jako pierwszą do drużyny, kiedy graliśmy w siatkówkę. Chciałam, żeby mama była ze mnie dumna. - Charlotte wpatrywała się w przyciemniane okna. Światła Homewood odbijały się od ziemi. - Łzy nie przywrócą mi też Tima. Więc pracuję. Żeby mama była ze mnie dumna.

Cisza, która zapadła, dała Charlotte chwilę, żeby odetchnąć i pomyśleć. Żeby przetrawić własne myśli, zrozumieć swoje uczucia. Kochała Tima, ale coś kazało jej powątpiewać w jego zamiary.

Dixie pochyliła się do niej przez stół i ścisnęła jej rękę.

- Jesteś głodna?

- Chętnie bym coś zjadła.

- Co powiesz na Homewood Gourmet?

- Idziemy. - Charlotte przewiesiła torbę przez ramię. - Myślałam, żeby jesienią wybrać się do Paryża. Odwiedzić Bray-Lindsay i innych naszych projektantów. Co ty na to?

- Co ja na to? Wchodzę w to. Koniecznie. Chcę pojechać do Paryża. Jeśli pojedziesz bez mnie, puszcze salon z dymem. - Dixie przecięła powietrze młotkiem i śrubokrętem.

- Dix, dziś nie potrzebujemy narzędzi. - Charlotte spojrzała w kierunku windy.

- No nie wiem, może się przydadzą. - Dixie przyglądała się młotkowi, a Charlotte naciskała guzik windy. - Jedno, co wiem, to że nastanie zima, zanim Jared zauważy ich brak.

Charlotte zamówiła kurczaka w pesto oraz sałatkę i zupę. Upiła łyk herbaty czekając, aż Dixie złoży zamówienie. Uwielbiała przyjazną atmosferę Homewood Gourmet - delikatny gwar, stukot naczyń, oczekiwanie na wyjątkowe jedzenie.

Wyjęła tablet, żeby przejrzeć swój kalendarz na jesień i zarezerwować czas na Paryż. Musiałyby skontaktować się z projektantami, ustalić optymalny termin wizyty, wynająć kogoś, kto doglądałby salonu. Należało więc zarysować wstępnie jakieś ramy czasowe.

Gdy Dixie skończyła zamawiać, Charlotte podniosła głowę, by zapytać o jej plany na jesień. Ale gdy tylko spojrzała w kierunku drzwi frontowych, słowa ugrzęzły jej w gardle, a biedne serce zamarło.

Tim. Z jakąś piękną kobietą.

- Char, co jest? - Dixie spojrzała przez ramię, żeby zobaczyć, o co chodzi. - Och, nie do wiary.

- Chodźmy stąd. - Charlotte wyłączyła tablet i schowała do torby. - Wymkniemy się, jak tylko usiądą - powiedziała, pochylając się nisko nad stołem i chowając za Dixie.

- Wyprostuj się. Nie będziesz się chować, jakbyś miała się czegoś wstydzić. To on powinien się wstydzić.

- Jasne, tylko że on jest na randce z jakąś ślicznotką, a ja siedzę z tobą.

- Wiesz, co mam na myśli. Charlotte przełknęła łzy.

Tim rozglądał się po restauracji, wysoko podnosząc głowę, a urocza złotowłosa kobieta - z cholernie idealnym profilem - wzięła go pod ramię. Pochylił się i szepnął jej coś do ucha, a ona uśmiechnęła się do niego, posyłając mu nieskazitelną uśmiech.

Charlotte w drugim końcu sali poczuła ogień bijący z rozmarzonego spojrzenia kobiety. Musiała się stąd wydostać. Oszacowała odległość dzielącą ją od drzwi wejściowych. Dziesięć olbrzymich kroków i będzie na zewnątrz.

- Dixie, możesz zostać i być dzielna, trzymać głowę wysoko i takie tam, ale ja wychodzę. — Wyszarpnęła portfel z torebki i zostawiła dwudziestkę na stole. - To powinno wystarczyć, żeby zapłacić za moje zamówienie.

Dixie zatrzymała ją, zaciskając rękę na jej ramieniu.

- Nigdzie nie idziesz. Przyszliśmy tu, żeby zjeść, wyjść i dobrze się zabawić. Przyszliśmy tu, żeby o nim zapomnieć. I porozmawiać o interesach.

- Jak mam o nim zapomnieć, skoro muszę na niego patrzeć. Skoro każdy śmiech, który słyszę, zmusza mnie, by się obrócić i sprawdzić, czy to ona. Zastanawiać się, co *do niej* mówi. Albo dlaczego w ogóle tu z *nią* jest.

- Charlotte, prawdopodobnie jest klientką, koleżanką z pracy, jest jakoś związana z architekturą.

- Dlaczego go bronisz? Są na randce, widzę. Klientka nie patrzyłaby na niego takim maślanym wzrokiem. Tak czy siak, wychodzę i nie chcę, żeby on mnie widział.

Kelnerka przeszła obok nich, a Charlotte położyła jeszcze dwie dwudziestki na stole.

- Przepraszam panią, ale wychodzimy. To powinno pokryć nasz rachunek.

- Jaki rachunek? Przecież nawet nie zjadliśmy. — Dixie machnęła ręką nad pustym stołem.

- Ale zamówiliśmy. Niezjedzone też kosztuje. - Charlotte wstała i pochyliła się, wypatrując Tima. Siedział z *nią* po drugiej stronie sali. Droga do drzwi była wolna. Garbiąc się i chowając za kelnerkami i klientami, przemknęła w kierunku drzwi przez labirynt



ludzi i wybiegła na chłodne powietrze kwietniowej nocy. Odetchnęła głęboko.

Dixie powłokła się za Charlotte, wystukując obcasami o chodnik: *Jestem wściekła. — Jestem wyrozumiąła. — Jestem wściekła. — Jestem wyrozumiąła.*

- To śmieszne. To on z tobą zerwał, a ty pozwalasz mu wypędzić się z restauracji? — Dixie wycelowała pilotem w samochód. Zapiszczał sygnał centralnego zamka. Mignęły światła.

Charlotte zajęła miejsce pasażera, zaciskając dłonie do białości i tuląc torbę do piersi.

- Kłamałam, Dix. Wcale nie czuję się dobrze. Jest mi smutno i cała ta sprawa bardzo mnie boli. - Łzy zalały jej słowa. - Nie mogę uwierzyć, że ma kogoś innego. To pewnie przez nią ma wątpliwości. - Charlotte wyrzała przez okno, a potem spojrzała na Dixie. - Była ładna, prawda? Tak, była boska.

- Jasne, jeśli lubisz chuderlawe dziewczyny ze zbyt mocnym makijażem. Charlotte, to nie pasuje do Tima.

- Ty *nadal* go bronisz? Dix, co my o nim wiemy, tak *naprawdę*?

- Wiemy, że stoi teraz przy twoim oknie.

- Charlotte... - Tim stał przy drzwiach samochodu, opierając ręce na biodrach. Przyglądał się jej, przechylając głowę na bok. - Czy mogę z tobą porozmawiać?

Pochyliła się do Dixie, osłaniając oczy dłońmi.

- Myślisz, że mnie widział?

- Stoi dwa kroki od ciebie. Tak, widział cię. — Dixie zaśmiała się, delikatnie zabierając dłonie z twarzy Charlotte. - Powiedz słowo, a wycofam samochód. Ale nie obiecuję, że nie zahaczę o palce jego stóp.

- Więc powinnam z nim porozmawiać? - Charlotte rzuciła okiem przez ramię. Tim nadal stał obok okna i patrzył na nią.

- Czy chcesz usłyszeć, co ma do powiedzenia? Przecież zostawił ją i przyszedł tutaj, żeby z tobą porozmawiać.

Charlotte rozluźniła uścisk na pasku torby, którą trzymała na kolanach. Zawsze wiedziała, że Tim jest człowiekiem honoru i że w związku z tym nie lubi zostawiać spraw niedokończonych.

Wygramoliła się z samochodu i zamknęła za sobą drzwi. Oparła się o auto i skrzyżowała ręce.

- Co tam?

- Jak się czujesz? - Tim stał kilka kroków od niej. Zapach przypraw z delikatną nutką czegoś kwiatowego rozniósł się między nimi.

- Świetnie. Idealnie. Spędzam właśnie miły wieczór z Dix. Jared ma dyżur w szpitalu.

- Charlotte, to tylko koleżanka - pokazał ręką w kierunku restauracji.

- Kto? - Charlotte pochyliła się w kierunku, który wskazywała jego ręka, i spojrzała na restaurację, jak gdyby wcześniej *jej* nie widziała.

- Kim.

- To była Kim? Twoja była?

- Tak, to właśnie Kim. Wiem, że nas widziałaś, Charlotte. Widziałem, jak się wymykasz.

- Tim, czego ty chcesz? Po co tu przyszedłeś?

- Zeby wyjaśnić. Nie wiedziałem, że Kim jest w mieście, póki dziś nie zadzwoniła. Chciała porozmawiać. - Chrząknął i spojrzał w stronę pustych ciemnych miejsc parkingowych. - Wszystko w porządku?

- A wyglądam, jakby wszystko było w porządku? - Cięta riposta nie zdradziła, że serce jej topniało.

- Nie mogłem wczoraj zasnąć - powiedział cichym i czułym głosem. - Czy masz jakieś...

- Co się stało, to się nie odstanie, Tim. Nie możemy być zaręczeni, skoro nie chcesz się ze mną ożenić. — Czują się trochę jak tchórz, chowając swoje lęki związane ze ślubem za jego strachem.

Przytaknął, przygryzając dolną wargę.

- Tak, chyba tak.

- Tim, jest dobrze. Wszystko w porządku. - Wyprostowała ramiona i wykonała uspokajający ruch ręką. — Wyszło najlepiej, jak mogło, wiesz? Przynajmniej nie wysłaliśmy zaproszeń. Wyobrażasz sobie oddawanie wszystkich tych prezentów? Koszmar.

- Chyba rzeczywiście zawsze jest jakaś dobra strona. Prawie nie-dostrzegalna, ale... - Tim posłał jej to samo spojrzenie, które oczarowało jej serce pierwszego wieczoru, kiedy się poznali. - Czy możemy porozmawiać? Może kiedyś w tym tygodniu?

- Ale o czym, Tim? O tym, że nam nie wyszło? Że nie chciałeś się ze mną ożenić? Myślę, że powiedzieliśmy już sobie wszystko, co mogliśmy powiedzieć. A ja robię wszystko, żeby już o tym zapomnieć.

- Tęsknię za tobą. - Wiatr porwał końcówki jego włosów i zsunął mu je na oczy.

Charlotte zacisnęła pięści, mocniej ściągnęła ramiona, opierając się automatycznemu odruchowi, by wyciągnąć rękę i odgarnąć włosy, które opadły mu na twarz, na jego silne, wysoko osadzone policzki.

- Minął zaledwie jeden dzień, Tim. Zaśmiał się, nisko.

- Najdłuższy dzień w moim życiu. Co chwila sięgałem po telefon, żeby do ciebie zadzwonić.

- Nie wydaje ci się to dziwne? Wczoraj nie mogłeś *zmusić się*, żeby do mnie zadzwonić. Pojechałeś się ścigać i całkowicie zapomniałeś o naszych planach.

- Przez cały dzień starałem się to zrozumieć. Jedyne, co wymyśliłem, to że tęsknię za Charlotte, moją przyjaciółką.

- Ale nie narzeczoną?

- To zobowiązanie sprawiało, że czułem się uwięziony, jak lew w klatce. Ale za moją przyjaciółką Charlotte naprawdę tęsknię.

- Czego się boisz? Małżeństwa jako takiego czy małżeństwa ze mną?

- Małżeństwa jako takiego. Ciebie, w pewnym sensie, lubię. Bardzo. Chyba nawet nie zdawałem sobie sprawy, jak bardzo.

Charlotte zadrżała przy kolejnym podmuchu wiatru.

- W pewnym sensie to była transakcja wiązana. Przyjaciółka i narzeczona. Nie możesz mieć jednego bez drugiego.

- Tak, domyśliłem się. - Spojrzał w kierunku restauracji. - Chyba lepiej pójść.

- Chyba tak. - *Walcz o mnie Tim, walcz ze swoim lękiem.* Charlotte szarpnęła drzwi samochodu. - Miłej kolacji.

- Na kawę albo kolację z tobą pewnie nie mam szans?

- Nie, Tim. Przykro mi, że tęsknisz za swoją *przyjaciółką* i za tą wygodą, że będę przy tobie, a ty nie będziesz czuł się zaszczuty. Ale oświadczyłeś mi się. Ufałam ci. Kochałam cię. I Charlotte, narzeczona, w pewnym sensie boli, że dwadzieścia cztery godziny po tym, jak wszystko odwołaliśmy, jesz kolację z inną kobietą.

- To tylko przyjaciółka.

- Tak jak ja? Jeszcze jedna z drużyny byłych narzeczonych Tima Rose'a.

Tim westchnął.

- To ona ze mną zerwała. Charlotte otworzyła drzwi samochodu.

- No to teraz masz szansę, by ją odzyskać.

- Charlotte, proszę cię, wiesz dobrze, że tak nie jest.

Gdy tylko Dixie wyjechała z parkingu, z zaciśniętych ust Charlotte wyrwał się pierwszy szloch. Skuliła ramiona, ukryła twarz tuż przy kolanach i przeplakała całą drogę do domu.

9.

### *Emily*

Przystanęła na chwilę przed drzwiami biblioteki ojca, zanim nacisnęła klamkę. Odkąd była małą dziewczynką, ojciec zachęcał ją, żeby przychodziła do niego, kiedy tylko go potrzebowała, i nigdy nie wymagał, by pukała albo czekała na pozwolenie, żeby wejść. Po prostu wchodziła, kiedy chciała.

- Emily, wchodź, wchodź. - Ojciec odłożył pióro i wstał, by ją przywitać. - Piszę właśnie do twojego brata. O twoim przyjęciu zaręczynowym dziś wieczorem.

- Napisz mu, że żałuję, że nie może tu być. Jest mi winien długi, pełen nowinek list.

Howard Junior, młodszy od niej o trzy lata, był jednym z jej najlepszych przyjaciół, zanim wyjechał na Harvard. Był jej powiernikiem i sprzymierzeńcem. Tęskniła za jego mądrością, za tym, jak się z nią droczył, mówiąc „Och, siostrzyczko”.

- Napiszę, napiszę. - Ojciec podciągnął spodnie na kolanach i usiadł z powrotem przy biurku. — Nie możesz doczekać się dzisiejszego wieczoru? Zjawi się cała śmietanka towarzyska Birmingham. - Odchylił

się i poklepał dłońmi po klatce piersiowej, pękając z dumy. - Moja córeczka wychodzi za mąż.

- Tak, ojcze. Wychodzi... za mąż. A dzisiejszy wieczór... Cóż, to wielkie wydarzenie dla nas wszystkich.

*Po prostu wyduś to z siebie, Emily. Ojciec będzie wiedział, co zrobić.*

- Córeczko, czy coś cię martwi?

*Taki*Ojciec zawsze potrafił przejrzeć ją na wylot. A nie przyszła tu dziś z błahostką. Podeszła do okna. Cienie pośród rozkołysanych konarów drzew zdawały się tworzyć obraz pięknych, regularnych rysów twarzy Daniela.

- Pamiętasz, jak Howard Junior nie chciał pójść na Harvard? Chciał pójść na tutejszy uniwersytet, jak ja, ale ty nalegałeś. Kłócił się, że Harvard jest zbyt daleko, że to szkoła dla Jankesów, w zimnym jankeskim mieście.

- Uczy się, że jego ojciec wie lepiej.

- Dlatego właśnie tu jestem, ojcze. - Emily podeszła do krzesła przy jego biurku. - Potrzebuję twojej najlepszej rady.

- O co chodzi, Emily? Wyglądasz na zmartwioną.

Ojciec sięgnął do pudełka po jedno ze swoich cennych kubańskich cygar. Choć ukrył przed nią listy od Daniela, nadal był jej opoką, podporą, tym, kto więcej razy, niż chciała to przyznać, wybrał dla niej dobrze. Wybrał jej wykształcenie. Czasem wybierał jej przyjaciół. Nawet zasugerował Phillipa jako właściwego kawalera, kiedy Daniel wyjechał, żeby grać dla Baronów.

- Czy chodzi o Lovemana? Twoja matka powiedziała mi, co wydarzyło się u pani Caruthers. Nie bierz sobie tego do serca, córeczko. To tylko krawcowa i jedyne, czego od niej potrzebujemy, to jak najlepsze efekty jej pracy. Twoja matka tego dopilnuje, nie bój się.

- Ale ja biorę to sobie do serca, ojcze. Nie lubię jej ani jej postawy wobec kolorowych.

Ale w świetle tego, co Daniel zasugerował na temat Phillipa, uprzedzenia w stosunku do pani Caruthers chwilowo przybladły.

- Ostrożnie, Emily. Takie jest prawo.

- Znam je - powiedziała.

*To bardzo niesprawiedliwe prawo.* Ale w tej chwili pragnęła, aby ojciec pocieszył ją co do Phillipa.

- Ojczy, nie przyszłam ze względu na panią Caruthers, ale z powodu Daniela Ludlowa.

Ojciec odwrócił wzrok i spojrzał na cygaro. Kilkakrotnie wypuścił kłęby dymu i rozluźnił się w fotelu.

- Słyszałem, że wrócił.

- Ukryłeś przede mną jego listy. - Zdanie to nie miało doprowadzić do kłótni, ale do czystej, prostej prawdy.

- To dość poważne oskarżenie, Emily.

Ojciec nie przestawał zaciągać się cygarem. Emily podeszła do okna i otworzyła je. Mokra od rosy wieczorna bryza roztaczała zapach spalonej słońcem ziemi i rozpraszała dym tytoniu.

- Czyżby? Znalazłam je w stajni.

- A co ty robiłaś w stajni? - Ojciec strząsnął popiół do popielniczki stojącej przy biurku i spojrzał na nią. - Molly mnie wydała, prawda?

- To nie ona. Masz w niej lojalnego sprzymierzeńca. Daniel przyszedł się ze mną zobaczyć. To on powiedział mi o listach - Emily nie traciła odwagi. Tylko w taki sposób rozmawiało się z ojcem. Z wysoko uniesioną głową i zachowując pewność siebie. - Dlaczego je wzięłaś? Uważam, że należą do mnie. To do ciebie niepodobne.

- Listy, które przychodzą do mojego domu, są moją własnością. Mogę z nimi zrobić, co uważam za stosowne.

- Nie, jeśli są adresowane do mnie. Ja nie jestem twoją własnością. Wychowałeś mnie na niezależną osobę.

- Masz rację, ale w sprawach sercowych ojciec wie najlepiej. Daniel Ludlow to dobry chłopak, Emily, ale nie jest dla ciebie.

- Jak możesz mówić coś takiego? — Emily pochyliła się nad jego biurkiem, chwytając rękoma za jego grubą krawędź. - Ledwo go znasz.

- Znam go wystarczająco dobrze. Jego rodzinę i pochodzenie też. Obserwowałem was przez ostatni rok i miałem nadzieję, że to, co było jedynie uczniackim zauroczeniem, nie przerodzi się w coś, co będzie ci się wydawało miłością. - Ojciec wycelował w nią cygarem. - Cieszyłem się, kiedy wyjechał, żeby zostać baseballistą.

- Ojczy, to moja decyzja, kogo kocham.

- A nie kochasz Phillipa?

- Nie rozmawiamy o Phillipie, ale o Danielu. Nie dałeś mi szansy, żebym sama wybrała pomiędzy Phillipem a Danielem. Zmanipulowałeś moje serce tak, jak chciałeś, ukrywając przede mną listy Daniela.

- Czego ode mnie oczekujesz? Żebyś pozwolił ci zwrócić Phillipowi Saltonstallowi pierścione? Czy to doceniasz, czy nie, związek z Saltonstalle jest dobry dla ciebie i dla całej rodziny, Emily. Matka w końcu zapraszana jest do kobiecych klubów, które wcześniej ją lekceważyły. Ja też zyskałem wyższą pozycję w klubie. Cameron Saltonstall planuje przenieść część swoich interesów bankowych do Canton Exchange, a także polecić nas swoim przyjaciołom. Teraz stawką jest coś więcej niż tylko twoje serce, córeczko. A poza tym, nie wychowałem cię po to, żebyś wychodziła za mężczyznę bez pieniędzy, koneksji i przyszłości.

- Ojczy, ty nie miałeś pieniędzy, koneksji i przyszłości, kiedy zaczynałeś. Ale zdobyłeś koneksje, pieniądze, a w ten sposób swoją przyszłość. Nie bałeś się ciężkiej pracy i to uformowało cię i uczyniło wielkim człowiekiem, z charakterem. - Okrążyła biurko i uklękła przy jego fotelu, zaciskając dłonie na gładkim drewnianym oparciu.



- To właśnie widziałam w Danielu. Te okruchy ciebie, które uczyniły cię wielkim. Ale nigdy nie dałeś mu szansy.

- Emily, przed laty, kiedy zaharowywałem się, żeby zbudować swoją firmę, na mojej drodze spotkałem inwestora. Zaoferował mi pomoc, wsparcie finansowe. Myślisz, że przyjęcie tej oferty było mądre?

- Oczywiście. Nie jesteś głupcem.

- Ty również nie jesteś — powiedział, patrząc na nią przez kłęby dymu. - Phillip jest twoją przepustką do lepszego życia, Emily, do towarzystwa. Droga do tego, żeby wasze dzieci miały nawet więcej niż wy.

- Dobrze, zgoda. Ale co jeśli...

Emily wstała, wpatrując się w swoje dłonie. Czowała dreszcz zderzenia w żyłach. Czy byłaby w porządku względem Phillipa, przywołując jego niedyskrecję teraz, kiedy jeszcze z nim nie rozmawiała? Kiedy jeszcze nie zapytała go o jego wersję? Wiedziała jedynie, że Daniel ją okłamał. Choć nigdy wcześniej tego zrobił. Nawet w dobrej wierze. Także dziś oczy jej nie zawiodły. Widziała to samo, co zobaczyła tamtego dnia w domu towarowym Lovemana. Daniel też.

- Jeśli co, Emily? Zerknęła na ojca.

- Chyba nic.

Co pomyślałby ojciec, gdyby oskarżyła Phillipa o taką rzecz? Pomyślałby, że to tylko domysły, że jest niemądra i działa w porozumieniu ze swoim porzuconym ukochanym.

- Po prostu myślałam o tych listach.

- A więc Molly jest moim zaufanym sprzymierzeńcem?

- Nie jest głupia, ojcze.

- Emily, dlaczego się nie przebierasz? - Matka wpadła do biblioteki. - Przyjęcie zaczyna się za godzinę. Howardzie, dlaczego ją zatrzymujesz?

Matka miała na sobie dopasowaną suknię z szyfonu i koronki w kolorze bladego różu. Jej bujne brązowe włosy z bursztynowymi

refleksami były wysoko upięte w gęstą, pełną fryzurę a la Pompadour. W uszach migotały diamentowe kolczyki.

- Molly zaniósła twoją suknię na górę. Idź zaraz się przebrać. Ojciec wstał, gdy podeszła, i pochylił się, by ją pocałować.

- Twój smoking czeka w pokoju, Howardzie.

- Czy już skończyliśmy rozmawiać, Emily? — Ojciec zaczął odkładać pióro i księgę.

- Tak, ojczu. - Ruszyła do drzwi. - Dziękuję.

- Emily - zawołał ojciec. - Wszystkie panny młode się denerwują. Bądź pewna, że nie pomyliłem się, wysyłając Howarda do Harwardu. W twoim przypadku też mam rację.

Z perspektywy góry Red Mountain, spoglądającej na Jones Valley i migoczące światła Magicznego Miasta, Emily była księżniczką tego wieczoru. Stu gości delectowało się pieczonymi przepiórkami z kremowymi tłuczonymi ziemniakami i czekoladowym musem na deser. Wszystko na cześć jej i Phillipa.

Narzeczony chwycił ją pod ramię, gdy zgromadzili się na skraju wspaniałej sali balowej Saltonstallów. Lokaj otworzył przed gośćmi drzwi wychodzące na taras, wpuszczając chłodny wiatr znad doliny. W dalekim zakątku pokoju szykowałą się mała orkiestra, gładząc struny smyczkami i tworząc chaotyczną melodię.

- To była wspaniała kolacja, Saltonstall. - Powell Jamison, jeden z najstarszych przyjaciół Phillipa, dołączył do narzeczonych na środku sali i zrobił powolne kółeczko, stając twarzą do gości. — Panie i panowie, proszę mi pozwolić, bym jako drużba Phillipa wzniósł toast. - Jamison podniósł kieliszek złotego szampana. Kelnerzy krążący po sali rozdawali gościom kryształowe smukłe kieliszki. - Za Phillipa

i jego piękną przyszłą żonę, Emily. - Goście wzniesli szampana. - Życzymy wam długiego i szczęśliwego małżeństwa. Emily, potem powiesz mi, co ten niecny łobuz zrobił, żeby przekonać cię, byś za niego wyszła.

Przez salę przeleciał śmieszek. Phillip otoczył talię Emily ramieniem właśnie w chwili, gdy napotkała wzrok ojca. Ten skinął w jej kierunku głową, puszczając oko. *Czyż ci nie mówiłem...*

Emily uniosła w jego kierunku kieliszek. *Twoje zdrowie, mądry ojcze.*

- Dziękuję wam wszystkim za to, że przybyliście tutaj świętować razem z Emily i ze mną. — Phillip przyciągnął ją do siebie i ruszył w kierunku parkietu. - Powell, pytasz, jak sprawiłem, że to piękne stworzenie zostało moją narzeczoną? Zawdzięczam to swojemu urokowi. - Ukłonił się sali, która wypełniła się brawami i śmiechem.

- To pewnie przez ten ogromny pierścień, który jej dałeś. - Cornelia Weinberg śmiało wysunęła się przed pozostałych gości. W wieku trzydziestu czterech lat już była wdową. Jej mąż zmarł trzy lata temu na serce, miał sześćdziesiąt pięć lat. — Powiem ci, że tym pierścieniem zdobyłbyś również moje uczucia.

- Obawiam się, że dla ciebie, Cornie, jestem zbyt młody - droczył się z nią Phillip. - Ty chyba lubisz mężczyzn, że tak powiem, przejrzałych...

Emily oparła się o swojego mężczyznę, pozwalając, aby tego wieczora żywe żarty w gronie przyjaciół i radość świętowania odeгнаły wszystkie wątpliwości. Cornie stawiała się drogą przyjaciółką, Emily podziwiała jej odporność.

Przeważnie delectowała się chwilami takimi jak te, kiedy przyjaźnie i koleżeństwo wymazywały społeczny kodeks zasad, a ludzie czuli się swobodnie i mogli się śmiać.

- Jeśli zawiesiłabym swoje oko na tobie, Phillipie Saltonstall, trafiłabym idealnie.

Cornie stanęła na środku parkietu, gotując się na słowny pojedynek. Phillip nie wypuszczał Emily z uścisku.

- Cornie, nie jesteś aż tak dobrą partią. - Zniżył podbródek, ale podniósł brew.

- Chyba już nigdy się tego nie dowiesz.

Żadna inna piękność w Birmingham nie żartowała tak jak Cornie. W jej ustach te słowa brzmiały tak niewinnie.

- Już dobrze, moi drodzy. - Powell wkroczył między nich. - Orkiestra jest gotowa. Cornie, możesz zatańczyć pierwszy taniec ze mną?

Był zatwardziałym kawalerem i nie odstraszała go polująca na męża Cornie.

Goście zgromadzili się w małych grupkach czekając, aż zaczną się tańce. Kobiety gawędziły o zbliżającym się sezonie debiutan-tek. Mężczyźni dyskutowali o Baronach i rozgrywkach piłki nożnej w Alabamie.

- Phillipie, cudowne przyjęcie. - Herschel Wainscot uścisnął mu dłoń. - Emily, boska jak zawsze. Czy nie masz nic przeciwko temu, bym przez chwilkę porozmawiał z twoim wybrankiem o interesach?

- Ale tylko przez chwilę, panie Wainscot. To moje przyjęcie zaręczynowe i nie pozwolę go popsuć. - Emily spojrzała na niego z dezaprobatą, choć nie trwało to długo. Była zbyt szczęśliwa.

- Obiecuję, że nie zatrzymam go na długo. Z jakiegoś powodu nie mogę złapać Phillipa w godzinach pracy. Jest bardzo zajęty.

- Dla ciebie zawsze jestem, Hersch.

- To choć raz na jakiś czas niech cię znajdę w biurze. Zadzwońię do ciebie.

Obok pana Wainscota pojawiła się smukła kobieta. Emily wyprostowała się, między żebrami poczuła dziwny ucisk. Kobieta z ulicy... ta, którą widziała przed domem towarowym. Poczowała drzenie nóg pod pełną spódnicą z Taffy.

- Przedstaw mnie, Herschel.

- Emmeline Graves, to jest Phillip Saltonstall i jego przyszła małżonka, panna Emily Canton.

- Miło mi pana poznać, panie Saltonstall - podała rękę Phillipowi, ale patrzyła w jej stronę. - Panno Canton, pani suknia jest przeurocza.

- Dziękuję.

Emily była spięta i spoglądała w górę na Phillipa. Jak się zachowa w obecności tej chudej kobiety? Tej, którą Emily widziała roześmianą na Dziewiętnastej ulicy? Miała tę samą szczupłą figurę i bujne złote włosy.

Phillip niemal nie dotknął dłoni kobiety, skupiając całą swoją uwagę na estradzie i orkiestrze.

- Jak długo jeszcze mamy czekać na jakąś muzykę, do licha? Jestem już gotów zakreślić się w tańcu z tym boskim stworzeniem w ramionach! - Spojrzał na Emily, delikatnie unosząc palcem jej podbródek. Pan Wainscot zachichotał.

- No cóż, skoro wciąż czekamy, pozwól Phillipie, że zamienię z tobą słowo. Powiedz mi, jak oceniasz program wynajmowania skazańców do pracy w waszych kopalniach? Myślimy nad tym, żeby zatrudnić ich do pracy przy drogach miejskich. Zaoszczędzilibyśmy trochę. Żużel jest jednak droższy niż beton.

- Nasi nadzorcy się nie skarżą.

- Ale obywatele tak. - Emily wtrąciła się do rozmowy. - Phillipie, skazańcy żyją w opłakanych warunkach i są brutalnie traktowani. Konie i psy mojego ojca jadają lepiej.

- Emily... - Spojrzenie Phillipa mówiło, że oczekuje jej milczącej uległości.

- To ludzie, nie zwierzęta.

- To skazańcy, panno Canton. - Ton głosu pana Wainscota pozbawiony był wcześniejszego uroku. - Splacają dług, jaki zaciągnęli wobec społeczeństwa.

- Skuci łańcuchami, ciężko odpracowują swoje występki? Niemal zagłodzeni, chłostani za najmniejsze wykroczenie? To barbarzyństwo poniżej godności dżentelmena z Południa. - Pochyliła się do Wainscota. - I wszyscy oni są kolorowi.

- Nie wiedziałem, że tak cię to obchodzi, Emily. Każdy z nich miał sprawiedliwy proces.

- I każdego z nich sądzili biali przysięgli i biali sędziowie, którzy zasądzili im niespotykane okrutne wyroki, jakich nie zasądziłiby białym. Nie za to samo wykroczenie. Nie widziałam, żeby w tym programie uczestniczyli jacyś biali więźniowie. Tych ludzi się oszukuje, zmusza, żeby pracowali dłużej, niż tego wymaga ich wyrok, żeby zapłacili za co? Za życie w brudzie i w nędzy? Żeby wypchać kieszenie właścicieli fabryk i oszustów, którzy rządzą miastem?

- Panno Canton. - Pan Wainscot przyglądał jej się spod przy-mrużonych powiek. Była gotowa na jego odwet. On jednak wybuchnął śmiechem i poklepał Phillipa po ramieniu. - Phillipie, masz tu niezłą złośnicę. Inteligentną. Elokwentną. Mówi, co myśli. Nawet odważniej niż większość mężczyzn. Może poduczy się trochę i przyjmą ją do palestry. Albo obejmie kierownictwo w biurach Saltonstall.

Phillip zaśmiał się, dając do zrozumienia, że Wainscot na pewno żartuje.

- Emily nie ma takich aspiracji.

- Skąd wiesz, Phillipie? Zapytałeś mnie? To z powodu mężczyzn takich jak wy dwaj kobiety chcą głosować. Wniosłybyśmy trochę uprzejmości i człowieczeństwa do polityki.

- Moja droga - zaczął Phillip, otaczając jej talię ramieniem i przyciągając ją do siebie. - Jakbym czytał jedną z tych broszurek. Myślałem, że nie obchodzą cię spotkania sufrażystek. To nasze przyjęcie. A może byśmy tak - orkiestra właśnie zaczęła grać walca - zatańczyli?

- Tak, oczywiście. - Emily otarła wilgotne czoło chusteczką, którą trzymała w dłoni. - Przepraszam cię, Phillipie, nie zdawałam sobie sprawy, że to wszystko we mnie siedzi.

- To zaskoczyłaś nas oboje. - Trzymając jej twarz w dłoniach, pogładził kciukami jej usta. Aż w niej zawrzało. - Ale jesteś taka piękna, kiedy tak żarliwie walczysz. To sprawia, że mam ochotę...

Przycisnął jej usta do swoich, a Emily przywarła do niego i poddała się tej namiętności. Kiedy ją puścił, oparła się na jego piersi.

- Nie chciałam cię zawstydzić.

- Nie zawstydziłaś mnie, kochanie, ale nie popełniaj już więcej takich błędów. Jestem takim samym człowiekiem jak Herschel Wainscot. Człowiekiem interesu i obywatelem, który pracuje po to, żeby nam wszystkim było lepiej. Hersch jest nieco arogancki, ale jest rozsądnym, solidnym człowiekiem.

Phillip musnął dłonią jej policzek. Zawierowali w walcu. Krok, obrót, krok, obrót.

- Nigdy nie zmęczone patreniem na ciebie, Emily. Jesteś taka urocza.

Czarował ją swoim niskim, romantycznym głosem. Zniewolił ją, wpatrując się w jej oczy.

- Jesteś mi najdroższy, Phillipie. Nie chcę ci sprawić żadnych kłopotów.

- Nie mogę się doczekać naszej nocy poślubnej. Może zachowałabyś na nią trochę swojej pasji i ognia, dla mnie.

- Phillipie - wyszeptała, płonąca ze wstydu, choć jego słowa rozbudziły również jej pragnienia.

- Nie martw się, kochanie, nauczę cię.

Jego usta pieściły nasadę jej ucha, pomimo sali pełnej przyjaciół i rodziny, którzy mogliby na nich patrzeć. Emily odsunęła głowę. To jeszcze nie była ich noc poślubna. Choć, co było oczywiste, on chciał, żeby było inaczej.

- Phillipie, czy mogę cię o coś zapytać?

- O co tylko chcesz. - Prowadził Emily po parkiecie z gracją i lekkością.

- Czy znasz przyjaciółkę pana Wainscota, Emmeline? Skąd pochodzi?

- Wiem tyle co ty, Emily. Poznałem ją dopiero dziś wieczorem. Wainscot wyłonił się spośród tańczących par ze smukłą kobietą w objęciach.

- Phillipie, wyświadczyć staremu druhowi przysługę. Zrób to dla byłego współbrata z Phi Delt. Zatańcz z Emmeline i pozwól mi zrobić rundkę po parkiecie ze zjawiskiem, nie kobietą, którą zwiesz narzeczoną.

Wainscot przechwycił dłoń Emily i zakreślił Emmeline tak, że znalazła się w ramionach Phillipa. Następnie oparł swoją rękę na talii Emily, wsunął jej dłoń w swoją i porwał ją do tańca.

- Dziękuję ci, droga Emily, że uwolniłaś mnie od tej głupiotkiej damulki. - Herschel z lekkością zataczał kolejne kręgi w tańcu. Spódnica Emily szeleściła wokół jej nóg. - Jesteś najpiękniejszą kobietą tego wieczoru i nigdy tak nie zazdrościłem swojemu najlepszemu przyjacielowi.

Emily utkwiała wzrok w podłódze, z uczuciem gorąca pełznącym wzdłuż szyi. Jak miała na to zareagować?

- Panie Wainscot - starała się odpowiadać tonem pełnym lekkości i nonszalancji. Uniosła głowę i uśmiechnęła się. - Jeśli owa dama jest głupiotka, to dlaczego skazał pan mojego Phillipa na jej towarzystwo?

Z fałszywą skromnością spojrzała przez jego ramię, i zobaczyła, że Phillip trzymał Emmeline tak, jak gdyby jej sylwetka nie była mu obca. Jak gdyby jej krągłości idealnie pasowały do jego dłoni.

- Ponieważ chciałem zatańczyć z panią - westchnął, a towarzyszący temu westchnieniu oddech musnął włosy Emily. - Phillip



zawsze miał szczęście do kobiet. Pamiętam nasz pierwszy dzień na uniwersytecie. Wszystkie dziewczyny lgnęły do niego. Wtedy postanowiłem, że zostanę jego najlepszym przyjacielem.

- I czy coś się zmieniło? Czy nadal ma takie szczęście do kobiet? Herschel spojrzał jej w oczy i westchnął, ocieplając oddechem jej twarz.

- Ma w końcu panią, czyż nie? Biłbym się z nim o panią, gdybym wiedział, że pani mnie zechce.

- Panie Wainscot! — Emily wyrwała się z jego ramion.

- Proszę, mów mi Herschel.

- Nie wydaje mi się, żeby panu brakowało pięknych towarzyszek, Herschel. Emmeline jest bardzo piękna... - Emily знаła prawie wszystkie kobiety z towarzystwa, nawet siostrzenice, wnuczki i dalekie krewne, które od czasu do czasu przyjeżdżały do Birmingham z dłuższą wizytą. - Skąd ją znasz?

- Jest córką przyjaciela.

Herschel zaoferował Emily swoje ramię i poprowadził ją do stołu z przekąskami i napojami. Wręczył jej szklaneczkę ponczu, drugą wziął dla siebie.

Napój był słodki i miętowy, zaś powietrze między Emily i Herschelem gorące i lepkie. Chcąc uciec od jego towarzystwa, zaczęła wśród gości szukać wzrokiem matki lub ojca. Albo Phillipa. Nie dostrzegła ich jednak wśród tańczących par.

- Emily - Herschel odezwał się po chwili - mam nadzieję, że wcześniej cię nie obraziłem. Twoja postawa jest godna podziwu.

- Nie czuję się obrażona, Herschel. - Wyciągała szyję, próbując zobaczyć, dokąd poszedł Phillip, i jednocześnie walcząc z poczuciem winy, że go podejrzewa. Niech licho porwie Daniela Ludlowa za to, że zasiał w jej sercu ziarno zwątpienia. — Mam tylko nadzieję, że ja nie obraziłam ciebie.

Herschel zaśmiał się.

- Wyrwać się z moich ramion to trochę za mało, by mnie obrazić. Wypiła ostatni łyk ponczu i odstawiła szklanę. Herschel wyciągnął do niej rękę.

- Zatańczymy?

Emily zawahała się, a potem niespiesznie podała mu swoją dłoń.

- Wkrótce musimy znaleźć Phillipa.

- Może to on znajdzie nas.

Herschel znów porwał Emily do tańca, próbując roztoczyć swój czar. W jego blond włosach odbijał się blask żyrandola, a na twarzy gościł uwodzicielski uśmiech.

- Masz wysokie mniemanie o sobie, prawda?

- Nie większe niż inni mężczyźni.

Emily roześmiała się, wirując w tańcu pośród innych gości.

- Możliwe, że Phillip ma rację. Może nie jesteś taki zły.

- To największy komplement, jaki mogłem od ciebie usłyszeć.

- Kiedy już się pobierzemy, koniecznie musisz wpaść do nas na kolację.

- Ależ bardzo chętnie, jak tylko będzie wam pasować.

- Porozmawiam z Phillipem, gdy tylko skończy się ten taniec.

Gdy to mówiła, kątem oka dostrzegła kołyszące się w tańcu szerokie ramiona swojego narzeczonego, który zniknął właśnie w cieniu tarasu, trzymając w ramionach Emmeline Graves.

10.

*Charlotte*

Charlotte szła w kaskadach słońca, które wypełniały cały salon, niosąc w rękach suknię od Herrery. Podłoga z wiśniowego drewna błyszczała pod jej stopami.

W jej sercu nadal panowała ciemność, choć dziś czuła się już lepiej. Minął prawie tydzień, odkąd w Homewood Gourmet ujrzała Tima i jego była narzeczoną. Udało jej się przespać ostatnie dwie noce, uprosiwszy Boga o trochę spokoju.

Nałożyła suknię na manekin. Wygładziła ręką atłasowy gorset w kolorze kości słoniowej z ręcznie wyszywaną aplikacją i pełną tiulową spódnicę. To jeden z jej ulubionych projektów.

Nowa klientka wybrała Herrere - suknia wydawała się wręcz stworzona dla niej — i umówiła się na pierwszą przymiarke na sobotę. Krawcowa Malone & Co., Bethany, zawsze dokładnie sprawdzała suknie przed spotkaniem z panną młodą.

Schodząc na parter, Charlotte wyobrażała sobie minę dziewczyny, kiedy już będzie miała na sobie Herrere. I jak potem, cała we łzach, zadzwoni do swojego narzeczonego: „Kochanie, znalazłam idealną suknię”.

Dlaczego ona nigdy nie nazywała Tima w jakiś szczególny sposób? Żadnym czułym słówkiem? Był po prostu Timem. Jeśli ją pamięć nie myliła, on także nie nazywał jej inaczej jak tylko Charlotte lub Char. Żadnych kochanie, maleńka. Żadnego skarbie czy złotko.

I jeśli miała być ze sobą szczerą, a teraz potrafiła się na to zdobyć, trzymała go na dystans, gdyż tak naprawdę wcale nie chciała zrezygnować z tego, kim jest - sierotą, która coś w życiu osiągnęła.

Ona, Charlotte Malone, sama potrafiła polecieć wysoko i daleko. Nie potrzebowała mężczyzny, rodziny czy ślubu jak z bajki, by udowodnić, że jest kimś ważnym. Udowodniła, że radzi sobie sama i że potrafiła zbudować sobie dobre, bezpieczne, przewidywalne życie, które kochała.

Charlotte zatrzymała się przy schodach, gdy zadźwięczał dzwonek i drzwi wejściowe otworzyły się. Zapach róż wdarł się do salonu.

- Witamy w Malone & Co. W czym mogę pomóc?

Mężczyzna podszedł do niej, mijając wystawę sukni Heidi Eleonory i Bray-Lindsay. Próbowwała zgadnąć, czy był ojcem panny młodej, czy pana młodego

- Pan w sprawie ślubu?

- W rzeczy samej.

Zatrzymał się przed nią. Od razu zauważyła purpurową koszulę. Jego niebieskie oczy wyglądały znajomo. Poczula w żołądku palące ukłucie. Zrobiła krok w tył, gwałtownie łapiąc powietrze. Gdzieś już go spotkała. Tylko gdzie?

- Otworzyłaś już kufer? - zapytał.

- Słucham? - Charlotte wsunęła się za kontuar i poczuła jedwabisty, chłodny strumień powietrza, który uderzył ją w pierś i zbił z nóg.

- Kufer. Z aukcji. Czy już go otworzyłaś?

- To pan mi sprzedał kufer? - Uśmiechnęła się niepewnie, trzymając rękę na brzuchu. Jak mogła zapomnieć tego dziwnego małego mężczyznę? - Nie, nieee... Zamek jest zaspawany.

- To prawda, ale skarb wart jest ocalenia.

- Skarb? Trudno ten kufer nazwać skarbem. - Charlotte potarła rękoma ramiona, po których rozszedł się chłód. Kiedy padło słowo „ocalenie”, *poczuła je.*

- Czy mogę zapytać, dlaczego jest pan tak zainteresowany tym kufrem? Należał do pana? Do kogoś z pańskiej rodziny?

- W pewnym sensie. - Mężczyzna krążył po sklepie z rękoma ściągniętymi za plecami i przyglądał się sukniom przy ścianie. - Wyjątkowe sukienki. Śliczne.

- Czy pana córka wychodzi za męża?

Podeszła do niego z wizytówką w ręce. Spojrzał na nią uprzejmie i oddalił się, nie biorąc kartki z jej ręki. Charlotte stuknęła krawędzią wizytówki w opuszki swoich palców.

- Tak. - Zerknął na nią przez ramię. - Czas na pannę młodą.

- Czas na pannę młodą? - Charlotte zaśmiała się cicho. Cóż za niecodzienne określenie. - Mam taką nadzieję. Mogłabym na tym skorzystać. Proszę powiedzieć córce, że z radością... Może pan powtórzyć swoje nazwisko?

- Moja córka słyszała o tym salonie. Całkiem dużo o nim wie. Kiedy mówił, dreszcz przeleciał jej po nogach. Jakby go znała.

Jakby on znał ją. Ale to niemożliwe.

- Jak ma na imię pańska córka? Może mam ją w kartotece?

- Charlotte - powiedział podchodząc do niej z wyciągniętą ręką. - Ja tylko chciałem zapytać o kufer. Dobrze było cię zobaczyć.

Ich dłonie pasowały do siebie, jakby spotkały się już setki razy. Dreszcz przebiegł po całym jej ciele, a ciepło owładnęło jej duchem. Czowała się...

Poznana.

Trzasnęły tylnie drzwi i na twardej podłodze zastukały kroki Dixie, mówiące „Kochanie, już jestem”. Zatrzymała się przy Charlotte, która odwrócona do okien, patrzyła, jak mężczyzna wychodzi.

- Wow, co za purpura. Można oślepnąć. - Dixie zastukała w okno. - Kolesi, era disco się skończyła. To nie lata siedemdziesiąte.

Odwróciła się w stronę salonu, a jej sylwetka przecięła promienie światła wpadające przez okna.

- Nie jestem pewna, ale to był chyba facet, który sprzedał mi kufer na aukcji. Ale, Dix... - Charlotte znów przycisnęła rękę do brzucha. - Wydaje mi się, że chyba właśnie spotkałam swojego ojca.

W świetle lamp i przy dźwiękach muzyki Charlotte rozłożyła narzędzia na podłodze pokoju. Młotek i śrubokręt od Dix. Piłę (Dixie twierdziła, że może się przydać) i wiertarkę.

- Dix, nie wiem, jak używa się wiertarki.

— A co tu trzeba wiedzieć? Po prostu wyceluj tym wiertelkiem w ten zaspawany zamek, zrób *wrr, wrr*, i masz dziurę. - Dixie gestami wspomagała swoje instrukcje, jakby chciała pokazać, że to proste jak

- Ale dziura nic mi nie da. Nadal będę mieć zalutowany metal. Charlotte wzięła do rąk wiertarkę i pochyliła się nad kufrem, by przyjrzeć się zamkowi.

- No cóż, może jednak będziesz musiała wywiercić dziurę, żeby to otworzyć.

- Jared - Charlotte spojrzała na lekarza siedzącego na krawędzi łóżka - czy potrzebna mi wiertarka?

Podniosła wiertarkę w kierunku Doktora Ciacho, który wciąż miał na sobie niebieskie szpitalne ubranie i wyglądał, jakby był gotów zapaść w sen zimowy.

- Char ma rację, Dix. Wiertarka na nic jej się nie przyda. Przepraszam, że więcej ci nie pomogę, ale za kilka godzin muszę wracać drut.

do szpitala i miałem nadzieję, że moje kochanie uszykuje mi jakieś żarełko, a ja się w tym czasie zdrzemnę.

Charlotte odwróciła się, żeby spojrzeć na Jareda. Moje kochanie. A jednak. Ci, którzy się kochają, mają pieszczotliwe imiona dla siebie. Ona i Tim nie mieli.

- Oczywiście, złotko. - Dixie wstała z podłogi. - A mówiłam ci, że Charlotte myślała, że jej ojciec przyszedł do salonu?

- Naprawdę?

- Sama nie wiem. - Charlotte układała narzędzia, od największego do najmniejszego i od najmniejszego do największego. - Nigdy nie spotkałam swojego ojca. A ten starszy pan, ten, który sprzedał mi kufer, przyszedł do salonu i zapytał, czy już go otworzyłam. Powiedział, że ma córkę, która wychodzi za męża. Zapytałam o jej imię, a on odezwał się do mnie po imieniu dokładnie w tym samym momencie, więc to brzmiało, jakby jego córka miała na imię Charlotte. Ale on chciał się tylko ze mną pożegnać. Tak mi się wydaje.

Rzuciła pytające spojrzenie lekarzowi. *Co o tym myślisz?*

- Czy nie powiedziałby ci, gdyby był twoim ojcem?

- A ty byś tak zrobił, gdybyś przez trzydzieści lat był nieobecny w życiu swojej córki?

- Nie, chyba nie. Myślisz, że w kufrze jest jakaś wskazówka?

- Nie wiem, ale rozbudził moją ciekawość. Mogę przecież otworzyć go i sprawdzić.

Gdy Dixie i Jared wyszli, Charlotte stanęła przed kufrem. W wyobraźni widziała tamtego człowieka w purpurowej koszuli i białych Nike'ach. Czy był jej ojcem? Czy ona w ogóle chciała mieć ojca?

Po co? Co by na tym zyskała? Jej życie funkcjonowało dobrze, całkiem dobrze, bez niego. Proste i bez dramatów. Potrzebowała go jedynie, gdy mama umarła. Gdzie się wtedy podziewał?

Charlotte westchnęła i wzięła do ręki młotek. Stuknęła lekko szerszym końcem w zamek.

Jako dziewczynka wymyśliła sobie powód nieobecności ojca — i trzymała się tej wersji również teraz, jako dorosła kobieta.

Tata był wielkim poszukiwaczem przygód. Zamiłowanie do podróży kazało mu żeglować po ryczących morzach i przemierzać skąpane w słońcu lądy. Kazało mu porzucić granice Birmingham i wznieść się ponad smutki dnia powszedniego, takie jak małżeństwo i wychowywanie dzieci.

Nawet głębokie uczucie do córki - do Charlotte - nie mogło powstrzymać przeznaczenia. Tata musiał podążyć za wezwaniem swojego serca.

Tak, taki właśnie był *jej* ojciec. Niesamowity wędrowiec. Po prostu Indiana Jones.

Charlotte opuściła młotek. Dlaczego tak jej zależało, by otworzyć ten paskudny, okaleczony kufer? Co dokładnie miała ocalić?

— „Kufer należy do pani” — powiedział licytator, człowiek w purpurze.

Charlotte pogładziła dłonią wieko. Drewno i skóra były gładsze, niż się tego spodziewała. Wzięła śrubokręt i zaczęła nim szukać słabego miejsca w tym, co kiedyś było zamkiem.

Walnęła młotkiem w rączkę śrubokrętu, próbując zrobić szczelinę. Zamek nie poddawał się, a Charlotte odetchnęła z ulgą. Jak wcześniej powiedziała Dixie, jeśli byłaby w stanie za pomocą młotka i śrubokrętu pokonać zespawany zamek, strach byłoby jeździć po mostach.

Chwyciła za piłę. Co za głupota. Jak miałyby *przeciąć* metal? Niemniej jednak wsunęła ząbki piły pod zamek. Po kilku ruchach w tę i z powrotem poddała się. No cóż, przynajmniej próbowała.

Ktokolwiek chciał zamknąć ten kufer na zawsze, nie żartował. Charlotte zakołysała się, opierając łokcie na podniesionych kolanach. Może tego kufra nie należało otwierać. Może Purpurowy nie wiedział,



co mówi. Może powinna zaciągnąć ten rupieć na śmietnik, zanim to, co kryje się w środku, ożyje i którejś nocy wślizgnie się do jej łóżka. Albo, co gorsza, do jej serca.

Charlotte skoczyła na równe nogi. Szaleństwo. Kufer był pewnie pusty. Musiała jednak otworzyć go i udowodnić sobie, że wszystko jest w porządku. Żadnych śladów ojca. Żadnych śladów niczego, co trzeba by ocalić.

Czym przeciąć metal? Rozejrzała się po pokoju. Jakieś urządzenie na prąd. Niczego takiego nie miała ani w pokoju, ani w mieszkaniu.

Charlotte wiedziała jednak, kto ma odpowiednie narzędzia. Zanurkowała na łóżko, sięgnęła po telefon leżący na stoliku nocnym i wybrała numer Tima.

Po chwili rozłączyła się. Usiadła po turecku. Po ostatniej wymianie słów, na parkingu w zeszły czwartek, nie mogła przecież zadzwonić do niego i prosić o pomoc. A może mogła?

Do przyjaciela Tima? Tak. Nie do narzeczonego Tima. Ale przecież powiedziała mu, że nie ma rozgraniczenia między przyjacielem a narzeczoną. No cóż, mogła chyba zmienić zdanie.

Charlotte wybrała numer Tima jeszcze raz. Przygotowywała się na to, że zaraz usłyszy jego głos. Serce waliło jej w piersi. Gdy tylko odebrał, zaczęła mówić, by uniknąć rozmowy i ciężkich sekund ciszy.

- Przyjaciel Tim? Tu przyjaciółka Charlotte. Chcę otworzyć kufer, ale potrzebuję narzędzi, czegoś na prąd. Pewien facet przyszedł dziś do salonu i... to długa i dziwna historia, ale rozbudził moją ciekawość. Myślałam, że to zignoruję, ale wiesz, czasem stare rupiecie do ciebie przemawiają i nie możesz się ich pozbyć. Jak przytulanki. Jeśli jesteś zajęty albo masz randkę - masz randkę? Przepraszam. Czy Kim jest z tobą? Nie martw się, możemy - Charlotte skubała skraj kołdry, tracąc oddech i nerwy - załatwić to kiedy indziej albo mogę poczekać, aż Jared wróci do domu. Ale on w skrzynce na narzędzia ma tylko młotek, śrubokręt i widelec. I wiertarkę. Tylko że ona nadaje

się jedynie do robienia dziur. Przywiozłabym kufer do ciebie, ale jest za duży i nie zmieści się do mojego samochodu...

- Charlotte. Oddychaj. Westchnęła.

- Dziękuję.

- Jestem w samochodzie. Będę za dziesięć minut.

- A więc człowiek, który ci sprzedał kufer, przyszedł do salonu?

Tim odłożył piłę i przyjrzał się zamkowi. Zbadał palcami metal, by znaleźć miejsce, w którym mógłby zacząć.

- Tak, było to przerażające, ale jednocześnie przyjemne. - Charlotte usiadła przy nim na podłodze. — Mówił takie rzeczy, że przechodziły mnie ciarki. Kiedy poszedł, miałam takie dziwne przeczucie, że może być moim ojcem.

Tim przestał pracować.

- Co masz na myśli? Że twój tata niby przyszedł do salonu? A przedtem w tajemniczy sposób sprzedał ci ten kufer na aukcji w rezydencji Ludlowów?

- No cóż. Jeśli tak to ująć, brzmi to rzeczywiście całkiem dziwnie. Ale tamta chwila była naprawdę dziwna... To co, myślisz, że potrafisz to otworzyć?

- Potrafię. Ale powiedz mi, skąd myślisz, że on może być twoim ojcem?

- Nie wiem.

Opowiedziała mu o przypadkowym zderzeniu w ich rozmowie, kiedy na pytanie o córkę odpowiedział jej imieniem.

- Dlatego zaczęłam się zastanawiać. To szaleństwo. Tak, wiem. On pewnie się tylko żegnał.

- Charlotte. - Tim odłożył narzędzie i spojrzał jej w oczy. - Jeśli twój ojciec podszedłby teraz do ciebie, chcesz mi powiedzieć, że nie rozpoznałabyś go?

- Nie rozpoznałabym, Tim. Ja go nigdy nie widziałam.

- Nawet na zdjęciu?

Nawet na progu ich wspólnego życia Charlotte nigdy nie opowiadała o tym Timowi. Jeszcze jeden dowód na to, że trzyma go na dystans.

- Nawet na zdjęciu. — Podniosła jakiś drobny śmieć leżący na dywanie. - Mama poznała go na uniwersytecie na Florydzie, zakochała się, zaszła w ciążę, a kiedy mu o tym powiedziała, spłoszył się. Nie znam nawet jego nazwiska. - Charlotte przycisnęła palce do oczu, a potem wsunęła je we włosy. - Hej, ale przecież nie sprowadziłam cię tutaj, żeby opowiadać ci o moim tacie czy o braku taty. Tim, odpal piłę i otwórz to pudełko. — Postukała w pokrywę kufra.

- Nie znałaś nawet jego nazwiska? - Tim nie poddawał się. Próbował otworzyć jej wnętrze, nie kufer.

- No cóż, wyzwicka chyba się nie liczą. Zapytałam o niego raz, kiedy miałam dziesięć lat. Mama powiedziała, że skoro nie chciał mi dać swojego nazwiska i miłości, to ona mi o nim nie opowie. Na moim świadectwie urodzenia w rubryce „imię ojca” jest puste miejsce. - Charlotte machnęła ręką w powietrzu.

- Żal mi go. — Tim obrócił się w stronę kufra i zaczął piłować. - Stracił coś niesamowitego.

- Może czuł się jak zaszczute zwierzę.

Tim mocniej nacisnął piłę. Nie wyrzekł ani słowa, nie spojrzał na nią, ale jego odpowiedź odbijała się w jej sercu.

- Przepraszam cię na chwilę.

Charlotte zniknęła w łazience. Zamknęła za sobą drzwi. Usiadła na zamkniętym sedesie i rozwijała papier toaletowy, póki nie miała go

tyle, że mogła zanurzyć twarz w tej białej chmurze i płakać. Za drzwiami piła świstała i brzęczała.

Emocje wyszły na powierzchnię. Poruszyły się w niej głęboko skrywane tęsknoty. Ściany jej serca drżały. Tim, jej przyjaciel, był tutaj, rozmawiał z nią o ojcu, o kufrze.

Ale ona chciała porozmawiać z Timem przyjacielem o Timie narzeczonym. O tym, jak ją to bolało. Że za nim tęskniła. Że już nie obwinia go o to, że nie jest gotów na małżeństwo, skoro ona sama chowała przed nim wielkie kawałki siebie.

Kiedy łyzy obeschły, Charlotte wydmuchała nos, umyła twarz i przeczesowała włosy. Zanim wyszła z łazienki, piła zdążyła już zrobić swoje.

Tim trzymał skobel w ręce.

- Przepraszam, nie chciałem cię zasmucić.

- Ja sama się zasmucam. - Uklękła przed kufrem. - Zobaczmy, co jest w środku.

Tim zebrał narzędzia.

- Zaraz znikam.

Charlotte położyła dłoń na jego ramieniu.

- Proszę, zostań. Ktoś musi być świadkiem tego wspaniałego odkrycia.

- Jesteś pewna? To znaczy, oczywiście, jeśli tylko... Przez chwilę patrzyli sobie prosto w oczy.

- Lubię mieć przy sobie Tima przyjaciela. Przytaknął z ciepłym uśmiechem na ustach.

- Przyjaciel Tim lubi być tutaj.

- Tylko że przyjaciel Tim bardzo przypomina narzeczonego Tima.

- Może przyjaciel Tim zamieni z nim kilka słów? Schował wiertarkę i wiertła do skrzynki na narzędzia.

- Tak, i co mu powie?

- Że jest przeklętym głupcem.

Charlotte uśmiechnęła się.

- Dobrze, przyjacielu Timie, ale oszczędź trochę narzeczonego Tima.

- Zobaczy się. - Postukał w pokrywę kufra. - No dalej, otwórz go.

Charlotte, podekscytowana, uniosła wieko. Otoczył ich zapach cedru. Zajrzała do środka i zaczęła przekopywać się przez warstwy bibuły.

- Chyba jest pusty. Dlaczego Pan Purpurowy chciał, żebym go otworzyła?

Tim zanurzył rękę w bibułach i rozgarnął je.

- Coś tu musi być.

- Na przykład co? Zaginiony skarb? - Charlotte przejechała dłonią po krawędzi kufra. - Złoto? Rubiny?

- Jasne, czemu nie? Prrr, chyba coś znalazłem.

Tim wyjął ze stosu bibuły miękką lnianą torbę. Była mocno zawiązana sznurkiem.

- Co to? Pokaż.

Charlotte podążyła za Timem, gdy zanosił dużą torbę na łóżko.

- Proszę, otwórz. To twój skarb. - Tim przekazał Charlotte lniany pakunek w kolorze złamanej bieli, jakby podawał jej noworodka.

Charlotte delikatnie rozsupłała sznurek i rozwinęła atlasowe zawiąniętą. Wyglądało jak suknia, idealnie zachowana suknia. Charlotte odsuwając się o krok, uniosła znalezisko. Piękna spódnica w kształcie litery A z trenem opadła na podłogę.

- Czy to jest to, co myślę? - zapytał Tim. Charlotte spojrzała na niego i przełknęła ślinę.

- Tak.

Suknia ślubna.

Tim stał, spoglądając na suknię.

- To naprawdę dziwne, Charlotte. Kupiłaś kufer z suknią ślubną w środku? Tuż przed tym, jak zerwaliśmy?

- Hej, przyjacielu Timie, powiedz czującemu się jak w potrzasku Timowi narzeczonemu, że nie wiedziałam, co jest w środku.

- Nie mówię, że wiedziałas. Ale ktoś wiedział.

- To szaleństwo. Skąd ten pomysł...

- Licytujący. Człowiek w purpurowej koszuli. Charlotte, proszę cię, jakie jest prawdopodobieństwo, że wylądujesz na wzgórzu w czasie aukcji, na której nie zamierzałaś niczego kupić, i kupisz kufer z suknią ślubną w środku? I co powiedział ten człowiek, gdy przyszedł do salonu? Ze ma córkę, która wychodzi za mąż?

- Tim, co chcesz przez to powiedzieć? - Niszczył tę cudowną chwilę, chwilę odkrycia niesamowitej sukni. - Przepraszam, jeśli czujesz się jak w *potrzasku*.

- Przestań wkładać mi w usta słowa, których nie wypowiedziałem. Proszę cię, Charlotte, nie wydaje ci się to trochę dziwne?

- Myślę, że to bardzo dziwne, ale weź się w garść. Twoja była naręczona Charlotte nie zamierza się rozplakać i oświadczyć, że jesteśmy sobie przeznaczeni. Albo że nie powinniśmy się rozstawać.

- Nawet przez myśl mi nie to przeszło.

Naprawdę? To dlaczego wyglądał, jakby kamień spadł mu z serca? Charlotte gwałtownie otworzyła drzwi do garderoby i wytargała z niej stary manekin.

- Nie stój tak, pomóż mi.

Tim ruszył się, żeby pomóc ustawić go przy rogu łóżka.

- Postaw go tutaj - wskazała na puste miejsce w sypialni. Chciała postawić tam toaletkę, ale nigdy jej się nie udało. - Ustaw go na maksymalną wysokość.

Tim wykonał polecenie i odsunął się. Charlotte wkładała suknię na manekin. Miękką, drapowaną spódnica zaszeleściła na podłodze, jak gdyby cieszyła się, że przywrócono jej życie.

Charlotte chciała zanurzyć się w tej sukni. Jedwabny atlas połyskiwał w przytłumionym, złocistym świetle lamp. Nici wydawały

się świecić własnym blaskiem, jeśli można było to tak ująć. Szkielet z tiulu i krynolina tworzyły idealną literę A. Charlotte strzepnęła tren i rozłożyła go na podłodze.

- Jest cudowna.

Z przodu suknia miała niewielkie wycięcie w kształcie litery V, w sam raz, by było widać parę stylowych butów.

- Jak myślisz, skąd się wzięła? - zapytał Tim z drugiej części pokoju.

- Nie mam pojęcia.

Charlotte wywinęła brzeg sukni, żeby przyjrzeć się szwom i ściegom. Atlas w kolorze kości słoniowej był szyty ręcznie, nie maszyną. Miała wystarczająco duże doświadczenie, by poznać różnicę.

Olśniewające perły zdobiące talię w stylu empire także przyszyto ręcznie. Prosty gorset wydawał się dobrze wymodelowany i dopasowany dla panny młodej. Charlotte zastanawiała się, jak znaleźć pannę młodą, która się w to zmieści, nie uszkadzając perfekcyjnego dzieła poprawkami. Przerabianie tej sukni byłoby jak poprawianie Rembrandta albo jak domalowanie jeszcze jednej twarzy w Kaplicy Sykstyńskiej Michała Anioła.

Nie, musi koniecznie znaleźć idealną pannę młodą dla tej sukni. Rozpozna ją, jak tylko ją zobaczy. Bóg *jej* dał ten dar.

- Tim, może to właśnie przez tę suknię zerwaliśmy? - Podeszła do niego. Teraz zaczynało to nabierać sensu. - Jestem właścicielką salonu z sukniami ślubnymi. To jest suknia ślubna. A gdzieś tam jest kobieta, która ma włożyć tę suknię *i ja* mam jej ją dać.

- Słucham? - uniósł brew.

- Może Bóg... Czekał. Wiesz, co powiedział ten dziwny człowiek w purpurowej koszuli? Że czas na pannę młodą. — Charlotte przycisnęła palce do czoła. — Nie jestem pewna, co to znaczy, ale może ta suknia została do mnie „wysłana”? - Zrobiła w powietrzu znaczek

cudzysłowu. — Żebym znalazła dla niej idealną pannę młodą, która ją włoży.

- No dobrze. - Miał wątpliwości. Naturalnie. Był praktyczny. - Więc... wystraszyłem się ślubu, ponieważ ta suknia należy do *innej* panny młodej?

- Tak. - Charlotte chwyciła go za ramiona, ścisnęła i zaraz puściła. - Może, nie wiem. Ale coś w tym jest. W tej historii kryje się coś więcej. Spójrz, czy jest jeszcze coś w pakunku.

Charlotte przechadzała się po pokoju, żeby lepiej przyjrzeć się sukni, a tymczasem Tim przeszukiwał lniany worek. Widziała podobne projekty w magazynach ślubnych i na stronach internetowych, ale żaden nie wyglądał dokładnie tak jak ta suknia.

Nie była to nowoczesna kreacja. Retro też nie. Charlotte raz jeszcze chwyciła rąbek spódnicy, by poszukać sygnatury projektanta lub krawcowej. To niemożliwe, że suknia takiej jakości, w tak idealnym stanie, pochodziła z kufra panny młodej z 1912 roku, jak twierdził licytator. Sto lat? Nie ma mowy.

Jeśli uszyto by ją więcej niż dwadzieścia lat temu, materiał byłby nieco pożółkły, a tiul zniszczony. Ta suknia wyglądała, jakby została uszyta... wczoraj.

Charlotte przejechała palcami po szwie z tyłu spódnicy. W połowie drogi coś wyczuła. Uniosła krawędź, żeby lepiej się przyjrzeć.

TH

Usiadła i oparła się. TH? Inicjały nic jej nie mówiły. Charlotte nie przypominała sobie żadnego projektanta sukien ślubnych z ostatnich pięćdziesięciu lat, który miałby takie inicjały. Przystudiowała projekty ich wszystkich, kiedy jeszcze była przekonana, że wolałaby projektować suknie niż je sprzedawać.

- Znalazłaś coś? W worku nic nie było, ale może w samym kufrze będzie coś jeszcze.



Tim przykląkł przy kufrze. Badał ręką cedrowe ścianki. Pukał, przystawiał do nich ucho i nasłuchiwał.

- Czasem kufry mają sekretne schowki.

Podniósł ostatni kawałek bibuły i wyjął torebkę. Pomacał ją.

- Nic tu nie ma - rzucił ją na łóżko.

- O nie, Tim. To nie jest nic. To jest coś. Coś niesamowitego. Ta suknia ma prawdopodobnie sto lat i wygląda na to, że nigdy nie była noszona. - Charlotte odłożyła brzeg sukni i wygładziła ją ręką. Elektryzujące odczucie przebiegło od palców przez całe ramię i zapadło w jej serce.

11.

### *Emily*

- Moja droga, jest po prostu piękna. Piękniejsza, niż sobie ją wyobrażałam. Pani Caruthers, ta suknia jest boska.

Matka krążyła wokół Emily, przykładając dłonie do rozpalonych policzków i błyszczących oczu.

- Na spódnicę dałam trochę więcej materiału, niż wymagał tego projekt w żurnalu. - Pani Caruthers wypięła piers, dając jawny upust swojemu samozadowoleniu. - Zawsze dodaję do sukni odrobinę swojego stylu i własnych pomysłów.

Przytłumione światło październikowego dnia odbijało się w podłodze. Emily stała na stołku na środku pokoju i spoglądała na swoje odbicie w lustrze. Chciało jej się krzyczeć. Wyglądała bufiaście i kuliście, zupełnie niepodobna do siebie.

Obcisła góra sukienki wymagała jeszcze obciślejszego gorsetu. Do jej płuc nie dochodził nawet naporstek powietrza. Wysoki i sztywny kołnierzyk więził jej szyję. Miała wrażenie, że cały ciężar masywnej satynowej spódnicy i długiego trenu zawisł jej na szyi.

Materiału wystarczyłoby na dwie panny młode. Nawet na trzy.

Bufki niemal dochodziły do policzków, a w łokciach tak ją cisnęło, że nie mogła w ogóle zgiąć rąk. Przypominała jeden z ołowianych żołnierzyków Howarda Juniora.

Emily zamknęła oczy, tłumiąc w sobie pełen wściekłości krzyk i pragnienie, by uciec stąd, zedrzeć z siebie tę suknię.

Zeszła ze stołka i podeszła do okna. Otworzyła je i wychyliła się najdalej, jak tylko mogła, zanurzając się w atmosferze Birmingham i wdychając chłodne jesienne powietrze przerywanymi haustami.

- Emily, odejdz stamtąd. Chcesz, żeby całe miasto widziało, jak zwisasz przez okno w swojej sukni ślubnej? - Matka dotknęła ramienia Emily. - Co sądzisz, kochanie? Czyż nie jest cudowna?

- Jest obrzydliwa - szepnęła do matki, jednym okiem sprawdzając, czy nie nadciąga pani Caruthers, która zaraz miała wrócić z parą odpowiednich butów.

- Emily, co w ciebie wstąpiło? Nie jest obrzydliwa. Jest piękna. Waż słowa, bo urazisz panią Caruthers, a ma nam jeszcze uszyć całą wyprawę.

- Trzeba ją urazić, matko. - Emily wcisnęła palec między gardło i duszący koronkowy kołnierzyk. - Nie mogę założyć tej sukni. Nie jestem w stanie pojąć, skąd pomysł, że takie coś będzie odpowiednie na wiosenny ślub. Krępuje ruchy, nie mogę się w tym ruszać. Nie mogę oddychać.

- Poproszę ją, żeby zmieniła linię dekoltu i poluzowała trochę w talii. A suknia jest olśniewająca, Emily. Po prostu olśniewająca.

- Dekolt, talia i rękawy, matko. - Emily zaprezentowała usztywnione ramiona. — Rękawy.

Emily pewnie dalej spierałaby się z matką, gdyby nie obawa, że zemdleje z braku powietrza. Była jednak uwięziona w duszącej koronce i satynie, uwięziona we wspomnieniu wczorajszej rozmowy z Phillipem. W końcu zebrała się na odwagę, żeby porozmawiać

z nim o Emmeline. Po tej męczącej konfrontacji czuła się jak jeden ze spętanych koni ojca.

„Jest twoją kochanką czy nie?”

„Nie wierzę w to, co słyszę. Oskarżasz mnie o romans, zanim jeszcze zostaliśmy małżeństwem? Przynajmniej wyświadczyć mi tę grzeczność i wstrzymaj się do ślubu”.

- Oto i one. - Pani Caruthers podała Emily parę skórzanych białych butów.

Emily usiadła na krześle, ale nie mogła się schylić, by zzuć pantofle. Matka musiała ją wyręczyć. Każda minuta jej ślubu to będzie jakiś koszmar, w tym kaftanie bezpieczeństwa.

Pani Caruthers udało się w końcu włożyć w buty stopy Emily. Brzegi wrzynały się jej w pończochy, a czubki uciskały palce. Emily wstała i zachwiała się.

- Pani Caruthers, myślę, że te buty są za małe.

- O pół rozmiaru. Zgadza się. Przyzwyczaj się pani. Panna młoda musi mieć lekkie, delikatne stopy.

Emily popatrzyła gniewnie na matkę i opadła z powrotem na krzesło. Żebra zanadto ścisnęły jej płuca.

„Odpowiadasz pytaniem na pytanie, Phillipie. Wystarczy proste tak lub nie. Czy ona jest twoją kochanką?”

„Emily, nie ma prostej odpowiedzi dla mężczyzny oskarżanego o niewierność”.

„Wydaje mi się, że odpowiedź jest bardzo prosta. Zastanawiam się, dlaczego nie możesz wydusić z siebie tego słowa”.

„Dlatego, że próbuję zrozumieć twoje oskarżenia, moja droga. Jestem zszokowany twoim pytaniem”.

Och, jak on ją doprowadzał do szału.

- Suknia godna ślubu Saltonstallów. - Pani Caruthers wydawała się z siebie zadowolona. - Myślę, że spotka się z aprobatą pani Saltonstall.

- Zdecydowanie spotkała się już z aprobatą pani Canton - odpowiedziała matka z zapalem. *Brawo, matko.*

- Zemdleję, jeśli nie ściągnę tej sukni. - Emily próbowała wstać, ale znów opadła na krzesło. Zzula buty. - Wezmę parę tych butów we właściwym rozmiarze.

Spojrzała wymownie na panią Caruthers. Podniosła ramiona -a raczej próbowała podnieść - żeby odpiąć haftkę przy szyi.

- Ostrożnie, rozedrzesz rękawy. - Pani Caruthers trzepnęła ją po ręce i sama zaczęła rozpinąć haftkę, a potem guziki.

- Pani Caruthers - matka zaczęła dyplomatycznym tonem - proszę popuścić pół cala w talii i proszę zrobić wystarczająco dużo miejsca w rękawach. Na litość boską, dziewczyna, idąc do ołtarza, będzie miała bukiet w ręku. A w czasie przyjęcia weselnego będzie musiała zjeść obiad. Z trudem zdoła unieść kieliszek podczas toastu.

- Zrobię trochę miejsca w rękawach, ale talię poszerzę jedynie o ćwierć cala, nie więcej.

- Śmiem twierdzić, że płacimy pani za to, by robiła pani to, czego oczekujemy - zripostowała matka.

- Śmiem twierdzić, że płacą mi panie za ekspertyzę. — Pani Caruthers odpięła ostatnią haftkę. Emily zamknęła oczy, gdy fala powietrza owionęła jej skórę. Niebiańsko. - I za moją renomę.

Emily wyszła z sukni i ubłagała matkę, by poluzowała sznurowanie gorsetu. Potrzebowała powietrza. Wolności. Kiedy matka ją uwolniła, Emily ubrała się w swój kostium w biało-czarną kratę, życzyła pani Caruthers dobrego dnia, z impetem zbiegła ze schodów i wyszła przez frontowe drzwi domu towarowego Lovemana w październikowy wiatr.

Z ręką na piersi i twarzą zwróconą w stronę słońca nabrała w płuca zimnego powietrza, by w końcu ugasić ten płomień w piersiach.

- Mój Boże, Emily! - Matka przystanęła przy niej, gwałtownie oddychając i naciągając rękawiczki. - Możesz sobie być smutna, ale nie pozwolę, byś była niegrzeczna i bezczelna.

- To ona jest niegrzeczna i bezczelna. - Emily wpięła kapelusz w wysoko ułożone włosy. Wiatr szarpnął prostym rondem. - Nie pojmuję, dlaczego pan Loveman uważa za stosowne ją zatrudnić.

- Poruszałyśmy tę sprawę już setki razy, Em. Pani Caruthers jest najlepszą krawcową w mieście i kobiety z Birmingham ufają jej.

Matka postukała czubkiem parasola o chodnik i spojrzała na mijających ich klientów domu towarowego.

- Ja na przykład nie. Matko, proszę, czy możemy iść do Newmana na lody? Potrzebuję czegoś chłodnego, żeby uspokoić żołądek. - Emily przycisnęła rękę do brzucha, przełknęła żółć, którą poczuła w gardle, i nabrała powietrza w płuca. Chciała odetchnąć pełną piersią.

- Jest zbyt chłodno na lody, Emily. A może gorące kakao?

- Nigdy nie jest zbyt chłodno na lody, matko.

- No cóż, musisz zjeść coś ciepłego. W twoim przypadku słodkości zamiast obiadu to raczej niefortunny pomysł.

- Wezmę do nich gorący sos karmelowy. Co ty na to?

- Chyba nie zdołam cię przekonać. - Matka ścisnęła dłoń Emily. - Idź przodem. Ja chciałabym jeszcze porozmawiać z twoim ojcem. Widziałam u Lovemana aksamit i zdałam sobie sprawę, że w twojej wyprawie jest za mało aksamitnych sukni. I na litość boską, jeszcze nie zamówiłam ci kufra. Emily, mam ogromną nadzieję, że nauczysz się zjednywać sobie panią Caruthers. Wyświadcza ci przysługę, czy w to wierzysz, czy nie.

Matka zeszła z krawężnika i wsiadła do trolejbusu wraz z potokiem czwartkowych kupujących. Emily patrzyła na nią, drepcząc wzdłuż krawężnika i czekając, aż fala ruchu ulicznego pozwoli jej przejść na drugą stronę. Czuli się bezsilni. Jeśli pani Caruthers wyświadczała komuś przysługę, to tylko sobie. A matkę za bardzo pochłaniały próby dopasowania się do towarzystwa pani Saltonstall, żeby mogła to dostrzec.

Ale teraz Emily była wolna. I kiedy zmierzała do Newmana, jej myśli pobiegly ku *innemu* zawirowaniu w jej duszy. Ku Phillipowi.

Wczorajszego wieczoru klócili się cicho w cieniu werandy, z daleka od okien salonu. Kiedy wyczerpali już wszystkie słowa, Phillip próbował ją udobruchać pocałunkami i pieszczotami.

„Czyj piers'cionek nosisz na palcu? Czyje usta całujesz?”.

„Twoje”. Własne tętno tak dudniło jej w uszach, że prawie go nie słyszała.

„Czyje serce należy do ciebie w stu procentach?”. „Iwoje .

Całował ją zmysłowo, pieścił linię jej dekoltu. Samo wspomnienie rozpalało jej pragnienia.

„Pochlebia mi to bardzo. Sprawilem, że wielka Emily Canton jest zazdrosna”.

„Nie przyzwyczajaj się do tego, Phillipie, to niepokojące. I nie jestem wielką Emily Canton. Jestem po prostu dziewczyną, która wychodzi za mąż”.

„Jesteś wielką Emily Canton. I twoja zazdrość jest odurzająca. Tak bardzo mnie kochasz”.

„A czy ty kochasz mnie równie mocno?”.

„Pozwól sobie pokazać, jak bardzo cię Kocham”.

Przyparł ją do ściany domu i przejechał ręką po jej ramionach, zsuwając z nich górny brzeg sukni, całując ją i pieszczotami torując sobie drogę w dół, wzdłuż jej szyi.

To nie pierwszy raz, kiedy na pytania o to, czyją kocha, odpowiadał dotykiem, pocałunkami i gorącym pomrukiem o dzieleniu z nią łoża.

Emily przystanęła i wyjęła wizytówkę z torebki. Podmuch wiatru poderwał jej spódnice. Poprosiła Dużego Mike'a, żeby przyniósł jej wizytówkę tej kolorowej krawcowej.

*Taffy Hayes*

*Gaston Hotel. Piąta aleja - Co za dziwny dzień.*

Emily uniosła wzrok. Ujrzała szeroką twarz i płomienne niebieskie oczy mężczyzny, który mógł być w wieku jej ojca. Nie było w nim nic wyjątkowego. Miał siwe włosy, a jego tweedowy garnitur i kamizelka nie były najnowszej mody, wydawały się pochodzić z zeszłego stulecia.

Jednak purpurowy jedwabny fular pod jego szyją sprawiał, że w mężczyźnie było coś królewskiego, coś śmiałego. Pod Emily od razu ugięły się kolana.

- Czy my się znamy, panie...

- Czy pozwoli pani, że ją odprowadzę?

Dżentelmen zaoferował jej swoje ramię, gdy kurier minął ich szybko na rowerze.

- A skąd pan wie, dokąd idę? - Emily przycisnęła wizytówkę Taffy do talii, na wypadek gdyby mężczyzna był sprytny i próbował odczytać adres.

- Po suknię ślubną - odpowiedział, ponownie oferując jej swoje ramię.

- Jeśli panią odprowadzę, będzie pani bezpieczna, dokądkolwiek pani pójdzie.

- Ale ja pana nie znam. I nie wie pan, dokąd idę. - Palce Emily drżały trochę, gdy chowała wizytówkę do torebki. Serce podchodziło jej do gardła. Chciała uciekać. Nogi jednak odmawiały jej posłuszeństwa.

Znów zaoferował jej swoje ramię.

- Proszę je przyjąć. Nie skrzywdzę pani. Z mojej strony nic pani nie grozi.

Emily zawahała się, a potem ujęła go pod łokieć. Zawołał dorożkę - zatrzymała się przy nich od razu - i poinstruował woźnicę, by zawiózł ich do hotelu A.G. Gastona.

Gęsia skórka pokryła jej ramiona i kark.

- Skąd pan wiedział?

Musiał przeczytać wizytówkę, zanim zdążyła ją schować.



- Czy to właśnie tam pani jedzie?

- Ale panu tego nie powiedziałam.

Trzymając ręce na kolanach i kołysząc się wraz z dorożką, wsłuchiwała się w rytmiczny stukot końskich kopyt. Woźnica uderzył lejcami i zacmokał na wałacha, by ominął hamujący automobil.

Na Czwartej alei dorożka zwolniła - ruch był tutaj większy.

- Czy widziała już pani nowy film w kinie Princess? - zapytał, wspierając się na rączce swojej laski.

- Byłam raczej zajęta.

- Planowanie ślubu pochłania sporo czasu. Wiem. - Mężczyzna kiwnął głową. Patrzył przed siebie, szeroko się uśmiechając. - I cierpliwości.

- W rzeczy samej. - Emily przejechała ręką po ramieniu, czując pod palcami gęsią skórę. Ów dżentelmen nie wydawał się osobą pokroju tych, co czytaliby kolumnę towarzyską. - Jest pan więcej niż trochę zaznajomiony z moimi sprawami, choć zupełnie się nie znamy.

- Czy mogę panią o coś zapytać? Czego szukasz, Emily?

- Jeśli musi pan wiedzieć, sukni ślubnej.

Obróciła głowę, by mu się przyjrzeć. Próbowała zrozumieć jego zachowanie. Gdyby mogła, chciałaby sprawić, żeby jego błękitne spojrzenie nie przeszywało jej serca za każdym razem, gdy się do niej odzywał.

- A czego szukasz w życiu?

Dorożka chybotąca się i stukająca. Minęli grupę skazańców, darmową siłę roboczą. Biali strażnicy rozmawiali i żartowali, podczas gdy kolorowi siekierami i młotami rozbijali twardey beton. Emily spuściła wzrok. Usuwanie tego, co kładziono i umacniano całymi latami, musiało być katorżniczą pracą, prawie niemożliwą do wykonania.

- Wolności.

Odpowiedź sama wymknęła jej się z serca. Gdy dorożka mijiała szereg czarnoskórych mężczyzn, których pot lśnił w październikowym słońcu, Emily odwróciła się, by na nich popatrzeć.

Skręcili w Piątą aleję, w jej północną część, i dorożka zatrzymała się przed hotelem. Ciemne oczy przyglądały się im zza rogu. Dorożkarz otworzył drzwi.

- Poczekam na panienkę.

- Dziękuję, nie zajmie mi to długo.

Pan Dziwak znów zaoferował jej swoje ramię. Emily zawahała się, ale wysiadając podała mu rękę. Jego ramię było mocne i ciepłe.

Z otwartego okna po drugiej stronie alei dochodziło *Cakewalk Rag*. Chłopcy na rowerach przejechali obok nich, ścigając się po chodniku. Sklepiarz wyszedł na zewnątrz, by dać im burę za to, że niemal wjechali w stojące przed sklepem skrzynki z warzywami. Atmosfera wibrowała muzyką i wybuchami śmiechu.

- Nie tego się spodziewałaś?

Policzki Emily zalała fala gorąca. Ukradkiem spojrzała na swojego towarzysza.

- Nie jestem pewna, czego się spodziewałam.

Ale w tej radosnej atmosferze czuła się bezpiecznie i domowo.

- Nie wiesz? - zapytał wyższym głosem. - Kogo choć raz związano, dla tego wolność jest o wiele, wiele słodsza.

- Ale oni nie są w pełni wolni.

- Och, może nie ciałem, ale duchem tak.

Przeniósł wzrok ze sceny, która rozgrywała się na ulicy, na jej twarz. Serce Emily zamarło.

- Ale zaraz... Skąd pan tyle wie?

Zamiast odpowiedzieć, Pan Dziwak odprowadził Emily do hotelu, zapytał o pannę Taffy Hayes, a potem zaczął rozmawiać z miłym pracownikiem stojącym za hotelowym kontuarem.

Po kilku minutach w holu pojawiła się wysoka, smukła kolorowa kobieta, ubrana w jaskrawą spódnicę i bluzkę.

- W czym mogę pani pomóc?

- Panna Hayes? - Emily wyciągnęła rękę. - Nazywam się Emily Canton.

- Wiem, kim pani jest. Narzeczoną Saltonstalla. - Emily przyglądała się szczupłej, ciemnej twarzy Taffy. Jej intensywnie brązowe oczy badały Emily spojrzeniem sokoła. - Widziałam panią w gazetach.

- Słyszałam, że jest pani projektantką. Jedną z lepszych.

- Jedną z lepszych? - uśmiechnęła się. - Nic mi o tym nie wiadomo, ale jestem dumna z mojej pracy. To dar od Boga.

- Chciałabym zlecić pani uszycie sukni ślubnej. - Emily zrobiła krok w jej kierunku. Była skupiona, serce biło jej coraz szybciej. Cienka stróżka lepkiego potu wystąpiła jej na czoło. - Proszę podać cenę.

- Wiedziałam, że pani przyjdzie.

Emily obróciła się, żeby spojrzeć na Pana Dziwaka. On ją tutaj przyprowadził. Przywiódł ją w to surrealistyczne miejsce. Rzucił na nią urok. Ale zniknął. W miejscu, gdzie był przed chwilą, stał mężczyzna o zaokrąglonym obliczu i brązowych oczach.

- Witam w moim hotelu, panno Canton. Jestem A.G. Gaston.

- Tak, oczywiście, pan Gaston. Miło mi poznać.

- Proszę czuć się jak w domu.

Taffy nadal czekała i gdy Emily znów się obróciła, napotkała jej niewzruszone, wbite w nią spojrzenie. Obserwowała Emily, jakby próbując ocenić jej hart ducha.

- Uszyję ją dla pani, ale może być kłopot.

- Kto będzie miał kłopoty? Pani czy ja?

- Przypuszczam, że my obie. Ale ja przyzwyczyłam się już do nich, a pani?

Ta rozmowa wsiąkała w Emily, przenikała jej skórę, wlewała się w ścięgna i kości, kłębiła się wokół jej serca.

- Nie wiem, panno Hayes. Po prostu mam przeczucie, że to pani powinna uszyć dla mnie suknię ślubną.

- Odważy się pani na to? — Taffy ruszyła korytarzem. — Zapraszam, mam dla pani pomysł.

- Dla mnie? - Emily nie była w stanie ruszyć się z miejsca. Jakby ktoś ją przybił do podłogi. - Jak to możliwe?

- Jak już mówiłam, wiedziałam, że pani przyjdzie. - W końcu Taffy się uśmiechnęła. Pięknym, idealnie białym uśmiechem. - Odważy się pani?

- Jestem tutaj, czyż nie? Pragnę odwagi. Podziwiam ją. - Emily ruszyła do przodu, odrywając od podłogi stopy, które zapuściły już w niej korzenie.

- W takim razie wszystko w porządku.

Gdy szły korytarzem, Taffy objęła Emily ramieniem.

Ta kobieta jej oczekiwała. Emily zadrżała na samą myśl o tym. Miała niewielkie doświadczenie Boga, przecinającego jej własną drogę albo drogę kogokolwiek, kogo знаła. Większość osób w jej rodzinie prowadziła proste, spokojne chrześcijańskie życie, które polegało na robieniu dobrych uczynków i zapełnianiu kościelnych ław przez godzinę lub dwie w niedziele. Ale to? Bóg przychodzący do niej w środku tygodnia?

Jednak słysząc zgodny rytm ich kroków, miała święte poczucie, że dotyka ją coś Boskiego.

- Emily, gdzie byłaś? - Molly przywitała ją przy drzwiach kuchennych nie jako służąca, ale jako przyjaciółka.

- Spotykałam szalenie interesujących ludzi, Molly. - Emily zdjęła kapelusz, wciąż jeszcze zanurzona w cudownej poświacie popołudnia spędzonego z Taffy. - Znalazłam krawcową, która uszyje mi suknię ślubną.

- Myślałam, że nadęta pani Caruthers uszyła już dla ciebie suknię.

- Koszmarną. Gdzie są rodzice? — Emily wcisnęła kapelusz pod ramię i schyliła się, żeby zobaczyć swoje odbicie w ocienionej części okna. Przyglądała włosy i podpięła luźne kosmyki.

- W bibliotece. Twoja matka wróciła do domu godzinę temu. Była niespokojna, zastanawiała się, co się z tobą stało.

- Pojechałam na Piątą aleję, spotkać się z Taffy Hayes. - Emily ścisnęła rękę Molly.

- Co też panienka mówi. Sama?

- Tak... To znaczy, nie. - Emily otworzyła lodówkę i sięgnęła po butelkę mleka. - Towarzyszył mi pewien dziwny dżentelmen w purpurowym fularze.

- Pojechała panienka do dzielnicy kolorowych z nieznajomym? — Molly postawiła szklankę na stole, potem wzięła z rąk Emily butelkę i nalała mleka.

- Na to wygląda. - Emily, unosząc szklankę do ust, wyobraziła sobie Pana Dziwaka. - Wydawał się niegroźny. Bezpieczny. Jakbym znała go całe życie.

Albo jakby on znał ją. Emily wzięła duży, chłodny łyk mleka.

- Lepiej pójdę i porozmawiam z matką i ojcem.

Pchnęła kuchenne drzwi i ruszyła długim korytarzem w stronę biblioteki. Miała zamiar spędzić u Taffy jedynie chwilę, ale kiedy krawcowa pokazała jej szkice, które narysowała z myślą o Emily, minuty zamieniły się w godziny.

Była wdzięczna, że dorożkarz na nią zczekał. Ojciec miał do uregulowania ogromny rachunek.

Przed drzwiami biblioteki Emily wzięła dwa głębokie oddechy, pierwszy dla odwagi, a drugi dla pewności siebie.

- Matko, ojczy, dzień dobry. Matka wstała, odłożywszy książkę.

- Dzień dobry? Już prawie kolacja. Gdzieś ty była, Emily? Kiedy zostawiłam cię na rogu, szłaś do Newmana na lody.

- Martwiliśmy się o ciebie, córeczko.

Ojciec odsunął się od biurka i obszedł je, wciągając zegarek z kieszeni kamizelki. Wspierał matkę w jej pytaniach, ale mrugał do Emily, kiedy matka nie patrzyła.

- Miałam sprawę do załatwienia.

- Gdzie? I co to za sprawa? - pytała matka, posyłając ojcu znaczące spojrzenie.

- Jeśli musicie wiedzieć... - Emily zadarła podbródek, ale nie na tyle wysoko, by spoglądać na matkę i ojca z góry.

- Proszę pana - Jefferson zapukał i wszedł. - Pan Phillip Salton-stall do pana.

Phillip wparował do pokoju, nie czekając na zaproszenie.

- Co ja słyszę, Emily? Byłaś w Gaston Hotel? Spędziłaś tam wiele godzin. Co ty, na miłość boską, tam robiłaś?

Matka westchnęła głośno. Sięgnęła ręką za siebie w poszukiwaniu oparcia swojego fotela i opadła nań.

- Phillipie, skąd ty...

- Emily, czy to prawda? Byłaś w dzielnicy kolorowych? - Ojciec chwycił dłoń matki i poklepał ją. - Już, już, moja droga. Emily musiała mieć ważny powód.

- Poszłaś tam, żeby spotkać się z tą krawcową, prawda? - Matka odsunęła się od ojca. Żeby miała zaciśnięte, w jej oczach narastał gniew.

Emily zrobiła krok w tył, w stronę Phillipa. Pewność siebie i odwaga, których nabrała, nim weszła do biblioteki, wyparowały.

- Tak, poszłam spotkać się z panną Taffy Hayes. To ona uszyje dla mnie suknię.

- Ty już masz suknię. — Napięty ton głosu matki przeczył zasadom zachowania, jakich powinny przestrzegać damy z Południa.

- Zapłaciliśmy pani Caruthers, Emily. Jej suknia kosztowała twojego ojca siedemset dolarów.

- Suknia Taffy, razem z sukniami dla wszystkich druzhen, będzie kosztowała pięćset.

- Pięćset dolarów za wszystkie te suknie? - Matka chwyciła Emily za ramiona. - Nie pozwolę, żebyś szła do ołtarza w niechlujnej sukni ze strzępiącymi się, niewykończonymi szwami.

- Matka ma rację. Dostajesz to, za co płacisz, Emily. - Tym razem ojciec do niej nie mrugał.

- Ojczy, praca panny Hayes nie jest niechlujna. Szkoda, że nie widziałeś projektów, które z myślą o mnie naszkicowała. Miała już je, zanim do niej przyjechałam. - Emily z roztargnieniem potarła ramię, po którym przebiegł dreszcz.

- Przepraszam. — Phillip przypomniał o swojej obecności w pokoju. - Do diabła z ceną sukien ślubnych. Państwa córka, a moja narzeczona spędziła dziś po południu trzy godziny z Murzynką w jej zakładzie, w ich dzielnicy. Wieść o tym obiegła już całe Highland i Red Mountain. Co ty sobie myślałaś, Emily? Mogłaś zostać zgwałcona albo porwana.

- Zgwałcona albo porwana? Przez kogo? Przez dobrych ludzi, ojców i synów starających się zarobić na przyzwoite życie? Odkryłam, że to dobrzy i serdeczni ludzie, tacy jak my. Chcesz mi powiedzieć, że całe towarzystwo w Birmingham szepcze za moimi plecami i wzdycha z ulgą, że jestem bezpieczna? A może jednak są rozczarowani, że nie zostałam okaleczona?

- Gadają o twojej skrajnej głupocie.

- Phillipie — odezwał się ojciec — uspokójmy się, zachowajmy trzeźwość umysłu.

- Mój umysł jest trzeźwy, Howardzie. — Phillip chodził w kółko szybkim krokiem, z dłońmi na biodrach, szarpiąc od czasu do czasu

brzeg marynarki. — Ale nie wiem, czy mogę powiedzieć to samo o waszej córce.

- Jeszcze raz mnie obraź, Phillipie, a wyjdę z pokoju.

- Co ty sobie myślałaś, udając się do dzielnicy kolorowych? Tam pracują skazańcy, w śródmieściu, dokładnie tam, gdzie byłaś.

- Skuci łańcuchem i pilnowani przez mężczyzn z bronią i batami. Mogę ci powiedzieć, że gdybym nawet szła ulicą naga, mniej groziłoby mi ze strony tych kolorowych skazańców niż ze strony ich białych strażników. I, śmiem twierdzić, ze strony przynajmniej co drugiego wazelinarskiego przedsiębiorcy w Birmingham.

- Emily! - Matka wyglądała, jakby miała zaraz zemdleć.

- Matko, to Phillip zaczął mówić o gwałcie.

- Łapiesz mnie za słowa. - Phillip spojrzał w twarz Emily srogimi, nieruchomymi oczyma. - Nie życzę sobie, byś chodziła do dzielnicy kolorowych, ponieważ coś cię napadło z powodu sukienki. Jesteśmy Saltonstallami.

Emily zapadała się powoli w fotel z końskiego włosia.

- Nie chciałam nadszarpnąć dobrego imienia Saltonstallów, Phillipie - powiedziała, chowając dłonie w plisach spódnicy. - Ani imienia Cantonów, ojczu.

- Ale nie pomyślałaś, że właśnie to robisz - odpowiedział Phillip. Emily rzuciła mu ostre spojrzenie. Musi przestać ją obrażać. Jeszcze jeden raz i...

- Powiedz im resztę, Emily - powiedział, wyciągając cygaretkę z kieszeni kamizelki. - Powiedz im, że nie poszłaś tam sama.

- Rzeczywiście, tak było. - Emily wstała, gdy Phillip próbował zapalić zapałkę. Delikatnie otoczyła jego dłonie swoimi, wzięła zapałkę i zapaliła ją za niego. Uśmiechając się i spoglądając mu w oczy, przyłożyła płomień do jego cygaretki. - Miałam towarzystwo.

- *Męskie* towarzystwo. - Phillip opuścił rękę, w której trzymał zapaloną cygaretkę, nadal patrząc na nią z zimnym błyskiem w oczach.



Emily zdmuchnęła zapalną, ściskając jego dłoń. Nie wiedziała wiele o mężczyznach, ale nauczyła się kilku rzeczy o Phillipie. Z całą pewnością reagował na jej dotyk. Na trzepot jej rzes. - Po... pogorszyłaś sytuację, Emily kiedy zdecydowałaś się jechać gdzieś z mężczyzną, którego nie znamy. - Gdy wypowiadał ostatnie słowa, jego przystojna twarz łagodniała..

- Kto ci towarzyszył? - zapytał ojciec cichym, opanowanym głosem.

- Uprzejmy starszy pan, którego spotkałam na rogu ulicy, po tym jak matka wsiadła do trolejbusu. Nazwałam go Panem Dziwakiem, bo nie zdradził mi swojego nazwiska.

Ponieważ jego nazwisko musiało być niebiańskie. Nie z tej ziemi. A przynajmniej do takich wniosków doszła Emily w drodze do domu.

- Emily, co w ciebie wstąpiło? - Ton głosu matki zdradzał poirytowanie. - To pewnie stres przedślubny. - Objęła ramionami Emily. - Może powinnaś się położyć. Powiem Molly, żeby przyniosła ci zimny kompres na głowę.

- Nie trzeba, matko.

Emily zwróciła się do Phillipa:

- Skąd dowiedziałeś się, że byłam w dzielnicy kolorowych? Skąd wiedziałeś o Panu Dziwaku?

- Mam swoje sposoby. - Phillip zaciągnął się cygaretką tak mocno, że popiół na jej końcu zaczął się żarzyć jasnopomarańczowo. - Ale jeśli musisz wiedzieć, widziałem cię na własne oczy.

- Śledziłeś mnie? - Emily delikatnie pociągnęła go ku sobie, by spojrzeć jej w twarz. - Z jakiego powodu?

Ojciec podszedł bliżej.

- Phillipie?

- Mam swoich ludzi, przyjaciół Saltonstallów, pracowników i robotników. Oni są naszymi oczami.

- Ale powiedziałeś, że widziałeś mnie *na własne oczy*.

Emily jeszcze bardziej zmniejszyła dystans między nimi. Posłał jej szeroki, pewny siebie uśmiech, który sprawił, że w jej żołądku zawrzało.

- Widziałem, jak wchodzisz do dorożki, sama. Z twoim Panem Dziwakiem. Miał koszmaryny purpurowy fular.

- Co robiłeś w śródmieściu o drugiej po południu? — zapytała Emily.

- Musiałem coś załatwić.

Matka westchnęła i opadła na fotel.

- Czy wszyscy mieli dziś do załatwienia sprawy, które prowadziły ich do innej części miasta? Howardzie?

- Nie ja, Maggie. Ja byłem w biurze, jak zwykle.

- Phillipie, jakie sprawy miałeś tam do załatwienia? - W jej myślach pojawił się obraz Emmeline. - W tej części miasta nie ma nic poza drukarnią i sklepem meblowym. Do niewdzięcznych zadań wykorzystujesz przecież swoich ludzi.

- Okazjonalnie sam wypełniam swoje polecenia. Czy myślisz, że tylko siedzę w biurze i rozkazuję innym? - Włożył cygaretkę między wargi. Wydmuchiwany dym kłębił się dookoła jego twarzy, a klatka piersiowa podnosiła się i opadała z każdym krótkim oddechem.

- Skoro mnie widziałeś, dlaczego nie zawołałeś?

- Było już za późno.

- Emily, przestań mu wiercić dziurę w brzuchu. - Matka wstała, wygładziła dłonią spódnicę i poprawiła włosy. - Nie rozumiem, dlaczego musisz się tak bronić.

- A ja nie rozumiem, dlaczego ty bronisz jego, a nie własnej córki.

- Już dobrze. - Ojciec wkroczył między Emily i Phillipa. - Wydaje mi się, że to kłótnia narzeczonych. Phillipie, Emily jest wspaniałą, trzeźwo myślącą dziewczyną. Nawet rozsądniejszą niż niektórzy mężczyźni, których znam.

*Dziękuję ci, ojcze.* Emily spojrzała na Phillipa. Coś ukrywał. Coś niedobrego.

- Phillipie, przepraszam cię za kłopoty, których Emily mogła ci przysporzyć.

- Proszę się nie martwić, pani Canton. Mamy znajomości. Dopilnujemy, żeby wszystkie plotki zostały zduszone w zarodku. - Phillip uśmiechnął się szeroko, a Emily poczuła, że słabnie. Kiedy mrugnął do niej swoim brązowym okiem, zaczęła głębiej oddychać. Poprawiła bluzkę i przyglądała niesforne włosy.

- Dobrze, dobrze. - Matka poklepała Phillipa po ramieniu. — A teraz, Emily, chcę wyjaśnić sprawę sukni. Założysz suknię, którą uszyła pani Caruthers. Twoje druhnny także. Nie dbam o koszty. Koniec dyskusji. - Matka ruszyła w stronę drzwi, uderzając mocno grubymi obcasami o dywan. - Howardzie, idę zająć się kolacją. Phillipie, oczywiście zjesz z nami.

- Dziękuję, ale nie dzisiaj, pani Canton. Już jestem umówiony. Może jutro.

- Umówiony? W czwartkowy wieczór? - Emily patrzyła, jak ojciec zamyka za sobą i za matką drzwi. - Wybierasz się do Phoenix Club?

Różowe i pomarańczowe odcienie zachodzącego słońca przebijały się przez konary drzew i wpadały do pełnej napięcia biblioteki. Wiatr wkradł się przez otwarte okno i przejrzał papiery ojca, unosząc je z biurka w górę i w dół.

- Umówiłem się z przyjaciółmi. Z Wainscotem i Powellem. Męski wieczór. Nie będę miał wielu takich sposobności, kiedy już się pobierzemy. Czeka nas sezon towarzyski, potem wakacje, a sam ślub nadejdzie szybciej, niż się spodziewamy. To może być moja ostatnia szansa.

Wainscot, przyjaciel chuderlawej Emmeline.

- Rozumiem. Nie wiedziałam, że w twoim przekonaniu małżeństwo psuje każdą dobrą zabawę. Co więc skłoniło cię, by się w ogóle oświadczać? Żenisz się, a nie idziesz do więzienia.

- Nie miałem tego na myśli, Emily, dobrze o tym wiesz.

- Nic nie wiem. Natomiast ty wpadasz tu i oskarżasz mnie o najgorsze zachowanie. Nic nie wiem, a ty tańczysz sobie w cieniu z...

- Tylko nie to, znowu. Już tyle razy mówiliśmy o moim tańcu z Emmeline.

Czuła, że zaraz zemdleje, i potrzebowała świeżego powietrza. Phillip zaostrzył słowa:

- Czy wydaje ci się, że wychodzisz za głupca, Emily? Jeśli rzeczywiście podobałaby mi się ta wąska sierotka (podkreślam: jeśli), to raczej nie afiszowałbym się z nią na własnym przyjęciu zaręczynowym.

- Nie. Przypuszczam, że nie.

- Sama widzisz. Zachowujesz się jak mała, niedojrzała dziewczynka. Jak mogła w niego wątpić?

Oczy Phillipa zabłyszczały, gdy porwał Emily w ramiona. Przycisnął ją do siebie, podniósł, aż stanęła na palcach, i całował ją z nieposkromionym zapałem. Trzymał ją tak mocno, że nie mogła oddychać. Ani uwolnić się z jego uścisku.

Jego usta zlały się z jej ustami, a Emily nie była już w stanie powiedzieć, gdzie kończy się ona, a zaczyna on.

- Chodź ze mną, Emily, dziś wieczorem. Bądź ze mną.

- Phillipie - położyła dłoń na jego piersiach, opierając się - pamiętaj o swoim dobrym chrześcijańskim wychowaniu. Będę twoja już nie długo. Nic dobrego nie wyjdzie z wymykania się dziś z tobą.

- Poza zaspokojeniem mojego apetytu?

Ostry ton jego głosu ochłodził namiętność Emily.

- Phillipie, nie jestem pierwszą lepszą panienką z tancbudy. Przecież już niedługo będziemy małżeństwem.

- Przepraszam, masz rację. - Puścił ją i opadł na parapet okna. - Przepraszam, najdroższa.

- Mój Boże, co cię napadnie, kiedy będę już całkiem twoja i kiedy nie będziemy się już kłócić, tylko rozmawiać o słodkich głupstewkach. - Emily pochyliła się, żeby popatrzeć mu w twarz, z uśmiechem.

- Tak, no cóż... - Gapił się na cygaretkę, która dopalała się w jego palcach. Wyciągnął rękę do popielniczki ojca i zgasił ją. - Muszę już iść. — Wziął jej dłoń w ręce. — Ale, Emily, nie idź już więcej do Gaston Hotel. Są prawa, moja droga, prawa, których musimy przestrzegać, czy nam się podobają, czy nie.

A więc rozmowa zatoczyła pełne koło. Emily cofnęła rękę z jego dłoni i wycofała się za fotel ojca.

- Czy wiesz, dlaczego po południu spędziłam u panny Hayes tyle czasu? Ponieważ czułam, że jest dla mnie jak siostra. Jak gdybym znała ją całe życie.

- Nie wierzę w to, co słyszę. Co, do licha, miałoby cię łączyć z kolorową szwaczką?

- Moda i materiały. Książki. Muzyka. Jezus. Rozmawiałyśmy o jesiennych popołudniach i o tym, jak kochamy nasze rodziny. Nas obie smuć niesprawiedliwości w naszym mieście, skuci łańcuchem skazańcy, prawo głosu dla kobiet, segregacja rasowa. Rozmawiałyśmy o miłości, małżeństwie, dzieciach.

Phillip, śmiejąc się, otoczył Emily ramieniem i okręcił ją dookoła pokoju.

- W końcu mówisz z sensem. Małżeństwo i dzieci.

Słowa, które wypowiedziała, obudziły to, co drzemało w jej sercu. A wówczas Emily poczuła, że wobec Phillipa jest przezroczysta

i bezbronna. Choć znała go całe życie, nigdy nie zwierzała mu się ze swoich obaw i marzeń. Ani nie podzieliła się z nim swoimi przemyśleniami na temat świata, ludzi, wiary.

- Drżysz. - Phillip przystanął, jego głos złagodniał. Był nieco zdumiony.

- Phillipie, czy naprawdę chcesz się ze mną ożenić? - Zatrzymała swoją prawą dłoń zamkniętą w jego dłoni, a lewym ramieniem otoczyła jego szyję. - Czy my *naprawdę* się znamy?

- Emily, słodka Emily - objął dłońmi jej głowę i pocałował ją w czoło — jesteś wyjątkowa, Emily Canton. Oczywiście, że chcę cię poślubić. Ale muszę bronić własnych przekonań. Nie pozwolę, aby moja narzeczona chodziła do hotelu kolorowych albo współpracowała z kolorową szwaczką. Ludzie gadają. Psuje mi to interesy.

- Nie zmienię zdania. Panna Hayes, Taffy, uszyje dla mnie suknię ślubną. Phillipie, jej projekt jest piękny. To, co uszyła pani Caruthers, jest koszmarnie.

- Zatem jeśli nie dbasz ani o mnie, ani o siebie, pomyśl o pannie Hayes i staruszku Gastonie. - Phillip opuścił ręce, pozwalając Emily odejść. - Ludzie pomyślą, że łamiesz prawo, może nawet nastawiasz czarnuchów przeciwko białym.

- To śmieszne. Dlaczego miałabym coś takiego robić?

- Byłaś na spotkaniu sufrażystek, nieprawdaż?

- Sufrażystki nie chcą wszczynać zamieszek. - Emily chodziła szybko po pokoju. - Co się porobiło z ludźmi?

- Nic. Po prostu lubimy swoje granice i musimy myśleć o naszej społeczności i wspólnym dobru. Jako Phillip i Emily Saltonstallowie możemy przyczynić się do wielkiego postępu w Birmingham, o ile dobrze to rozegramy.

- Przepraszam cię, Phillipie. Nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo wpłynie to na ciebie i na twoje interesy. - Emily położyła głowę na jego ramieniu, a on gładził ręką jej plecy. - Nie pójdę już do Gaston Hotel.

- Dobra dziewczynka. - Phillip uniósł jej podbródek koniuszkiem palca i delikatnie musnął jej usta swoimi. - Przyszedłem tu wściekły, ale ty, Emily, sprawiasz, że wszystko puszczam w niepamięć.

Emily cofnęła się przed kolejnym pocałunkiem, tuląc policzek do jego piersi. Doświadczyła odrobiny nieba w towarzystwie krawcowej i nie zejdzie tej drogi. Skoro nie wolno jej pójść do Taffy, poprosi Dużego Mike'a, żeby przyprowadził ją tutaj. Na aleję Highland.

12.

### *Charlotte*

Charlotte obudziła się z głębokiego snu. Wyplątała się z pościeli i poszła do kuchni po szklanekę wody. Gdy wróciła do pokoju, usiadła na łóżku i obejmując dłońmi szklanekę, wpatrywała się w suknię wiszącą w kącie.

Zamrugła, by odpędzić resztki pozbawionej sennych marzeń nocy, i spojrzała spod przymrużonych powiek na pokój. Przez szparę pomiędzy zasłonami a ścianą do sypialni wpadały światła miasta, przyozdabiając pokój złotą ramą.

Wydawało jej się, że suknia, w jakiś niezrozumiały sposób, emanuje własnym blaskiem. Charlotte poprawiła poduszki za plecami i zawiesiła wzrok na sukni. Musiało jej się wydawać. Może to blask, który odbijał się od lustra, padł na manekin.

Ale przecież stał w kącie, daleko od okna. Daleko od lustra czy jakiegokolwiek innego źródła światła.

Upiła łyk wody. Kiedy wyjęła suknię z torby, Tim, bez dwóch zdań, wyglądał jak dzieciak, przyłapany na zbiciu szyby sąsiadów kijem.

Łzy napłynęły jej do oczu. On *naprawdę nie chciał* się z nią ożenić. Ale teraz Charlotte miała cel. Dowiedzieć się, do kogo należała ta suknia.



Kiedy Purpurowy znów przyjdzie do jej salonu, *jeśli* przyjdzie, Charlotte przycisnie go do muru.

- Jaka jest twoja historia, sukienko? - wyszeptła. - Skąd się wzięłaś i dlaczego mnie szukałaś? Jedna sierotka szuka drugiej? - Zeszła z łóżka i usiadła na podłodze. Muskała palcami jedwabisty materiał i czuła się, jakby spotkała nową przyjaciółkę.

Stary kufer, tamten człowiek w purpurze, magiczna złota suknia. Coś było na rzeczy. Ale co?

- Pomóż mi odnaleźć twoją pannę młodą.

Charlotte wyciągnęła się na podłodze, przy nogach łóżka. W pokoju unosił się zapach Tima. Odchyliła głowę, żeby wziąć długi, głęboki wdech. Ciężki, kwiatowy zapach nie należał jednak do Tima. Woń nie wypełniała pokoju. Unosiła się tuż przed jej nosem. Ciężka. Oleista. Naturalna.

- Boże, o co tu chodzi? - Charlotte przyciągnęła kolana do piersi i czekała.

O tym, że Bóg jest jej Ojcem Niebieskim, po raz pierwszy usłyszała na spotkaniu młodych, kiedy miała szesnaście lat - cztery lata po śmierci mamy. Wychowana bez ojca, uważała za niemożliwe i nieprawdopodobne, że będzie kiedyś miała kogoś, kogo mogłaby nazywać ojcem.

Ale ostatniego wieczoru, kiedy ktoś, dając świadectwo, zwrócił się do Boga jak do Ojca, coś w jej sercu się zmieniło. Poczowała ten sam zapach, który teraz unosił się w pokoju.

Tyle że wtedy zapach był gęstszy, cięższy, prawie przygniótł ją do ziemi. Uczepiła się siedzących obok niej dziewczyn, czując, że słabnie. Kiedy była już w stanie trzeźwo myśleć, zrozumiała, że Bóg jest jej Ojcem, i *uwierzyła*. Nie mogła wymarzyć sobie fajniejszego taty.

W tej samej chwili stanął przed nimi ktoś inny i powiedział, że jedyną drogą wiodącą do Ojca jest wiara w Jezusa i w Krzyż. *Nikt nie przychodzi do Ojca inaczej, jak tylko przez Mnie.*

Charlotte wcale nie była zachwycona tą perspektywą. Jezus? Krzyż? Krew i umieranie? Poświęcenie? To nie dla niej.

Podmuch zimnego powietrza z klimatyzatora przywrócił ją do teraźniejszości. Włączyła lampkę i postawiła szklanekę na stoliku nocnym. Już dawno nie myślała o tamtym wieczorze, podczas spotkania młodych. Ale było to cenne wspomnienie.

Gdy pastor Tony skończył swoje przesłanie, którego motto brzmiało „Kochajcie Jezusa”, i zapytał, czy ktoś chciałby Go poznać, Charlotte ruszyła do ołtarza. Po prostu zamknęła oczy, wyłączyła umysł i biegła, słuchając jedynie bicia swego serca.

Nie miała pojęcia, co oznacza *zbawienie*. Nie dbała o to. Czuła jedynie ogłuszającą pasję w piersi, dziki dygot nóg i to, że *Bóg* był jej Ojcem. *Witaj, Jezu, pokaż mi drogę.*

Tego zbawiennego lata piła, pożerała rzeczywistość Bożej miłości, żyła nią i *pragnęła* jej. Miała Ojca.

A Krzyż, który dawniej lekceważyła, był głównym dowodem wielkiej miłości Jezusa.

- Sukienko, znasz Boga? - Zaśmiała się łagodnie i wyciągnęła nogi tak, że czubki palców u stóp dotykały jedwabistego materiału sukni. - Nie. Sądzę, że nie.

Ale suknia wydawała się żywa. Już jej się podobała, choć nie rozumiała, dlaczego trafiła w jej ręce. Albo dlaczego mężczyzna w purpurze wręczył jej kwit sprzedaży z pieczętką *Ocalone*.

W środę, kiedy już minęła południowa gorączka i lunch z nową panną młodą i jej druhną, w salonie zapanowała cisza. Charlotte jadła kanapkę przy biurku, płacąc jednocześnie rachunki przez internet i sprawdzając skrzynkę pocztową.

Trzasnęły tylne drzwi. Charlotte podniosła głowę, nasłuchując.

- To tylko ja - powiedziała śpiewnie Bethany. - Przyniosłam suknie. Suknia dla Tawny jest gotowa. I dla dwóch jej drухen. - Głowa krawcowej pojawiła w drzwiach biura Charlotte.

- Jesteś niezrównana, Beth - uśmiechnęła się Charlotte. - Powiedz mi, jest szansa, że suknia będzie pasować bez poprawek?

- To możliwe. Ale w świecie kreacji ślubnych zawsze coś się zmienia. Gorset, spódnica, poduszeczki na ramionach. Wiesz, jak jest. Dlaczego pytasz?

- A gdyby tak suknia zachowała się w idealnym stanie przez jakieś sto lat? Zdarzyło się kiedyś coś takiego?

Bethany, wychylona przez ościeżnicę, zaśmiała się.

- No co ty, Char? Sto lat? - Uniosła brew. - Mówisz serio? Zależy, jak była przechowywana, ale nawet jeśli leżała w dobrych warunkach, to prawdopodobnie i tak coś będzie obszarpane albo pożółkłe.

- Tak właśnie myślałam. - Charlotte odepchnęła się od biurka i wraz z krzesłem przesunęła w stronę swojej torebki, wystającej z najniższej szuflady szafki na dokumenty.

- Czy potrafisz to skopiować? — zapytała, podając jedwabną saszetkę, którą Tim znalazł w kufrze. - Chciałabym wprowadzić coś takiego do sprzedaży.

Bethany odłożyła suknie, które trzymała na rękach, i sięgnęła po małą białą torebkę.

- Nie widuje się już takich. W starym stylu. Skąd ją masz?

- Znalazłam ją w starym kufrze. Razem z suknią ślubną, zachowaną w idealnym stanie, nigdy nie poprawianą. A przynajmniej nie zauważyłam żadnych śladów poprawek.

- Nigdy nie poprawianą? To prawdopodobnie nigdy też nie noszoną. Mówisz, że jest w nienaruszonym stanie?

- Jakby uszyto ją wczoraj.

Bethany uśmiechnęła się, a jej oczy mówiły: „Niemożliwe”.

- To prawdopodobnie *uszyto ją* wczoraj. Ale te torebki mogą zrobić, jasne. Ile chcesz?

- Na początek dziesięć. W różnych kolorach. Może zrób nieco inne dla panien młodych, inne dla druzhen, matki panny młodej, matki pana młodego. Chciałabym, żeby współgrały z sukniami. Można by też dodać jakieś monogramy, żeby pokazać, co da się z nimi zrobić.

- Już się za to biorę. - Bethany uniosła torebkę do światła. - Niezła robota. Jakie równiutkie szwy. Przypomnij mi, skąd to masz?

- Ze starego kufra. - Charlotte pominęła obecność Tima. Nie miała nastroju, by o nim rozmawiać. I tak będzie musiała się gęsto tłumaczyć, kiedy spotka Dixie.

- Tu coś jest - palce Bethany badały torebkę u dołu.

- Naprawdę? Szukaliśmy... to znaczy szukałam, ale niczego nie znalazłam.

Charlotte wzięła torebkę z ręki Bethany i pociągnęła górną tasiemkę. Wsunęła rękę do środka i wyczuła chłodną metalową tabliczkę. Wyjęła ją. Miała w rękach samotny nieśmiertelnik.

- Tego się nie spodziewałam. — Bethany zajrzała jej przez ramię, żeby lepiej przyjrzeć się identyfikatorowi. — Mój ojciec był w Wietnamie. Widziałam jego nieśmiertelnik dziesiątki razy, a ten wygląda zupełnie tak samo.

- Skąd się wziął w torebce? - Charlotte przysunęła się do lampki na biurku, żeby odczytać wygrawerowane imię.

- Niezła zagwozdzka. - Bethany wzięła torebkę i wycofała się z biura. - Zaniosę to na górę. Muszę zaraz jechać i odebrać dzieci, ale popracuję nad kopiażem torebki dziś wieczorem.

- Dzięki, Beth - Charlotte siedziała przy biurku z nieśmiertelnikiem w jej dłoni. Był zimny i gładki.

*Joel Miller 1271960 USMC-M Protestant*

Żołnierz miał imię. Suknia, na tę chwilę, również. Charlotte zacisnęła palce na niesmiertelniku, a łzy zaskoczyły jej oczy.

Joel Miller. Czy to on był mężem kobiety, która miała na sobie tę suknię? Czy TH to ona? Jeśli tak, jak się tego dowiedzieć?

Małeńki promyk radości zajaśniał w jej sercu. Bóg usłyszał jej modlitwę. Prowadził ją ku przeznaczeniu sukni.

Z rumieńcem na policzkach i z rozwianymi wiatrem włosami weszła Dixie, wybijając Charlotte z przemyśleń.

- Jak ja kocham swojego faceta - westchnęła i rzuciła torebkę na szafkę. - Był taki słodki, kiedy jedliśmy lunch. Mówił mi, jak docenia, że znoszę jego napięty plan zajęć, że stoję przy nim, obydam się bez różnych drobiazgów i nie narzekam. Odpowiedziałam: „Tak, oczywiście. Ciesz się, że kierownica w moim samochodzie nie może mnie cytować”.

Dixie opadła na krzesło obok biurka i pociągnęła łyk z butelki Charlotte.

- Co tam masz?

- Nieśmiertelnik. - Charlotte podniosła rękę i pozwoliła mu za-wisnąć.

- Był w torebce.

- A wiesz, Jared nie mógł uwierzyć, że otworzyłaś ten kufer tylko przy pomocy młotka i śrubokrętu. - Dixie studiowała nieśmiertelnik.

- Bethany powiedziała, że to wygląda dokładnie jak nieśmiertelnik jej taty. Był w Wietnamie.

- Mhm. Jak udało ci się otworzyć kufer?

- Zastanawiam się, kim jest Joel Miller...

- Ja też. Jak udało ci się otworzyć kufer?

- Śrubokręt i młotek, tak jak mówił Jared.

- Charlotte, Jared dobrze wie, że nie otworzyłaś kufra śrubokrętem i młotkiem.

Dixie potrafiła być męcząca.

- No dobrze. Tim przyszedł i przeciął zamek.

- Tim? Ten sam Tim, który cię rzucił?

- Mój przyjaciel Tim. Nie wredny, zły narzeczony Tim. Mój przyjaciel Tim ma narzędzia. Narzędzia z prawdziwego zdarzenia.

- Był tam, kiedy znalazłaś suknię? - Uśmiezek przemknął przez usta Dixie. Delikatne prychnięcie rozszerzyło jej nozdrza.

- No cóż, któż mógł wiedzieć...

Charlotte przeczytała jeszcze raz napisy na nieśmiertelniku. *Kim jesteś, Joelu Millerze? Czy nadal żył? Jeśli tak, ma pewnie jakieś... jakieś sześćdziesiąt, siedemdziesiąt lat? O ile był w Wietnamie.*

- O słodka ironio - powiedziała Dixie. - Tim pomógł swojej byłej narzeczonej odkryć tajemniczą suknię ślubną. Coś powiedział?

- Nic. Wyglądał na trochę spanikowanego, ale go zapewniłam, że nie ma w tym podstępu, nie próbuję go odzyskać. - Charlotte bawiła się nieśmiertelnikiem. - Chociaż wyglądał na trochę rozczarowanego.

- Że nie opracowałaś żadnego wielkiego misternego planu, żeby go odzyskać? Mój Boże, Tim Rose ma o sobie zbyt wysokie mniemanie. - Dixie wzięła kolejny łyk z butelki Charlotte. - Czy myślisz, że ten Joel Miller jest jakoś związany z suknią?

- Może, ale jeśli był w Wietnamie jako młody człowiek, to by znaczyło, że brał ślub w latach sześćdziesiątych, a suknia nie jest z tamtego okresu. Cały ranek spędziłam na szperaniu w necie i nie mogę

ustalić stylu i epoki sukni z kufra. Nie pasuje do 1912 roku. W tym czasie kobiety nosiły bogato zdobione, koronkowe suknie z wysokimi kołnierzeniami i długimi trenami. Inne nosiły prostsze suknie ze spódnicami kończącymi się na wysokości górnej krawędzi butów i długie tiulowe welony. W latach dwudziestych obowiązywał obniżony stan. Po tym jak z Bethany dziś popołudniu znalazłyśmy identyfikator, przejrzałam suknie od lat czterdziestych do sześćdziesiątych i moja suknia jest zdecydowanie zbyt... zbyt... wystawna? Nie mogę znaleźć odpowiedniego słowa. - Charlotte spojrzała na przyjaciółkę. - Dix, ta suknia jest boska. Poczekaj, aż ją zobaczysz.

- Panny młode po pierwszej wojnie światowej nie nosiły też torebek. Pamiętam jeszcze co nieco z wykładów z historii mody na uniwerku. A zwykle kobiety raczej nie nosiły sukien z jedwabiu i atlasu. Nosiły muślin lub bawełnę, niekiedy kaszmir. Przynajmniej do lat pięćdziesiątych. Dopiero po drugiej wojnie światowej jedwab i atlas stały się powszechne na ślubach. - Dixie wystawiła głowę z biura Charlotte, żeby sprawdzić, co dzieje się w salonie. - Cześć, Bethany. Pa, Bethany. Ta dziewczyna jest jak tornado, pojawia się i znika.

- Zrobi torebki, będziemy je sprzedawać razem z sukniami.

- Genialnie, szefowo. I co, przymierzyłaś ją?

- Suknię? Nie. I nie zamierzam.

- Żartujesz. Naprawdę? Jak możesz się oprzeć? Nawet mnie świerzbi, żeby ją przymierzyć, chociaż jestem mężatką.

Dixie znów sięgnęła po wodę Charlotte, tym razem jednak Charlotte chwyciła butelkę i kiwnęła głową w kierunku małej lodówki w kącie biura.

- Wiesz, że mamy cały zapas wody, prawda?

Dixie westchnęła, przewróciła oczami i odchyliła się, żeby otworzyć lodówkę.

- Dlaczego nie chcesz jej przymierzyć?

- A dlatego.

- Czyli dlaczego?

Charlotte ciągle bawiła się identyfikatorem. Łzy na chwilę zasłoniły jej oczy.

- Po prostu nie chcę. A co jeśli nigdy nie była noszona? Co jeśli została uszyta dla tej jednej, wyjątkowej panny młodej? Nie zamierzam tego zniszczyć.

- Na pewno ktoś ją przymierzał, szczególnie jeśli ta cholerna rzecz ma dziewięćdziesiąt lub sto lat.

- Moim zadaniem jest znaleźć kobietę, której ta suknia szuka. - Charlotte nie potrafiła wyjaśnić wyjątkowej, świętej czci, którą miała dla sukni. Ona zasługiwała na szacunek. Zasługiwała na coś więcej niż na niedojrzałą pannę młodą, która miałaby ją przymierzyć z lekceważeniem i pogardą. - Nie, ona nie jest dla mnie.

Nie, instynkt Charlotte zaprowadzi ją do właściwej panny młodej.

- To będzie jak szukanie igły w stogu siana, ale jeśli ktokolwiek miałby znaleźć dla tej sukni pannę młodą, to właśnie ty. - Dixie ścisnęła ramię Charlotte i otworzyła swoją butelkę wody. - A w międzyczasie, czego możemy się dowiedzieć o nieśmiertelniku?

- Wracam do Google'a - powiedziała Charlotte. Wyszukiwarka wnet dała odpowiedź. Nieśmiertelnik na pewno

nie był z pierwszej wojny światowej. Ani z drugiej — te były karbowane.

- Ostatnie takie nieśmiertelniki były wydawane w 1964 roku. Ten Joela Millera nie jest karbowany. Może pochodzi z ostatnich lat wojny w Wietnamie?

Charlotte wpisała „Joel Miller”. Był to jakiś początek. Na ekranie pojawiła się lista nazwisk. Charlotte przewinęła ją, mijając prawnika z Nowego Jorku, polityka i aktora. Ale kogo albo czego szukała? Kogo lub co chciała znaleźć?

U drzwi frontowych odezwał się dzwonek i Dixie ruszyła do wejścia.

- Szukaj dalej - powiedziała. - Ja zajmę się klientem.



Charlotte zawęziła poszukiwania. „Joel+Miller+Birmingham”. Znow listę nazwisk. Po przejrzaniu kilku stron jeszcze mocniej doprecyzowała zapytanie.

„Joel+Miller+USMC+Wietnam+Birmingham”.

Nieśmiertelnik budził wiele pytań. Jak trafił do torebki panny młodej? Czy Joel rzucił swoją narzeczoną przed ślubem? Charlotte wyobraziła sobie wściekłą, zranioną dziewczynę, przykładającą spawarkę do zamka kuфра.

Skoro tak, to czy suknię kiedykolwiek ktoś nosił? I dlaczego nieśmiertelnik został zamknięty razem z nią?

Google na pierwszym miejscu wyświetlił stronę pamięci poświęconą tym, którzy walczyli w Wietnamie. *Joelu Millerze, czy jesteś tutaj?*

Charlotte weszła na stronę, jej palce myliły się, gdy wpisywała nazwisko Joela, numer seryjny i stan, z którego mógł pochodzić. Lodowate uczucie zmroziło jej serce i powędrowało w dół, do żołądka.

Wstrzymując oddech i lekko trzymając palce na ustach, czekała na wynik wyszukiwania. Kiedy znalazła to, czego szukała, jej oczy zaszczyły łzami.

Joel C. Miller, korpus piechoty morskiej, porucznik, 02, 22 lata, urodzony 4 września 1946 w Birmingham, Alabama. Data śmierci: 14 kwietnia 1969.

*Och, Joelu Millerze.*

I był...

Żonaty.

Słowa na ekranie zlały się w jedno. Serce Charlotte zaczęło bić szybciej, kiedy kliknęła w zakładkę z informacjami. Wyjechał 11 września 1968. Zginął z rąk wroga 14 kwietnia 1969, w Quang Tri w południowym Wietnamie... Zginął na lądzie, ciała nie odnaleziono.

Nie odnaleziono. Nie odnaleziono. Co to znaczy? Zaginął? Umierał w samotności? Rozszarpało go na kawałki, więc nie dało się...

Litości. Panie, miej litość.

Kolejne kliknięcie odsłoniło liczne wpisy przyjaciół, rodziny i współtowarzyszy z piechoty.

„Byłem tam z tobą w dniu, w którym zginąłeś. Nigdy o tobie nie zapomnę - J.C. Semper fidelis”.

„Myślę o tobie, Miller. Pamiętasz, jak zdobyliśmy mistrzostwo baseballu na ostatnim roku? Zaraz przed wstąpieniem do piechoty”.

Dixie wróciła. Oparła się o biurko i pochyliła, by spojrzeć na monitor. Kucyk opadł jej na ramię.

- Znalazłaś coś?

- Zabili go. - Charlotte spojrzała na Dix. - I miał żonę. Dixie wyprostowała się, oczy jej błyszczały.

- A ona włożyła suknię do kufra i zapieczętowała.

- Też mi się tak wydaje. Posłuchaj jego biografii, Dix. Joel należał do Honorowego Stowarzyszenia Wojskowego na Uniwersytecie w Północnej Karolinie, do Stowarzyszeń Semper Fidelis oraz Scabbard and Blade. Był baseballistą.

- Jest zdjęcie?

- Nie ma.

Zaczął ją pociągać ów mężczyzna, którego nigdy nie spotkała. Wyobraziła sobie schludnego, szczupłego żołnierza piechoty morskiej o stalowym spojrzeniu.

Kiedy przeglądała kolejne strony z kondolencjami, oczy zaszły jej łzami. Szukała śladu kobiety, która go kochała. Tej, która włożyła jego nieśmiertelnik do jedwabnej torebki, zanim zapieczętowała go na zawsze.

Na ostatniej stronie były tylko trzy wpisy. Jeden z nich przykuł jej uwagę. Został zamieszczony trzy tygodnie temu, 14 kwietnia, w rocznicę śmierci Joela Millera.

„Minęło już ponad czterdzieści lat, a ja nadal o tobie myślę. Nie zapomniałam. Tęsknię za tobą, Joelu C. Nie jestem pewna, czy moje serce kiedykolwiek zostało uzdrowione. Z miłością, Twoja Żona”.

- Rety, wpisała się. - Dixie zrobiła krok w tył i głośno nabrała powietrza w płuca. - Wyobrażasz to sobie? - Podała Charlotte chusteczkę.  
- Wojna jest do kitu.

- Śmierć ogólnie jest do kitu. - Charlotte osuszyła łzy pod oczami i patrzyła na ekran. Z przerażeniem coś sobie uświadomiła. - Dix, 14 kwietnia pojechałam na wzgórze i wylądowałam na aukcji Ludlowów.

- Tego dnia kupiłaś kufer.

Charlotte zerwała się z krzesła, a jej myśli zaczęły układać się w całość.

- A więc wdowa, pogrążona w żałobie od czterdziestu kilku lat, zamieszcza wpis na stronie Joela tego samego dnia, kiedy ja kupuję kufer z suknią ślubną (być może jej suknią ślubną) i z jego nieśmiertelnikiem.

- Dreszcz mnie przeszedł. — Dixie wzdrygnęła się i przetarła dłońmi ramiona.

- Czy zostawiła jakiś adres e-mailowy? - Charlotte przejrzała wpis kobiety. - Tak, zostawiła.

Charlotte kliknęła na link i wpisała w temat wiadomości: *Czy zapieczętowała Pani czterdzieści lat temu kufer z nieśmiertelnikiem Joela?*

- Charlotte, przestań, nie możesz tego zrobić. - Dixie odciągnęła jej rękę od klawiatury. - Ona może nie chcieć z tobą rozmawiać. Albo wracać do wspomnień o Joelu. Miała jakiś powód, by włożyć ten nieśmiertelnik do kufra i zaspawać go.

- To dlaczego dopiero co wpisała się na jego ścianie pamięci? To oczywiste, że nie boi się myśleć o nim albo o nim czytać. - Charlotte przewinęła stronę w górę, by zobaczyć wpis, który poprzedzał wpis żony Joela. - Minął ponad rok, odkąd ktokolwiek inny coś tu zamieścił. *Ona* wpisała się trzy tygodnie temu. - Charlotte wróciła do swojego e-maila. — Myślę, że chce jakoś do niego dotrzeć. Tęskni za

nim. Suknia pewnie należała do jej matki albo babki, miała ją na sobie w dniu ślubu.

- Tak, potem umarł, a ona zamknęła wszystkie wspomnienia w kufrze. Charlotte, fakt, że coś napisała, nie oznacza, że chce, byś rozgrzebywała jej przeszłość. Która na dodatek wygląda na dość bolesną.

Charlotte westchnęła i usiadła głęboko w krześle, spoglądając na Dixie.

- Nienawidzę, kiedy masz rację. - Przeczesała palcami włosy i ponownie spojrzała na monitor. - Muszę to wysłać, Dix.

- Wiem, że musisz.

- Charlotte nacisnęła „Wyślij”. Teraz mogła tylko czekać. I modlić się, by przypadkiem nie otworzyła zapieczętowanego grobowca, który obudzi wspomnienia złamanego serca.

13.

W mieszkaniu unosił się aromat czosnku i bazylii. Jeszcze chwilę temu Charlotte i Dixie siedziały przy stole nad pustymi miskami po spaghetti i sałatce. Dixie wybierała się do kina z siostrą Jareda. „Jesteś pewna, że nie chcesz iść z nami?”

„Nie, dzięki. Ostatni raz, gdy wybrałyśmy się gdzieś we trójkę, wasze ostre jak brzytwa żarciki rozniosły mnie na strzępy”.

Charlotte zdążyła już posprzątać w kuchni. Zaparzyła sobie herbaty i poszła do salonu. Przyniosła z sypialni manekin z suknią i ustawiła tuż przy kanapie. Usiadła i wycelowała pilotem w telewizor.

- Sukienko, to jest telewizja. Czy widziałaś już wcześniej telewizję? Kupa bzdur o terażniejszości.

Charlotte przeskoczyła kilka kanałów, w przelocie mijając filmy o palantach, którzy zdobywali boskie kobiety o nierealistycznie idealnych biustach.

Co jakiś czas jej wzrok biegł ku sukni. Mogłaby przysiąc, że się ruszała. A nawet migotała. Charlotte wyłączyła telewizor i obróciła się twarzą do sukni, siedząc ze skrzyżowanymi nogami na kanapie.

- No to co? Opowiedz mi historię, która kryje się w twoich ściegach.

E-mail, który wysłała do żony Joela Millera, wrócił z automatycznym raportem, że taki odbiorca nie istnieje. Charlotte przyjęła to ze zdziwieniem - przecież post został opublikowany zaledwie trzy tygodnie temu.

Czyżby „Twoja Żona” zlikwidowała swoje konto zaraz po tym, jak umieściła wpis na ścianie pamięci? Charlotte sączyła herbatę, rozważając wszystkie opcje i starając się znaleźć sposób, by dowiedzieć się, kto kochał porucznika Joela Millera i tęsknił za nim.

Próbując wyobrazić sobie poszczególne elementy tej układanki, zawiesiła nieśmiertelnik na szyi manekina, na którym znajdowała się suknia. Spoczął na jedwabiu, tuż poniżej linii dekoltu.

Wstała i podeszła do manekina, stanęła naprzeciw niego i palcami stóp podniosła rąbek spódnicy. Spódnica opadła na jej stopy.

Może gdyby przymierzyła, sukienka pasowałaby na nią. Może. Ale nie miała odwagi przymierzyć. Jej serce nie potrzebowało marzyć o ślubie ani o niesamowitej sukni, skrywającej jakąś historię. Charlotte odsunęła się. To pewnie drugie albo trzecie pokolenie, suknia była zapewne przekazywana z matki na córkę. Ponadczasowy styl i wytrzymały materiał były niewiarygodne.

Potrzebowała jeszcze jakiejś wskazówki. Nie była jednak dobra w rozwiązywaniu tajemnic. Nienawidziła gier. Mama je uwielbiała - zawsze wygrywała.

Mogłaby obdzwonić wszystkich Millerów w Birmingham z książki telefonicznej. Ale to zajęłoby jej miesiące. Na czterech stronach tłoczyło się ponad tysiąc Millerów. Szukała oczywistego wyboru, Joela Millera lub Joela C. Millera. Może byłby to ojciec albo syn. Ale w całym Okręgu Jefferson nie było żadnego Joela Millera.

*Och, a może w kufrze będzie coś jeszcze?* Charlotte pobiegła do sypialni i uknęła na podłodze. Jeden po drugim, wyciągała kawałki

bibuły, wygładzała je, składała i odkładała na jedno miejsce. Wymacała ręką dno, tak jak Tim, opukała boki z gładkiego, wonnego cedru. Kiedy nic nie znalazła, zadzwoniła do Bethany.

- Czy znalazłaś w torebce coś jeszcze?

Nie, nic więcej. Charlotte zajrzała do płóciennej torby, w której była suknia. Nic. Potrząsnęła nią, jakby nici celowo stanęły jej na drodze do znalezienia odpowiedzi. I wtedy, pod wpływem impulsu, sięgnęła ręką głęboko do środka i przewróciła torbę na drugą stronę.

Prostokątna wizytówka zawirowała w powietrzu i opadła na podłogę tuż przy jej stopie. Była w kolorze wyblakłego różu, w rogach miała wytłoczone płatki magnolii, a pośrodku wysokie litery. *Sławna Wytwórnia Ciast Pani Lewis. Druga aleja. Śródmieście Birmingham.*

Pani Lewis. Charlotte przejechała palcem po literach. Znała to miejsce. Narożny budynek w pięknym stylu. Tim zajmował się jego przebudową.

Teraz na parterze mieściły się biura, a na piętrze mieszkania. Charlotte poważnie rozważała kupno jednego z nich, ale ostatecznie znalazła sobie coś w Homewood.

Wybrała numer Tima, nie zastanawiając się nad konsekwencjami. Potrzebowała odpowiedzi. Chciała wiedzieć, co o tym myślał.

- Pamiętasz ten budynek przy Drugiej alei, który adaptowałeś? Pokazywałeś mi go w Nowy Rok, kiedy byliśmy w śródmieściu.

To była cudowna noc, ich szósta randka, ale pierwszy pocałunek. Stali wówczas pod sznurem czerwonych, niebieskich, zielonych i pomarańczowych świateł.

- Pamiętam - odchrząknął.

- Nie było tam wcześniej piekarni?

- Tak. Sławna Wytwórnia...

- Ciast Pani Lewis. Zgadza się. Gert kiedyś mi o niej mówiła.

- Moja babcia pracowała tam po ogólniaku. Lewisowie mieli jeszcze piekarnię. Ale skąd to nagle zainteresowanie panią Lewis?

- Znalazłam jej wizytówkę w kufrze. W tej płócienniej torbie

- Charlotte pomachała wizytówką w powietrzu, jakby Tim mógł ją zobaczyć.

- Akcja się komplikuje. - Teraz jego głos był spokojny.

- Tim, och, przepraszam. Nie zapytałam nawet, czy nie jesteś zajęty. Jesteś? - Charlotte opadła na łóżko. Zraniona czy nie, rozmowa z nim zawsze była dla niej jak powrót do domu.

- Powiedziałbym ci, gdybym był. Myślisz, że suknia należała do pani Lewis?

- Dobre pytanie. Do jej córki albo wnuczki. Aha, mam jeszcze nieśmiertelnik.

- Nieśmiertelnik?

- Tak, wiem, istne szaleństwo. Znalazłam go w torebce. Charlotte streściła mu całą historię, na co Tim zagwizdał i powiedział:

- No, no... Niesamowite. Przeszukałem tę torebkę, ale niczego nie znalazłem. Dziwne.

- Tim, czy byłbyś w stanie dowiedzieć się, kto był ostatnim właścicielem budynku wytwórni ciast? Albo odnaleźć kogoś, kto tam pracował? Czy są jakieś dokumenty w miejskich archiwach?

- Na pewno. W archiwach jest mnóstwo informacji o sprzedaży i kupnie. Zobaczę, co da się zrobić.

- Jesteś moim bohaterem. Daj znać, jak się czegoś dowiesz.

- Choć powiedziała to żartem, odczuła ciężar własnych słów. Nie takie były jej intencje. Odkasznęła, przejechała stopą po wypolerowanej drewnianej podłodze i zastanawiała się, jak zakończyć tę rozmowę. - Dzięki. Zadzwoń, jeśli czegoś się dowiesz. Albo napisz maila. Nic pilnego. Wiem, że jesteś zajęty.

- Sprawdzę jutro.



Charlotte rozłączyła się. Wróciła do salonu i wetknęła wizytówkę cukierni za szarfę okalającą talię sukni. Opadła na kanapę i wymierzyła telefonem w suknię.

- Pomogę ci odnaleźć drogę do domu. Zobaczysz.

### *Emily*

Na piętrze w domu Cantonów Emily stała na stołku w samych pantalonach i gorsecie, a Taffy Hayes wkładała jej przez głowę niedokończoną suknię. Matka stała w bojowej pozycji, z rękoma skrzyżowanymi na piersiach i zasznurowanymi ustami.

Okna płonęły w chwale zachodzącego słońca, które ocieplało październikowe chłodne powietrze w pokoju.

- Po prostu uwielbiam patrzeć na materiał przy skórze dziewczyny. - Szczupłe, ciemne dłonie Taffy układały i podpinały wszystko szybko i zręcznie. - Co pani myśli, pani Canton? Ten atłas w kolorze kości słoniowej ślicznie pasuje do karnacji panienki Emily i do głębokiej, orzechowej barwy jej włosów.

Taffy przemawiała z szacunkiem, przyjemnie i delikatnie. Nie jak ta hałaśliwa, arogancka Caruthers.

Kiedy Taffy się odsunęła, Emily zobaczyła swoje odbicie w lustrze. Dokładnie tak wyobrażała sobie siebie jako pannę młodą. Suknia była lekka, naturalnie leżała na ramionach. Okrągły dekolot biegł tuż nad obojczykami. Suknia nie zaczynała się pod podbródkiem, nie odcinała jej dostępu powietrza.

Spódnica, a raczej to, co Taffy do tej pory wymodelowała, z przodu ledwie dotykała butów, zaś tył opadał dookoła, tworząc niewielki tren.

- Planowałam upiąć spódnicę w dwóch miejscach, o tak. - Taffy złożyła kawałek materiału. - Takie drapowanie nada spódnicy nieco charakteru i głębi. Górę odciąłam pod biustem, by podkreślić panienki figurę - uśmiechnęła się delikatnie - i wyszyłam ją perłami.

- A z czego będzie górna część sukni? - Ton matki był protekcyjny, Emily posłała jej ostre spojrzenie.

- Z tego samego materiału, co dół, ale wyszywana. Rękawy również. Kocham pracować w jedwabiu. Pani Canton, panienka Canton jest piękna jak Dziewczyna Gibsona", a nawet powiedziałabym, że piękniejsza, z tymi gęstymi włosami i figurą w kształcie klepsydry.

- Suknia jest piękna, Taffy - powiedziała matka. - A przynajmniej to, co na razie widzę.

- Cieszę się, że się pani podoba. Nie szyłam... - Taffy zacisnęła usta. - Nie szyłam na ślub od jakiegoś czasu.

- Jakiego koloru suknie szyłaś dla kolorowych panien młodych, Taffy?

- Emily! - Matka opuściła ręce, dotąd skrzyżowane na piersi. Emily spojrzała na odbicie matki w lustrze.

- Nie chcę nikogo obrazić. Po prostu nigdy nie spotkałam żadnej kolorowej dziewczyny.

- Kolorowe dziewczęta, które stać na suknię ślubną, a nie ma ich wiele, lubią biały atłas albo taftę. Niektóre wybierają kolor kości słoniowej. Większość idzie do ślubu w swojej odświętnej sukni, w której co niedziela idą do kościoła. Jeśli mają trochę pieniędzy, biorą ślub w nowym kostiumie.

W jej głosie nie było zazdrości. Po prostu spokojnie, bez wahania opowiadała, jak wygląda życie kolorowych dziewcząt w Birmingham.

**\* Personifikacja ideału piękna kobiety z przełomu XIX i XX wieku, wymyślona przez amerykańskiego rysownika Charlesa Dana Gibsona (przyp. tłum.).**

- Większość biednych dziewcząt w tym mieście bierze ślub w niedzielnych sukniach - powiedziała matka, jak gdyby chciała umniejszyć wydźwięk wyznania Taffy. — Nie tylko kolorowe.

- Nie powiedziałam nic, co by temu przeczyło, pani Canton.

- Taffy zrobiła krok w tył, zbierając połyskujący materiał. - Pod panem Saltonstallem ugną się kolana, kiedy zobaczy panienkę idącą do ołtarza.

Matka przejechała dłonią po spódnicy. Uniosła opuszczoną w tym momencie górę sukni.

- Wygląda mi raczej na suknię wieczorową. - Jej spojrzenie powędrowało w dół, ku prostej spódnicy. - Może będziesz mogła przebrać się w nią na wesele.

- Matko, nie...

- Emily, teraz nie możemy podziękować pani Caruthers.

- Caroline Caruthers? To wspaniała krawcowa. Uczyła nas ta sama kobieta, Madame Sinclair.

- Widzisz, matko? - Emily pogładziła dłonią jedwabną talię.

- W sukni pani Caruthers czuję się, jakbym niosła na ramionach ciężar całego świata. Uduszę się w niej. Zemdleję na ramieniu ojca.

- Emily, przestań dramatyzować. - Matka podeszła do drzwi.

- Taffy, proszę wybaczyć nam. Chciałabym porozmawiać przez chwilę z córką.

- Tak, proszę pani. - Taffy ruszyła do drzwi z miarą zawieszoną dookoła szyi, wpinając szpilki w poduszczkę przywiązaną do nadgarstka.

- W kuchni jest mleko i tort. Powiedz Molly, że cię przysłałam na dół. Kiedy Taffy wyszła, Emily zeszła ze stołka.

- Nie chcę tego słuchać, matko. Wiem, co powiesz.

- To dlaczego tak się zachowujesz?

Emily podeszła do okna. Nie była pewna, czy potrafi odpowiedzieć na to pytanie. W ogrodzie pod jej oknem rosło drzewo, pod którym dwa miesiące temu zaskoczył ją Daniel.

Odkąd spotkała go u Newmana, myślała o nim od czasu do czasu. Były to tylko wspomnienia, odpychała je. Ale z każdym kolejnym oddechem zdawała sobie sprawę, że za nim tęskni. W tym dniu, w przymierzaniu sukni od Taffy było coś, co wzbudziło w niej tęsknotę za nim.

Kiedy patrzyła na Taffy, gdy słuchała, jak mówi, czuła więź z tą kolorową kobietą. Czuła, że łączy je nie tylko wspólna wiara w Jezusa, ale również poczucie, że jest... w potrzasku. Uwięziona przez swoją warstwę społeczną, przez oczekiwania, jakie inni mają wobec niej.

- Emily - matka dotknęła jej ramienia i pochyliła głowę, by spojrzeć jej w oczy - powiedz mi, kochanie, o czym myślisz? Masz taki wyraz twarzy...

Emily uśmiechnęła się i zastukała w szybę okna.

- Pamiętasz, jak się tu przeprowadziliśmy? Jak Howard Junior i ja rozkopaliśmy ogród, żeby zbudować fort?

- O Boże, pamiętam. - Matka położyła dłoń na policzku. - Właśnie przyjęto mnie do klubu ogrodniczego i to miało być moje pierwsze przyjęcie dla jego członków. Trawnik, który szykowałam na konkurs, róże, wszystko doszczętnie zniszczone.

- Byliśmy przerażeni. - Emily zaśmiała się, pokazując na daleką wierzbę. - Schowaliśmy się tam i zastanawiali, uciekać czy nie. Wiedzieliśmy, że ojciec obedrze nas ze skóry.

Matka uśmiechnęła się.

- Ale żadne z was nie myślało o tym poważnie. Wiem, że nie.

- Powiedziałaś ojcu, że już się tym zajęłaś. I przy kolacji posłał nam tylko surowe spojrzenie i przypomniał, żebyśmy się zachowywali, że mieszkamy teraz wśród ludzi.

- O tym nigdy nie możemy zapominać. Szczególnie teraz musisz o tym pamiętać, Emily. Czy to nasze towarzystwo cię martwi? Nasi przyjaciele?

- Przyznaję, matko, że wygląda to tak, jakbyście ty i Phillip, nawet ojciec, próbowali mnie dopasować, żebym spodobała się towarzystwu. — Emily odsunęła się od okna, szeleszcząc jedwabiem. — To mój ślub. Chcę mieć na sobie suknię, która mi się podoba. Nie obchodzi mnie, czy krawcowa szyła dla dziewczyn Woodwardów lub Campbellów. Ani czy jest kolorowa.

- Teraz ty mnie posłuchaj. — Matka zastukała obcasami po pokoju. - Pójdiesz do ślubu w sukni, którą uszyła pani Caruthers, koniec dyskusji. Gdy tylko ślub się skończy, możesz przebrać się w suknię, którą szyje Tarły.

Emily spojrzała w lustro, wzdychając. Poniosła porażkę.

- Matko, czy jesteś szczęśliwa?

- Irytujesz mnie nieco w tej chwili. - Lekki ton matki przeczył jej słowom i minie.

- Czy jesteś z ojcem szczęśliwa? Policzki matki poróżwiały.

- A nie wyglądam na szczęśliwą?

- Czy kiedyś cię zdradził?

Matka nabrała gwałtownie powietrza w usta.

- Litości, dziewczyno, o co ty pytasz. Oczywiście, że nie. - Szarpała się z atłasem i jedwabiem udrapowanym wokół Emily. - Emily, twój ojciec i ja jesteśmy ulepieni z tej samej gliny. Towarzyszył mi na balu debutantek i nie wydaje mi się, żeby kiedykolwiek odstąpił mnie na krok. Ta suknia rzeczywiście *jest* urocza. Ma w sobie taką grację. Taffy chyba szyła ją złotymi nićmi.

- Czy myślisz, że jestem ulepiona z tej samej gliny co Phillip Saltonstall? Czy on jest takim samym człowiekiem jak ojciec?

- Jest wpływowym człowiekiem z wpływowej rodziny. Uwielbia cię, Emily. Jestem z ciebie bardzo dumna i szczęśliwa z twojego powodu. To dobra partia. Korzystna dla ciebie, dla naszych rodzin. Nawet dla Howarda Juniora. Ty i Phillip będziecie nie lada parą w Magicznym Mieście. W rzeczy samej, rozmawiałam z Delią Bran ton z klubu brydżowego. Zamierza wraz z córką wziąć udział w spotkaniach sufrażystek, ze względu na ciebie. Jeśli przyszła pani Saltonstall wierzy w prawa wyborcze kobiet, to ona też uwierzy.

- Jakie to głupie. Byłam zaledwie na kilku spotkaniach. Nie jestem nawet pewna, czy w to wierzę. Powinna wierzyć w jakąś sprawę, ponieważ tak podpowiada jej serce, a nie ze względu na przyszłą panią Saltonstall.

Czyli od teraz była odpowiedzialna za przekonania i czyny innych?

- Och, moja droga, wdałaś się w ojca. - Matka zmiękła, jej uśmiech był pełen miłości. - Jesteś czasami taka bezpośrednia. Wierz mi, będziesz szczęśliwa z Phillipem. Będzie wspaniałym mężem. Jest bardzo przystojny, nie sądzisz?

- Matko, widziałam go z inną kobietą. - To wyznanie otworzyło zawór w jej sercu. - Tego dnia, kiedy po raz pierwszy poszliśmy do pani Caruthers, kiedy wychyliłam się przez okno domu towarowego.

Rozmyślała o Phillipie i Emmeline już od jakiegoś czasu. Wieczorami wzywały ją listy Daniela schowane pod łóżkiem. Ale nie mogła ich przecież czytać, skoro nie życzyła sobie, żeby Phillip był zaangażowany w związek z inną kobietą. Czyż listy miłosne nie były tym samym? Zaangażowaniem się w związek z kimś innym? Z Danielem? Nawet jeśli wszystko działo się jedynie w zaciszu jej serca?

- Dobry Boże, Emily. Phillip zna wszystkich. Ma dwadzieścia osiem lat i przyjaciół w całym mieście.

- To ta kobieta, która była na naszym przyjęciu zaręczynowym z Herschelem Wainscotem. Emmeline Graves.

- Emmeline Graves? Toż ona ledwo oderwała się od matczynej piersi. Nie masz się czego obawiać. Taki mężczyzna jak Phillip szuka kobiety, nie dziewczęcia.

- Pani Canton, panno Canton - zawołała Taffy zza zamkniętych drzwi - czy mogę wejść? Jeśli panienka Molly ugości mnie z taką dobrocią jeszcze jednym kawałkiem ciasta i szklanką mleka, mogę zostać tu na zawsze.

- Proszę, wejdź. Jesteśmy gotowe. A teraz, proszę, przerób to na wieczorową suknię dla Emily. - Matka podeszła do drzwi. - Pójdę zobaczyć, jak biegna przygotowania do uroczystego obiadu.

Taffy zabrała się do pracy, patrząc, jak Emily wchodzi na stołek.

- Przerób to na suknię wieczorową, Taffy.

Czarnoskóra kobieta pracowała przez chwilę w milczeniu, podpinając i mierząc.

- W co też się panienka wpakowała?

- Nie wiem, o czym mówisz.

- Od czasu do czasu Pan daje mi nocne wizje...

- Sny?

- Sny... tak. Widzę suknie. Widziałam suknię córki pana Gasto-na kilka lat temu. Noc przed tym, jak mnie panienka odwiedziła, też widziałam suknię. Kiedy się obudziłam, narysowałam ją. Teraz ma ją panienka na sobie.

- Taffy, co to może znaczyć? - Emily pochyliła się z drżącym sercem, żeby spojrzeć jej w oczy.

- Nie mam pojęcia. Mogę tylko zgadywać, że niebo będzie panience musiało zesłać odwagę, żeby włożyła panienka tę suknię.



14.

*Daniel*

Było późno. Piątkowy wieczór. Po długim, ciężkim tygodniu na uniwersytecie Daniel zjawił się w restauracji Włoski Ogród, rad, że przy stoliku w rogu czekają na niego przyjaciele. Kiwnął na głównego kelnera i ruszył w ich kierunku.

- Danielu - Ross uściskał mu dłoń. - Myśleliśmy, że już o nas zapomniałeś.

- Północ, Ross? Nie możesz znaleźć bardziej przyzwoitej godziny, żeby się spotkać? — Daniel zajął miejsce i przywitał się z mężczyzną po prawej. - Alex, czy możesz mu przemówić do rozumu?

- Nie, ty przyjaźnisz się z nim dłużej, powinieneś być mądrzejszy. - Alex uśmiechał się, klepiąc Daniela po plecach. - A poza tym teatry dopiero co opustoszały. Filharmonia też. - Kiwnął w kierunku frontowych drzwi restauracji. - Lada chwila wszystkie piękne panny powinny pojawić się w tych drzwiach.

- Zapewne nie same. - Daniel ledwo spojrzał na parę wchodzącą do restauracji i sięgnął po kartę dań. - Umieram z głodu.

Po całym tygodniu zajęć piątkowy wieczór spędził nie w towarzystwie delikatnej, uroczej damy, ale próbując doprać swoje ubrania.

Był wykończony. Ale jego współczucie dla „słabszej” płci, która zajmowała się tak żmudnymi pracami domowymi na co dzień, wzrosło. Ross wyrwał kartę z rąk Daniela.

- Może towarzyszą im ojcowie, bracia, wujowie. Nie miej tak ciasnego umysłu, Ludlow.

- Będę miał to na uwadze, jeśli w drzwiach zjawi się dziewczyna tak cudowna, że na jej widok moje serce zapomni o żołądku. - Wyrwał mu swoją kartę, znów ją otworzył i zaczął czytać. *Jeśliby weszła Emily Canton...* - Ale ostrzegam, żołądek jest dla mnie bardzo ważny.

- Jak tam, stary, upływa życie w Ridley House? - zapytał Alex.

- Przyzwóicie. Pewna starsza pani z ochotą piecze dla mnie ciasteczka. Zostawia mi je pod drzwiami, żebym mógł przekąsić, kiedy wracam z instytutu.

- No proszę. Nie potrzebujesz żony. - Alex ruchem ręki przywołał kelnera. - Woda i trochę chleba na początek. Proszę nam dać minutkę, byśmy się mogli namyślić.

- Umierasz z głodu, Al? - Ross odłożył swoją kartę dań.

- Kazałeś mnie i Danny'emu czekać prawie do północy, żeby coś zjeść, Ross. A co myślałeś? Zjadłbym konia z kopytami.

Ross potarł dłonie.

- Zamierzam pochłonąć duży talerz spaghetti z klopsikami, a potem tańczyć z najśliczniejszymi dziewczynami w tej dziurze, dopóki słońce nie wzejdzie nad Red Mountain.

- Nie tańczę z takimi, co mają dwie lewe nogi. - Alex oparł się wygodnie, wyciągnął fajkę z kieszeni marynarki i wsunął jej koniec do ust, nie zapalając. - Nieważne, czy jest ładna. Musi wiedzieć, jak się tańczy.

Daniel uśmiechnął się szelmowsko.

- Z tą fajką wyglądasz jak twój ojciec.

- Boże, nienawidzę mieć dwudziestu trzech lat. Szkoda, że nie słyszeliście, jak zwracają się do mnie starsi pracownicy banku. Jakbym jeszcze miał mleko pod nosem. Kiedyś jeden poklepał mnie po głowie.

Ross roześmiał się, odchylając się wraz z krzesłem do tyłu.

- Poczekaj, aż przyjdzie twój czas. Za kilka lat to ty będziesz klepał nowych kasjerów po głowach.

- Mam nadzieję, że jednak nie - odpowiedział Alex i wsunął fajkę do kieszeni. — To poniżające.

- A co tam u ciebie i Georgette, Alex? Myślicie już coś na poważnie? - Daniel zamknął swoją kartę, zdecydowawszy się na linguini. Odsunął się, żeby zrobić miejsce kelnerowi, który postawił na stole koszyk z chlebem i szklanki z wodą.

- Tak mi się wydaje. Ale czy ja wiem? Skąd mam wiedzieć, która to ta jedyna? — Alex wziął kawałek chleba z koszyka i odgryzł połowę. Spojrzał na chłopaków i próbował mówić, żując: - Ostrzegałem, że jestem głodny.

Daniel wziął kawałek chleba i położył na swoim talerzu.

- Jeśli znajdziesz odpowiedź na swoje pytanie, daj mi znać.

- Głowa do góry, kolego, są inne kobiety poza Emily Canton. - Ross wyciągnął szyję, żeby zobaczyć dziewczynę siedzącą przy sąsiednim stoliku. - Tamta, jaka ślicznotka.

Daniel nawet nie silił się, by spojrzeć na wybór Rossa. Każda dziewczyna w sukni była dla niego ślicznotką. Smarując chleb masłem, od niechcienia rozejrzał się po sali. Włoski Ogród był delikatnie oświetlonym, romantycznym miejscem; włoska kapela grała piosenki ze swojej ojczyzny. Ale o północy restauracja przeradzała się w jaskinię ragtime'u i jazzu. Wypatrzył w pobliżu kilka pięknotek, ale większość z nich była w męskim towarzystwie.

- Nie mogę uwierzyć, że rzuciłeś baseball dla Emily, a ona rzuciła cię dla Saltonstalla - Alex pokiwał głową. - Chłopie, nie zazdroszczę ci.

- Co gorsza, kolumny towarzyskie w „News” i w „Age-Herald” odnotowują każde źdźbło trawy, które zdeptali swoimi stopami. - Ross zrobił zęza, spoglądając na swój nos, i uniósł brodę. - Pan Phillip Saltonstall i jego narzeczona, panna Emily Canton, byli obecni na kolacji w domu Strasburgów na Red Mountain, wydanej z okazji ich zaręczyn. Panna Canton miała na sobie uroczą suknię wieczorową, uszytą z...

- Stary, bądźże człowiekiem. Tak, wiemy. Umiesz czytać. - Daniel wepchnął kawałek chleba do ust i uderzył Rossa w ramię.

Od czasu zaręczyn Emily unikał przeglądania kolumny towarzyskiej, a nawet stron poświęconych biznesowi, gdzie często pisano o Saltonstallach. Albo o Howardzie Cantonie.

- Znasz Saltonstalla? - zapytał Alex, a jego głos zdradzał zaintrygowanie.

- Nie osobiście. Tylko o nim czytałem. Słyszeliście, że kopalnie Saltonstalla mają ze wszystkich kopalń najwyższy wskaźnik umieralności skazańców wykorzystywanych do pracy przymusowej? O tym jakoś nie piszą w tych cudownych gazetach. Dlaczego nie zaczniesz tego drażnić? - Daniel spojrzał w stronę Rossa.

- Jeśli nie ma tego w gazetach, to skąd o tym wiesz?

- Przyjaciel ojca jest strażnikiem w jednej z tych kopalń - odpowiedział Daniel.

- Kiedy ma się takie pieniądze - Alex oderwał kolejny kawałek chleba, trzymając łokcie na stole - wszystko ujdzie ci na sucho.

- To na pewno. - Ross obrócił się, gdy zaczęła grać muzyka, i pstrykał palcami to rytmu.

- Patrząc na to wszystko, zaczynasz myśleć, że kobiety naprawdę powinny mieć prawo głosu - powiedział Daniel, próbując przebić się przez muzykę.

Ross znów spojrzał na niego.

- Teraz gadasz od rzeczy, Ludlow.

- Mówię tylko, że *może* w ruchu sufrażystek jest jakiś sens.

Sięgnął po kolejny kawałek chleba, powstrzymując się przed zjedzeniem pozostałych kromek. Nauki matki, która latami wpajała mu dobre maniery, zapadły w nim głęboko.

- Alex, wołaj doktora. Choroba miłosna zamroczyła Ludlowowi mu umysł. - Ross postukał się w skroń.

- Tak bym chciał, żeby jakaś dama przyszła i zamroczyła mi umysł - dodał Alex, wsuwając chleb do ust i próbując zwrócić na siebie uwagę kobiety siedzącej przy sąsiednim stole.

- Nie jestem ani zamroczony, ani chory z miłości - odpowiedział Daniel. — Jestem człowiekiem myślącym.

- Stary, no co ty - zadrwił Ross.

Ich żarciki krążyły wokół stołu, w tę i z powrotem, od sufrażystek po sport i wyniki Baronów w końcu sezonu. Kiedy kelner zjawił się z zamówionymi przez nich daniami, Ross rozsiadł się wygodnie i poklepał po brzuchu.

- Wspaniały Angelino, a może by tak kolejkę *vino!*

- Oczywiście, panie Kirby.

Kelner oddalił się. Oliwkowa skóra, ciemne oczy i gęste włosy zdradzały jego włoskie korzenie.

Daniel wziął do ręki widelec i nawinał nań porcję makaronu, wdychając aromat czosnku i pomidorów. Pierwszy kęs - gorący i pyszny - rozgrzał jego kości i pobudził emocje. Ale rozmowa o Emily sprawiła, że jeszcze bardziej za nią tęsknił. Dziesiątki razy szedł do kabiny telefonicznej w Ridley House, żeby zamówić połączenie z Cantonami, ale rozłączał się, zanim w słuchawce odezwał się głos telefonisty z centrali.

- Dziś zmusimy cię do tańca, Ludlow. Będziesz kręcił się jeszcze po parkiecie z jakąś pięknoscia w ramionach. Zobaczysz. - Ross kroił swoje klopsiki.

- Już to słyszałem.

- Nic tak nie pomaga zapomnieć o dziewczynie jak inna dziewczyna.  
- Chyba że o tej pierwszej nie da się zapomnieć. Ross spojrzał znacząco na Alexa.

- Mówiłem ci, stary, tu trzeba lekarza. Nasz mały Danny jest chory z miłości.

Daniel uciszył swój niepokój, ładując kolejną wielką porcję makaronu do ust i uśmiechając się leniwie do kolegów. Ross był jego najlepszym przyjacielem, odkąd złożyli ślubowanie w bractwie Phi Delta w czasach uniwersyteckich. Bardziej niż ktokolwiek, dzięki Bogu, rozumiał rozterki Daniela związane z Emily. To jemu po powrocie z pierwszej randki wyznał: „Ożenię się z tą dziewczyną”.

Ross wysłuchał wówczas jego zwierzeń. Nie parsknął śmiechem i nie nazwał go głupcem. Nawet teraz, w obecności Alexa, nie przywołał tamtych niemądrych, skazanych na porażkę pomysłów. Rozmowa przy kolacji odpłynęła w stronę pracy - studentów Daniela i jego posady w instytucie, pracy dziennikarskiej Rossa w „Birmingham Age-Herald” i bankowych aspiracjach Alexa - by w końcu powrócić do prawdziwych tęsknot męskich serc.

- Jediną kobiecą rzeczą, której ostatnio dotknąłem, był skrawek rękawiczki, gdy podawałem jej w banku pieniądze przez okienko. - Alex przystawił widelec do ust, dając mu przesadnego całusa. - Jak mi idzie, chłopcy? Myślicie, że pamiętam jeszcze, jak to się robi? Co ma zrobić mężczyzna w dzisiejszych czasach, żeby umówić się z jakąś dziewczyną?

- Mieć pieniądze - chlapanął Daniel, zanim pomyślał. Ale nie żałował swoich słów. To pieniądze pozwoliły wygrać Saltonstallowi rękę Emily Canton.

- Danny, spójrz na to w ten sposób. Jeśli pieniądze wystarczą, by zdobyć Emily, to co z niej za dziewczyna? Kim ona jest, tak głęboko,

w duchu? Jaką byłaby żoną i matką? Co by się stało, gdyby nagle spotkały was jakieś trudności? Pierwszy lepszy wytwornis, który by się napatoczył, skradłby jej serce, podczas gdy ty zaharowywałbyś się na śmierć, żeby związać koniec z końcem. — Ross dźgnął powietrze widelcem, a jego włosy wyswobodziły się z niewoli brylanty-ny i opadły mu na czoło. - Nie, nie, lepiej ci będzie bez niej, stary. Uwierz mi. Dobrze, że dowiedziałeś się teraz, jakiego rodzaju kobietą jest Emily.

- Ale o to właśnie chodzi, że Emily, którą znałem, *nie wyszłaby* za męża dla pieniędzy.

- Chciała, żebyś tak myślał, stary. Tak to widzę...

Rozmawiali dalej, śmiejąc się, rozważając, czy któryś z nich ożeniłby się dla pieniędzy, miłości, urody. Skoro kobieta mogła wyjść za męża dla pieniędzy, do dlaczego mężczyzna nie miałby żenić się dla urody?

- Im gość ma więcej na koncie bankowym, tym jego narzeczona jest urodziwsza. Tak już ten świat jest zbudowany - powiedział z naciskiem Alex. - Widzę to każdego dnia.

Temat miłości jakimś cudem przerodził się w rozmowę o sporcie. Dyskusji towarzyszyła serenada brzęczących kieliszków i brzdęków srebra stołowego o porcelanowe talerze, przesycona zapachem topiącego się wosku świec, czosnku, gorącego chleba i ciężkiego wina.

Ciepło roznoszące się po sali, wraz z muzyką i śmiechem, zapadło w Daniela i podniosło go na duchu. Ross i Alex okazali się lepszymi przyjaciółmi, niż on ostatnio był dla nich. Mieli rację. Emily nie była jedyną piękną, dobrą, mądrą, kochającą dziewczyną w Birmingham.

Tyle że... Daniel przechylił kieliszek i wlał w siebie ostatnią kroplę wina. Tyle że melodia jej śmiechu nadal w nocy kołysała go do snu. Była w samym sercu wszystkich jego marzeń i planów. Czasem, kiedy podnosił wzrok znad prac studentów, które sprawdzał przy wieczornej lampie, czuł, jakby tylko połowa jego serca biła.

Kelner zebrał talerze z ich stołu. Ross zaczął rozwodzić się nad swoimi życiowymi planami i nad tym, co mógłby zrobić dla swojej przyszłości. Daniel rzucił spontanicznie, że mógłby dalej się kształcić, może ubiegać się o profesurę. Interesowała go polityka.

A jednak, niezależnie od tego, jak mocno starał się wyobrazić sobie swoją przyszłość, zawsze na drodze stawała mu twarz Emily.

Alex, w samym środku swojej tyrady na temat pięcia się po szczeblach bankowej kariery, nagle zagwizdał, nisko i wolno, pokazując głową w kierunku drzwi.

- A to ci dopiero farciarz. Z kroju garnituru wnoszę, że nadziany. I w towarzystwie bogini, nie kobiety. Muszę zdobyć w końcu pieniądze, żeby się tak obnosić.

- Głowa do góry, Alex, pieniądze nie są... - Daniel urwał, kiedy spojrzał w stronę drzwi i zobaczył mężczyznę w cylindrze i smokingu. Całe światło z restauracji skupiło się na jego twarzy. - To Saltonstall

- wyszeptał.

Co on tu robił po północy? I to z *nią*? Nie widział ich na ulicy od dnia, w którym rozmawiał z Emily u Newmana i powiedział jej o nich. Jego ojciec i brat, obaj policjanci, nie widzieli ich również ani nie słyszeli o tych niebywałych spotkaniach Phillipa Saltonstalla.

- Saltonstall? Ojciec czy brat? - Ross przechylił się, żeby mieć lepszy widok.

- To nie brat. Ani ojciec. — Daniel szybko odwrócił się i usiadł plecami do drzwi. Co za podła szumowina. - To Phillip.

- Phillip? Narzeczony twojej dziewczyny? - wyszeptał Alex o wiele za głośno, wstając i wyciągając szyję, żeby zobaczyć go lepiej.

- Więc to jest Emily? Stary, nie dziwię się, że jesteś chory z miłości. Na twoim miejscu też byłbym.

- To *nie jest* Emily. - Daniel odsunął swój kieliszek i sięgnął po wodę. Jego usta były suche niczym pustynia, a bicie własnego serca doprowadzało go do granic wytrzymałości.



- Jesteś pewien, że to Phillip? Mówiłeś, że nie znasz go osobiście... — Ross znów spojrzął na drzwi.

- Nie, osobiście nie. Ale to on. - Daniel oparł dłonie na stole i wstał. Linguine w jego żołądku zamieniło się w cement. Wszystkie jego ruchy były powolne i sztywne. Nie mógł jednak pozwolić, żeby to oszustwo uszło Saltonstallowi na sucho. - I czas najwyższy, bym go poznał.

- Co zamierzasz zrobić? - zapytał Ross.

- Nie wiem.

Daniel ruszył pomiędzy stoliki przykryte kraciatymi obrusami, na których stały długie, smukłe świeczniki.

Kelner prowadził właśnie Phillipa i towarzyszącą mu kobietę przez przyćmioną salę. Przez chwilę Daniel rozważał, czy nie zaufać Phillipowi i nie spojrzeć na tę sytuację z jego strony. Może rzeczywiście kobieta, z którą widział go na ulicy, była przyjaciółką albo kuzynką. A jednak sposób, w jaki trzymał rękę na jej biodrze, mówił coś zupełnie innego. Zbliżając się do nich, Daniel odchrząknął.

- Paul... Przepraszam, Paul. To ja, Daniel.

Phillip przystanął. Obejrzał się za siebie, kładąc rękę na nagim ramieniu kobiety i pieszcząc je.

- Paul, nie pamiętasz mnie? - Daniel uśmiechnął się szeroko i podał mu dłoń.

- Obawiam się, że nie. Pomyliłeś mnie z moim bratem. - Phillip mocno uściskał dłoń Daniela.

- Tak, oczywiście, Phillip. Wybacz. Daniel Ludlow.

- Baseballista Baronów? Widziałem, jak rzucasz.

- Naprawdę? - W każdej innej sytuacji pochlebiłoby mu to. Ale nie dziś. - Mam być dumny czy skulić się i odejść ze wstydem? - Daniel zaczepił kciuki o kieszenie kamizelki, kłaniając się w kierunku kobiety. Była piękna, smukła, miała jasną cerę, krystalicznie niebieskie oczy i rubinowe usta.

- Być dumny. Rzuciłeś piłkę nie do odbicia - powiedział Phillip z nieskrywanym podziwem.

- Był to zatem dobry mecz - odpowiedział i zwrócił się w stronę kobiety. - Przepraszam, że państwu przeszkodziłem.

- Nic nie szkodzi - odpowiedziała z wytworną jankeską dykcją.

- Rzeczywiście, Phillip i Paul są do siebie podobni. Obaj tacy przystojni. - Wtuliła się w Phillipa. Daniel spodziewał się, że ten zeszywnieje albo się odsunie, ale on tylko przygarnął ją bliżej.

- Chodźmy, moja droga - powiedział odwracając ją w kierunku czekającego kelnera i otwartych drzwi do prywatnej sali bocznej.

— Stolik na nas czeka.

- Miło mi było poznać - Daniel schylił się, by pocałować jej palce - panno...

- Graves. Emmeline Graves. *A więc ma na imię Emmeline.*

- Mam nadzieję, że kiedyś uda nam się poznać bliżej.

- Oczywiście. Phillipie, może pan mógłby się do nas przyłączyć? Zachichotała, gdy Phillip obejmując ją i pomalutku prowadząc do prywatnej sali, odpowiadał na jej propozycję suchym szeptem.

Daniel, wróciwszy do stolika, szarpnął swoim krzeselkiem tak, że nogi zastukały o kamienną posadzkę. Zespół grał jakiś wolny kawałek.

Alex spojrzał na niego znad karty z deserami.

- Czy z bliska jest równie zjawiskowa?

- Nieomal idealna. - Daniel zerknął na miejsce, gdzie przed chwilą spotkał Phillipa i Emmeline. - Ale on to wyrachowany firecyk.

- Co zamierzasz zrobić, stary? - Mina Rossa była równie mroczna jak sala. — Siedzieć tu i narzekać?

- Musisz jej powiedzieć. Znaczy się Emily. — Alex walnął pięścią w stół. - Bądź jej bohaterem. Zdobądź ją ponownie. Powiedz jej, za jakiego drania wychodzi.

- Ona już wie.

- Wie? To dlaczego z nim jest? — Alex powiedział to zbyt głośno, kiwając ręką na przechodzącego kelnera. — Trzy kawałki toru czekoladowego, proszę.

- Widziałem ich razem kilka miesięcy temu na rogu Dziewiętnastej w niedwuznacznej sytuacji. I to w jasny dzień. I wtedy wpadłem na Emily. Okazało się, że też go widziała. Zapytała mnie, czy Phillip ma kochankę. Powiedziałem, że tak. Nazwała mnie kłamcą. - Daniel omiół spojrzeniem twarz przyjaciół. — Mam jej powiedzieć o dzisiejszym wieczorze? Ona nie chce mnie wiedzieć. To ją tylko upokorzy, a ja na tym nic nie zyskam. „Witaj, Emily. Byłem wczoraj wieczorem z Alexem i Rossem i widziałem Phillipa z niezwykle piękną kobietą o imieniu Emmeline. Chciałabyś pójść ze mną do kina?” - Daniel pokręcił głową i wsunął place w swoje kędzierzawe włosy. — Nie, nie mogę jej tego zrobić.

Ale musiał coś zrobić, cokolwiek. *Panie, co powinienem zrobić?*

- Chyba masz rację. Tak nic nie zdołał.

- To na pewno. - Daniel był w potrzasku. Cholera, gdyby nie... - Mogę jedynie mieć nadzieję, że się dowie, co?

- Modlić się, żeby sama się dowiedziała - powiedział Alex. Daniel usiadł wreszcie, rozmyślając na wydarzeniami dzisiejszego

wieczoru. Niespodziewanie ciepły uśmiech zagościł na jego twarzy. Gdyby posłuchał siebie, zostałby dziś wieczorem w domu i poczytał. Ale on uległ naleganiom Rossa, żeby wyjść i się zabawić. Daniel poklepał przyjaciela po ramieniu:

- Mam u ciebie dług, stary. Za to, że mnie tu dziś przyprowadziłeś.

Czasem los sam prowadzi człowieka we właściwe miejsce we właściwym czasie. Czasem robi to dobry przyjaciel. Ale jeszcze częściej, zamyślił się Daniel, jest to działanie Opatrzności Bożej i Jego nieskończonej łaski.

*Charlotte*

Zza ściany- dało się słyszeć brzdęk filiżanek. Pani Pettis nalegała, że zrobi herbatę.

- Czy mogę w czymś pomóc? - zawołała Charlotte, przechylając się przez oparcie podniszczonej kanapy. Uderzyła kolaniem o ostrą krawędź stolika do kawy. Cały pokój, od ściany do ściany, był zastawiony meblami. Charlotte nie miała pojęcia, jak starsza mistrzyni cukiernictwa mogła się po nim poruszać, nie wpadając na krzesło albo stół.

Długi, wąski pokój pachniał cytrynowymi landrynkami. Koronkowe zasłony zwisały bez życia z okien, a przyszarzałe koronkowe serwetki zdobiły oparcie każdego fotela i kanapy.

Naprzeciwko miejsca, które zajmowała Charlotte, Tim zapadł się w wysłużonym fotelu z wysokim oparciem.

Skorzystał ze swoich kontaktów i odkrył, że ostatnim właścicielem Sławnej Wytwórni Ciast Pani Lewis była Aleta Pettis. Tim zadzwonił do niej w poniedziałek rano, a już popołudniu tego samego dnia Charlotte jechała z nim międzystanową numer 20 do Irondale.

- Na pewno nie masz mi za złe, że tu jestem? - zapytał, podnosząc się z miękkiej poduszki i siadając na krawędzi siedziska.

Wzruszyła ramionami, przyglądając się sielskim widoczkom na ścianie. Trochę miała za złe, ale...

- Możesz zobaczyć owoc swojej pracy. - Spojrzała na niego badawczo. Wręcz nalegał, że zawiezie ją do pani Pettis. Ale co tak naprawdę tu robił? Czy aż tak interesowała go suknia ślubna?

Przez głowę przelatywały jej skrawki dzisiejszej rozmowy z Dix. „Ostrożnie, Char, bo zaczniesz ci się wydawać, że on jeszcze coś do ciebie czuje”.

„A skąd wiesz, że nie czuje?”.

„Dixie podniosła rękę Charlotte, na której od pewnego czasu nie było już zaręczynowego pierścionka”. „Dowód numer jeden”.

„To ja oddałam mu pierścionek. On o to nie prosił”.

„Oczywiście, że nie. Ma dobre serce. Nie można odwołać ślubu i poprosić o zwrot pierścionka w ten sam wieczór. Trzeba trochę odczekać”.

„Dixie, on nie chciał odwoływać zaręczyn”.

„Zaręczyn nie, tylko ślub. Charlotte, obudź się. Jeśli nie chce cię za żonę, to nic do ciebie nie czuje. Żaden mężczyzna nie puszcza wolno dziewczyny, której naprawdę pragnie”.

„Skąd wiesz?”.

„Jared. Wygadał się w podróży poślubnej. Opowiedział, jakie zasady panują w męskim świecie”.

Charlotte odsunęła się więc nieco, by być jak najdalej od Tima. *Jeśli nie chce cię za żonę, to nic do ciebie nie czuje.*

- No to, dzieci, proszę. Herbata. Och, i ciastka. Zapomniałam o ciastkach. - Pani Pettis pogroziła palcem w powietrzu i ruszyła z powrotem do kuchni. - Przykro mi, ale nie są domowej roboty. Musiałam porzucić pieczenie. Gdzie są te ciastka? - Drzwi szafek kuchennych otwierały się i zamykały.

Tim powąchał swoją herbatę.

- Wydaje się miła.

- Masz na myśli „bezpieczna”? - Charlotte wciągnęła przez nos gorący, słodki zapach świeżo zaparzonej herbaty. - Tim, nie wierzę, by pamiętała tort, który upiekła w 1968 roku. Albo w 1967. Czy kiedy ten Joel Miller miał ślub.

- Masz nazwisko. To zawęzi poszukiwania.

- Nazwisko pana młodego. Naprawdę wierzysz w to, że będzie pamiętała pana młodego? Najprawdopodobniej nigdy go nie spotkała.

- Po prostu zapytajmy i zobaczymy, co odpowie. Wiara. Upór. Może dlatego z nią tu przyszedł.

- Proszę bardzo. Ciasteczka. - Pani Pettis trzymała w ręku paczkę herbatników spiętą gumką. Zachwiała się i wyciągnęła rękę, by chwycić się krzesła. - Od czasu do czasu tracę równowagę.

Zdjęła z paczki ciastek zieloną gumkę i wytrząsnęła zawartość na porcelanowy talerzyk, pasujący do filiżanek, z takim samym wyblakłym wzorem gipsówki.

- To mówicie, że chcecie się czegoś dowiedzieć o wytwórni pani Lewis?

- Tak, proszę pani. — Charlotte ostrożnie położyła filiżankę i podstawek na kolanach i sięgnęła po wizytówkę. - Znalazłam to w starym kufrze, razem z suknią ślubną i nieśmiertelnikiem.

- Ojej — pani Pettis przejechała palcami po wypukłym wzorze na wizytówce - nie widziałam tego od lat. - Kiedy podniosła oczy, widać było, że się zaszklily.

- Pani Pettis, czy mówi coś pani nazwisko Joel Miller? To nazwisko z identyfikatora, który znalazłam. Czy to pani krewny? A może był mężem pani córki?

- Nigdy nie miałam córki. A mój syn nazywa się Pettis, oczywiście. Nie znam żadnych Millerów. A przynajmniej nie Joela. Choć oczywiście moja pamięć nie jest już taka jak dawniej.

- Zmarł w 1969 roku. Zginął w Wietnamie.

- Mój Boże, to bardzo smutne.

- Czy myśli pani, że mogła pani piec tort na jego ślub? Z daty urodzenia i śmierci wnioskuję, że mógł brać ślub mniej więcej w '68 roku.

- Tak, to możliwe. W dawnych czasach robiłam mnóstwo tortów ślubnych. Najpierw jako pracownica, później jako właścicielka cukierni. Mieliśmy naprawdę wielu klientów. Oczywiście wszyscy znali nasze imiona, ale my uśmiechaliśmy się tylko i nazywaliśmy wszystkich

Jimmy. Nawet kobiety. - Pani Pettis zasłoniła ręką usta i zaśmiała się, przeżuwając ciasteczko. - Czy wiecie, że policzyłam, ile ciast upiekłam w ciągu mojej czterdziestoletniej praktyki? Dwieście dwadzieścia tysięcy. Matko, prawie się zadławiłam, jak to policzyłam.

- A ile ślubnych tortów? - Charlotte chciała oszacować szanse na to, że to właśnie pani Pettis upiekła ciasto weselne Joela Millera. Może to doprowadziłoby ją do panny młodej. W jaki sposób, Charlotte nie miała pojęcia. Jeśli wybada ją, zada wystarczająco dużo pytań, może coś zaświta jej w głowie.

- Och tak, tortów było jakieś dwadzieścia tysięcy - zachichotała. — Pomyślałam sobie wówczas, że coś osiągnęłam. Nie czułam się wcale, jakbym robiła coś ważnego. Robiłam przecież coś, co każda kobieta mogła zrobić w swojej kuchni. Ale byłam z tego dumna. Z uwagą przygotowywałam każdy placek i tort. Kocham piec. To był taki smutny okres, kiedy cały interes wyniósł się z centrum miasta. Wszystkie te wspaniałe budynki, wielkie sklepy, jak dom towarowy Lovemana albo Pizitz... po prostu zamknęły się i zniknęły, jak gdyby nigdy nie istniały.

- Czy chciałaby pani zatrzymać tę wizytówkę, pani Pettis?

- Charlotte zaoferowała kobiecie pozostałości po dniach jej chwały. Z drżeniem ręki sięgnęła po wizytówkę, a jej oczy zabłyśły.

- A teraz, dzieci, co mogę dla was zrobić? Pobieracie się?

- Nie, nie - odpowiedziała Charlotte. - Tylko się przyjaźnimy.

- Mieliśmy się pobrać, ale...

- Tylko się przyjaźnimy - storpedowała go wzrokiem.

- Zdradził cię, złotko? - Pani Pettis sięgnęła po kolejne ciastko.

- Przepraszam, chłopcze, ale wyglądasz mi na takiego, co zdradza. Wiesz, przystojni mężczyźni z długimi włosami z reguły zdradzają.

Charlotte chciała się roześmiać, ale Tim wyglądał raczej na zaskoczonego. Dostał za swoje.

- Nie zdradził, pani Pettis. Po prostu uznał, że nie jest gotowy na małżeństwo. Ma dopiero trzydzieści dwa lata. - Ciasteczka wyglądały coraz lepiej. Charlotte sięgnęła po jedno. - Po tym jak złamał mi serce, odczekał całe dwadzieścia cztery godziny, zanim poszedł z kimś na randkę.

- To nie była randka. Tylko kolacja ze znajomą.

- No proszę - powiedziała pani Pettis.

- Z była narzeczoną. - Charlotte uśmiechnęła się porozumiewawczo do starszej pani. Porozumienie kobiet. Podobało jej się to, jak Tim się zwijał.

- No proszę, proszę - pomachała nagryzionym ciastkiem w kierunku Charlotte. - Trzeba uważać na tych długowłosych przystojniaków, mówię ci. Za moich czasów było to samo.

- Czy możemy skupić się na tym, po co tu przyjechaliśmy? - Tim przeczesał włosy, chwycił filigranową filiżankę swoją wielką dłonią i natychmiast ją odstawił. - Pani Pettis, czy mamy szansę dowiedzieć się czegoś o Joelu Millerze? Z kim mógł się ożenić? Pamięta go pani? Był żołnierzem, z piechoty morskiej.

- Mówicie, że zginął na wojnie? Tylu dobrych ludzi nie wróciło z wojen. Mój brat zginął na wojnie. Starszy. Mój ojciec nigdy później już nie był tym samym człowiekiem. Wrócił do domu ze stalowni, usiadł w swoim fotelu i przeczytał gazetę, a później poszedł na werandę, przechylił się przez poręcz i gapił się daleko za ogród sąsiada, jakby czekał, aż jego syn wróci do domu. Czasem myślę, że tęsknił bardzo za tym, żeby z nim być, z dala od śmierdzącej stalowni. Umarł jakieś dziesięć lat później. Zjadła go praca, tak jak wielu ludzi z kopalni. Kiedyś nad miastem unosił się pierścień smogu. Pamiętacie to jeszcze, dzieci? Chyba jesteście za młodzi. Moja matka nie mogła nawet powiesić ubrań na sznurku, żeby się nie osmałyły.

- Pani Pettis - Tim wstał - dziękujemy, że poświęciła nam pani swój czas. Charlotte, muszę wracać do biura.



Jakiego biura? Charlotte kazała mu wzrokiem usiąść z powrotem.

— Nie wiem, czy wiecie, ale moja stara cukiernia jest teraz biurem.

- Tak, a na pierwszym piętrze są mieszkania - powiedział Tim, zapadając się znów w fotelu.

— No cóż — pani Pettis wciągnęła powietrze nosem. - Zastanawiam się, czy da się nadal wyczuć zapach pieczonych ciast w starych ceglach. Mówiliśmy kiedyś, że pieczenie jest aromatem nieba. - Zaśmiała się, wędrując aleją swoich wspomnień wraz z ludźmi, którzy żyli już jedynie w jej sercu. - Dekorowaliśmy budynek na Boże Narodzenie. Świątecznymi ozdobami i cukierkami. Mieliśmy małe zawody z Newberry's i Cukierkami Mary Bali. To w śródmieściu toczyło się życie. Oczywiście w czasach, o których mówicie, były ogromne napięcia rasowe. Zaczęło się robić niebezpiecznie. Pamiętam bomby w kościołach i policjantów szczujących ludzi psami. Ale te dni są już za nami. Alleluja.

Charlotte zerknęła na Tima. Pani Pettis nie pomoże im, prawda?

- Dziękuję pani jeszcze raz, pani Pettis. - Odniosła filiżanki do kuchni. Kiedy wróciła, stanęła obok Tima przy drzwiach. - Bardzo miło było nam panią poznać.

Podupadła nieco na duchu. Teraz co? Gdzie szukać Joela Millera? Wynająć detektywa? Nie zrobiła tego nawet, żeby odnaleźć ojca.

- Pani Pettis, musimy już jechać. - Tim ujął klamkę. Charlotte wzięła swoją torbę, po raz ostatni spoglądając na starszą panią.

— Szkoda. Mam cały strych pełen archiwów z piekarni, sięgających aż do 1939 roku. Wasz Joel Miller i jego narzeczona pewnie by tam byli.

— Jak ci się podobał ten numer? - Tim stał na najwyższym stopniu wąskich schodów prowadzących na strych. Odsuwał na bok pudła,

żeby zrobić przejście. - Och, dzieci, nie pamiętam żadnego klienta, na wszystkich mówiliśmy Jimmy. A tak przy okazji, mam na strychu archiwa obejmujące jakieś sześćdziesiąt lat.

- Przestań. Boli cię po prostu, że powiedziała, że mężczyźni tacy jak ty są niewierni.

- Powiedziała, że mężczyźni, którzy *wyglądają* jak ja, są niewierni. - Tim kopnął pudełko, żeby utorować sobie drogę.

- Jasne, wyżyj się na pudle.

- Tu jest za gorąco. Czy możemy po prostu znaleźć - podszedł do półek załadowanych pudłami - to, czego szukamy, cokolwiek to jest, i wyjść?

- Ty możesz iść, kiedy tylko chcesz, Tim. A ja poszukam faktury albo czegoś z nazwiskiem Joela Millera i jego narzeczonej. Idź, jeśli musisz.

- A czym wrócisz?

- Autobusem... Taksówką... - Charlotte rozejrzała się po pomieszczeniu. Małe okrągłe okienka po obu stronach strychu wpuszczały wystarczająco światła, by mogli coś dojrzeć. Tim przedzierał się między meblami, żeby włączyć podłogową lampę, stojącą przy szerokim wiklinowym fotelu bujanym. Wyglądała, jakby była od Tiffanego.

- Spójrz na lewo, Tim. Nie jest to czasem Victrola? I radio Westinghouse.

- Mój dziadek miał takie w garażu. - Tim w zamyśleniu pokręcił gałkami radia.

Stare garnitury, wypłowiałe suknie i płaszczyki z kieszeniami wypchanymi szalikami i rękawiczkami wisały na sznurku rozpiętym między dwiema belkami stropu.

- A ludzie się zastanawiają, czy podróże w czasie są możliwe. Powinni przyjść tutaj. - Charlotte rozpięła firmowy żakiet Malone & Co., zdjęła go i przewiesiła przez poręcz schodów. — Myślę, że to, czego

szukamy, jest na tych półkach. — Wskazała najdalszą ścianę. Kiedy się rozejrzała, zobaczyła, że Tim patrzy na nią. — Co? — Odepchnęła na bok pudło z poskładanymi ubraniami.

- Kiedy powiedziałem pani Pettis, że zamierzaliśmy się pobrać, nie chciałem cię przygnębić.

- Czy możemy po prostu poszukać tych dokumentów? - Charlotte ruszyła w stronę półek. — Te pudła wyglądają bardzo oficjalnie, prawda?

- Też tak sędzę. — Tim przemierzył pokój i ściągnął pierwsze pudło z dolnej półki. - Tak, archiwa cukierni, i to z datami. Na tym jest rok 1959. - Zdjął pokrywę i wyciągnął fakturę. - Grudzień 1959. Wszystkie są z 1959 roku.

- W takim razie poszukajmy 67, 68 i 69. Zobaczmy, czy uda nam się odnaleźć tam Joela Millera. - Charlotte sięgnęła ręką daleko na prawo, dwie półki nad podłogą.

Na pudle, które wyjęła, widniał rok 1967. Postawiła je na podłodze i przykłęknęła.

- O matko, sporo tego upiekła. - Tim spojrział przez ramię z miejsca, w którym przeglądał półki. - Znalazłaś coś?

- Może - odpowiedziała Charlotte, przebierając palcami między fakturami. — Są ułożone według miesięcy.

Tim sięgnął po pudło z rokiem 1968.

- Czuję się tak normalnie z tobą. Zapomniałem, że... wiesz. Ze zerwaliśmy.

- Postaraj się o tym pamiętać, dobrze? - Faktury z każdego miesiąca były poukładane alfabetycznie. - Wygląda na to, że poukładała zamówienia na torty weselne według nazwisk panien młodych.

- Ale nie znamy nazwiska panny młodej. Charlotte spojrzała w górę i uśmiechnęła się.

- Ale znamy nazwisko pana młodego, a pani Pettis zapisywała je pod nazwiskiem panny młodej.

- No to wygraliśmy. Spróbujmy więc odnaleźć Joela Millera...  
Charlotte, a jeśli pani Pettis nie piekła dla nich tortu?

- Ciii. Nie mów tego głośno. Zapeszysz.

Charlotte przewertowała dokumenty z lipca i sierpnia 1967 roku. Nic.

- Czy to przez nią? - zdobyła się na odwagę, żeby zapytać, ale nie patrzyła na Tima.

- Przez nią? Co masz na myśli? Charlotte westchnęła. Głośno.

- Przez Kim? Nie, nie odłożyłem naszego ślubu przez nią — odpowiedział, naśladując jej intonację. - Mówiłem ci, że zadzwoniła dopiero po naszej... rozmowie. Muszę po prostu wyjaśnić parę spraw, Char.

Odwróciła twarz ku niemu. Jego niebieskie oczy wpatrywały się w nią spod ciemnych brwi i miała wrażenie, że patrzą jej prosto w serce.

- Przepraszam, że cię zraniłem. Naprawdę.

- Wierzę ci. - Charlotte wróciła do przeszukiwania swojego pudła.  
-Ale to koniec. Życie toczy się dalej. Lepiej odkryć, że nie jesteśmy dla siebie stworzeni, przed ślubem niż po.

Dlaczego nie umiała być na niego zła? Albo przynajmniej trzymać go na dystans? Znowu odrobina jego łagodności roztapiała jej determinację.

Tim zdjął pokrywę z kolejnego pudła.

- Nigdy nie powiedziałem, że nie jesteśmy dla siebie stworzeni. Myślę, że pasujemy do siebie. Tylko...

- Tim, przyjechaliśmy tutaj żeby dowiedzieć się, z kim ożenił się Joel Miller. Ograniczmy się do tego. - Charlotte wróciła do faktur. Tak jakby mogła przeczytać cokolwiek, mając oczy zalane łzami.

W kontemplacyjnej ciszy przeglądali pudła. Przerwał ją szelest cienkiego papieru w pudle Tima.

- Bingo! - Przystawił fakturę do smugi gorącego, mglistego światła, przeciskającego się przez małe okna.

- Znalazłeś? Naprawdę? - Charlotte pochyliła się, żeby spojrzeć mu przez ramię. Zapach wody kolońskiej, który unosił się ze splotów jego oksfordzkiej koszuli, uderzył ją w nozdrza, gdy położyła dłoń na znajomej muskularnej krągłości jego ramienia.

Pozwoliła, aby jej ręką się ześlizgnęła. Zerwanie położyło kres chwilom spędzonym razem, ale nie tęsknotom jej serca.

- No to mamy ją - powiedział, patrząc na Charlotte, a w jego oczach widać było ulgę. Położyła dłonie na kolanach. Jeśli nie będzie ostrożna, potknie się i straci głowę. - Panna młoda: Hillary Salton-stall. Pan młody: Joel Miller. Zamówili tort kokosowy z mnóstwem lukru. Zobacz, „mnóstwo” podkreślone trzy razy. - Tim stuknął palcem w papier i posłał jej śnieżnobiały, promienny uśmiech. - Do odbioru rano, w dzień ślubu. 8 września 1968. — Nim wstał, otoczył ją ramieniem i pocałował w czoło. - Znaleźliśmy naszą narzeczoną.

Naraz zdał sobie sprawę z tego, co właśnie zrobił. Puścił Charlotte zażenowany, mamrocząc „przepraszam” i podając jej fakturę.

- Nie... nie szkodzi. - Próbowwała zetrzeć parzący ślad po jego ustach. Nic jednak nie mogło usunąć go z jej serca. Stop. Skup się. Suknia. *Tu chodzi o suknię.* - Joel Miller, Hillary Saltonstall. A tu jakaś notka u dołu. Zamówienie ekspresowe, pan młody wyrusza do Wietnamu.

Na chwilę zapomniała o Timie. Joel Miller przyspieszył swój ślub, bo ruszał na wojnę.

- Mówiłaś, że kiedy zginął?

- W kwietniu '69.

- Pół roku później. - Żadne z nich nie oderwało oczu od faktury. Wpatrywali się w nią, jakby mogła im pokazać przeszłość. — Czy myślisz, że w ogóle się pobrali? Mówiłaś, że suknia nie wygląda na noszoną.

- Ani na przerabianą. - Charlotte wzięła fakturę z ręki Tima. - Prawdopodobieństwo, że suknia pasowałaby na dwie panny młode bez przeróbek, jest naprawdę nikłe. Coś zawsze trzeba poprawić. Skrócić ją. Dopasować gorset. Cokolwiek. Chyba że ta suknia tak naprawdę nie jest z 1912 roku, a licytator wymyślił sobie tę historyjkę, by mnie skłonić do kupienia kufra.

Trzęsa się. Odkrywając kolejne fakty z historii sukni, nie czuła się wcale bliżej prawdy.

Ale w dłoni trzymała kawałek czyjegoś życia, o którym zapomniała historia i czas. Pamiętała tylko żona Joela. I Bóg.

- Czy myślisz, że pani Pettis pozwoli mi to zatrzymać? Albo przynajmniej mi to pożyczy?

Tim zamknął pudło i odłożył je na półkę.

- Dlaczego nie? Po to przecież przyjechaliśmy.

Na schodach Charlotte wzięła zakiet i przewiesiła go sobie przez ramię.

- Na ścianie pamięci, gdzie znalazłam imię Joela, napisano, że jego ciała nigdy nie odnaleziono.

- Założę się, że musiało być to ciężkie doświadczenie dla świeżo upieczonej żony. - Tim podszedł, by strzepnąć jej włosy z ramienia, i natychmiast schował ręce w kieszeniach. - Gotowa?

- Gotowa. - Na starym strychu robiło się coraz goręcej.

15.

W sobotę, tuż przed południem, Charlotte przyjechała do Crestline i zatrzymała się przed domem Hillary Saltonstall. Podjazd, niczym betonowa rzeka, zakręcał przed frontową ścianą domu z cegły w kolorze terakoty i przecinał pluszowy, wypielegnowany trawnik. Dęby i wiązy tworzyły nad domem baldachim, rzucając nań cień i łagodząc południowe słońce i rosnącą majową gorączkę.

Charlotte wysiadła z samochodu. Jej buty na niskim obcasie zastukały o beton. Zdjęła żakiet i rzuciła go na tylne siedzenie.

Dzień był czysty, błękitny. Wiatr zmienił światło i zwichrzył jej uczucia. Jadąc tu, planowała w głowie rzeczową rozmowę z Hillary. Zastanawiała się, jak utorować sobie drogę do przeszłości tej kobiety. To pozwalało jej nie myśleć o tym, że wjeżdżała właśnie w sam środek własnej przeszłości - starej dzielnicy w Crestline, w której kiedyś mieszkała.

Nim tu trafiła, obdzwoniła wszystkich Saltonstallów, jacy widnieli w książce telefonicznej Birmingham. W końcu odnalazła leciwą ciotkę Hillary, która łaskawie wysłuchała opowieści Charlotte i po kilku pytaniach podała jej numer telefonu Hilary.

Fakt, że Hillary mieszkała w dzielnicy jej dzieciństwa, miejscu, gdzie bawiła się z przyjaciółmi i jeździła na rowerze, fakt, że Hillary mogła machać mamie, kiedy ich samochody mijaly się na ulicy, nie robił na Charlotte żadnego wrażenia. Aż do teraz.

Podeszła do krawędzi podjazdu i stanęła w miejscu, gdzie Baker Street spotykała się z Monarch. Siedem posesji dalej przycupnął mały biały domek wykończony czerwoną cegłą, z betonową werandą i drewnianą huśtawką.

Charlotte wysiliła zmysły, żeby usłyszeć, zobaczyć, poczuć esencję tego domu. Ale jedyne, co do niej wróciło, to kilka wyblakłych obrazów.

Piętro, pokój z wnęką, niegdyś różowy, żółtawe stokrotki wyrastające z brązowych, „brudnych” desek podłogi. Mama, ubrana w swoje obcisłe dzinsy i krótką bluzkę, odsłaniającą brzuch, stoi przed domem i woła, by Charlotte wracała, bo kolacja na stole.

Zmrużyła oczy pod wpływem falującego południowego powietrza. W domu siedem posesji dalej tylko ściany pamiętały głos mamy.

Spojrzała na dom Hillary. Wiatr rozrzucił jej włosy dokoła twarzy, a ona zastanawiała się, od jak dawna Hillary tu mieszka. Czy mała Charlotte spotkała kiedyś panią Joelową Miller, wdowę wojenną porażoną w żałobie?

Tylko że Hillary nazywała się teraz Warner. Nie Saltonstall. Nie Miller.

Charlotte wyjęła telefon z torebki i wybrała numer Dix. Odezwała się poczta głosowa. Dix miała dziś po południu spotkanie z nową klientką, więc pewnie się przygotowywała. Charlotte rozłączyła się, nie zostawiając wiadomości. Patrzyła przez chwilę na swój telefon i zadzwoniła do Tima.

— Cześć. - Jego głos był niepewny. Pełen wyczekiwania. W tle dało się słyszeć podkręcane obroty silników motocykli.



- Gdzie jesteś? - Charlotte odgarnęła włosy z twarzy.
- W czężarówce. A ty?
- Stoję na skrzyżowaniu Baker i Monarch.
- Zadzwoń do niej? — Głos Tima stał się wyraźniejszy, gdy warkot silników w tle osłabł.
- Mieszka siedem domów od miejsca, którym się wychowałam. Mieszkałam tutaj, zanim mama umarła.
- Zagwizdał.
- Wiedziałaś o tym, kiedy do niej jechałaś? - Kremowy tenor jego głosu wsiąkł w nią jak słodki karmel.
- W słuchawce rozbrzmiało potężne, stłumione uderzenie.
- Hej, Charlotte, czy możesz poczekać chwilkę? - Usłyszała szelest i oddalone „Stary, rozmawiam przez telefon”.
- Oddalająca się rozmowa w tle zdradzała, że Tim musiał wysiąść z ciężarówki i szedł teraz poboczem drogi. Jego głos był spięty.
- Char, przepraszam cię, ale za chwilę będę musiał lecieć. A więc, czy to nie dziwne?
- Trochę jakby mama bytu była. W tym małym białym domku z cegłami. Ale jej nie ma. Co gorsza, nie pamiętam zbyt dużo z lat, gdy tu z mieszkałam.
- Sporo czasu minęło od jej odejścia, Charlotte. Byłaś dziewczynką, która straciła matkę. Teraz jesteś kobietą, która podąża własną drogą i donosi sukcesy.
- Ale dziewczyna nigdy nie powinna przestać potrzebować swojej matki.
- Kto tak powiedział? Charlotte, każdego dnia ludzie muszą radzić sobie ze stratą matek i ojców, rodzeństwa, przyjaciół, którzy odchodzą lub umierają. Radzenie sobie ze stratą to część życia.
- Ze śmiercią jest inaczej. Tim, straciłam wspomnienia po niej. Zastanawiam się, czy to, co pamiętam, nie jest jedynie jakimś obrazem

lub ideałem, który sobie wymyśliłam. Próbuję zobaczyć jasno coś ze swojej przeszłości i po prostu nie mogę. Nie czuję jej.

- Może to błogosławieństwo. — Ciężkie trzaśnięcie ciężkich drzwi ciężarówki ostrzegło Charlotte, że rozmowa wkrótce się skończy.

- Ale wspomnienia to wszystko, co mam. Tak naprawdę to *one* są moją rodziną.

- Będziesz miała nowe wspomnienia. I nową rodzinę... kiedyś. - Jego głos zawahał się trochę. Przyjaciel Tim zmagał się z narzeczonym Timem.

- Hej, musisz lecieć, ja też. Dzięki, że odebrałaś.

- Jasne, Charlotte... kiedy... kiedy tylko chcesz.

- Baw się dobrze. I bądź ostrożny, dobrze? Teraz, kiedy jesteś moim przyjacielem, a nie narzeczonym, mogę ci powiedzieć, że nienawidzę motorów i tego ścigania się po brudnych drogach. To zbyt niebezpieczne.

Jego śmiech w słuchawce odbudował w niej odwagę.

- Teraz mi to mówisz? To co, zamierzałaś pozwolić narzeczonemu Timowi ryzykować, a mężowi Timowi powiedzieć „Nie ma mowy, mężusiu”?

- Nie doszłam aż tak daleko. Ale tak, pewnie tak. Coś w tym stylu.

- Powinnaś była mi powiedzieć. - Jego głos spoważniał. - O takich sprawach dziewczyna powinna mówić swojemu chłopakowi.

- A kiedy miałam ci o tym powiedzieć? Porozmawialiśmy, pocałowaliśmy się i już byliśmy zaręczeni.

- Nie zabij mnie, Charlotte, ale myślę, że właśnie przyznałaś mi rację, że dobrze zrobiliśmy, odkładając ślub.

- Rozłączam się, Tim. Ale bądź ostrożny.

Żółty promień słońca zbladł, gdy nadpłynęła szara chmura i oszpeciła błękitne niebo.

- Powodzenia z Hillary. Po prostu bądź sobą. Polubi cię.

Charlotte nacisnęła „Zakończ” i wrzuciła telefon do torebki. Kiedy się obróciła, ujrzała wysoką, szczupłą kobietę z włosami koloru pieprzu i soli, stojącą na krawędzi trawnika i patrzącą w jej kierunku.

- Czy to ty jesteś Charlotte?

- Tak. Pani Warner? - Charlotte ruszyła, by uścisnąć jej rękę, zaskoczona błyskiem łez w oczach kobiety.

- Proszę, mów mi Hillary.

Miała na sobie dzinsy, bluzkę i białe płócienne tenisówki. Wiatr rozwiewał jej krótkie włosy, które plątały się wokół jej twarzy. Z brązowych oczu kobiety biła dobroć.

- Czy mogę zapytać, co jest tak interesującego tam dalej, na ulicy?

*Wspomnienia.*

- W dzieciństwie mieszkałam w białym domku po prawej stronie, w tym wykończonym ceglami. - Złotawe promienie słońca pokonały odpływającą chmurę.

- Naprawdę? - Hillary wyszła na ulicę i wychyliła się, żeby wyjrzeć poza linię drzew i przejeżdżający samochód. - Greg i ja przeprowadziliśmy się tutaj dwadzieścia lat temu. Wiele dzieci biegało wtedy po tych ulicach, jeździło rowerami. Żadnego już nie ma. Rzeczywiście - przycisnęła opuszki palców do ust - była taka chuda ciemnowłosa dziewczynka, która jeździła po okolicy fioletowym rowerem. - Hillary klasnęła w dłonie. - Zawsze mówiłam mężowi, że jeśli mielibyśmy córkę...

- Ja miałam fioletowy rower - powiedziała Charlotte. - I długie ciemne włosy.

- Do pasa. Zawsze miała problem, żeby porządnie wszystkie je związać. — Hillary spojrzała na nią.

- To prawda.

- No, proszę - odpowiedziała, mrużąc oczy. - Więc to byłaś ty. Jaki...

- Świat jest mały.

- Powiedziałam kiedyś Gregowi, że jeśli kiedykolwiek mielibyśmy dziecko, chciałabym, żeby było jak ta dziewczynka na fioletowym rowerze.

Charlotte zrobiło się ciepło na samą myśl o tym.

- Pamiętam latem zapach grilla dochodzący z państwa ogródka. I święta. Państwa dom miał najładniejsze dekoracje i najwięcej światełek.

- Mój mąż uwielbiał grillować. Wtedy jeszcze nie gotowałam najlepiej, więc to było idealne rozwiązanie. Ale Boże Narodzenie było w pełni moją zasługą. - Hillary odwróciła się i zaczęła iść w kierunku domu.

- Twoja matka umarła, prawda?

- Kiedy miałam dwanaście lat. Zginęła w wypadku samochodowym.

Hillary przystanąła na zacienionym chodniku.

- Przykro mi. A co z twoim ojcem?

- Nigdy go nie znałam. Nadal go nie znam. Zamieszkałam z przyjaciółką mamy, Gert.

- Nie miałam pojęcia. - Hillary zawahała się, zawieszając wzrok w pustce ponad trawnikiem. - Nie miałam... pojęcia. - Przyglądała się Charlotte przez dłuższą chwilę, a potem odwróciła się, by wejść do domu.

- Upiekłam cynamonowe babeczki.

Wnętrze współgrało z zewnętrzną prezencją domu. Schludne, zapraszające, przyjazne. Dywan był nowy i gruby, meble nowoczesne. W powietrzu dało się wyczuć zapach świeżej farby i cynamonu. Hillary przemierzyła salon i podążyła w kierunku jasnej, zabudowanej werandy.

- Usiądź tutaj - powiedziała, klepiąc oparcie bujanego fotela w kolorze burgunda. Drugi podobny do tego mebel stał po drugiej stronie stołu. Oba spoglądały w stronę ogrodu. Na stole leżały książka o ptakach i lornetka.

Charlotte wcisnęła torebkę między plecy a oparcie fotela. Widziała tę werandę wiele razy, ale z zewnątrz. A więc Hillary patrzyła, jak jeździ na rowerze. To był ostatni wielki prezent od mamy. Rok później była już sierotą i mieszkała z Cert - a ona, cofając samochodem, przejechała rower w tym samym tygodniu, w którym Charlotte się do niej wprowadziła.

- Proszę bardzo. - Hillary postawiła na stole biały talerz z parującymi babeczkami. - Na co masz ochotę? Mleko, herbata, kawa, woda, cola? Ale nie mam dietetycznej. W tym domu pije się tylko porządne rzeczy.

- Mleko poproszę. - Brzmiało smakowicie. Charlotte objęła się rękoma. Czowała ciepło bijące ze szczerej i delikatnej Hillary.

Gawędziły przy mleku i cynamonowych babeczkach, poznawały się nawzajem. Hillary była pielęgniarką, najpierw w marynarce wojennej, potem w szpitalu św. Wincentego.

Charlotte była właścicielką salonu ślubnego.

Hillary wyszła za mąż, za Grega, już po czterdziestce. Był emerytowanym oficerem marynarki, a w cywilu prywatnym przedsiębiorcą.

Charlotte przekroczyła już trzydziestkę i nie było mężczyzny w jej życiu.

Obie uwielbiały gorące, słoneczne dni. Psy. I Michaela Buble.

- Dobrze ci się wiedzie? - Hillary oparła się o podłokietnik fotela. - Mam na myśli twój salon.

- Działamy już pięć lat i liczę na więcej. Na ogół jesteśmy na plusie. Tawny Boswell niedawno kupiła u nas suknię ślubną.

- Tawny Boswell? Miss Alabamy? Proszę, proszę.

Charlotte uśmiechnęła się. Hillary nie wyglądała na osobę, która wiedziałaby coś o królowych piękności.

- Widzę na twojej twarzy zaskoczenie. Nie spodziewałaś się, że wiem coś o Miss Alabamy. - Hillary zakołysała się w fotelu, unosząc

kubek z kawą do ust. - Byłam finalistką Nastoletniej Miss Alabamy w 1962 roku.

- Naprawdę? - odpowiedziała Charlotte, uśmiechając się. - Nie pasuje pani do kobiet, które biorą udział w konkursach piękności.

- Dlaczego zabrzmiało to jak obelga? - To znaczy chodzi mi tu o całe to zamieszanie i udawanie. Fałsz.

- Dwadzieścia lat pracy pielęgniarki w marynarce wybije ci błahostki z głowy. - Piła kawę. Nie popijała. Piła. - Bez obawy, nie jestem tą samą kobietą, co wtedy. Ani kobietą, którą myślałam, że będę, kiedy dobieję do sześćdziesiątki piątki. Ale powiedz mi, po co tu przyjechałaś. Mówiłaś, że znalazłaś coś, co należało do mnie?

- Miałam nadzieję, że pomoże mi pani rozwiązać pewną tajemnicę. - Charlotte wyjęła z torby jedwabną torebkę ślubną i wręczyła ją Hillary. Bethany zrobiła już próbki, więc oddała oryginał Charlotte, która z kolei z powrotem włożyła do niego nieśmiertelnik. - Znalazłam to w kufrze, który kupiłam na aukcji.

Na początku Hillary wydawała się nie rozpoznawać przedmiotu, który miała w rękach. Ale kiedy jej palce dotknęły jedwabiu, zaczęły drżeć. Nos i oczy poczerwieniały jej.

- Mój Boże. - Uczucia złagodziły jej głos, a powieki zamrugały.

- Nie spodziewałam się, że kiedykolwiek jeszcze to zobaczę.

- Nieśmiertelnik jest w środku. Czy to pani go tam włożyła?

- Rozumiem, że udało ci się jakoś otworzyć kufer? - Hillary wyjęła identyfikator z torebki i zamknęła go w dłoni. - Chciałam wszystko to spalić w noc po jego pogrzebie.

- Czytałam, że jego ciała nigdy nie odnaleziono.

- Rozdarło go na strzępki. Nie było czego szukać. - Hillary sięgnęła po chusteczkę leżącą na fotelu. - Myślałam, że nikt nie dostanie się do kufra, zaspawałam go.

- Nie było łatwo. Mój przyjaciel musiał rozciąć zamek.

- Czyli nie taki dobry ze mnie spawacz, jak myślałam. - Delikatny uśmiech stanął na drodze powolnej, samotnej łzie. Hillary gładziła identyfikator Joela. - Nadal za nim tęsknię. Minęło już czterdzieści lat, a ja za nim tęsknię.

- Pobraliście się, zanim wyjechał?

- Mieliśmy przeuroczy ślub, w ogrodzie za domem moich rodziców. Niedaleko stąd. Joel dostał skierowanie na front, a ja bardzo chciałam zostać jego żoną. Miałam jeszcze przed sobą rok w college'u, ale on miał jechać do Wietnamu. Uważałam, że musimy przypieczętować naszą miłość ślubem. Wiedziałam, że będzie silniejsza niż śmierć.

- Może jest, Hillary. Nadal go kochasz, prawda? Hillary otarła policzki wierzchem dłoni.

- Nasza miłość nie oparła się kulom. Nie uchroniła go przed śmiercią. Nie wiem, jak to było, gdy straciłaś matkę. Ale po śmierci Joela było mi strasznie ciężko zamknąć życie, które tak naprawdę nawet się nie rozpoczęło. Gdy był daleko, wszystkie nasze marzenia zatrzymały się w miejscu. - Hillary odchyliła się w fotelu. - I nadal stoją w miejscu. Zardzewiałe i zakurzone, stoją odłożone na półkę, bo już na nie nie patrzę. Nie chciałam, żebyśmy się pobierali, ale...

- Co się stało? Bo przecież pobraliście, prawda? - Charlotte przypomniała sobie imiona Hillary i Joela na podniszczonej fakturze za tort.

Uśmiechnęła się łagodnie.

- Zdecydowałam, że wyprawię mu przyjęcie, zanim wypłynie. Rozmawialiśmy i kłóciliśmy się na temat ślubu, ale Joel twierdził, że nie chce zostawić mnie samej, nie chciał też dopuścić do tego, bym została wdową w tak młodym wieku. Pożegnalne przyjęcie było piękne, ale nie było ślubem. Zaprosiłam wszystkich naszych przyjaciół z college^, nasze rodziny. Sprzątając piwnicę, znalazłam kufer i suknię.

- Nie wiedziałaś, że tam jest?

- Nie miałam pojęcia. Moi rodzice też nie. Gdybym nie wzięła tej sukni za znak...

- Co powiedział Joel? - Charlotte wciągnęła się w opowieść Hillary.

- Nie powiedziałam mu. Choć trzymanie języka za zębami mnie wykańczało. - Hillary uśmiechnęła się, marszcząc nos, a Charlotte poczuła ten uśmiech aż w swojej duszy. - Chciałam, żeby nasze ostatnie wspólne tygodnie były szczęśliwe. Bez kłótni na temat ślubu i małżeństwa. Ale... - przeszła powietrze palcem - nie wiedziałam, że Joel zmienił zdanie. W połowie przyjęcia uklęknął na jedno kolano i oświadczył się w obecności naszej rodziny i przyjaciół.

Tim także oświadczył się w obecności swojej rodziny i przyjaciół. Ale to inna opowieść.

- Następnego tygodnia praktycznie nie pamiętam, tyle było przygotowań do ślubu. Pobraliśmy się w piątkowy wieczór, a Joel wypływał w następny piątek i wtedy widziałam go po raz ostatni.

Charlotte oparła się o poręcz fotela. Żadne słowa, które przychodziły jej do głowy, nie pasowały do tej chwili. W końcu powiedziała:

- Hillary, mam tę suknię.

- Skoro otworzyłaś kufer, domyśliłam się, że ją masz. Proszę, powiedz, że nie wychodzisz w niej za mąż.

- Nie, nie wychodzę za mąż. Ale suknia jest... jak nowa. - Charlotte sięgnęła po kolejną babeczkę, ale zaraz cofnęła rękę. - Wygląda, jakby nigdy nie była noszona.

- Miałam ją na sobie, Charlotte. - Hillary spojrzała na nią wymownie, podnosząc brwi.

- Czy przerabiałaś ją?

- Nie musiałam. To było najdziwniejsze. Moja matka i babcia nie mogły się nadziwić. Suknia leżała jak ulał. Jakby była uszyta dla mnie. - Hillary kołysała kubek, który oparła o swoją klatkę piersiową. -1 ten ponadczasowy fason. Byłam nią zachwycona. Powiedz mi,



czy nadal ma tę talię empire z perłami i... Cóż, myślę, że ma, skoro cały czas była w kufrze.

- Tak ma. Jest idealna.

- Chciałam ją spalić. Ale ojciec mi nie pozwolił. Miałam już podłożyć ogień pod suknię, kufer i nieśmiertelnik, kiedy mnie przyłapał. Szalałam z rozpaczy. Nie mogłam nawet zobaczyć ciała Joela, ucałować jego zimnych, sinych ust. Zrobiłabym to. Nie dbałabym o to, że nie mam w nim już duszy. Po pogrzebie wzięłam spawarkę i zaspawałam zamek. Nie chciałam, żeby ktokolwiek kiedyś założył znów tę przeklętą suknię. - Oczywiście Hillary powędrowały znów ku Charlotte. - Nie wierzyłam, że kiedykolwiek jeszcze znajdę miłość. Ale później poznałam mojego obecnego męża, Grega, zaraz po moich czterdziestych urodzinach. Ocalił mnie. Naprawdę, uratował mnie. - Hillary otworzyła dłoń i spojrzała na nieśmiertelnik. - To straszny ciężar, być poślubioną duchowi.

- Hillary, skąd się wzięła ta suknia? Wiesz coś na ten temat?

- Z domu. Kufer z suknią należał do domu.

- Do domu? - Charlotte obróciła się nieco w fotelu, żeby lepiej widzieć Hillary.

- Znalazłam go w domu. I zostawiłam go w domu. Należał do domu. A jak ty go znalazłaś?

- Kupiłam na aukcji Ludlowów. Aż na Red Mountain.

- Minęły czterdzieści cztery lata, a ten przeklęty kufer jakoś znalazł sposób, żeby trafić na Red Mountain. - Hillary zacisnęła palce na identyfikatorze. - Kiedy się wyprowadziliśmy, nasz dom zrównano z ziemią, żeby zrobić miejsce na centrum handlowe. Nigdy nie zapytałam mamy, co zrobiła z kufrem. Już tam nie mieszkałam. I byłam bliska szaleństwa.

- To nie masz pomysłu, jak kufer mógł po czterdziestu latach trafić na aukcję Ludlowów?

- Niestety.

Ślepy zaułek. A tak dobrze jej szło. Charlotte podskoczyła, kiedy dźwięk telefonu wyrwał ją z zamyślenia. Wyszperała go w torebce, ale nie poznała numeru, który pojawił się na wyświetlaczu.

- Halo?

- Charlotte, tu Jared. - Doktor Ciacho. - Dixie dała mi twój numer.

- Jared, czy coś się stało? Coś nie tak z Dix? Z salonem? - W ciepłym i jasnym pomieszczeniu nagle zrobiło się jej zimno.

- U Dix wszystko w porządku. Jest zbyt uparta, żeby miało jej się coś stać. Z tego, co wiem, w salonie też bez problemów, ale skoro jest tam Dixie, to nigdy niewiadomo. - Westchnął w taki sposób, że przeszył ją dreszcz. - Dopiero co wróciłem z dyżuru i, Charlotte, dzwonię w sprawie Tima. Przetransportowano go do szpitala helikopterem. Pomyślałem, że chciałabyś wiedzieć.

16.

### *Emily*

Taffy przerzuciła gotową już suknię przez głowę Emily. Dziewczyna zamknęła oczy i pozwoliła, by odczucie ciepłego deszczu w gorące letnie popołudnie rozlało się po jej ramionach i wokół jej stóp.

- Emily, nie czuję się z tym dobrze. Wydawało mi się, że twoja matka nalegała, byś założyła suknię od Caroline Caruthers.

- Ale ja się czuję się świetnie. To ja jestem panną młodą, nie moja matka. To przecież mój dzień, prawda?

- Nie jesteś chyba tak naiwna, by nie wiedzieć, że chodzi też o rodzinę.

- Nie, ale to drobnostka. Nie jestem uparta, Taffy. Ale to mój ślub, moja suknia ślubna. I ja wybieram *tę suknię*. - Emily przejrzała się w lustrach krawcowej. - W tej sukni czuję się kochana.

- Kochana przez swojego mężczyznę? - Taffy uklękła, by zmierzyć długość spódnicy, i odkaszlnęła przez ramię. Odwołała swoją wizytę u Cantonów z powodu choroby. Emily więc odszukała Dużego Mikea i wybrała się z nim na Piątą aleję. - Panienko Emily, proszę się nie ruszać, bym mogła skończyć i by panienka mogła już stąd iść. Nie chcę, żeby ktokolwiek przyłapał nas razem i żeby panienka miała

kłopoty. Ani żeby zawlokła panienka moją chorobę do rodzinnego domu.

- Nie będę miała kłopotów. - Emily pogładziła dłonią gorset. Tak, jej mężczyzna ją kochał. Prawda? Suknia była piękna. Błyszcząca, jedwabista i choć to nieprawdopodobne... - Taffy, mogłabym przysiąc, że z tej sukni bije jakiś blask.

- Szyłam ją złotą nicią.

- Złotą? - Emily przyjrzała się uważnie skrajowi dopasowanego rękawa. - O nieba! Z prawdziwego złota?

- Czasem uda mi się ją zdobyć tu lub tam. Zaoszczędzić trochę z jakichś małych zleceń. Nawet kolorowa potrafi zdobyć pewne rzeczy, jeśli chce i wie, jak je zdobyć. Czasem po prostu proszę Pana, żeby przyniósł mi to, czego potrzebuję.

- Taffy, a o co Go poprosiłaś, kiedy szylaś moją suknię?

- Żeby przyniósł to, czego *ty* potrzebujesz. — Taffy poklepała Emily po nodze. - Obróć się, żebym mogła dalej podpinać.

Znowu się pochylila i zakaszlała. Dało się słyszeć rzeżenie w jej piersi.

- Powinnaś pójść do doktora. - Emily obróciła się, żeby Taffy mogła dokończyć rąbek spódnicy.

- Białe dziewczęta chodzą do doktora. Stare kolorowe kobiety klękają i modlą się.

Emily spojrzała na nią.

- Chciałabym mieć twoją wiarę i odwagę.

- O to się właśnie dla panienki modliłam. O odwagę i wiarę. Emily zerknęła przez ramię w lustro. Z tyłu suknia opływała jej

ramiona. Spódnica gładko przylegała do bioder i płynęła w dół po taborecie jak mleczna rzeka, przechodząc w krótki tren. Mogłaby latać w tej sukni. Nie miała ochoty jej zdejmować.

- O odwagę i wiarę, mówisz? - Emily skupiła się na Taffy. Bez wątplenia potrzeba jej było obu, by poślubić Phillipa, który był

upartym mężczyzną. Od dnia zaręczyn wiedziała, że nie będzie łatwo nosić nazwisko Saltonstall. Takie kobiety jak Emmeline ani trochę nie dbają o przysięgę małżeńską. Zawsze trzepoczą rzęsami i napierają biustami na mężczyzn takich jak Phillip. - A on jest zbyt zadufany w sobie i zbyt głupi, żeby mu to nie pochlebiało.

- Może panienka powtórzyć? Policzki spłonęły jej rumieńcem.

- Tak tylko do siebie mówię.

Taffy uśmiechnęła się i wyciągnęła kolejną szpilkę z ust.

- Ja tutaj mówię do siebie całymi dniami.

- Taffy, dlaczego myślisz, że potrzeba mi odwagi i wiary?

- Ponieważ... - Kobieta westchnęła, przypinając ostatnią szpilkę do rąbka sukni. Wstała z klęczek i spojrzała w oczy Emily. - Będiesz ich potrzebowała, by poślubić właściwego człowieka.

Grudki miękkiego błota oblepiały buty Emily i brudziły rąbek jej spódnicy, gdy przechodziła przez ogród sąsiada, zmierzając w kierunku kuchennej drzwi swojego domu. Duży Mike zawiózł ją do Taffy, ale nie mógł czekać. Ojciec zlecił mu całą listę spraw do załatwienia, więc do domu wracała tramwajem.

- A, tu panienka jest. - Molly popchnęła drzwi kuchenne i uniosła brwi. Matka szuka panienki. Widzę, że postanowiła panienka pobawić się w błocie?

- Szłam z przystanku trolejbusowego. - Emily skierowała się ku tylnym schodom. - Gdzie jest matka? Czy mogłabyś przeprać to, zanim zobaczy? - Odpięła spódnice i schowała się za drzwiami spiżarni, na wypadek gdyby człowiek ojca, Jefferson, wszedł i zobaczył ją stojącą w samych pantalonach.

- Proszę zostawić to w garderobie. Przyjdę po to. - Molly rzuciła na stół ciasto, które wyrabiała na chleb. - A gdzie panienka była tego popołudnia?

Emily zaczerwieniła się po wpływie lekko zdziwionego spojrzenia Molly. Ta kobieta знаła ją lepiej niż niejedna szkolna przyjaciółka.

- Byłam u Taffy. Przysłała wiadomość, że suknia jest gotowa na przymiarke i poprawki.

- Dlaczego nie powiedziała jej panienka, żeby przyszła tutaj? Wie panienka, co ludzie z towarzystwa myślą o wyprawach do dzielnic kolorowych.

- Taffy nie czuje się dobrze. - Emily podeszła do stołu. - A poza tym, musiałam upewnić się, że uszyła suknię ślubną, a nie wieczorową, jak nalegała matka. Molly, zamierzam wymyślić jakiś sposób, żeby pójść do ślubu w sukni od Taffy. Zobaczysz. Kiedy ją dziś przymierzałam, naprawdę, czułam się... kochana.

- Kochana? - Molly zrobiła zdziwioną minę. - A *nie jest* panienka *kochana*?

- Nie tym tonem, Molly. - Od czasu ich pierwszej konfrontacji, po tym jak po raz pierwszy poszła do Taffy cztery tygodnie temu, Phillip stał się najtroskliwszym i najczulszym z narzeczonych. Opanowywał i kontrolował swoje namiętności, jakby naprawdę był świadom, czyje usta całuje. Swojej przyszłej żony. A nie podrzędnej kochanki, którą wykorzystywał, by dać upust pożądaniu. - Jestem kochana, oczywiście. Chodzi o to, że ta suknia sprawia, że czuję się... tak dobrze. Taka czysta. - Emily z trudnością znajdowała słowa, które odzwierciedlałyby jej uczucia.

- Acha, takie uczucie to mnie nachodzi w kościele, kiedy Duch działa.

- A jak On działa? - Emily stała przy schodach kuchennych, wpatrując się nieruchomo w Molly. Słyszała o znakach i cudach, które wydarzały się w różnych kościołach. Pastor w jej parafii odnosił się

do tych opowieści z lekceważeniem. Uważał, że to zbytnia egzaltacja. Ale Molly była opanowaną dziewczyną, nieskłoną do przesady.

- Jak działa? Jak tylko zechce, panienko. Wie panienka, jak czasem trzeba wyciągnąć całą bieliznę z szuflady, żeby jeszcze raz ją wyprostować i uporządkować? Duch czasem robi to samo z naszymi grzechami.

- Wyciąga na wierzch nasze grzechy?

Jakież to przerażające. Emily na samą myśl o tym przeszedł dreszcz. Także z powodu chłodnego wieczornego powietrza, które wpadało do kuchni przez uchylone okno.

- Ale widzisz je tylko ty. Inni nie. Można wtedy zaszlochać. Albo zatrząść się. Albo prosić o przebaczenie. Potem dwa machnięcia ogonka baranka, Duch prostuje sprawy i jest się z powrotem w grze. A w środku wszystko czyste i poukładane. Sama radość.

Czy Emily czuła się w środku czysta i poukładana?

- Nie mów matce, że byłam u Taffy.

Kiedy ostatni raz się śmiała? Tak naprawdę. Chyba z Danielem, kiedy...

- A jeśli ludzie pana Phillipa znów panienkę widzieli?

- Byłam ostrożna. - Emily liczyła się z tym, ale teraz, gdy była już w domu, zimne dreszcze przebiegły jej po plecach. - Będzie po prostu musiał to zrozumieć. Trzeba było dopasować i poprawić suknię.

- Emily, jesteś tutaj? — Matka pojawiła się w progu kuchni. — Mój Boże, jesteś w samych pantalonach. Coś ty zrobiła ze swoją spódnicą?

- Ubłociłam, matko. To nie koniec świata.

- Oczywiście, że nie. Ale dlaczego twoja spódnica jest cała w tym błocie?

- Padało... na ulicach jest błoto.

Emily wbiegła na schody, żeby uciec przed pytaniami matki. Na odchodnym obróciła się i rzuciła w przelocie porozumiewawcze spojrzenie Molly.

- Czy ma pani ochotę na kawałek ciasta, pani Canton? - usłyszała jeszcze głos Molly. - Ostatni kawałek czekoladowego ciasta jest pod przykryciem.

*Och, dziękuję ci, Molly. Dla kawałka czekoladowego ciasta matka zrobi prawie wszystko. Zwłaszcza dla twojego ciasta.*

Emily umyła się i przebrała. Kiedy jej myśli biegły ku grubej kromce chleba z dżemem, usłyszała dźwięk dzwonka u frontowych drzwi. Wychyliła się przez okno. Na kolistym podjeździe czekał policyjny wóz. *Ojciec? Czy... Duży Mike?* Matka miała rację, ktoś przez nią ucierpi, jeśli będzie chodzić do dzielnicy kolorowych.

Emily w pośpiechu wypadła z pokoju i zbiegła po schodach.

- Dobry wieczór, przepraszamy za najście. - W holu zadudniły ponure męskie głosy.

- Dobry wieczór. - Jefferson stał w otwartych drzwiach. - W czym mogę panom pomóc?

Emily zeszła z ostatniego stopnia do holu.

- Czy wszystko w porządku? - Spoglądała to na jednego policjanta, to na drugiego. - Nie chodzi o mojego ojca, prawda? Ani o Dużego Mike'a?

- Nie, proszę pani. - Policjanci wymienili posępne spojrzenia. - My do pani.

- O co chodzi? - Matka wyszła z kuchni. - Panowie oficerowie, zapraszam do środka. Napiją się panowie herbaty albo kawy? Pana Cantona nie ma w domu, ale spodziewamy się go niedługo.

- Szanowna pani - wysoki policjant o poważnych niebieskich oczach zdjął z głowy czapkę - jesteśmy tutaj oficjalnie.

- W jakiej sprawie? - Matka stanęła przed nimi i oparła ręce na biodrach.

- Mamy nakaz aresztowania panny Emily Canton. Emily zmroziło. Jej serce powoli zatrzymywało się.

- Mnie? - wydusiła z siebie.



- Aresztować moją córkę? Pod jakim zarzutem? - Matka stanęła między córką i policjantami. Emily osunęła się na schody. Jefferson położył jej rękę na plecach, i ukląkł obok niej.

- Naruszenie prawa, proszę pani. Dziś po południu widziano ją w Gaston Hotel. Oskarża się ją o bratanie się z kolorowymi i podburzanie do zamieszek.

- Zamieszek?! - Matka tupnęła obcasem. -Taffy Hayes jest moją krawcową. Chcą mi panowie powiedzieć, że nie możemy korzystać z usług krawcowej tylko dlatego, że jest kolorowa?

- Nie, jeśli podejrzewa się, że w powietrzu wiszą kłopoty. Niektórzy ludzie chcą nam wmówić, że biali i kolorowi, choć odosobnieni, są równi.

- I dlatego robią widowisko z mojej córki? - Słowa matki wystrzeliły niczym armaty w święto niepodległości.

Emily uczepiła się Jeffersona, gdy wysoki oficer wyjął nakaz. Próbowwała odczytać dokument, ale słowa wirowały jej przed oczyma. Matka wyrwała papier policjantowi.

- Nie wierzę w to, po prostu w to nie wierzę.

- Musi panienka pójść z nami. - Policjant ruszył ku Emily, ale Jefferson nie puszczał jej. *Nie puszczaj mnie, Jefferson.*

Policjant spojrzał przepaszająco, gdy wyszarpywał Emily z jego uścisku.

- Matko?

- To skandal. - Matka schodziła za nimi po schodach werandy. -Jefferson, dzwoń do pana Cantona. Natychmiast.

Emily potknęła się, idąc w stronę wozu. Nogi odmawiały jej posłuszeństwa. Ciągnęła stopy po chodniku. Jej myśli opadały jak zeschnięte liście miotane jesiennym wiatrem.

Matka szła tuż przy niej.

- A teraz mnie posłuchaj. - Chwyliła twarz Emily w dłonie. - Pochodzisz z Cantonów, płynie w tobie krew Woodwardów. Bądź

silna i dzielna. - Oczy matki ciskały piorunami w policjantów. - Nie wątpię w to, że ci panowie potraktują cię jak damę, którą jesteś. Będę tuż za tobą. Jefferson zawiezie mnie samochodem.

- Och, matko. - Emily zaczęła się osuwać. Oparła się o policjanta, który prowadził ją do wozu. - Ale ja tylko chciałam mieć suknię ślubną, która sprawi, że będę się czuła wolna i kochana. Piękna. Jak księżniczka.

- Emily, bądź silna. - Matka postawiła ją na nogi i potrząsnęła, trzymając ją za ramiona. - Do kolacji będzie po wszystkim.

Policjanci pomogli Emily wsiąść na tylne siedzenie wozu. Kiedy woźnica zacmokał na konie, gorące łzy Emily żłobiły już bruzdy od oczu do podbródka i spadały jak rozgrzane węgle na jej lodowate dłonie.

17.

*Charlotte*

W poczekalni brakowało światła. Dlaczego architekci upierali się, że przerażeni, zdenerwowani ludzie powinni siedzieć w ciemnościach? Charlotte podeszła do okna, z którego rozciągał się widok na miasto, wdzięczna za promienie słońca, które wytrwale rościły sobie prawo do tego wczesnego wieczora.

Dotarła do szpitala w tym samym czasie, co państwo Rose i Katherine. Kiedy oni rozmawiali z lekarzem, stała przy krzesłach i czekała. Bracia, David, Jack i Chase, byli w drodze. Musieli odprowadzić motory do domu z Huntsville.

Tim trafił prosto na stół operacyjny. W ciszy, przerywanej uprzejmą wymianą zdań, Charlotte czekała wraz z rodziną na dalsze wieści, starając się zlepić w całość strzępy słów Davida, który do niej zadzwonił. Głos mu się trząsał.

Ścigali się. Źle zjechał. Wjechał w czyjś motocykl. Jego motor wzbił się w powietrze i wylądował na nim. Był boleśnie unieruchomiony pomiędzy dwiema maszynami.

Charlotte wpadła w szal, gdy to usłyszała. Dlaczego dorośli mężczyźni zachowują się jak chłopcy, którym wydaje się, że są

niepokonani? Pani Rose, która przeżyła już wiele wypadków swoich synów, poklepała ją po ramieniu.

- Wyjdzie z tego.

Ale dla Charlotte to było coś nowego. Niebezpieczne sporty i mężczyźni, którzy je uwielbiali. Dopiero co mu powiedziała, że ma na siebie uważać.

Około szóstej przyjechali bracia Tima. Nadal mieli na sobie zakurzone kombinezony. Około siódmej przeniesiono go do pokoju. Gdy tylko lekarz się zgodził, Rose'owie ruszyli korytarzem, żeby go zobaczyć.

Katherine na chwilę przystanąła.

- Charlotte, przykro mi z powodu ciebie i Tima.

- To nie stało się wczoraj, Katherine. Gdyby było ci przykro, zadzwoniłabyś do mnie kilka tygodni temu.

Nie miała sił ani ochoty bawić się w uprzejme słówka. Jej niedoszła szwagierka chciała coś powiedzieć, potem się zawahała.

- Chcę, żeby był szczęśliwy.

- To jest nas dwie.

Charlotte nadal czekała. Rodzina Tima miała pierwszeństwo. A ona nie była już narzeczoną. I tak nie czułaby się z nimi w pełni swobodnie.

Patrząc na nich wszystkich, zgromadzonych w jego pokoju, przejechała kciukiem po swoim nagim palcu. Rodzina. Nie była pewna, czy kiedykolwiek doświadczyła, co znaczy mieć rodzinę.

Ona i mama - to zawsze było „my, dziewczyny” albo „nasza dwójka”. Na urodzinach. W czasie świąt Bożego Narodzenia. Święto Dziękczynienia. Kiedy mama zmarła, Charlotte była jedynym członkiem rodziny wymienionym w nekrologu.

Podeszła do okna i oparła czoło o rozgrzaną słońcem szybę. Wypuściła z płuc powietrze, uwalniając przy okazji stłumione emocje. *Proszę Cię, Jezu, bądź z Timem.*

- Charlotte, hej... - Spojrzała w górę. Podszedł do niej Jared. Nadal miał na sobie lekarskie niebieskie ciuchy i biały fartuch. — Dix prosiła, by ci przekazać, że nie masz się martwić o salon. Wszystkim się zajęła.

- Jakie są rokowania? - Charlotte zatopiła swoje dłonie w jego. Były gładkie i silne. Uzdrawiające.

- Dobrze, jak na człowieka, który wylądował na motorze, a potem został przygnieciony przez drugi motor ważący dwieście pięćdziesiąt kilogramów. - Jared ścisnął jej palce. - Jest posiniaczony i potłuczony. Wycięto mu śledzionę i wprowadzono dren do klatki piersiowej, żeby uratować lewe płuco. Zatrzymamy go na kilka dni. Ma szczęście, że żyje. Gdyby oberwał w szyję centymetr albo dwa wyżej, byłby sparaliżowany albo martwy.

*Ma szczęście, że żyje.* To wyznanie kołatało jej w głowie. Co by poczęła bezTima? Przyjaciela Tima. Kochała go i potrzebowała. Polegała na nim. Aż do teraz nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo.

Jared przyciągnął ją do siebie i przytulił.

- Jesteśmy z tobą.

Charlotte westchnęła, zrzucając część ciężaru na Doktora Ciacho. Gdyby miała brata, chciałaby, żeby był taki jak on.

- Charlotte? - Jack wyszedł z pokoju Tima. Jego twarz była przeorana brudem. Ton głosu ponury. - Tim o ciebie pyta.

- Tak? - Spojrzała za plecy Jareda, w głąb korytarza.

- Przyjdę później. - Jared odwrócił się, żeby odejść. Przez ułamek sekundy Charlotte chciała ucześcić się jego braterskiego ciepła. - Muszę zajrzeć do kilku pacjentów.

- Dzięki, doktorze. - Jack patrzył jak odchodzi, potem spojrzał na Charlotte. - Dla Tima mogłoby nas nie być w pokoju. Ciagle pyta o ciebie. Co chwila traci świadomość, więc... - Jack poprosił gestem, by poszła za nim.

Kiedy Charlotte weszła, cała rodzina opuściła pokój. Wychodząc, każdy delikatnie uściśnął jej ramię.

- Kochanie, wpadnij na kolację, jeśli możesz. - Pani Rose, jak zawsze pełniąca rolę matki rodu, pogładziła dłonią włosy Charlotte, tak jak robiła to wielokrotnie, kiedy Charlotte była jeszcze częścią życia Tima. - Będziemy w domu.

- Dziękuję. *Dziękuję, nie.*

Charlotte zrobiła krok w bok, by przepuścić Katherine.

Pokój Tima był cichy, rozjaśniony światłem delikatnej lampki ściennej, umieszczonej za jego łóżkiem. Okno ubrało w ramę ostatnie promienie zachodzącego słońca. Pochyliła się, żeby powiedzieć „Jestem tutaj”, ale on spał.

Wolno usiadła na krześle stojącym przy jego łóżku.

- Szalony chłopaku, omal się nie zabiłeś.

Podłączony do rurek i maszyn, wydawał się spać spokojnie. Na jego posiniaczonej, przystojnej twarzy malowała się słodycz.

Szkaradne, ciemnoniebieskie i czarne ślady znaczyły mu szyję i schodziły wzdłuż prawego ramienia, wpadały pod gips, by wynurzyć się spod drugiego jego końca i biec dalej, aż po czubki palców.

- Tim, musisz z tego wyjść. - Charlotte oparła czoło o skraj łóżka i wyszeptowała: - Co ja bym bez ciebie zrobiła?

Poczuła delikatny dotyk na włosach. Jej ramiona przeszył dreszcz. Tim czule ją głaskał.

- Tim... - Podniosła głowę.

- Przepraszam - musnął kciukiem jej mokre policzki, szeptał, z trudem łapiąc oddech.

- Przepraszasz? Za co? Za to, że jesteś sobą? Nic nie jesteś mi winien...

- Za to, że myślałem, że jest coś na tym świecie, co kocham bardziej niż ciebie.

Jego słowa przyływały i odpływały wraz z falami siły. Charlotte przycisnęła usta do jego dłoni.

- Tylko nie umieraj przeze mnie. Jeśli to zrobisz, będę wściekła. Uśmiechnął się, twarz mu się wykrzywiła.

- Wszystko mnie boli. Nawet włosy.

Charlotte wstała i pochyliła się nad brzegiem łóżka.

- Śpij, odpoczywaj. Powiedz płucy, żeby wróciło do formy.

- Nieźle się poturbowałem, co? - Tim zgiął drugą, nie tak poobijaną rękę i dotknął palcami swoich ust.

- Co? Potrzebujesz czegoś? Wody?

- Całusa.

- Całusa? - Charlotte odgarnęła mu z czoła spocone i potargane włosy.

- Czyż nie sprawia, że rany goją się lepiej?

- Nie mogę odmówić rannemu, prawda?

Pochyliła się, by pocałować kącik jego ust. Tim zamknął oczy, a jego ciepły oddech owiał jej twarz. Pochyliła usta do kolejnego lekkiego pocałunku. Tim otoczył ją zdrowym ramieniem.

Charlotte podniosła głowę, a kiedy ich oczy spotkały się, znów go pocałowała. Jej delikatny dotyk czuł smak jego namiętności.

- Kocham cię, Charlotte - wyszeptał przy jej ustach.

- Boże, dopomóż, ale ja też cię kocham. - Delikatnie pogłaskała go palcami po czole. Było to jedyne miejsce wolne od sińców. - Nie chcę, ale kocham.

Bawił się końcówkami jej włosów.

- Kiedy przywieźli mnie tu po wypadku, mogłem myśleć jedynie o tobie. Nie wiedziałem, gdzie jestem, przez chwilę nie wiedziałem nawet, kim jestem, ale wiedziałem, że jesteś ty.

- Wiesz, ciężko znaleźć dobrych przyjaciół. - Pogładziła go po klatce piersiowej pomiędzy plastrami i rurkami.

- Mam dobrych przyjaciół. Ale kobietę, którą bym kochał, która byłaby przy tym najatrakcyjniejszą kobietą, jaką kiedykolwiek widziałem, i która na dodatek byłaby jeszcze moją najlepszą przyjaciółką, cholernie trudno znaleźć. O ile w ogóle jest to możliwe. Charlotte...

Wydawał się teraz przebudzony, gdy tak na nią patrzył. Jego głos był mocny.

Drzwi za nimi otworzyły się szeroko.

- Mój Boże, Tim. Przyjechałam najszybciej, jak mogłam. Charlotte odskoczyła, gdy Kim, blondynka z restauracji, wparowała do pokoju.

- Katherine zawiadomiła mnie już kilka godzin temu, ale robiliśmy akurat zdjęcia do reklamy. Och, kochanie, jak się czujesz?

Obeszła łóżko i pocałowała go prosto w usta. Te, które przed chwilą całowała Charlotte.

- Kim - na twarzy Tima pojawił się grymas bólu, gdy odwracał głowę - to jest Charlotte Malone.

- Miło mi. - Kim podała jej rękę, potem położyła torebkę na stoliku nocnym i przerzuciła lśniące, cudowne włosy przez ramię. Pochyliła idealnie wyrzeźbioną twarz i przysunęła się do niego swoim równie idealnym, jędrnym ciałem. - Odwołałam naszą rezerwację w restauracji, kochanie. George i ekipa przesyłają pozdrowienia.

Charlotte zrobiła krok w tył i potknęła się o krzesło. Kim spojrzała na nią, marszcząc czoło.

- Ojej, nic ci się nie stało?

- Nie. - Charlotte skurczyła się, wstrzymując emocje, które narastały jej w żołądku. Nie była pewna, co by się stało, gdyby je uwolniła. - Na razie, Tim.

- Charlotte, zaczekaj... - jego słaby głos biegł za nią z pokoju. Była już w połowie korytarza, kiedy, przelękając z trudem łyż,

zdała sobie sprawę, że na krześle przy łóżku Tima zostawiła torebkę. Nie wróci tam, nie ma mowy.



W niedzielny poranek obudziła się wcześnie. Wschodzące słońce oświecało góry i przez sekundę cały świat wydawał jej się wspaniały. Przez sekundę.

Potem sobie przypomniała. Tim i Kim. Słodkie, prawda? Tim i Kim. Pasowali do siebie.

Nie pozwoliła, by ból, który czuła w sercu, zatrzymał ją w łóżku. Wzięła szybki prysznic i poszła do kościoła.

Usiadła z tyłu i wraz z pozostałymi wiernymi zgromadzonymi na porannym nabożeństwie wielbiła Boga. Zamknęła oczy, szeroko otworzyła ramiona i z całego serca wszystko ofiarowywała Jedynemu, który zabiegał o nią swoją łaską i miłością. Bezwarunkową i bezkompromisową. Układ, który z Jego strony działał idealnie. Z jej trochę gorzej.

Ale Jemu mogła ufać. Nie odwróci od niej wzroku, kiedy inna wejdzie do pokoju. Pięknem i cudem Jezusa była Jego stała i niezachwiana miłość. Uśmiech narodził się w jej brzuchu i powędrował do ust. Była Jego ulubienicą.

*Jestem Twoja. Jestem Twoja.*

Otworzyła oczy, kiedy poczuła zapach drzewa sandałowego i ciała mężczyzny, który usiadł obok niej.

- Cześć, Jack.
- Słyszałem.
- Co dokładnie?
- Kim zjawiała się w szpitalu.
- Za sprawą Katherine.

Jack głęboko westchnął, kiedy ucichła muzyka. Kobieta siedząca przed nimi rzuciła im gniewne spojrzenie.

- Chce się z tobą zobaczyć - wyszeptał jej do ucha.

- *Widział* mnie. Wczoraj.

- Charlotte, przestań, nie pozwól, żeby Kim wysiudała cię z wyścigu.

- Bez obaw, Jack. - Poklepała go po ramieniu i spojrzała mu głęboko w oczy. - Kim nie może mnie wysiudać, bo ja nie biorę udziału w żadnym wyścigu.

Spojrzała przed siebie, kiedy następna pieśń przeszła ze zwrotki do refrenu. Jack się nie ruszał.

Sobotni wieczór Charlotte spędziła na chrupaniu młodych marchewek i zwalczaniu nieodpartej pokusy, by zamówić pizzę i zjeść ją w całości. Chrupiąc na pocieszenie marchewki, oglądała filmy i rozmawiała z suknią. Suknią Hillary. Suknią z kufra. Suknią, którą powierzono jej opiece, póki nie znajdzie dla niej kolejnej panny młodej. „I wtedy ta laska, Kim, wchodzi do pokoju. Słuchasz mnie? Włazi tam jak do siebie. Gdyby przyszła sekundę wcześniej przyłapałaby nas, jak się całujemy. Tak, wiem. Poprosił mnie, żebym go pocałowała, a miał z nią iść na randkę”.

- Co mam mu powiedzieć? - zapytał Jack, kiedy pieśń uwielbienia zyskała na mocy, a refren przerodził się w pełną chwały sentencję. *Bóg jest naszym królem. Bóg jest naszym królem. Zespół grał mocno i w napięciu, a Charlotte zanurzyła swoje serce w sile płynącej z tej melodii.*

- Powiedz mu, żeby wracał do zdrowia.

Charlotte zamknęła oczy, czując bas i bębny w piersi. Prorokowały w jej duszy, wlewały zachętę. *Bóg jest naszym królem. Bóg jest naszym królem.*

- On cię kocha.

Słowa Jacka zburzyły jej z trudem odbudowany spokój. Otworzyła jedno oko i spojrzała na Jacka.

- Okazuje to w bardzo zabawny sposób.

- I ty mi to mówisz? Ty to najlepsze, co mu się w życiu przydarzyło.

Trzeci wiekiem syn Rose'ów otoczył Charlotte ramieniem, uściskał ją i wyszedł z ławki.

Trzęsąc się, wrosła w ławkę. Przed chwilą czuła się już dobrze, radowała się Bogiem, wielbiła Go. Teraz wrócił cały ten mętlik: złamane serce, inna kobieta. Podniosła torebkę z podłogi — poprosiła pielęgniarkę, żeby ją jej przyniosła - chwyciła swoją Biblię i ruszyła do wyjścia.

Kiedy zaparkowała samochód przed domem, z mocnym postanowieniem, że dziś będzie dobry dzień i że zje całą pizzę z serem, jakaś kobieta zawołała ją po imieniu. Odwróciła się i zobaczyła Hillary ze skórzaną torebką przewieszoną przez ramię, pośpiesznie zmierzającą w jej stronę.

- Hillary? Skąd się tu wzięłaś?

- Nie mogłam przestać o tobie myśleć. Wczoraj, gdy wyszłaś, zadzwoniłam do twojego salonu. Twoja koleżanka powiedziała mi, gdzie mieszkasz. Mam nadzieję, że nie masz mi za złe... - Miała na szyi nieśmiertelnik Joela. - Wciąż myślałam o tobie, sukni, o Joelu, o mnie. W głowie mi od tego huczało. Kiedy Greg wrócił do domu, znalazł mnie siedzącą na środku pokoju, otoczoną zdjęciami. Zobaczył, jak znów to wszystko przeżywam i się zapłakuję. Po prostu nigdy nie zrozumiałam. Po co wyszłam za Joela? Tylko po to, by go stracić? Nie zdawałam sobie sprawy, że nadal jestem taka wściekła.

Prawda jej wyznania kryła się w napiętych i głębokich bruzdach na twarzy.

- Hillary, nie powinnam była do ciebie przychodzić. Tak chciałam się dowiedzieć, kim jest Joel i jaki ma związek z suknią, że nigdy nie zastanowiłam się, jaki to będzie miało wpływ na ciebie. Nie tak naprawdę. Miałam lekką obsesję na tym punkcie. - Charlotte przycisnęła dłonie do brzucha. Tak, Dix ją ostrzegła. - Jednego dnia miałam starą suknię. Następnego dnia byłam wciągnięta w tajemnicę

mężczyzny, którego życie podsumowało pięć linijek na identyfikatorze i kilka szczegółów na stronie internetowej.

- Cieszę się, że do mnie przyszedłeś, Charlotte. Potrzebowałam tego. - Włosy Hillary rozwiewał wiatr. Miała na sobie koszulkę z długim rękawem, z napisem *Naprzód piechota*, szorty w kolorze khaki i te same białe tenisówki, co wczoraj. — Nawet mój mąż wiedział, że kiedyś musi nadejść ten dzień. Powiedział, że przez te wszystkie lata zdawał sobie sprawę, że do końca nie pożegnałam się jeszcze z Joelem. Może teraz... może to moja szansa, żeby wreszcie to jakoś zamknąć.

W rękę Charlotte zabrzączały klucze.

- Właśnie miałam zamówić serową pizzę na cienkim cieście.

- To informacja czy zaproszenie?

Charlotte patrzyła na nią spod przymrużonych powiek.

- To zależy. Lubisz pizzę?

- Uwielbiam. Każdą.

- Mieszkam na czwartym piętrze.

- Prowadź, moja droga.

Weszły na czwarte piętro. Charlotte otworzyła drzwi do mieszkania i, gdy Hillary przemierzała już krótki korytarz, uświadomiła sobie, że suknia jest w salonie. Hillary z trudem złapała powietrze i położyła dłoń na ustach. Drugą dłoń na sercu.

- Przepraszam cię, Hillary. Zapomniałam, że suknia jest na widoku.

- Nigdy nie myślałam, że jeszcze ją zobaczę. - Chodziła wokół manekina, ocierając łzy z policzków i delikatnie podnosząc jedwabne fałdy spódnicy. Przysunęła twarz do materiału, zamknęła oczy i nabrała powietrza w płuca. - Dla mnie ta spódnica zawsze pachniała jakąś ciężką, wonną oliwą.

- Dla mnie przechwytyje światło i promieniuje nim. - Charlotte delikatnie przejechała ręką po rękawie. - Uwielbiam te złote nici.

- *Nadal* jest to najpiękniejsza suknia, jaką kiedykolwiek widziałam.

Charlotte usiadła na krawędzi kanapy i skrzyżowała nogi. Chciała odpocząć, zanurzyć się w chwili.

- Widziałam mnóstwo kreacji ślubnych, wiele z nich wspaniałych, ale żadna nie może się z nią równać.

- Jest wyjątkowa, to prawda - powiedziała Hillary. Jej głos i oczy przepełnione były emocjami.

- Dlaczego uważasz, że jest tak wyjątkowa? - Charlotte podparła podbródek ręką. Patrzenie na suknię oczami Hillary poszerzyło jej serce i wzmocniło jej postanowienie, aby znaleźć dla niej kolejną pannę młodą. Rzeczywiście, musiałyby to być ktoś wyjątkowy.

- Ponieważ jest tylko dla tych, które ją przyjmą. Dla tych, które mogą ją nosić.

- Tylko dla tych, które ją przyjmą? Co chcesz przez to powiedzieć?

- Nie potrafię tego wyjaśnić... Ona po prostu jest tu - powiedziała, wskazując ręką na swoje serce. - Musisz zaakceptować tę suknię, żeby w nią uwierzyć. Mieć wiarę, że tak powiem.

- To tylko suknia.

- Nie, to przeznaczenie. - Twarz Hillary rozpromieniła się, blask w jej oczach współgrał z blaskiem złotych nici. - Charlotte, tak się cieszę, że znalazłaś ten kufer. Och... - Przycisnęła rękę do serca, pozwalając łzom uwolnić się i spłynąć po policzkach.

Charlotte przełknęła uczucie narastające jej w piersi.

- Mężczyzna, który sprzedał mi kufer, wspomniał coś o 1912 roku i o pannie młodej. Wręczył mi kwitek z napisem „ocalone”. Czy wiesz, o co w tym może chodzić? Wiesz może, czy byłaś jedyną panną młodą, która ją miała na sobie?

- Nie wiem tego na pewno, ale miałam takie poczucie, kiedy ją włożyłam. Ze nie jestem pierwszą panną młodą, którą ją ma na sobie.

- Spojrzała na Charlotte, zdecydowanie. - I mam pewne przeczucie, kto mógłby ją założyć po mnie.

- Hola, hola. Na pewno nie ja. - Charlotte wstała, podnosząc ręce w geście kapitulacji. - Znajdę odpowiednią pannę młodą, ale uwierz mi, to nie ja.

- Mój Boże, tak mocno się zarzekasz.

- Kiedy ludzie mówią od rzeczy, muszę zaprotestować. A teraz zamówmy wreszcie tę pizzę.

Chwyciła telefon i złożyła zamówienie. Potem poszła przebrać się w dżinsy, zostawiwszy Hillary sam na sam z suknią i sam na sam z jej wspomnieniami.

Kiedy wróciła do pokoju, Hillary stała przy oknie i spoglądała w kierunku miasta. Przyciskała do piersi zdjęcie w czarnej ramce.

- Pięknie tu - powiedziała, odsuwając się od okna.

- Tam, nad zachodnią częścią gór, są cudowne zachody słońca. Ale mówiłaś, że byłaś w piechocie morskiej. Żyłaś na okręcie? Pewnie widziałaś wspaniałe zachody słońca.

- Mieszkałam w kwaterach mniejszych niż twoja garderoba. Ale tak, widziałam kilka niezwykłych zachodów słońca. I wschodów. Nawet burza na morzu jest przerażająco piękna. Przeżyłam ich kilka. - Hillary przeszła przez pokój i podeszła do Charlotte. - Mam coś dla ciebie

- powiedziała, podając jej zdjęcie. - To Joel i ja w dniu naszego ślubu.

- Hillary...

Było to wyblakłe zdjęcie. Wszystko w tle było ziarniste i zamazane. Ale na środku fotografii, osiem na dziesięć cali, stał przystojny, atletycznie zbudowany porucznik, który mocno obejmował ramieniem swoją narzeczoną - pełną blasku, jasną blondynkę Hillary. Jej wdzięki idealnie podkreślała suknia, która teraz wisiała na manekinie. Charlotte spojrzała przez pokój i gdyby nie wiedziała lepiej, mogłaby przysiąc, że suknia westchnęła. Pewnie światło późnego poranka zmieniło się w oknie.

- Jesteś taka piękna. Joel wygląda zupełnie tak, jak go sobie wyobrażałam.

Byli młodzi, mieli wysoko uniesione głowy, oczy błyszczały im wielką miłością. Szerokie uśmiechy były pełne wielkich nadziei. On, zwycięski bohater. Ona, zwycięska królowa piękności z Południa.

- Zatrzymaj je, proszę. - Hillary powstrzymała ręką Charlotte, kiedy ta próbowała oddać jej zdjęcie.

- Nie, nie mogę. - Charlotte palcem przejechała po konturach twarzy wiecznie młodego Joela. - Nie chcesz go mieć?

- Chcę, żebyś ty go miała. Joel należy teraz do nas obu. Ty go mi zwróciłaś. Z jakiegoś powodu. Ujął cię tak samo, jak ujął mnie. - Rysy twarzy Hillary miękły, gdy mówiła. - Po raz pierwszy, odkąd umarł, cieszyłam się, że za niego wyszłam. Przypomniało mi się całe dobro i szczęście. I zawdzięczam to tobie.

Dzwonek do drzwi. Dostawa pizzy przerwała tę chwilę. Charlotte zapłaciła, odmawiając przyjęcia pieniędzy od Hillary.

- Pachnie dobrze. - Hillary otwierała kolejne szafki. - Mmm... Talerze i szklanki?

- Przy zlewie. - Charlotte, wychyliwszy się ze spiżarni, pokazała ręką, gdzie trzyma serwetki. - Mam mrożoną herbatę, wodę, mleko, sok, dietetyczną colę. W tym domu niekoniecznie pije się to, co dobre.

- Poproszę mrożoną herbatę. — Hillary zatrzymała się. — Jest słodzona?

Charlotte uśmiechnęła się szeroko, otwierając na stole w jadalni karton z pizzą.

- W pewnym sensie.

- To mi wystarczy. Nie chcę wiedzieć nic więcej.

Kobiety w spokoju pochłonęły pierwsze gorące kęsy sera i sosu. Potem Hillary sięgnęła po serwetkę.

- Jak czuje się twój przyjaciel w szpitalu?

- To teraz rozmawiamy o mnie?

- A czemu nie. Przez tę suknię jesteśmy praktycznie rodziną. *Rodzina*. To słowo uderzyło w Charlotte i wpadło do jej serca.

- Wszystko w porządku. Miał wypadek na wyścigach motokrosowych. — Charlotte starła sos pomidorowy z palców.

- Czy to jest ktoś szczególnie dla ciebie?

- Był. Byliśmy zaręczeni, ale odwołał ślub. - Charlotte sięgnęła po colę. — To znaczy, chciał go odłożyć. Powiedział, że nie jest gotowy. Ale jak się już było zaręczonym i planowało ślub, a potem wraca się do... czekania. Do stanu zawieszenia... - Pociągnęła łyk dietetycznej coli. Napój i rozmowa dobrze pasowały do pizzy. - Za szybko się to wszystko potoczyło. Zaręczyliśmy się po dwóch miesiącach znajomości.

- Najlepsze historie miłosne to te o mężczyźnie i kobiecie, którzy poznali się jednego dnia, a następnego się pobrali.

- Tak? Na przykład które? Hillary wzruszyła ramionami.

- Nie wiem, to ty jesteś konsultantką ślubną. Ale jestem pewna, że to prawda.

Charlotte zaśmiała się.

- Nie umiesz kłamać.

- Może. Ale na pewno słyszałaś historie ludzi, na których miłość spadła nagle. I odnoszę wrażenie, że wcale nie chcesz powiedzieć temu panu do widzenia. - Hillary wybrała kawałek pizzy z tych, które jeszcze zostały.

- Nie chciałam też, żeby moja mama umarła w wieku trzydziestu pięciu lat. Ale umarła. Życie nie zawsze układa się tak, jak chcemy. Ale zawsze jest pizza. - Charlotte ugryzła duży kęs. Wkradając się do przeszłości Hillary, dała jej pozwolenie na to, by wchodziła w jej życie.

- Zanim Joel zginął - powiedziała Hillary - pisaliśmy do siebie listy i wybieraliśmy dni, w których razem spojrzemy na księżyc.



Różnica czasu wynosiła dwanaście godzin, więc jedno patrzyło na księżyc w nocy, a drugie w dzień, jeśli był widoczny. W noc po jego pogrzebie księżyc był w pełni i świecił jasno. Był jak tańcząca kula na niebie. Jak on śmiał tak mocno świecić, kiedy w moim sercu było tak ciemno. Przestałam panować nad sobą. Pobiegłam do swojego pokoju, zerwałam suknię z wieszaka, chwyciłam nieśmiertelnik Jo-ela i ruszyłam do piwnicy. Nie miałam pojęcia, co robić, dopóki nie zobaczyłam kufra. Wrzuciłam suknię do środka, tam, skąd przyszła, wepchnęłam nieśmiertelnik Joela do torebki i wywlokłam to wszystko na zewnątrz. Zamierałam wszystko spalić. I wtedy wpadłam na tatę.

Charlotte strzepnęła okruszki z palców i słuchała.

- „Kochanie, powiedział, myślę, że nie chcesz tego zrobić”. Ale go nie słuchałam. Chciałam spalić ten głupi kufer i wszystko, co oznaczał. Nie chciałam niczego, co przypominałoby mi o Joelu. Tata przez dłuższą chwilę powtarzał „Posłuchaj mnie”. - Hillary pokiwała palcem tak, jak pewnie robił to jej ojciec owej nocy ponad czterdzieści lat temu. - „Teraz cierpisz, ale nie będziesz się tak czuła zawsze. Może kiedyś znów zapragniesz tej sukni. Zjawi się inny Joel”. Mój Boże, to doprowadziło mnie do ostateczności. Jak mógł powiedzieć coś takiego? Joel był tylko jeden. Tylko jeden mężczyzna był mi przeznaczony. Ale zachowałam jakieś resztki zdrowego rozsądku, więc kiedy tata odszedł, poszłam do jego warsztatu, znalazłam spawarkę i włączyłam ją. Pomyślałam, że teraz mu się odpłacę za to, że w szkole średniej kazał mi chodzić na zajęcia techniczne. Spawałam zamek, póki nie zaczęło z niego świecić jak z pieca hutniczego. Potem straciłam przytomność. Obudziłam się w swoim łóżku następnego ranka, z bandażami na poparzonych rękach.

Hillary wstała od stołu i sięgnęła po swoją czarną torebkę. Z przedniej kieszeni wyjęła fotografię.

- Znalazłam to, kiedy przeglądałam zdjęcia - powiedziała, wręczając Charlotte czarno-białą fotografię. - To moja mama i tata, a obok nich poprzedni właściciele naszego domu.

- Tego, w którym znalazłaś kufer? - Kobieta, może trzydziesto-paroletnia, w niedzielnym kostiumie. Wyglądała pięknie. - Czy myślisz, że są jakoś powiązani z suknią?

- Nie mam pojęcia. Ich imiona są na odwrocie. Thomas i Mary Grace Talbot. To pismo mojej mamy. Prawie idealne, czyż nie? Pamiętam, że Thomas był kaznodzieją i że dopiero co nabyli duży namiot, żeby organizować spotkania religijne w całym kraju. Powiedział mamie, że ma dar uzdrawiania. Wydawało mi się, że to najdziwniejszy człowiek, jakiego kiedykolwiek spotkałam.

- Naprawdę? Z powodu tego uzdrawiania?

- Miałam być pielęgniarką w przyszłości, więc tak, nawet w wieku dziesięciu lat nie wierzyłam, że ktoś mógłby *uzdrawiać*. - Hillary uniosła brwi. - A ty co myślisz?

- Myślę, że Bóg wykorzystuje niedoskonałych ludzi, by robili to, czego On chce. Posługuje się mną, by pomóc pannom młodym w przygotowaniach przedślubnych. - Charlotte jeszcze raz spojrzała na zdjęcie, opuszką palca dotknęła widniejących na nim twarzy. - Thomas i Mary Grace Talbot. O czym teraz myślisz?

- Teraz pewnie są tuż przed dziewięćdziesiątką, albo tuż po.

- O ile jeszcze żyją.

Hillary wzięła kolejny kawałek pizzy.

- Żyją - uśmiechnęła się. - I myślę, że mogę dowiedzieć się, gdzie mieszkają.

18.

W środę po lunchu Charlotte rozpakowywała nową dostawę. Zimowe suknie, które zamówiła, były piękne. Zajmowanie się tym drogocennym towarem zawsze przywracało jej równowagę.

Z tabletu grało radio Jesus Culture. W dni takie jak ten Charlotte wierzyła, że ten salon jest jej najświętszym sanktuarium.

Kroki Dixi rozniosły się echem po drewnianej podłodze.

- Jestem tutaj. Czekam na ciebie.

Dixie weszła do pokoju. Usiadła na starym drewnianym biurku, przy którym odbierały i pakowały przesyłki, i zebrała włosy w kucyk.

- Jared mówi, że z Timem już dobrze. Prawdopodobnie dziś wypiszą go do domu.

- Cieszę się.

W poniedziałek podczas lunchu, który zabrał im ponad dwie godziny, Charlotte ze szczegółami opowiedziała Dixie, co wydarzyło się w weekend. Dixie powiedziała wówczas stanowczo, że musi wiedzieć wszystko, zaczynając od pierwszego Cw „Cześć”, a kończąc na ostatnim *a* w „Do widzenia”.

- Jared powiedział, że blondyna z restauracji przychodziła tam codziennie.

- Miło mieć kogoś, kto się o ciebie troszczy, kiedy cierpisz. Dixie walnęła ręką w biurko.

- Czy przestaniesz być w końcu taka miła? Wścieknij się. Wybuchnij. Pogroź mu pięścią. „Już nigdy nie będę głodna” - perfekcyjnie odegrała południowy akcent. - Walcz o niego, walcz o to, co twoje.

Charlotte uśmiechnęła się, znacząco przewracając oczami.

- Bardzo to dramatyczne, panno O'Hara. Dokąd mnie zaprowadzi wymachiwanie pięściami? Mam się wściekać z powodu czegoś, czego nie mogę zmienić?

Już namachała się pięściami. Stała się przez to bardziej wściekła i smutna. Teraz odczuwała spokój, i chciała przez jakiś czas dać się temu ponieść. Po chwili dodała:

- Nie mogę walczyć o mężczyznę, który mnie nie chce.

- Ale powiedziałaś, że on...

- Tak, nagadał mi pewnych rzeczy. Ale kiedy ona weszła, to jakbym nagle zniknęła. — Charlotte trzymała w rękach nową Bray-Lindsay. - Podobają ci się suknie? Uwielbiam każdy ich projekt.

Chciała się w niej zanurzyć, połączyć się z jedwabistymi nićmi i czystą, kremową bielą.

- Tak, zapierają dech w piersiach. Nie pozwól, żeby Tawny je zobaczyła. Bo jeszcze zmieni zdanie.

Charlotte wyjęła kolejną suknię, od miejscowej projektantki Heidi Elnora. Dzwonki frontowych drzwi rozbrzmiały w salonie, a następnie dało się słyszeć donośne „Halo?”.

- Zajmę się tym. - Dixie wyszła z pokoju i po chwili wróciła z Hillary. Charlotte odwiesiła suknię.

- Hillary? Cześć, co ty tu robisz? - Zaprosiła ją gestem do środka. - Dixie, to jest Hillary.

- Wiem. Już się poznałyśmy. - Dixie osunęła się na swoje miejsce. - A więc to ty jesteś tą Hillary, która miała na sobie suknię? Ty zamknęłaś ją w kufrze?

- Moja wina. Ale jestem wdzięczna tej kobiecie, że ją ocaliła. Ocaliła mnie.

*Ocaliła.* Tak samo powiedział człowiek w purpurze. Przez chwilę to słowo odbijało się echem w duszy Charlotte.

- Charlotte, czy mogłabyś mi poświęcić kilka godzin? - zapytała Hillary.

- Mogłabym, jeśli mnie potrzebujesz. Nie masz nic przeciwko temu? - upewniła się u Dix, która przytaknęła głową. Zastąpi ją po południu.

- Zadzwoiłam do Thomasa i Mary Grace Talbot. Zapraszają nas po południu, jeśli masz chęć się wybrać.

- Teraz?

- Teraz.

- Halo, chwileczkę, moje panie. Wyjaśnijcie starej Dixie, o co chodzi. Jak to: skontaktowałaś się z Talbotami? - Pogroziła Charlotte palcem: - Tej części historii mi nie opowiedziałas.

- Sama nie znałam jej aż do wczoraj. - Charlotte opowiedziała Dixie skróconą wersję: - Hillary pracowała w szpitalu św. Wincentego z lekarzem o nazwisku Talbot. Kiedy znalazła nazwisko Thomasa i Mary Grace, zadzwoniła do tego lekarza i zapytała, czy to możliwe, by był z nimi jakoś spokrewniony.

- I? - zapytała Dixie, odwracając się w stronę Hillary.

- Nigdy o nich nie słyszał. Ale chodził do szkoły z innym Talbotem. Jeśli przez dwanaście lat jesteś w klasie z chłopakiem o tym samym nazwisku, trochę o nim wiesz. Doktor Thomas Talbot, którego

znałam, skontaktował mnie z Harrym, który jest stryjecznym wnukiem Thomasa i Mary Grace. Dixie jęknęła.

- Hillary, czy myślisz, że pani Talbot również miała na sobie tę suknię?

Charlotte powiesiła ostatnią suknię z dostawy.

- Pojedźmy tam i sprawdźmy.

Pensjonat dla seniorów Kirkwood by the River stał pośród lasów nad rzeką Cahaba. Kiedy parkowały, a potem szły do głównego wejścia, Hillary nie przestawała mówić.

- On ma pięćdziesiąt cztery lata, cierpi na demencję. Ona ma pięćdziesiąt trzy i nadal trzeźwo patrzy na świat. Przynajmniej tak twierdzi Harry.

Kiedy przechodziły przez zalane słońcem kamienne patio, Charlotte zatrzymała się.

- Nie jestem pewna, czy chcę tam wejść.

- Co? Tyle przejechałyśmy. Czy nie po to znalazłaś *mnie*? Hillary usiadła na ławce z kutego żelaza, wyściełanej kwiecistymi poduszkami.

- A jeśli ona nic nie wie o sukni? Jeśli to jest ślepy zaułek? Ty byłaś ostatnią osobą, która miała suknię na sobie, i być może nie dowiemy się, kto był wcześniej. Nie dowiemy się, czy poprzednia panna młoda wyszła za mąż z miłości, czy z rozsądku. Albo czy owdowiała tak jak ty. Mamy trzy wojny, z którymi mogły się zmagać. Nie jestem pewna, czy chcę wiedzieć, co czeka nas na końcu tej drogi. Dowiedzieć się, że nigdy niczego się nie dowiem. Za dużo jest niewiadomych w mojej przeszłości. Nie chcę dodawać do nich tej sukni.

- Charlotte, to nie pytania trzymają nas w ciemności. Już tam przecież jesteśmy, prawda? Jeśli dojdziemy do ślepego zaułka w historii sukni, to przynajmniej będziemy wiedzieć, że próbowałyśmy. W życiu nie ma gwarancji, że znajdzie się odpowiedź.

- Ale można udawać. — Charlotte usiadła wygodnie obok Hillary. — Jeśli nie porozmawiam z panią Talbot, mogę dopowiedzieć sobie resztę historii. Uroczą panną młodą, przystojny pan młody, prosta ceremonia. Ona w twojej sukni.

- I twojej. - Hillary ruszyła w kierunku wejścia. - Charlotte, minęłaś się z powołaniem. Powinnaś pisać powieści o miłości.

- Tu nie chodzi o powieść, Hillary. Chodzi o życie. Kto nie chce być kochany? Bezpieczny? Mieć domu i rodziny?

Czy właśnie tego tak rozpaczliwie pragnęła? Bezpieczeństwa? Domu, rodziny? Charlotte nigdy wcześniej nie ubrała swojego lęku w słowa. To dlatego hodowała w sobie wątpliwości, czy poślubić Tima? Ponieważ nie była pewna, że jego serce będzie ją kochać? Albo czy tamten dom oznaczał rodzinę? Katherine miała rację, nie pasuje do nich.

- Charlotte, brzmi to, jakbyś chciała miłości idealnej. Takiej, która nie igra z twoim sercem czy z twoimi lękami. Taka miłość nie istnieje. Powiedzmy, że przejdziemy przez te drzwi i dowiemy się, że żadne z Talbotów nie pamięta sukni. Nic o niej nie wiedzą. Czy wiesz, że są małżeństwem od siedemdziesięciu dwóch lat? Siedem dziesięcioleci i dwa lata. To dwakroć twoje życie, i jeszcze trochę. Może nie znajdziemy kobiety, która nosiła tę suknię, albo nie dowiemy się, jak suknia znalazła się w piwnicy moich rodziców, ale znajdziemy kogoś, kto wie, jak kochać. To taka miłość wypędzi twój strach. A nie ta, którą, jak myślisz, znajdziesz uciekając i chowając się. - Hillary wyprostowała ramiona, jak w wojsku. - Idziemy.

Charlotte podążyła za nią bez słowa. Spotkały młodego, ciemnowłosego opiekuna, który poprowadził je długim korytarzem, mijając pokój telewizyjny i jadalnię, do drzwi Thomasa i Mary Grace Talbotów.

- Spodziewają się pań? - Zapukał delikatnie. - Mary Grace? Thomas? Tu George. Macie gości. - Nacisnął klamkę.

Kiedy drzwi się uchylały, Charlotte zauważyła panią Talbot, chudą, ginącą w swetrze i spodniach, przemierzającą pokój o lasce.

- Wprowadź panie, George. - Serce Charlotte pęczyło od oczekiwania. Pani Talbot uśmiechnęła się i Charlotte poznała aurę piękna i młodości z fotografii. - Wejdźcie, wejdźcie. Thomas, mamy gości.

George szybkim krokiem przemierzył pokój, oferując swoją pomoc słabowitemu mężczyźnie, który wychodził z sypialni.

- Przeklęte nogi śmieją się ze mnie. Nie starzejcie się, dziewczęta

- pogroził im palcem i pochylił się, by usiąść w bujanym fotelu. - Nie oplaca się, nie oplaca się. Jestem pogodzony z Panem... Nie wiem, dlaczego po mnie nie przychodzi. Już żadnego ze mnie pożytku nie ma tu, na dole.

- Poza tym, że dotrzymujesz mi towarzystwa. - Pani Talbot cofnęła się do drugiego fotela, a George zaoferował jej dłoń, gdy siadała.

- Tommy, tęskniłbyś za mną, gdybyś odszedł do chwały.

- Złotko, nie planowałem wybierać się tam bez ciebie. Byłaś cały czas ze mną. Wszystkie łupy są tak samo moje, jak i twoje. - Jego pokryta plamami, żylasta dłoń opadła na oparcie krzesła i natychmiast ujęła dłoń żony. - A więc, co możemy dla was zrobić, młode damy?

Z oczu Thomasa biła dobroć. Mądrość i cierpliwość. Charlotte polubiła go od razu. Jeśli cierpiał na demencję, to dziś nie było tego widać.

- Nazywam się Charlotte Malone, panie Talbot. A to jest Hillary Warner.

- A my jesteśmy Thomas i Mary Grace, wszyscy tak się tu do nas zwracają.

- To ja rozmawiałam z tobą przez telefon - powiedziała Hillary i uniosła się widząc, że Mary Grace próbuje wstać z fotela. George



już poszedł. Nie wiedziały, czego starsza kobieta może potrzebować. -  
Mogę ci pomóc?

- W kuchni parzy się kawa. Czy mogłabyś ją przynieść? Zrobiłabym to sama, ale nim się doczłapię tam i z powrotem, będzie czas na kolację.

Jej śmiech kontrastował z jej wiekiem.

Hillary poszła w stronę kuchni, ale przedtem kiwnęła na Charlotte:

- Zaczynij opowiadać.

Charlotte przysunęła się trochę do pary, przechylając się przez oparcie kanapy. Napotkała spojrzenie Mary Grace, jej oczu błękitnych i przejrzystych jak letnie niebo na Południu.

- Znalazłam suknię ślubną. - Powietrze w pokoju poruszyło się. Oczy Charlotte zaszyły nieproszonymi łzami. - W kufrze, który kupiłam na aukcji.

- A więc znalazłaś suknię? - Palce Mary Grace nadal dotykały dłoni męża. - Jedwabną, z atlasową spódnicą, perłami w talii i połyskiem złotej nici?

Hillary wystrzeliła z kuchni, z filiżanką kawy w każdej ręce.

- Tak, to właśnie ta. Ktoś pije ze śmietanką, z cukrem?

- Dla mnie czarna - powiedział Thomas, podnosząc drżącą rękę.

- Odrobinka wszystkiego dla mnie - dodała Mary Grace i zamieszała w powietrzu niewidzialną łyżeczką. Jej duch, młodość oplątały Charlotte.

- Charlotte? - zapytała Hillary.

- Dla mnie woda. - Kofeina tylko by ją pobudziła, a nerwy miała już wystarczająco pobudzone podekscytowaniem i niepokojem związanymi z tym spotkaniem. - Mary Grace, wiesz o sukni?

- Oczywiście. Miałam ją na sobie w dniu ślubu.

- Najładniejsza panna młoda, jaką Birmingham kiedykolwiek wdziało - powiedział Thomas, wyraźnie i stanowczo.

- Cicho, Thomas. - Mary Grace wzięła filiżankę, którą podała jej Hillary. - On nadal raczy mnie słodkimi drobnostkami. Powiedz mi, Charlotte, czym się zajmujesz?

- Ja... mam salon mody ślubnej w Mountain Brook.

Mary Grace miała na sobie tę suknię. Charlotte wzięła wodę z rąk Hillary. Przyjemnie trzymało się w dłoniach chłodny ceramiczny kubek.

- I znalazłaś moją suknię. - Mary Grace się uśmiechnęła i zaraz pozwoliła, by uśmiech zgasł. - Ale tej sukni nie można sprzedać. Musi być noszona przez tą, która ją znajdzie.

- No tak, Mary Grace. Wydaje mi się, że moim zadaniem jest *znaleźć* następną pannę młodą. - Charlotte podniosła kubek z wodą do ust i upiła łyk. - Może ktoś wejdzie do mojego salonu, a ja będę wiedziała, że to właśnie ta dziewczyna.

- Ty jesteś tą panną młodą - Mary Grace wskazała na nią, wolno i z namysłem, prawie jakby szturchała w powietrzu coś niewidzialnego i lekkiego.

- Mówiłam ci - wyszeptała półgębkiem Hillary.

- Cicho. - Charlotte przesunęła się na krawędź kanapy, wpatrując się w Mary Grace. Ona pomoże jej zrozumieć. - Moja praca polega na pomaganiu pannom młodym przygotować się na największy dzień w ich życiu. Można powiedzieć, że to mój prezent dla nich. Jestem w tym dobra.

Nawet dla niej samej te argumenty brzmiały płytko. Kogo starała się oszukać? Nie miała pojęcia, dlaczego *ocaliła* suknię.

- Na pewno jesteś w tym świetna. Ale ta suknia nigdy nie była na sprzedaż. Była przekazywana od jednej panny młodej do drugiej.

Hilary zamarła z filiżanką kawy w ręku.

- Ale ja znalazłam kufer w piwnicy rodziców.

- Wiem. - Mary Grace kołysała się delikatnie w fotelu. - Zostawiłam go tam dla ciebie.

- Zostawiłaś tam... Miałam tylko dziesięć lat! - Zaskoczenie i szok mieszały się na szczupłej twarzy Hillary.

Charlotte wiedziała, że Hillary nadal całkowicie nie zamknęła tematu Joela w swoim sercu, więc na moment odeszła od kwestii sukni.

- Thomasie, słyszałam, że byłeś kaznodzieją.

- Tak, tak, pięćdziesiąt dwa lata. Głosiłem dobrą nowinę o królestwie od Maine, przez Hawaje, aż po Meksyk i Gwatemalę na południu oraz Kanadę i Alaskę na północy.

- Nadał ją głosi - powiedziała Mary Grace. - Mnie i wszystkim mieszkańcom. Nasza biedna pani sprzątaczką na pewno wysłuchuje kazania co tydzień. A człowiek, który przynosi nam zakupy, niedługo znów się narodzi na nowo, wiem o tym. I jest przecież jeszcze nasz drogi George, który upiera się, że jest... Kim on tam jest, Tommy?

- Agnostykiem.

- O właśnie, upiera się, że jest tym czymś.

- Wyobraźcie sobie wiarę w nic. Jaka stamtąd płynie nadzieja?

- Dokładnie. Jeśli masz dobrą nowinę, najlepiej jest się nią podzielić — zaśmiał się Thomas. - Siedzenie cicho nie ma sensu.

- Był wspaniałym kaznodzieją, miał dar - powiedziała Mary Grace. - Wiele zagubionych dusz doprowadził do stóp Krzyża. Przecież był taki czas, kiedy głosiliśmy w namiocie na środku prairii w Kansas i...

- Mary Grace, gdzie moja kawa?

Podniosła filiżankę ze stolika stojącego pomiędzy nimi i wręczyła ją Thomasowi.

- To był najgorętszy dzień tego lata. A tak grubych much nigdy w życiu nie widziałam. Mówię wam, tamtego wieczora nie było żadnego wiatru na równinach. A ludzie i tak przyszli, że usłyszeć dobrą nowinę.

- W tamtych czasach prawie nikt nie miał telewizji. - Thomas upił łyk kawy i odstawił filiżankę. — Było to zaraz po wojnie i kraj był gotów słuchać dobrych wieści. Przesłania nadziei.

- Ale w tym upale ludzi przyklejali się do krzeseł. Machali tylko wachlarzami. Thomas zaczął głośnić i po pięćdziesięciu słowach nagle zamilkł. - Mary Grace popchnęła otwartymi dłońmi powietrze i spojrzała na męża. - Stał dokładnie na środku podwyższenia, rozpostarł ręce, odchylił głowę i zamknął oczy.

Charlotte przeszło radosne mrowienie. Talbotowie przemawiali jak młodzi, mocni w swej wierze chrześcijanie. Żadnych śladów przemijania. Ani demencji.

- A Tommy stał tak, na środku podwyższenia, z rozpostartymi rękoma, z twarzą skierowaną do nieba, i powiedział najbardziej spokojnym, opanowanym, ale pewnym głosem: „Ojcze niebieski, który uciszyłeś morza i zgańnię burzę, proszę Cię o łaskę dla tych pokornych ludzi, którzy jechali tu wiele kilometrów, żeby usłyszeć Twoje słowo. Proszę, ześlij nam chłodny, delikatny deszcz”.

- Niektórzy w pierwszym rzędzie zarechotali - Thomas potrząsnął głową.

- Ale nie przejmował się tym i nie pozwolił, żeby go to zdekoncentrowało - wtrąciła się Mary Grace. - Czas płynął. Thomas się nie ruszał i nic się nie działo.

- Pot zaczął przebijać mi przez koszulę. Zaryzykowałem całą moją reputację i posługę tą szaloną prośbą.

- Więc co zrobił? Poprosił jeszcze raz. - Mary Grace przeszła powietrze swoją lekko zwiniętą w pięść dłońią. Gestem, który mówił: „A co”.

- Tak na wypadek, gdyby ludzie z tyłu też chcieli się pośmiać.

- Thomas i Mary Grace opowiadali swoją historię jak dobrze tańczony walc.

- „Panie”, powiedział, „Panie wiatru i fal, Stworzycielu wszystkiego, Miłośniku dusz”...

- Jeśli masz już się pograżyć, to rób to, wysławiając Jego imię — Thomas podniósł rękę i pomachał nią do nieba.

- „... ześlij nam chłodny, delikatny deszcz” - dokończyła Mary Grace.

- Krzesła skrzypiały - powiedział Thomas. - Mężczyźni chrząka-li, szarpali przepecone kołnierzyki. Dzieci płakały, a matki próbowały się ochłodzić, machając wachlarzami.

- To była najdłuższa minuta naszego życia, kiedy czekaliśmy, co Thomas, albo Bóg, zrobi. I wtedy... - Mary Grace zamilkła na chwilę z błyskiem w oku. Charlotte przysunęła się do niej, ściskając w ręku kubek z wodą. Hillary podeszła bliżej. - I wtedy namiot zachwiał się lekko.

- Powietrze się poruszyło.

- I najśłodszy podmuch chłodnego wiatru przeleciał pod namiotem, dookoła naszych krzesel. Rozwiał ludziom włosy. Można było zobaczyć powiewające kosmyki.

- Zapachniało świeżo skoszoną trawą. Ludzie zerwali się na równe nogi, zaczęli wielbić Boga. A gdy ich głosy osiągnęły najwyższe napięcie, delikatny deszcz zaszeleścił o dach namiotu. Padało do końca dnia i przez cały kolejny dzień. - Thomas oparł się wygodnie, na jego pomarszczonej twarzy jaśniał uśmiech. Filiżanka kawy połyskiwała mu w ręce.

- Mówię wam - odezwała się Mary Grace. - Tego wieczoru pod namiotem nie było ani jednego ateisty. Setki ludzi oddały swe serca Panu. Było nawet kilka uzdrowień. Pamiętasz chłopaka z polio, Tommy? - Jej ciemne oczy zamigotały. - Odrzucił kule, zerwał szyny i zaczął biegać dookoła namiotu jako wolny człowiek. W końcu złapał go ojciec i pozwolił zbadać obecnemu tam lekarzowi. Lekarz stwierdził, że chłopiec ma zupełnie nową nogę.

- Chłopiec został uzdrowiony z polio? - prychnęła Hillary i odstawiła swoją filiżankę. - Tak po prostu? Byłam pielęgniarką przez ponad czterdzieści lat. Nigdy nie widziałam, żeby ktoś został uzdrowiony z choroby takiej jak polio.

- Rozumiem. Czyli twoja wiara opiera się na doświadczeniu? Na tym, co widziałaś? Daleko z tym nie zajdziesz. - Thomas nie był już starcem. Wypowiadała się autorytatywnie. - Bez wiary nie można zadowolić Boga.

- Thomas, proszę cię... - Mary Grace ścisnęła jego palce, delikatnie torując sobie drogę, by dojść do słowa. - To był prawdziwy cud, udowodniony medycznie. A teraz, kochane, o co takiego chciałyście nas zapytać?

Tak, trzeba wrócić do sukni. Charlotte odchrząknęła i przyglądała się spódnicy.

- Mary Grace, Hillary znalazła zdjęcie w pudełku swoich rodziców. - Charlotte dała Hillary znać, żeby podała fotografię Talbotów z jej rodzicami.

- Na drugiej stronie jest data. Dzień, w którym moi rodzice kupili od was dom.

- Ojej... - Mary Grace przyłożyła swoją drobną, poplamioną dłoń do piersi. - To było tak dawno.

Thomas założył okulary i pochylił się, żeby spojrzeć na fotografię.

- Co to za młoda, piękna dama, obok której stoję? Mary Grace zachichotała.

- Byłam tuż przed czterdziestką i bałam się, że jak już ta czterdziestka nadejdzie, będę taka stara.

- Założę się, że teraz byś się z nimi zamieniła, gdybyś mogła. Prawda, kochanie?

- Natychmiast.

Może i chcieli zamienić się miejscami z Charlotte i Hillary, ale też Charlotte chciała się zamienić z nimi. Choćby na chwilę. Żeby wiedzieć, jak to jest kochać kogoś przez siedemdziesiąt dwa lata. Opowiadać historię w absolutnej harmonii. Żeby słyszeć, że jest nadal najładniejszą panną młodą w Birmingham.

- Jesteście tu z moimi rodzicami. Lindell i Arlene Saltonstall - Hillary podeszła do Thomasa, który trzymał zdjęcie. - Kupili od was dom w '57 roku. Miałam starszego brata. Mówiliśmy na niego Shoop.

- Hillary, to ty jesteś tą dziewczynką, dla której zostawiłam suknię. - Mary Grace usiadła głębiej w fotelu, wzdychając i zamknęła oczy. - Powiedz mi, czy jesteś spokrewniona z Saltonstallami, właścicielami kopalni? Mój ojciec pracował tam przez czterdzieści lat.

- Mój pradziadek był jednym z braci Saltonstall, właścicieli kopalń. Ale mój dziadek, Paul Saltonstall, nie chciał mieć nic wspólnego z rodzinnymi kopalniami. Poszedł swoją drogą. Chciał być inżynierem.

Gdy Hillary mówiła, Mary Grace odchyliła głowę. Jej zamknięte oczy drżały.

- Pani Talbot? - Charlotte podniosła się. Czy z tą kobietą wszystko było dobrze? Thomas nie wyglądał na zaniepokojonego. Raczej na mało przytomnego.

- Kochanie, mów mi Mary Grace. - Otworzyła oczy. - Wspominałam tylko mojego ojca. A więc, Hillary, powiedz mi, czy miałaś na sobie tę suknię?

Hillary odpowiedziała uroczyście, w zgodzie ze wzniosłym tonem rozmowy.

- Tak, miałam.

Charlotte mogła w słowach Hillary dosłyszeć bicie jej serca.

- Kiedy pierwszy raz wychodziłam za mąż. Sześć miesięcy później mój mąż zginął w Wietnamie.

- Och, moja droga, tak mi przykro. - Mary Grace z trudem wstała z fotela. Sięgnęła po laskę, a gdy odzyskała równowagę, podeszła do małej szuflady w komodzie. Kiedy wracała, miała w ręku zdjęcie.

W odbitym świetle Charlotte dojrzała uśmiechniętych nowożeńców.

- To Tommy i ja w dniu naszego ślubu.

Charlotte miała do ręki zdjęcie, podretuszowane, czarno-białe. Artysta musnął policzki Mary Grace różową poświatą. Poczzerwienił usta ich obojga. Ale nie było wątpliwości co do tego, że ona była piękna, a on młody i przystojny. Mary Grace miała na sobie *tę suknię*.

- Poznaliśmy się w podstawówce. Zakochałam się w nim na placu zabaw.

- Nie chciałem mieć z nią nic wspólnego.

Thomas zakołysał się w fotelu, a Mary Grace znów zamknęła oczy. Charlotte spojrzała na Hillary. Jeśli nie dowiedzą się niczego o sukni w przeciągu kolejnych kilku minut, mogą w ogóle się nie dowiedzieć. A przynajmniej nie dziś.

- Mary Grace - Hillary podeszła i uklękła przy fotelu, ściskając jej rękę. Charlotte domyśliła się, że sprawdza puls Mary Grace i upewnia się, że jest przytomna. - Skąd miałaś tę suknię? Uszyto ją dla ciebie?

Staruszka wyprostowała się trochę. Drżącą ręką sięgnęła po kawę.

- Dała mi ją kobieta, która miała ją na sobie jako pierwsza.

Jej wyznanie, tak głębokie i jasne, otworzyło drzwi tysiącu pytań. Nerwy Charlotte były napięte do granic wytrzymałości. Wstała gwałtownie, spoglądając w przelocie na Hillary, która się zmarszczyła.

- To dlaczego zostawiłaś ją w domu?

Dobre pytanie. Ale nie takie zadałaby Charlotte. *Kto* dał suknię Mary Grace? Kim była kobieta, która miała ją na sobie jako pierwsza? Wydawało się, że dziś chodzi o podróż Hillary. Charlotte usiadła z powrotem i zaczęła sączyć wodę.

- Sprzedaliśmy dom twoim rodzicom. Byliśmy już spakowani i gotowi do drogi, a kufer z suknią był ostatnią rzeczą, którą trzeba było załadować.



- Już miałem go wrzucić na pakę samochodu - odezwał się Thomas, jakby z oddali. Oczywiście miał na wpół przymknięte. - Ale Gracie powiedziała: „Tommy, zostaw go. Dla tej małej”.

- Więc naprawdę zostawiliście ten kufer właśnie *dla mnie*? - Głos Hillary drżał. Na jej twarzy malowała się niepewność.

- Poczulałam, że mam ci ją zostawić.

- Też kochała tę suknię. Ale kiedy Pan daje Gracie kuksańca, ona nań odpowiada.

Hillary wstała.

- Bóg powiedział ci, żebyś zostawiła *ten* kufer w piwnicy dla mnie?

Niepewność. Powątpiewanie. Zdumienie.

- Myślę, że tak właśnie zrobił. Wierzę, że tak zrobił. A ty ją znalazłaś. I włożyłaś ją.

- Tak. W najszcześniejszym dniu mojego życia. Który doprowadził mnie do najgorszego. Włożyłam ją dla pana młodego, który zginął sześć miesięcy później. — Hillary wstała i wyszła za drzwi, zanim ktokolwiek zdążył powiedzieć słowo. Żadnego przepraszam, dziękuję, do widzenia.

- Hillary... - Charlotte wyjrzała na korytarz. Ale jej nowej przyjaciółki już tam nie było. - Mary Gace, Thomasie, przepraszam was. - Charlotte wzięła swoją torebkę i torebkę Hillary. - Ona po prostu stara się zrozumieć stare wspomnienia. Dziękuję wam za wasz czas. Czy mogę jeszcze was odwiedzić?

- Oczywiście, zapraszamy. Nie martw się o Hillary. Poradzi sobie. Poradzi sobie.

Modlitwa powędrowała z ust Mary Grace do uszu Boga. Charlotte znalazła Hillary przy samochodzie.

- Hej, jak na starszą panią, szybka jesteś - powiedziała, siląc się na uśmiech. Wycelowała pilotem w auto. Hillary stała przy drzwiach

pasażera z kamienną twarzą. Charlotte usiadła za kierownicą i rzuciła obie torebki na tylne siedzenie.

- Co się dzieje?

- Po prostu jedź. - Hillary, z twarzą bladą jak płótno, opuściła szybę i wystawiła głowę za okno. Lewą rękę zaciskała mocno, aż jej knykcie stały się białe. - A więc w 1957 roku Bóg zdecydował, że zostanę wdową? Ze poślubię kogoś na sześć miesięcy przed jego śmiercią? - Uderzyła w drzwi pięścią. - Nigdy już moja noga nie postanie w żadnym kościele.

- Myślisz, że Bóg przebywa tylko w kościele? Był z nami w tamtym pokoju, pięć minut temu. Jest wszędzie.

Charlotte doświadczyła Jego wszechobecności tamtego lata, na obozie letnim dla młodych. A później jeszcze wiele razy. Wycofała samochód z miejsca parkingowego, ale zatrzymała się na środku drogi.

- Wszystko w porządku?

- On wiedział. Wiedział, że Joel umrze. - Łzy popłynęły po szczupłych, różowych policzkach Hillary. Połykała świeże powietrze zza okna. - I pozwolił, żebym za niego wyszła.

Charlotte westchnęła. *Boże, pomóż mi. Co mam jej powiedzieć?*

- Hillary, może Bóg...

- Czy jest jakiś powód, dla którego stoimy na środku parkingu? Charlotte wyjrzała przez boczne okno. Wiatr przelatywał między drzewami. A myśli przelatwały jej przez głowę.

- A jeśli ślub z Joelem nie dotyczył ciebie? Jeśli w tym ślubie chodziło o niego?

- Chodziło o nas oboje.

- Ale tylko jednemu z was, według twojej teorii, pisana była śmierć za sześć miesięcy. Co jeśli w poślubieniu Joela chodziło o to, żeby młody mężczyzna szedł na wojnę kochany, szczęśliwy, pocieszony wizją ciepła domowego ogniska i pięknej żony czekającej na niego w domu? Co jeśli myślenie o tobie, wspomnianie waszego ślubu,

waszych wspólnych nocy, przyjaźni i śmiechu — myśli Charlotte formowały się szybciej, niż dawała radę je wypowiedzieć - były jedyną rzeczą, która pomagała Joelowi przetrwać te noce, kiedy był przerażony i samotny, zmarznięty i głodny, nieszczęśliwy, jak tylko może być mężczyzna na wojnie? Co jeśli twoje listy były jedyną rzeczą, która pozwalała mu pozostać przy zdrowych zmysłach, której mógł się uchwycić w samym środku bitwy? Co jeśli w poślubieniu Joela nie chodziło o ciebie? Jeśli całkowicie chodziło o Joela? Tylko o Joela? Co jeśli Bóg kochał go tak bardzo, że chciał mu przed śmiercią dać żonę? Czy potrafisz tak na to spojrzeć?

Charlotte zmieniła bieg i puściła sprzęgło. Samochód ruszył do przodu. Hillary skuliła się i stłumiła łkanie, chowając twarz w dłoniach. Jej ramiona podnosiły się i opadały pod wpływem narastającego szlochu.

Charlotte zahamowała przez bramę pensjonatu i pogładziła Hillary po plecach.

- Przepraszam. Przepraszam. Nie wiem, co mnie naszło.

Czekała, szepcząc co jakiś czas „Jezu, Jezu”.

Wiatr hulający między drzewami przynosił pocieszenie. Po dłuższej chwili Hillary wyprostowała się, otarła twarz wierzchem dłoni i spojrzała przez okno.

Charlotte zmieniła bieg i nacisnęła pedał gazu. Gdy wyjechała na drogę, Hillary wyciągnęła rękę i uścisnęła jej dłoń.

19.

### *Emily*

Emily samotnie w celi śródmiejskiego aresztu, czekając, aż ojciec albo Phillip, *ktokolwiek*, ją uratuje. Cella więzienna, z kratą zamiast drzwi, była zimna i ciemna. Chłód przenikał Emily aż do kości. Aż do serca.

Matka przybyła z Jeffersonem i żądała jej uwolnienia, ale policjant powiedział, że należy wpłacić kaucję. Tysiąc dolarów. *Tysiąc dolarów*. Roczną pensję przeciętnego pracującego mężczyzny. Oczywiście, ojca było na to stać, ale czy uda mu się szybko zebrać pieniądze? Banki były już zamknięte.

Gdy Emily odprowadzono do celi, Matka nalegała - żądała! - żeby policjant przekazał jej płaszcz, który dla niej przyniosła.

- Jadę po twojego ojca. Emily, bądź dzielna, jesteś Cantonówną.

Ale Emily była w rozsypce. Szłochała. Cały czas potykała się, tak że policjant musiał wręcz zaciągnąć ją do aresztu.

Gdy żelazne drzwi zatrzasnęły się za nią z hukiem, ostatkiem sił opadła na sfatygowaną, zapleśniałą pryczę. Mijały długie, pełne rozpaczyny minuty, a ona nie słyszała nic poza własnym pochlipywaniem.

W końcu usiadła, opierając się o ścianę, z płaszczem zarzuconym na ramiona. Listopadowy chłód przenikał przez betonowe ściany i gromadził się wokół jej ramion i nóg.

Swoją przyszłość wyobrażała sobie na różne sposoby. Ale nigdy w życiu nie przyszło jej do głowy, że mogłaby kiedyś zostać aresztowana.

Jakie to upokarzające. Niszczące. Gdyby tylko była tak silna i odważana, jak chciała tego matka. Chciała się poddać, obiecać, że już nigdy więcej nie odwiedzi Taffy Hayes. Nie była Cantonówną. Była tchórzem.

Postawiła stopy na ziemi, chwyciła za kraty celi i przycisnęła twarz do niewielkiego kwadratu między prętami, próbując wyrzeć na korytarz.

- Halo! Jest tam ktoś?

Czy kiedykolwiek po nią przyjdą? A może zostawią ją tutaj, żeby zgniła, uwięziona i zapomniana?

Ze skulonymi ramionami i znużonym sercem Emily znów opadła na łóżko i podkuliła nogi. Próbowwała nie zwracać uwagi na ciemne ściany, które zacieśniały się wokół niej. Nie mogła jednak myśleć o niczym innym, jak tylko o chłodzie kamienia i tej klaustrofobicznej klatce.

Kto jej to zrobił? Kto nienawidził jej tak bardzo, że gotów był oskarżyć ją pod przysięgą, by uzyskać nakaz aresztowania?

Myśli zaczęły się w niej gotować. Zrzuciła z ramion płaszcz. To wszystko było nie do pomyślenia. Jawny absurd. Nie miała żadnych wrogów, o których by wiedziała.

Wstała na równe nogi. Zaczęła wykręcać sobie ręce, kciukiem rozcierała nagi palec serdeczny.

Policjant zabrał jej pierścionek zaręczynowy. Na przechowanie, tak powiedział. Gdyby wiedziała, że będą ją tak długo tu trzymać,

zażądałaby, by przyjęli pierścionek jako kaucję. Z pewnością był wart tysiąc dolarów.

Emily westchnęła na myśl o tej sumie. Tysiąc dolarów. Nawet wysokość kaucji wydawała jej się absurdalna.

Trzasnęły żelazne drzwi. Skoczyła do krat i przechyliła twarz. Zobaczyła blask pojedynczej lampy odbijający się na odległej ścianie. Głosy dryfowały ku niej, potem oddaliły się.

- Halo... halo? Nazywam się Emily Canton - krzyczała z samego dna trzewi. - Proszę, wypuście mnie.

Głosy oddaliły się i umilkły. Westchnęła. Nie przyszli po nią.

Co, do diaska, stało się z matką? Ojcem? Dlaczego Phillip nie biegnie czym prędzej na ratunek? Odkąd ją tu przywieziono, minęło już kilka godzin. Wieczór rzucił już cień na zakratowane okno, a odgłosy handlu dawno umilkły.

Emily sięgnęła po płaszcz i owinęła się nim. Jak mogli ją tak po prostu zostawić?

Usłyszała trzaśnięcie drzwi. Znów skoczyła na równe nogi i przechyliła głowę, żeby zobaczyć, co się dzieje na korytarzu. Jasne światło odbijało się od ściany. Echo przyniosło dźwięk kroków dwóch osób. Chód nie brzmiał znajomo. Ale wtem zza zakrętu korytarza wyłoniła się twarz, *bardzo* znajoma, przystojna twarz.

- Danielu. - Emily wyciągnęła ręce przez kraty, puls dudnił jej w uszach. - Co ty tu robisz?

Ujął jej dłonie w swoje.

- Chciałem zapytać cię o to samo.

- Oskarżono mnie o złamanie prawa Jima Crowa. Zaśmiał się, zdjął czapkę i zgniótł ją w rękach.

- Któregoż to demokratę rozzłościłaś, moja droga?

- Sądzisz, że to zabawne, Danielu Ludlow? Jestem za kratami. Rozejrzyj się. Zamknięto mnie w tym mokrym, ciemnym, zimnym

miejscu. Za co? Za to, że zamówiłam u Taffy Hayes suknię i odwiedziłam jej pracownię.

- Teraz wiesz, jak to jest być po drugiej stronie. Będziesz miała więcej zrozumienia dla tych, którzy zostali niesłusznie oskarżeni.

- Ja już mam dla nich zrozumienie - powiedziała, choć w obecnym świetle wątpiła w głębokość swojego zaangażowania. - Czy przyszedłeś tutaj, żeby ze mnie drwić?

- Przyszedłem, żeby ci pomóc. - Przez kraty wyciągnął rękę i przebiegł palcem linię jej podbródka. - Och, Emily, nawet w więzieniu jesteś piękna. Zwłaszcza kiedy jesteś zła.

- Naśmiewaj się ze mnie dalej, Danielu Ludlow, a zobaczysz piękno, jakiego ludzkość jeszcze nie ujrzała. Nie możesz mnie stąd wydostać?

- Próbuję. Byłem w biurze twojego ojca, ale już wyszedł.

- Dziś czwartek. Na pewno jest w klubie. Jestem pewna, że matka już tam poszła. Ale banki są zamknięte i nie wiem, czy ojciec ma przy sobie tysiąc dolarów. Danielu, ja nie mogę spędzić tutaj nocy. - Emily cofnęła rękę i skrzyżowała je pod płaszczem. - Skąd wiedziałeś, że tu jestem? Czy całe Birmingham już o tym mówi? Czy piszą już o mnie w wieczornej gazecie? Kiedy przyjechałam, przed więzieniem stał fotograf. Och, to wszystko jest takie upokarzające.

- Nie ma tego w gazetach, Em, przynajmniej nic mi o tym nie wiadomo. Dowiedziałem się, że tu jesteś, od przyjaciela mojego ojca, porucznika Flannigana. Przyjechałem najszybciej, jak mogłem.

- Porucznik Flannigan cię zawiadomił?

- Uznał, że chciałbym wiedzieć. - Daniel przełożył rękę przez kraty i przyciągnął Emily do siebie. Silny uchwyt jego rąk dał jej poczucie bezpieczeństwa. Nie była już sama. - To nietrudne, nawet dla mężczyzny, dostrzec, że przyjaciel jest zakochany.

Jego wyznanie opłotło jej serce delikatnymi wstążkami.

- Danny, nie mów tak. Łączyła nas najszczerza przyjaźń i uwielbiam cię, ale gdy wyjechałeś z Baronami, wszystko się skończyło. W pewien sposób pożegnałeś się ze mną.

- Pożegnałem się? Nie miałem zamiaru wybierać pomiędzy tobą a baseballlem. Skąd mogłem wiedzieć, że zaręczysz się z tym samochwałą Saltonstalem? Gdybyś przeczytała moje listy...

- Znalazłam twoje głupie stare listy. - Była w więzieniu. Czemu nie miałyby wyznać mu wszystkiego? — Ojciec schował je w stajni.

- Dlaczego miałyby zrobić coś takiego? - Daniel rozluźnił uścisk i zrobił krok w tył.

- Nieważne dlaczego. Po prostu to zrobił. Zaczęłam czytać, ale zaraz przerwałam. Jestem zaręczona z innym mężczyzną, więc nie powinnam czytać listów mojego poprzedniego kawalera. To nie byłoby w porządku. Byłabym niewdzięczna, a przecież Phillip...

- Spotyka się z inną kobietą?

Emily wyrwała się z jego uścisku, ignorując „dreszcz prawdy”, który przeszył jej zmęczone ciało.

- Znowu zaczynasz. Oskarżasz mężczyznę, którego kocham.

- O nic go nie oskarżyłem, Emily.

Chwyliła kraty i precyzyjnie przecisnęła przez nie podbródek, stając nos w nos z Danielem.

- Wiesz coś jeszcze? - Złapała kołnierz jego płaszcza. - Wiesz?

- Nie pytaj, jeśli nie chcesz znać odpowiedzi. Już to przerabialiśmy, Emily.

- Na wszystkie świętości, Danielu, odpowiedz mi. Przyciągnęła jego twarz do krat. Zimna stał wbijała mu się w policzek, ale nie wzdrygnął się ani nie wyrwał. Patrzył jej prosto w oczy.

- Jeśli cokolwiek dla ciebie znaczę, jeśli twoje chore z miłości wyznanie ma w sobie choć ziarnko prawdy, powiedz mi wszystko, co wiesz. Jesteś przecież moim przyjacielem, prawda?

- Widziałem go. Z nią.



- Oprócz tamtej sytuacji na ulicy? - Emily puściła jego kołnierz, a Daniel roztarł policzek. - Był z nią? Z Emmeline?

- We Włoskim Ogrodzie, na kolacji, o północy.

- Jest piękna, prawda? - Emily odwróciła się twarzą do ściany maleńkiej celi. Poczowała się słaba i nudna. Była przestępczynią, była aresztowana, zhańbiona. Marny to widok w porównaniu z uderzająco piękną Emmeline Graves.

- Ona jest nikim w porównaniu z tobą, Emily. Otarła strużkę łez z policzka.

- Czy uwierzysz, że prowadzi się z dziewczyną, która ma prawie tak samo na imię jak ja? Pewnie dlatego, żebyśmy mu się nie pomyliły.

- Ona nie ma twojego charakteru. Spójrz na siebie, znalazłaś się w więzieniu, bo jesteś wierna swoim przekonaniom.

- Na pewno przyniesie to wiele dobrego. - Emily odwróciła się gwałtownie. - O mój Boże, Taffy! Jestem taka samolubna... Martwiłam się tylko siebie, ale co oni zrobią Taffy? Proszę, powiedz mi, że nic jej się nie stało.

- Z tego, co wiem, wszystko z nią dobrze. Flannigan powiedział, że kazano mu jedynie ostrzec ją, by trzymała się od ciebie z daleka.

- By trzymała się ode mnie z daleka? Danny, to w ogóle nie ma sensu. Kto zleciłby coś takiego?

- Emily, nie jesteś chyba taka naiwna? Wiesz przecież dobrze, jak działa to miasto.

- Nie, ale...

- Powiem ci coś... Pamiętasz mojego kolegę, Rossa? Píše dla „Age-Herald” i mogę poprosić go, żeby zbadał sprawę twojego aresztowania.

- Naprawdę? Mógłbyś? Proszę, pomóż mi znaleźć tego, kto mnie oskarżył.

- I jakże mógłbym odmówić tak szczerym błaganiom? - Sięgnął po jej dłoń. Gęsta, opadająca grzywka rozsypała mu się na czole, przyciągając wzrok Emily do jego błękitnych oczu. - Tęsknię za tobą.

- Danny, przestań. Przypominanie, kim dla siebie byliśmy, nie przyniesie nic dobrego. Musimy pamiętać, kim jesteśmy teraz, kim będziemy. Ja naprawdę chcę, żebyśmy byli przyjaciółmi.

- Ale ja cię kocham. Emily cofnęła rękę.

- To powinieneś być porozmawiać z moim ojcem. Jeśli nie przed wyjazdem z Baronami, to zaraz po powrocie do domu.

- Ale ja nie rozmawiałem nawet z tobą, Emily. Nie odpowiedziałaś na żaden z moich listów. Co miałem powiedzieć twojemu ojcu? „Dzień dobry, chciałbym prosić o rękę pana córki, choć nie rozmawiałem z nią od pięciu miesięcy”?

- Tak, Danielu. Na litość boską, właśnie tak powinieneś być zrobić.

Westchnął i odwrócił twarz w stronę ciemnego korytarza.

- To dlaczego wychodzisz za Phillipa Saltonstalla?

- Jestem w więzieniu, Danielu. - Emily pozwoliła opaść swoim rękoma z krat. Złapała płaszcz, żeby nie zsunął jej się z ramion. - Nie chcę o tym rozmawiać. Nie mogę o tym teraz myśleć. Chcę się tylko stąd wydostać.

- Przepraszam, masz rację. - Uderzył czapką o kraty. - Pójdę zobaczyć, co da się zrobić.

- Dziękuję. I, Danielu?

- Tak?

- Tamtej nocy, we Włoskim Ogrodzie. Z kim tam byłeś? Nie miała prawa wypytywać, ale zrobiła to.

- Z chłopakami, Rossem i Alexem.

- Tańczyłeś z kimś?

- Raz, ale tylko po to, by ocalić kark Rossa i nie postawić w niewygodnym położeniu dziewczyny, którą zaciągnął do naszego stołu.

- Włożył czapkę na głowę. - Jesteś' głodna?

- Umieram z głodu.

- Wrócę z czymś do jedzenia i gorącą kawą. I, mam nadzieję, z wiadomościami o twoim uwolnieniu.

- Danielu, jesteś dla mnie taki dobry, a ja zachowuję się tak niegrzecznie w stosunku do ciebie. Przepraszam cię, ale to moje pierwsze więzienne doświadczenie. Będę bardziej serdeczna następnym razem.

Uwielbiała tembr jego głosu, kiedy się śmiał. Łagodził ból.

- Nie mam co do tego żadnych wątpliwości. - Jeszcze raz przełożył dłonie przez kraty i pogłaskał jej policzek wierzchem palców.

- Emily Canton, możesz powierzać mi swoje smutki, kiedy tylko chcesz. - Ukłonił się, wycofując się tyłem w głąb korytarza. - Sprzeczkę z tobą to lepsza zabawa niż śmianie się z jakąkolwiek inną dziewczyną.

Emily przytuliła się do krat, patrząc na miejsce, w którym przed chwilą stał Daniel, i wdychając jego subtelny, czysty zapach. Czy go kochała? Och, ten człowiek potrafił zaleźć jej za skórę, sprawić, że gotowała się w niej krew. Ale ona także uwielbiała się z nim sprzeczać. Sprawiał, że jej serce przyspieszało. Umysł też. W przeciwieństwie do Phillipa, który wydawał się zainteresowany jedynie jej... ciałem? Nieustannie mówił o jej uroku i pięknie. I o randze jej nazwiska. Rzadko jednak komentował jej opowieści czy śmiał się z anegdot.

Czy kochała Phillipa? Teraz nie mogła myśleć o niczym innym, jak tylko o tym, by ją uwolniono.

Och, czy to miało jakieś znaczenie? Przyrzekła Phillipowi swoją miłość, przyjęła jego pierścione. Ile warte by było jej słowo, jeśli nie mogłaby go dotrzymać, gdy dzień wydawał się trudny i bezowocny?

Nawet jeśli kochała Daniela, została oddana Phillipowi. Czy jej się to podobało, czy nie, była związana z nim swoimi czynami i wyznaniem.

O Boże. Emily szarpnęła kraty.

- Wypuście mnie!

Stalowe drzwi w oddali znów trzasnęły i serce jej podskoczyło. *Daniel*. Emily pociekła ślinka na samą myśl o jedzeniu. Nie mogła doczekać się Daniela.

Ale to nie on wyłonił się zza rogu.

- Phillip! - Rozpostarła ramiona, jej serce zabiło o kraty. - Przyszedeś.

Szedł obok policjanta, z wysoko uniesioną głową, wyprostowany, barczysty.

- Najszybciej, jak tylko mogłem, najdroższa. - Uchwycił jej twarz i przysunął czoło, żeby złożyć na nim pocałunek. - Tak mi przykro, Emily, tak mi przykro. Bądź pewna, że porozmawiam z szefem policji i burmistrzem na temat tej pomyłki.

- Wpłacono kaucję - powiedział policjant. - Może panienka wyjść.

Drzwi celi otworzyły się i Phillip przyciągnął Emily do siebie, pieszcząc ją i szepcząc:

- Już jestem przy tobie. Zajmę się tym. Zaufaj mi.

- Och, Phillipie. - Łzy zrosiły resztę słów. Czowała się bezradna i kobieca, spragniona ramienia swojego mężczyzny. Jak mogła flirtować z Danielem jeszcze chwilę temu? Jak on może zasiewać wątpliwości w jej sercu? *Znowu*. Spojrzała w górę, na Phillipa. - Nie chcę czekać.

Dostrzegła zalotny uśmiech i błysk w jego oku.

- Kochanie, mówię to już od jakiegoś czasu. Ale tu nie możemy - rozejrzał się - policjanci mogliby nas nakryć. - Ujął jej rękę i wsunął na palec diament. - Zdaje się, że to należy do ciebie.

- Phillipie, chodzi mi o to, żebyśmy się pobrali. Nie chcę czekać do wiosny. Pobierzmy się w Sylwestra. Zakończmy rok 1912 w swoich ramionach.

- Jesteś pewna? A co z podróżą poślubną do Europy?

- Pojedziemy do Hot Springs albo na Florydę. Wiosną popłyniemy do Paryża. Czyż nie brzmi to cudownie, Phillipie?

- Bosko. W Sylwestra zostaniesz moją żoną. Porozmawiam z naszymi ojcami.

- A co z naszymi matkami?

Phillip otoczył ją ramieniem, ucałował w czoło i wyprowadził z celi.

- To, moja przepióreczko, twoje zadanie. Zaśmiała się. Jasnym, odprężonym śmiechem.

- Rozumiem. Posyłasz mnie na pożarcie wilkom, a sam zajmiesz się owcami.

- Jak mus to mus.

Gdy minęli zakręt korytarza, natknęli się na Daniela. Stał tam z koszykiem w ręku. Jego oczy wędrowały od twarzy Emily do Phillipa. Bez słowa obrócił się na pięcie i wyszedł.

Phillip potrząsnął głową.

- Co za dziwny facet.

- Czy ty... — Emily odchrząknęła. - Czy ty go znasz?

- W pewnym sensie. Spotkałem go. - Phillip cofnął rękę, którą obejmował Emily. - W mieście... wiesz, jak to mężczyźni.

- Phillipie... - Emily zwolniła kroku, dotykając jego ramienia.

- Czy mogę zadać ci pytanie i prosić o prawdziwą, szczerą odpowiedź?

- Mam ryzykować, wiedząc, że kłamstwo cię zezłości?

- Kiedy się już pobierzemy... - Nie patrząc na niego, pogładziła jego marynarkę. Z cienkiej wełny uleciały resztki kobiecych perfum.

- Kiedy się już pobierzemy, nie będzie już żadnej Emmeline. Prawda?

- Emily! - Phillip wyszarpnął się, odrzucił połę marynarki i szarpnął za kamizelkę. - Skąd znów te pytania? Już to przerabialiśmy. Nie wiem, jak na nie odpowiedzieć. Dlaczego chcesz za mnie wyjść, skoro

nie wierzysz, że jestem ci wierny? Czy to przez niego? - Phillip wskazał na drzwi. — Czy ten kretyn napchał ci głowę kłamstwami?

- Phillipie, po prostu mów jasno i szczerze. Czy jesteś mi wierny? Czy spotykasz się z Emmeline?

- A czy ja mogę zadać pytanie *tobie*?

Emily wstrzymała oddech. Phillip wydawał się zawsze odpowiadać pytaniem na pytanie.

- Tak, o co chodzi?

- Czy to ostatni raz, kiedy wydostaję cię z więzienia? Trochę mi zajęło uspokajanie ojca, kiedy usłyszał wieści. Zadzwoniliśmy do gazety, żeby usunięto z niej twoje nazwisko, i zapłaciliśmy niezłą sumkę, aby upewnić się, że nie opublikują żadnej fotografii. Nie chcę, aby ta sprawa kładła się cieniem na naszym ślubie.

- Po pierwsze, nigdy nie było moim celem dać się aresztować. Poszłam do Taffy tylko po to, by przymierzyć suknię.

- Co ci mówiłem o chodzeniu do dzielnicy kolorowych? Zaniechała odpowiedzi, zmęczona kłóceniem się w kółko o to samo.

- Emily, kochanie. - Phillip ścisnął kurczowo jej podbródek. - Jesteśmy Saltonstallami. My nie chodzimy do ludzi, to oni przychodzą do nas. Nie robimy interesów z kolorowymi.

- Nigdy?

- Jest mnóstwo białych mężczyzn i kobiet, którzy potrzebują pracy. Do każdej pracy, do której mogę zatrudnić kolorowego, mogę za tę samą cenę znaleźć biednego białego.

- Z wyjątkiem kopalń Saltonstallów. Jak twoja teoria sprawdza się w kopalniach, Phillipie? Wydaje mi się, że to kolorowi skazańcy odwalają całą robotę. Nie męczy cię wyszukiwanie sposobów na to, by przedłużyć im wyroki, by mogli dalej pracować za darmo, prawda? *Wtedy* kolorowy robotnik jakoś idealnie zaspokaja twoje potrzeby.

— Dajemy skazanym przestępcom pracę i uczymy ich czegoś, by gdy już zostaną uwolnieni, w *odpowiednim czasie*, mogli znaleźć pracę za pieniądze.

- Kiedy ostatni raz kopalnie Saltonstall zatrudniły kolorowego, byłego skazańca, za pensję?

Phillip przygryzł dolną wargę i zaczął gapić się w sufit.

— Pięć minut temu mogłem się z tobą kochać w więziennej celi. Byłaś różą w mojej dłoni. - Spojrzał na nią z góry. - Teraz jesteś cierniem.

- Czy możemy zatem wrócić do pytania, które zadałam ci na początku naszej rozmowy?

Phillip porwał Emily w ramiona i zbliżywszy swoje usta do jej ust, pocałował ją z pasją i ogniem, odbierając jej oddech. Kiedy podniósł głowę, przełknęła jęk i pragnienie przedłużenia tej chwili.

— Czy mężczyzna, który całuje cię w ten sposób, spalałaby swoją namiętność z inną kobietą?

- Myślę, że nie.

Tak naprawdę Emily nie miała pojęcia. Jeszcze wiele musiała się nauczyć o mężczyznach. O swoim mężczyźnie. Ale w tej chwili jego gorący zapach wystarczył, by ją przekonać. Phillip Saltonstall należał do niej. I tylko do niej.

20.

*Tim*

To nie pierwszy jego wypadek. Zaliczył już wiele stłuczek. Roztrzaskiwał sobie kości. Łamał żebra. Rozbijał głowę. Ale nigdy wcześniej nie złamał sobie serca. Co to, to nie. Jeśli chodzi o to bijące cudeńko - był bardzo ostrożny.

Obraz Charlotte wycofującej się ze szpitalnego pokoju, kiedy Kim zaczęła się wokół niego krzątać, cały czas tkwił mu w głowie. Dręczył go bezlitośnie. Tim skrzywił się. *Głupi. Głupi. Głupi.* Ale w tamtej sytuacji uratowanie Charlotte oznaczałoby upokorzenie Kim, a ona nie zrobiła nic złego — jej troska była jedynie odpowiedzią na jego wcześniejsze zachowanie.

Tim wciągnął dzinsy, wsunął stopy w sportowe buty i powoli zaczął narzucać koszulę na ramiona. Dziesięć dni po wypadku ruch nadal sprawiał mu ból. Ból, który zaczynał się w talii, przeszywał jego tors oraz bark i pędził w dół ramienia. Bywało, że w nocy czuł, jak kości ruszają mu się po skórą. Albo tak mu się wydawało.

Siniaki, które pokrywały jego szyję, klatkę piersiową i ramiona, nadal dawały znać o sobie, gdy brał prysznic i ubierał się. Męczyły go jak ośmiokilometrowy bieg. I to pod górę.



Całe jego ciało pokrywała posiniaczona tkanka. Lekarz wypisał go do domu tylko pod warunkiem, że będzie leżał, odpoczywał i unikał pracy. Nie wolno mu siadać za kierownicą. Ani s'cigać się, rzecz jasna. Jakby trzeba mu było o tym mówić. Ale, dzięki Bogu, był już samodzielny.

Trzasnęły drzwi kuchenne.

- Tim? Przyniosłam s'niadanie. - Belki odremontowanego domku z lat dwudziestych minionego wieku zaskrzypiały, jakby odpowiadały na znajomy głos Kim. - Kochanie, wstałeś już?

- Tak, tak. Już idę. - Tim wsunął telefon do kieszeni i zaczął wolno, ale zdecydowanie posuwać się długim korytarzem.

- Szkoda, że nie widziałeś kolejki w Starbucksie - zawołała.

- Tak? No, nie dziwię się. To popularne miejsce.

Wszedł do pracowni. Odkąd wrócił ze szpitala, miał więcej czasu, niż by chciał, żeby pomyśleć o swoim życiu. O swoich wyborach. O swoim samookaleczonym sercu.

- Ale jeśli ktoś wie, jak poradzić sobie z kolejką, to właśnie ja, kochany, Kim Defario. - Każdą sylabę swojego nazwiska zaakcentowała pstryknięciem palców.

- Czysta prawda. Bez dwóch zdań - zawołał Tim, głęboko oddychając. Głośne mówienie sprawiało mu ból. Pochylił się do stołka przy desce kreślarskiej z grymasem bólu na twarzy. Nadal lubił ręcznie rysować pierwsze pomysły i projekty. Lubiał ten twórczy szelest ołówka na papierze.

- Idziesz? Muszę wyjść za pół godziny.

- Sekundę...

Tim przejechał ręką po obolałych żebrach. Ciężko dojść do siebie po tym, jak spada na ciebie motor ważący dwieście pięćdziesiąt kilogramów.

Nie miał zamiaru znów spotykać się z Kim. Nie wiedział nawet, że jest w mieście, póki nie zadzwoniła i nie powiedziała, że chce się spotkać i nadrobić zaległości. To taki miły, przyjacielski gest, prawda?

Trzy tygodnie później była już zadomowiona w jego życiu, a on zastanawiał się, jak się w to wpakował, i coraz bardziej czuł się jak drań. Jak głupek, który pozwolił odejść delikatnej, pięknej, nadal tkwiącej głęboko w jego sercu Charlotte.

Wyjął telefon z kieszeni. Nie ma nieodebranych połączeń. Nie ma Charlotte. Pokazała, co o nim myśli - nie przyszła już do szpitala po tym, jak Kim im przerwała. Żadnych telefonów ani wiadomości.

Tim wysłał Jacka. Ale nawet czarujący młodszy brat nie zdołał jej przekonać. Więc czemu za nią tęsknił? Najlepiej by było pójść do przodu, zapomnieć o niej. Boska, kochająca, piękna i inteligentna kobieta dopiero co przyniosła mu śniadanie, więc w czym rzecz?

W czym rzecz? Wciąż czuł smak ust Charlotte. Zapach jej skóry. Lekkie muśnięcie jej włosów na swoim policzku. Jej nagły śmiech, który zawsze go zaskakiwał i sprawiał, że i *on* zaczynał się śmiać. Ten błysk w jej oku, kiedy opowiadała o salonie — o sukniach i pannach młodych. Tima przeszył dreszcz. *Ogarnij się, człowieku.*

Zaczynała znowu opanowywać jego duszę. Jak wtedy, gdy spotkał ją po raz pierwszy. Była niespodziewanym, pięknym dreszczykiem emocji, wobec którego salto z motocyklem wydawało się niczym. Po tym jak ją poznał - zamiast zdobywać nowe zlecenia dla firmy, niecałymi dniami obmyślał sposoby, jak zdobyć ją.

Nigdy wcześniej nie kłócili się tak z Davidem. „Tim, skup się, Weź się do roboty”.

Po dwóch miesiącach oświadczył się. Tamtej nocy spał jak dziecko. Czuł, że to właściwa droga. Że jego życie ruszyło z miejsca, że dojrzewa. Zanim się obejrzy, trzydzieści dwa lata zmienia się w czterdzieści dwa, a on chciałby mieć przecież żonę, dzieci. Jednak w miarę jak termin ślubu się zbliżał, myśl o połączeniu dwóch żyć w jedno niszczyła jego spokój, rodziła burzę.

- Jej, Timbo, zjadam swoje śniadanie. I jeśli nie przyjdiesz tu w minutę, zabiorę się za twoje.

- Kim, proszę cię, od kiedy to dajesz radę zjeść dwa śniadania? Ja zjem swoje *i jeszcze* pół twojego.

Jej śmiech odbił się echem w korytarzu.

- Zbyt dobrze mnie znasz.

Im bliżej było do 23 czerwca, tym bardziej panikował. Schował głowę w piasek jak przestraszony struś i pozwolił odejść najlepszej rzeczy, która spotkała go w życiu.

- Daj mi minutę, muszę tylko szybko gdzieś zadzwonić. - Tim wyjął z kieszeni telefon i wybrał numer, który nagryzmolił na krawędzi papieru kreślarskiego dzień przed wypadkiem.

Czekając na połączenie, z grymasem bólu na twarzy dokuśtykał do drzwi i przytknął je nieco. Miał dług wdzięczności wobec swojego przyjaciela Brooksa z biura archiwów okręgowych - za to, że otrzymał od niego numer, pod który właśnie dzwonił.

Ożywił się, kiedy usłyszał w słuchawce męski głos.

- Halo? - zaczął Tim. - Monte Fillmore?

- Przy telefonie.

- Nie zna mnie pan, nazywam się Tim Rose i moja na... przyjaciółka Charlotte Malone kiedyś mieszkała u pana matki, Gert.

- Ależ oczywiście. W czym mogę panu pomóc? - Ton głosu w telefonie podpowiedział Timowi, że powinien od razu przejść do rzeczy.

- Zastanawiałem się, czy zna pan może nazwisko jej ojca?

- Ojca Charlotte? Nie. Nie byliśmy tak blisko z nią ani z jej matką. Sam miałem już żonę i dzieci, kiedy mama wzięła pod swoje skrzydła Phoebe i ją.

- Czy pańska matka kiedykolwiek o nim wspominała?

- Nie mnie. Phoebe może rozmawiała o nim z mamą, ale żadne nazwiska ani fakty nigdy do mnie nie dochodziły.

- Czy wie pan o kimkolwiek, kto mógłby wiedzieć coś o ojcu Charlotte? O jej dziadkach? Ciotkach, wujkach? - Tim podszedł do okna. Spoglądał przez szybę na czerwcowy dzień, na błękit i biel,

unoszące się nad dachami Birmingham. — Czy coś po niej zostało, gdy się wyprowadziła albo gdy pańska matka umarła?

- Nie znam nikogo, kto mógłby być tak blisko z Phoebe. Moja mama przyjęła Charlotte po śmierci Phoebe, ponieważ dziewczynka nie miała nikogo. Miała do wyboru jedynie rodzinę zastępczą albo sierociniec. Nie przychodzi mi nic do głowy. Dość dokładnie podzieliliśmy wszystko, co zostało w domu mamy. Meble z pięciu pokoi, ubrania, sprzęty... Wszystko wydaliśmy. Wiele nie zostało. A dlaczego pan pyta?

- Po prostu staram się wyświadczyć przysługę przyjaciółce. Dziękuję, że poświęcił mi pan czas.

Tim nacisnął „Zakończ”. Drgnął, kiedy drzwi się otworzyły. W korytarzu stała Kim ze skrzyżowanymi na piersi rękoma.

- Ona może sobie nie życzyć, byś grzebał w jej przeszłości.

- Może.

Oczy Kim, orzechowe jak u jastrzębia i dwakroć bardziej przeszywające, obserwowały go, kiedy ruszył do kuchni.

- Czasem niewiedza to jedyny sposób, żeby poradzić sobie z ciężkimi doświadczeniami, Tim. Nie możesz tak po prostu włączyć w życie tej kobiety z okrzykiem „Znalazłem twojego tatusia” i oczekiwać, że zostaniesz jej bohaterem.

- Nigdy nie mówiłem, że chcę być bohaterem. - Tim otworzył szafkę i wyjął z niej miskę. Miał ochotę na płatki. I w głębi duszy chciał być bohaterem Charlotte. Chciał w jakiś sposób zadośćuczynić jej za swoją głupotę. Zrobić dla niej coś, co będzie trwałe.

- Tim, co my robimy? - Kim oparła się o blat, krzyżując swoje długie nogi na wysokości kostek. Dopasowana bluzka podkreślała jej krągłości, a spodnie opinały biodra. Serce wyjrzało z jej piersi i przysiadło na ramieniu.

- Jemy śniadanie. To robimy.

Wymądrzał się. A przecież nie ona była winna zamieszaniu w jego życiu.

- Nie wyzywaj się na mnie. - Podeszła do stołu i sięgnęła po kubek z kawą. - Pytam, co my robimy, ty i ja. Razem. Czym to jest?

- Wydaje mi się, że nadal ją kocham. - Tim gwałtownie otworzył lodówkę, sięgnął po mleko i wlał trochę do płatków.

- Wydaje ci się?

- Nie. Ja to wiem. - Kiedy się odwrócił, Kim zarzucała torebkę na ramię. - Nigdy nie przestałem jej kochać - powiedział.

- To idź, zdobądź ją. - Uprzejmość maskowała smutek w jej głosie.

- Ona mnie nie chce. Ale nie winię jej o to.

- To kim ja byłem? Nagrodą pocieszenia?

- Wróciłaś do miasta, zadzwoniłaś, wybraliśmy się raz i drugi na kolację... Kim, przepraszam cię. Nigdy nie chciałem, byśmy byli kimś więcej, niż tylko przyjaciółmi, ale zwodziłem cię. Powinienem był...

- Spojrzał na mleko i zakręcił butelkę. - Powinienem być szczery.

- Powinieneś, Tim. - Obcasy Kim zastukały o płytki w kuchni.

— Więc wobec niej bądź mądrzejszy.

Drzwi delikatnie zamknęły się za nią.

Tim otworzył szufladę i wyjął łyżeczkę, po czym włożył pierwszą porcję płatków do ust. Fala smutku z powodu Kim przelała się przez jego serce.

*Panie, wybacz mi.*

Ale i fala radości. Nadal kochał Charlotte. *Charlotte*

Czerwcowe soboty upływały jej na sprawach związanych ze ślubami. Wszystkimi z wyjątkiem własnego. Razem z Dixie przygotowały co najmniej dwadzieścia pięć panien młodych.

Najlepsze, co jej się wówczas przydarzyło, to Hillary. Przychodziła do salonu prawie codziennie. Zgłaszała się na ochotnika, żeby coś załatwić albo pomóc w magazynie. Nie przyjmowała za to zapłaty ani podarku. Przynosiła domowe obiady. Znalazła z Dixie wspólny język — obie okazały się miłośniczkami programu *Bрудna robota* i Mike'a Rowe'a.

- Widziałaś, co wczoraj zrobił?

- Jasne. Właśnie jadłam obiad. Już nigdy nie będę patrzeć na spaghetti tak, jak dotąd.

W niedzielę widywała Tima z oddali - mijali się, kiedy przyjeżdżała na późniejsze nabożeństwo, a on wychodził z wcześniejszego. Choć zostawiała samochód na drugim końcu parkingu, jak najdalej od jego ciężarówki, a potem pędziła do kościoła bocznym wejściem, to w trzy z czterech czerwcowych niedziel wpadła prosto na niego.

Setki wiernych, a ona musiała spotykać akurat Tima Rose'a. I zazwyczaj jeszcze jednego albo dwóch Rose'ów. Robiła wszystko - z wyjątkiem spóźniania się do kościoła - żeby się na nich nie natknąć i za nimi nie tęsknić.

Ale to było silniejsze od niej. Tęskniła.

Dziś, w niedzielę przypadającą dzień po ich niedoszłym ślubie, Charlotte z zaczerwienionymi oczyma śpiesznym krokiem szła w kierunku kościoła, wyczerpana nadmiarem pracy, ale wdzięczna, że jest na nogach i że może się ruszać.

Wczoraj, 23 czerwca, musiała ubrać siedem panien młodych, co pozwalało jej nie myśleć, że miał to być dzień jej ślubu.

O dziesiątej słońce było już wysoko i paliło z postrzępionego błękitnego nieba. Lato rozsiadło się z powagą na swojej pierwszej niedzieli, zmuszając tęskniące za wilgocią świerszcze do rozpaczliwej serenady.

Charlotte pędziła po schodach do głównego wejścia, kiedy zatrzymał ją znajomy głos.

- To dokąd na śniadanie?

Obejrzała się i zobaczyła na chodniku Davida, który wyszedł z porannego nabożeństwa z Jackiem i młodszymi braćmi, Chasem i Rudym. Katherine z dwójką dzieci oraz państwo Rose byli już na parkingu.

Charlotte oparła się o poręcz. A czego ona chciałaby na śniadanie? *Tego*. Żeby się tak rodzinie tłoczyć. Albo żeby móc podejść do rodziny, wetknąć głowę pomiędzy nich i zapytać: „To co robimy?”. Bez zaproszenia. I bez obawy, że ją odrzucą.

Tim przecinał parking lekkim, skocznym truchtem. Poły jego koszuli łopotały nad dzinsami, a włosy powiewały wokół twarzy i lśniły w słońcu.

„A Rose by any other name”. To, co zowiem różą, pod inną nazwą równie by ...

Zatrzymał się onieśmielony tłumem i spojrzał w kierunku kościoła. I na nią. Wiatr poderwał letnie liście i zawirował w jej sercu.

- Hej - powiedział podchodząc. - Co u ciebie?

- Jestem zmęczona, ale mam się dobrze. A u ciebie? - Uśmiechnęła się, bo roztaczał wokół siebie tę swoją pozytywną aurę. Był jednocześnie pewny siebie i bezbronny. Połączenie, którego się obawiała; nie była pewna, czy jej serce zdoła je wytrzymać. - Wyglądasz zdrowiej niż wtedy, gdy ostatni raz cię widziałam.

- I czuję się lepiej niż wtedy, gdy ostatni raz mnie widziałas. - Przystanął u stóp schodów, opierając ręce na biodrach. - A więc wczoraj był...

- Załatany dzień. Miałyśmy z Dix siedem ślubów. Do domu dotarłam dopiero o północy. Zasnęłam w ubraniu.

*Nie pozwól, by to powiedział. Że dziś byłaby jego żoną.*

- Dobrze wyglądasz.

**\* William Shakespeare, *Romeo and Juliet*, akt II, scena 2. Wersja polska w przekładzie J. Paszkowskiego.**

Głos Tima sprawiał, że ogarnęło ją ciepło. Czowała się podziwiana.

- Nie mam wielkich worów pod oczami?

- W ogóle. Charlotte, przepraszam cię za tamto w szpitalu.

- Ale za co w szpitalu? Za Kim?

- Za pocałunek. I tak, za Kim.

Za pocałunek? Przepraszał za ich słodki, czuły, namiętny pocałunek? Za ten pocałunek, którego wspomnienie paradowało ostentacyjnie, nieproszone, po jej głowie w każdej wolnej chwili w ciągu dnia?

- Lepiej wejdę do środka. Słyszę już muzykę. - Charlotte zaczęła wchodzić tyłem po schodach kościoła.

- Nie miałabyś ochoty zjeść z nami śniadania? - zrobił gest w kierunku całego klanu.

*Miałabym, i to ogromną.*

- Nie, nie. Nie mogę. Lepiej pobędę trochę z Jezusem i Jego przyjaciółmi.

- Jesteś pewna? - Patrzył na nią, ściągając brwi tak, że powstała między nimi wielka bruzda. - Możemy poczekać, aż skończy się nabożeństwo.

- Naprawdę? Nie, Tim, nie mogłabym was o to prosić. Ta grupka zamieni się we wściekłą watahę, jeśli każesz im czekać.

Zrobił krok do przodu.

- To ja poczekam.

Zapach drewna, który bił od niego, wypełnił przestrzeń między nimi.

- Nie, naprawdę. Pomodłę się, a potem pojedę do domu i padnę na łóżko.

- No dobrze. Nie mogę przecież odciągać dziewczyny od Boga. - Popatrzył na nią przez dłuższą chwilę i powiedział: - Ach, a jak ci idzie z suknią? Co się stało z Hillary?

- A, to niesamowita historia. - Charlotte uśmiechnęła się. Wiatr uniósł kosmyki jej włosów w jego kierunku. - Poślubiła Joela w tej



sukni. Kiedy zginął, zapieczętowała kufer. Miała także zdjęcie swoich rodziców z ludźmi, od których kupili dom, a to doprowadziło nas do Mary Grace Talbot, która miała suknię na sobie w 1939 roku.

- No... Rzeczywiście niesamowite.

- Hillary pomaga nam teraz w salonie. Po prostu zjawia się...

- Tim, idziesz? - zawołał David. - Cześć, Charlotte. Podniosła rękę i pomachała.

- Cześć, David.

- Tak, za chwilę - odkrzyknął Tim.

- Idź do rodziny. Do zobaczenia.

- Mógłbym do ciebie zadzwonić?

- Nie, Tim. Proszę, nie. - Charlotte trzymała rękę na klamce i wpatrywała się w zachodnią skarpe wzniesienia, na którym stał kościół.

- Charlotte, tak żebyś wiedziała: przyjaciel Tim za tobą tęskni.

- Tak, ale w tej chwili przyjaciel Tim i narzeczony Tim niczym się dla mnie nie różnią.

21.

*Tim*

Tim po raz ostatni przejrzał plany miejsca, którego renowację mieli dziś przedyskutować. Firma Rose w ostatniej chwili dostała zielone światło. Chcieli się więc pokazać od jak najlepszej strony.

Na chwilę zawiesił wzrok na zdjęciu skutych łańcuchem skazańców - czarnoskórych mężczyzn z kajdanami wokół kostek, ofiary programu wykorzystywania skazańców do pracy przymusowej. Lubił dodawać pomniki pamięci do swoich projektów restauratorskich. Kim byli ludzie, którzy kiedyś tu pracowali i mieszkali? Jak się ubierali? Jak wyglądali? Czego możemy się nauczyć z ich historii? Czy możemy uniknąć ich błędów?

Pracował ze swoim ulubionym rzeźbiarzem nad planem pomnika, który miał powstawać równoległe do prac restauratorskich w biurach kopalni Saltonstall. Rzeźba miała upamiętnić zniesienie programu wykorzystywania skazańców w 1928 roku.

Tim powtórzył jeszcze końcowy fragment: „Wolności należy oddawać hołd, w każdym czasie i wszelkimi środkami” i przejrzał zebrane materiały, by odszukać fotografię kobiet, które działały na rzecz likwidacji tego programu. Miał ją w odpowiedniej chwili podnieść

i zaproponować, by obok rzeźby umieścić tablicę — miedzioryt lub odlew z brązu — z ich twarzami.

Odłożył zdjęcie na stertę, sięgnął po butelkę z wodą i popijał, wpatrując się w kobietę stojącą w centrum fotografii. Emily Ludlow.

Z jakiegoś powodu miał wrażenie, że się wyróżniała. Jakby ją znał. Oczywiście popierał jej pasję i zapął w walce o sprawiedliwość.

Czarno-biała fotografia miała poszarpane krawędzie. Jego asystentowi Javierowi udało się pożyczyć ją od Cleo Favorite z Fundacji Ludlowów. Obiecał, że zwróci ją zaraz po prezentacji.

- Chapeau bas, pani L. Zwalczenie niesprawiedliwości w pani czasach nie było takie popularne. - Znów napił się wody i pochylił, żeby lepiej się jej przyjrzeć. Był dzieckiem, kiedy zmarła, ale przez całą podstawówkę nauczyciele na lekcjach wiedzy o społeczeństwie opowiadali o Emily Ludlow i jej mężu Danielu.

Było coś w jej wyrazie twarzy, w radosnym uśmiechu, w oczach. Tim podniósł zdjęcie ze stołu i przysunął je do światła.

Oczy pełne wyrazu. Usta w kształcie serca. Wysoka i władcza. Wyglądała, jakby mogła złapać księżyc na łąso i pogalopować na nim w stronę horyzontu. Wyglądała też znajomo.

Spojrzała na zegarek. Pierwsza. Musiał się skupić, zjeść coś jeszcze i upewnić się, że slajdy, które miał pokazać o czwartej na spotkaniu z Komisją ds. Konserwacji, są gotowe.

- Tim - w drzwiach pojawiła się głowa Javiera — ktoś do ciebie. Jakiś pan Monte Fillmore? Powiedział, że będziesz wiedział, o co chodzi.

- Jest tutaj? Poproś go.

Tim przemierzył pokój i przywitał Montego mocnym uściskiem dłoni.

- Proszę usiąść - powiedział, wskazując jedno z krzeseł wokół małego stołu konferencyjnego. - Napije się pan kawy? Wody?

- Dziękuję. Myślę, że nie spodziewał się pan mojej wizyty. - Monte stanął przy oknie z pudełkiem po butach pod pachą i patrzył na miasto z piątego piętra. - Nieźle się pan tu urządził. Ładny widok. - Jego stanowczy ton przypominał Timowi głosy przywódców i mentorów, których spotkał na swojej drodze. - Kiedyś sam miałem biuro na Dwudziestej Drugiej Północnej. Przez czterdzieści lat prowadziłem agencję ubezpieczeniową.

- Pamiętam państwa dżingiel radiowy. Melodyjka wpadała w ucho.

Mężczyzna roześmiał się, w jego pomarszczonych oczach roz błysła iskra.

- No cóż, to był pomysł mojego cichego współnika.

- Cichego współnika? Usiadł naburmuszony.

- Mojej żony. To ona napisała rymowaną, którą pan słyszał. Ale do rzeczy. Po naszej rozmowie o czymś sobie przypomniałem. - Przesunął pudełko w kierunku Tima. - Kiedy rozdzielaliśmy rzeczy po mamie, na dnie szafy w sypialni znaleźliśmy to pudełko. To nic wielkiego, jakieś papiery z biura Phoebe Malone. Przypuszczam, że mama zachowała je dla Charlotte. I nawet chciałem jej to zanieść, ale w tym całym zamieszaniu związanym z pogrzebem, z testamentem, zwłaszcza że miałem na głowie jeszcze firmę i własną rodzinę, nigdy się za to nie zabrałem. Zawartość nie wydawała się specjalnie ważna. W większości są to jakieś wycinki z gazet i kilka zdjęć. Postawiłem pudełko na widoku, na blacie w kuchni. Stało tam miesiącami, aż któregoś dnia moja żona chciała upiec ciasteczka na Boże Narodzenie i przesunęła je. I tak ciągle je przesuwaliśmy i przesuwali, aż w końcu zniknęło nam z oczu. Myślałem, że może pewnego dnia wpadnę na Charlotte i przypomnę sobie o nim, ale nigdy się to nie stało. Aż tu nagle pan zadzwonił.

Tim podniósł wieczko. Żółte, szeleszczące wycinki z gazet uniosły się nieco. Zaczął wyjmować jeden po drugim, pobieżnie czytając nagłówki.

*Fundacja Ludlow wręcza pierwsze Stypendium dla Przedsiębiorców Emily Ludlow świętuje dziewięćdziesiąte urodziny Profesor Colby Ludlow uhonorowany na uniwersyteckim bankiecie Emily Ludlow zmarła w wieku dziewięćdziesięciu jeden lat Powstaje Fundacja Ludlowów na rzecz Biznesu i Edukacji*

- Interesująca mieszanka. Ciekawe, dlaczego Phoebe zbierała artykuły o Ludlowach. Była z nimi spokrewniona?

- Pewności nie mam... Ale rodzina mojej żony pochodzi z linii Cantonów, z której wywodziła się Emily Ludlow. Żona nie zna nikogo o nazwisku Malone. Mało zatem prawdopodobne, by Phoebe i Charlotte były spokrewnione z Ludlowami albo Cantonami.

Tim odłożył plik wycinków. Wyjął z pudełka jakieś ołówki i długopisy i trafił na zdjęcie Phoebe i Charlotte. Po jego ciele przebiegł dreszcz.

Piękna Phoebe o długich, gęstych, puszystych włosach. Piękna Charlotte ze szczerbatym uśmiechem, oczyma pełnymi wyrazu i ustami w kształcie serca.

Spojrzał przed siebie. Dreszcze, które poczuł przed chwilą, zastąpiła fala ciepła. Rozlewała się po całym ciele. Tim odwrócił fotografię. *Nasz pierwszy dzień w Birmingham.*

- Phoebe była raczej eklektyczna. Artystka. Inżynier. Piekielnie bystra. Od czasu do czasu dyskutowaliśmy o polityce, ale mojej mamie zawsze wtedy skakało ciśnienie, więc przestaliśmy. Ale to była bystra kobieta.

- Tak samo jak jej córka.

- Przepraszam, ale nic więcej panu nie powiem. Nie znam żadnych nazwisk, faktów. Mama kiedyś mi powiedziała, że ojciec Charlotte był nicponiem.

- Łatwo się mówi, jeśli nie jest się Charlotte. - Tim studiował zdjęcie. Te twarze kryły tysiące rozmów, które chciałby usłyszeć.

Na dnie pudełka było jeszcze jedno zdjęcie. Zdjęcie Phoebe z czasów studenckich z grupą... przyjaciół? Innych studentów?

Tim przeczytał na odwrocie: *Projekt Siher Lake '81. Geniusze Profesora Ludlowa.*

- Ludlowa? Czy widział pan to zdjęcie?

Tim przyglądał się zdjęciu wspólnie z Montem, który patrzył mu przez ramię. W centrum grupy stał przystojny, pewny siebie mężczyzna. Trudno było dojrzeć jakieś szczegóły na zdjęciu cztery cale na sześć, ale mężczyzna w sztruksowej marynarce, z przydługimi włosami wyglądał na czterdzieści kilka lat.

- Kiedy to zdjęcie zostało zrobione? Widzę Phoebe, ale nie znam tego Ludlowa na zdjęciu.

- W 1981.

- Tim zerwał się z krzesła i chwycił folder ze swoimi materiałami.

- Co pan zobaczył? — Monte przysunął zdjęcie do okna.

- Widzę uderzające podobieństwo. Proszę spojrzeć. - Tim zestawiał ze sobą zdjęcia, na których widnieli Emily i profesor. - To jest profesor, a to Emily Ludlow.

- A niech mnie. Jest trochę rodzinnego podobieństwa i to samo nazwisko. Myślisz, że Colby Ludlow był spokrewniony z Emily?

- Tak. I kto wie, czy Phoebe Malone nie była w nim zakochana. Tak strzelam. - Tim zebrał swoje notatki i materiały, zamknął laptopa i wrzucił go do teczki. Krew huczała mu w uszach. Znajome spojrzenie Emily na zdjęciu. Widział ten wyraz oczu tysiące razy. U Charlotte.

Jeśli się pośpieszy, zdąży podjechać do posiadłości Ludlowów w poszukiwaniu wskazówek i wrócić na czas na spotkanie.

- Dziękuję panu bardzo. Ale muszę lecieć. Doceniam to, że pan przyszedł.

Chwycił telefon. I kluczyki.

- Proszę zadzwonić, jeśli pan coś znajdzie — powiedział Monte, podążając za Timem w kierunku drzwi.

- Zadzwonię, zadzwonię. Ogromnie mi pan pomógł. - Mijając pokój Davida, Tim zapukał do drzwi. - Davidzie, widzimy się na spotkaniu. Dzwon na komórkę, jeśli będziesz mnie potrzebował.

- Tim, gdzie się wybierasz? Przejrzałeś slajdy?

- Tak. Nie. Ale przejrzę. Widzimy się na spotkaniu.

Tim nadusił guzik windy, spoglądając na Montego, który starał się powstrzymać szeroki uśmiech.

- Co pana tak śmieszy?

- Pan - powiedział. - Podobnie jak wszyscy młodzi zakochani mężczyźni.

- Ja zakochany? Staram się po prostu pomóc przyjaciółce. - Tim i Monte weszli do windy.

- Pomóc przyjaciółce? - Monte wcisnął guzik parteru. - To tak to młodzi dzisiaj nazywają? Za moich czasów, nazywało się to miłością. I to taką, która zwala z nóg.

## *Emily*

Matka przygotowywała świąteczny stół. Wystawiła chińską porcelanę w kolorze kości słoniowej, misternie cięte kryształy oraz srebra swojej matki, wyczyszczone i wypolerowane na połysk.

Kremowy splot płóciennego obrusa pochłaniał światła lamp i blask świec. Na szkarłatnym bieżniku leżały żywe, pachnące gałązki jodły.

Ojciec siedział u szczytu stołu, matka naprzeciwko niego. Philip i Emily zajmowali miejsca przy dłuższym boku stołu, pan i pani Saltonstall dokładnie naprzeciwko nich.

Howard Junior siedział po prawej ręce pana Saltonstała, a jego ukochana po lewej ręce Emily.

Molly i Jefferson oraz dwójka innych służących podawali kolację, którą przygotowała matka, składającą się z zupy cebulowej, pieczonej kaczki, puree z rzepy i sosu pieczeniowego. Oraz niebiański chleb i dżem Molly.

Ale ze wszystkich tych delikatesów pani Saltonstał najbardziej zachwycała się mrożoną herbatą przygotowaną przez matkę.

- Margaret, musisz dać mi przepis na tę herbatę. Jest boska. Matka zarumieniała się, słysząc ten komplement.

- To przepis mojej babki. Skoro jesteśmy rodziną - spojrzała na Emily - a przynajmniej wkrótce będziemy, dam ci go po kolacji.

- Ja w każdym razie cieszę się, że dzieci przesunęły datę ślubu. Nie wiem, skąd to przekonanie, że długie zaręczyny to dobry pomysł - powiedział ojciec, trzymając w ręce widelec pełen kaczki.

Pod stołem Phillip ścisnął kolano Emily, przesyłając drżenie do jej serca. Wzięła niegodny damy wielki kęs chleba, żeby zamaskować westchnienie. Odkąd zdecydowali się, że nie będą czekać ze ślubem do wiosny, Phillip wrócił do swoich wcześniejszych zachowań i stawał się coraz bardziej uwodzicielski.

Emily musnęła usta swoją szkarłatno-kremową serwetką. Zachłanny. Stał się zachłanny. Nie mogła wymazać tego słowa ze swojego serca. Tamtej nocy w areszcie błogosławiła skomplikowaną konstrukcję gorsetu.

- Howardzie, czy Phillip już ci mówił? - Pan Saltonstał wytarł usta i brodę serwetką. - Oczyścił Emily z zarzutów.

- Nasz prawnik świetnie się spisał. - Phillip sięgnął po swój kieliszek. - Komendant był bardzo miły. Oddalił zarzuty, ale myślę, że jest teraz oczywiste, najdroższa Emily, że powinnaś trzymać się z daleka od kolorowych.



- Poza tym, że włożę suknię od Taffy na nasz ślub. - Emily położyła serwetkę na kolanach. Przy stole zapadła cisza. Spoglądała na każdą twarz po kolei. - Przepraszam, ale nie mogę milczeć na temat swojego wyboru. Możemy sprowadzić suknię tutaj, bez naruszania żadnego niemądrego przepisu i bez oskarżeń o wszczynanie zamieszek.

- Pan młody pewnie nie ma nic do powiedzenia. - Phillip, nie podnosząc wzroku znad talerza, kroił kaczkę. - Ale chciałabym, kochanie, żebyś włożyła suknię od pani Caruthers. Myślę, że wszystkim by się to spodobało. Tak będzie najlepiej.

- Masz rację, Phillipie. Pan młody nie ma nic do powiedzenia. Jestem pewna, że nie chcesz, by twoja narzeczona zemdląła w połowie ceremonii ślubnej, ponieważ suknia całkowicie odcina jej dopływ powietrza i tamuje krążenie.

- Ja mam coś do powiedzenia w tej sprawie, gdyż to ja płacę - ojciec podniósł głos. — Emily włoży suknię, którą wybierze. — *Kochany ojciec!* — Ale chętnie dowiedziałbym się, kto złożył skargę na nią. Próbowałem użyć moich dojsć w policji i wygląda na to, że wokół tej sprawy zapadła jakaś zmowa milczenia.

- Spotkałem się z tym samym, proszę pana. Przez mojego adwokata zostałem jedynie zapewniony, że oskarżenia zostaną wymazane.

- Bądźmy wdzięczni i za to - powiedziała pani Saltonstall. - Maggie, chcę powiedzieć, że ty i Molly przeszłyście dziś same siebie. Nie kosztowałam nigdy równie soczystej kaczki.

W drzwiach pojawił się Jefferson w swojej kamizelce, trzymając w ręce serwetkę.

- Proszę mi wybaczyć, ma pan gościa.

Wszystkie oczy skupiły się na irlandzkim kamerdynerze.

- Czy mogę dowiedzieć się, kto nachodzi mnie w czasie kolacji? Czy to coś pilnego? — W głosie ojca dało się słyszeć poirytowanie.

- Mówi, że to bardzo pilne. Nie przedstawił się. Powiedziałem mu, że je pan kolację z rodziną, ale nalegał.

- Muszę was przeprosić na chwilę. Cam, Henrietto - ojciec ukłonił się gościom, a następnie matce. - Moja droga, wybacz.

- Pośpiesz się, kochanie. Na deser mamy tort czekoladowy Molly. Emily obserwowała ojca z zaciekawieniem. Kim był ów tajemniczy gość? Interesanci ojca rzadko przychodzili do frontowych drzwi.

Rozmowy przy stole odpłynęły ku ślubnym szczegółom. Wiele zostało już zrobione w związku z przyśpieszoną datą ceremonii. Pan Saltonstall zarezerwował Phoenix Club na przyjęcie weselne. Klub dla dżentelmenów miał wspaniałą salę balową.

Matka załatwiła sprawy w kościele i opłaciła dodatkowe krawcowe, aby uszyły suknie dla druchen i resztę wyprawki Emily.

- Och, kochanie, zapomniałem ci powiedzieć. - Phillip wskazał na swego ojca. - Tata i mama ofiarowali nam Highland. Nie musimy już szukać domu.

- To bardzo wspaniałomyślne z państwa strony. - Dom Saltonstallów stał w cieniu Red Mountain, jedynie kilka ulic od domu jej rodziców. Był uroczy. Ale nie był to dom Emily. - Ale, Phillipie, myślałam, że poszukamy własnego domu.

- Ale po co? Highland jest idealne. - Wziął do ust kęs kaczki. -1 za darmo.

- Bardzo się cieszymy, Emily, że tam zamieszkaż - powiedziała pani Saltonstall. - Wystrój jest praktycznie nowy. Przeprowadziliśmy renowację, ale nigdy się tam nie wprowadziliśmy.

Emily skryła swoje uczucia w szklance herbaty. Dom urządziła pani Saltonstall. Wystrój był ciężki i ciemny.

Do pokoju wpadł ojciec, czerwony na twarzy. Szparki jego oczu ciskały gromy.

- Philipie, przepraszam, ale twoja obecność jest konieczna.

- Czy coś się stało? - Phillip rzucił serwetkę i odsunął krzesło od stołu. Howard Junior wstał:

- Ojczy, czy mnie również potrzebujesz? Pan Saltonstall dołączył do brygady:

- Czy mogę jakoś pomóc?

- Nie, nie. Potrzebny mi tylko Phillip.

Wejście ojca położyło cień na radosnej dotąd atmosferze. Emily spojrziała matkę, której twarz przybrała standardową maskę „Wszystko w porządku”. Często przybierała ją w towarzystwie.

Zegar w korytarzu tykał, odmierzając upływający czas. Rozmowa z trudem się kleiła - o pięknej grudniowej pogodzie, programie na Boże Narodzenie w kościele, o opinii pana Saltonstalla na temat nowomodnego wynalazku świateł elektrycznych na choince, potem o sportowych sukcesach Howarda Juniora na Harvardzie. Matka zapytała też jego towarzyszkę, Jennifer Barlow, jak podoba jej się Birmingham i jak wypada w porównaniu z Bostonem.

Kiedy od wyjścia ojca i Phillipa upłynęło dwadzieścia minut, Molly zjawiała się, by posprzątać ze stołu.

- Czy mam pokroić ciasto, proszę pani?

- Nie. Poczekamy na pana Cantona. Ale podaj, proszę, kawę. Pan Saltonstall odsunął się od stołu i zrobił kilka kroków w kierunku drzwi.

- Zastanawiam się, czy nie powinienem sprawdzić, co się tam dzieje.

- Howard się tym zajmie, Cam - odpowiedziała Henrietta. - Proszę, nie chodź po pokoju.

Zegar odmierzył kolejne dziesięć minut. Ojciec wszedł w końcu do pokoju, poważny i zamyślony.

- Emily, chciałabym z tobą zamienić słowo.

Spojrzała na niego z wahaniem, próbując odgadnąć, co się dzieje. Po chwili wstała od stołu.

- Oczywiście, ojczy.

Czego on mógł od niej chcieć? Poczwała ucisk w żołądku. Czyżby znów mieli ją aresztować?

- W bibliotece. - Odsunął się, by puścić ją przodem.

- Ojczy, czy coś się stało?

Zatrzymał ją, delikatnie ujmując za ramiona.

- Masz swój rozum i poglądy, Emily. Zawsze miałaś. Jesteś mądrą dziewczyną. Twoja matka i ja nauczyliśmy cię, że należy kierować się mądrością. I prosić o nią dobrego Boga.

- Ojczy, o co chodzi? Przerażasz mnie. - Emily przycisnęła rękę do talii.

- Spokojnie. Słuchaj. Nie odpowiadaj, póki tego nie przemyślisz. Zadawaj pytania, jak cię uczyłem.

- Tak, ojczy. - Emily weszła do biblioteki, starając się zachować opanowanie, póki nie zobaczyła Daniela z czapką w ręku. - Co ty tu robisz?

Miał na sobie gruby sweter z wysokim kołnierzem i angielską marynarkę. Patrzył na nią z cieniem obawy w oczach. Ale jego uśmiech rozgrzał ją aż do szpiku kości.

- Przyszedłem porozmawiać z twoim ojcem. Nie wiedziałem, że macie gości. Przepraszam, nie chciałem przeszkodzić.

- A jednak przeszkodziłeś. Co to ma znaczyć?

Przesunęła ręką po swojej jedwabnej sukni wyszywanej złotem i wykończonych futrem. Cała trójka, ojciec, Daniel i Phillip, stali w luźnym okręgu.

- Nie odpowiedziałeś na moje pytanie.

- Rzuciła przelotne spojrzenie na Phillipa, który paląc, chodził po bibliotece w tę i z powrotem.

- Musiałem porozmawiać z twoim ojcem.

- To już mówiłeś.

- Przyszedł tu, żeby mnie oskarżyć. Po to właśnie przyszedł. - Phillip zgasił papierosa w popielniczce ojca i dołączył do kręgu.

- Oskarżyć o co? - Emily patrzyła na Phillipa. Potrafił być taki dramatyczny i komiczny.

- Chce zastawić na ciebie sidła. - Phillip machnął ręką w kierunku Daniela. - To kłamca. Howardzie, chyba mam już dosyć tych bzdur.

Phillip ruszył do wyjścia, ale ojciec zatrzymał go, kładąc swoją szeroką dłoń na jego ramieniu.

- Wyjaśnijmy to. Danielu, opowiedz Emily swoją historię.

- *Historyjkę*, nazywajmy rzeczy po imieniu. Powieść dla kobiet. Same bzdury. — Phillip sapał i dyszał, jakby nadal palił jedną ze swoich cygaretek. - Uważam, że niewinny oskarżony powinien mówić pierwszy.

- Phillipie, będziesz miał mnóstwo czasu, żeby obalić te oskarżenia, kiedy Emily pozna wszystkie szczegóły. - Ojciec rozłożył szeroko ręce w uspokajającym geście. - Obaj zgodziliście się na tę metodę, więc teraz zachowujmy się jak dżentelmeni. Emily, Daniel przyszedł tu dzisiaj z pewnymi informacjami, które go zaniepokoiły. Poprosił o rozmowę ze mną, a nie z tobą, żeby się mnie poradzić. Gdy usłyszałem o jego dylemacie, poprosiłem Phillipa, żeby przyszedł i odpowiedział na zarzuty. - Ojciec spojrzał gniewnie na obu młodzieńców. Choć zdecydowanie dłużej na Philipa. Emily spoczęła w fotelu z wysokim oparciem. Kolacja podchodziła jej do gardła. - Poprosiłem ich, aby każdy przedstawił ci swoją wersję. Jesteś dorosła. Możesz sama ocenić, co jest prawdą.

- A zatem słucham. - Wyprostowała ramiona i zwróciła się w stronę Daniela.

- Kiedy przyszedłem do ciebie do więzienia, Emily, policjanci ignorowali mnie i unikali mego wzroku, gdy próbowałem z nimi rozmawiać. Więc nabrałem podejrzeń. Znam wielu z nich i ich zachowanie wydało mi się podejrzane. Poprosiłem tatę, żeby dowiedział się, czy coś niezwykłego wydarzyło się w wieczór twojego aresztowania.

Phillip zapalił kolejną cygaretkę i wypuścił dym na Daniela.

- Ta historyjka jest jeszcze bardziej zabawna, kiedy słucha się jej po raz drugi.

Daniel zawahał się, ale kontynuował.

- Zajęło to tacie kilka tygodni, ale oto do czego doszedł. Twój narzeczony miał dosyć tego, że upokarzasz go, chodząc do kolorowej części miasta. Chodziło też o jakieś zamieszanie wokół tego, kto ma użyć twoją suknię ślubną. Twierdził, że rujnujesz reputację rodziny. Jacyś ludzie z towarzystwa twierdzili, że Cantonowie są przyjaciółmi kolorowych. Ktoś powiedział, że zasada „odosobnieni, ale równi” działa w obie strony. Wystarczyło trochę gotówki, by dać paru osobom w łapę na komisariacie, i zostałaś oskarżona i aresztowana.

- Czy uważasz, że marnowałbym uczciwie zarobione pieniądze, żeby doprowadzić do aresztowania swojej narzeczonej? Aleś ty pokręcony, Ludlow.

- Na pewno nie tak, jak ty.

Phillip eksplodował. Rzucił zapaloną cygaretkę na perski dywan matki i ruszył na Daniela.

- Phillipie - napotkał twardą jak pień pierś ojca. - Podnieś papierosa, synu.

- Ale słyszałeś go, Howardzie.

- Podnieś papierosa, zanim spalisz dywan Maggie. Nie zdołam ci pomóc, jeśli znajdzie tam wypalony ślad.

Sapiąc, czerwony na twarzy, Phillip cofnął się, by podnieść niedopałek. Potem odwrócił się gwałtownie do Daniela. Wycelował w niego dłonią, w której trzymał papieros:

- Wynoś się. Jeśli znowu zobaczę cię przy Emily, każę aresztować *ciebie*. I nikt nie będzie miał wątpliwości, czyje imię widnieje na oskarżeniu.

- Phillipie, on jest w moim domu. - Ojciec zgromił go spojrzeniem, które zawsze sprawiało, że Emily uciekała, dygocząc. - Pójdzie, kiedy ja mu powiem. Danielu, kontynuuj. Wyjaśnij resztę.

- Tata poprosił swojego kolegę w zachodnim komisariacie, żeby przyjrzał się twojemu aresztowaniu. Trochę to zajęło... Okazuje się, że to był jakiś sekret, ale udało mu się spojrzeć w raport. Powiedział, że na nakazie aresztowania widniało nazwisko Phillipa Saltonstalla. Wtedy porozmawiałem z moim kolegą, Rossem, żeby zobaczył, co uda mu się wykopać. Ma dobrego nosa do nowinek. Ross poszukał prawnika, który zajmował się tą sprawą, i zadał mu kilka trafnych pytań, tak jak tylko on potrafi. - Daniel mówił z pewnością w głosie. Uśmiechnął się, a w sercu Emily zawrzało. - Oczywiście, był to Saltonstall. To on cię oskarżył i zażądał aresztowania. Potem dotarł do szefa policji i przekupił go, by wymazano jego nazwisko z kartoteki.

- On kłamie, Emily. - Phillip znów ruszył na Daniela, który nadal stał nieruchomo. - Myślisz, że naszego szefa policji można tak łatwo przekupić?

- Po co to było? - Emily wstała, złapała Phillipa za ramię i obróciła go ku sobie, żeby spojrzeć mu w twarz. - Zrobiłeś to? Nie kłam.

- Czy aresztowałem własną narzeczoną? Czy wyglądam na imbecyla? Jak możesz nawet o to pytać? - Oczywiście Phillipa były dzikie, a jego szczeka zaciśnięta. - Czy widziałeś moje nazwisko, Ludlow? Mój podpis? Pozwoliłeś, by uczucie do Emily odebrało ci rozsądek. Przez ciebie Emily się denerwuje. Nie robisz tego z miłości, ale dla własnej samolubnej korzyści. Przecież to wszystko bzdura.

Emily patrzyła na Phillipa, słuchając uważnie jego tonu i słów. Phillip był silny, uparty i zdeterminowany, by dostać to, czego chce, racja. Ale czy był kłamcą?

Wiedziała, że Daniel nim nie był.

- Emily. - Daniel zrobił krok w jej kierunku. W jego głosie zabrzmiewał ton błagania. - Nie chcę cię denerwować. Przepraszam. Ale nie mogłem żyć ze świadomością, że ci nie powiedziałem.

- Jasne, że chciał cię zdenerwować. - Phillip kpił. - A niby po co tu jesteś? Żeby nastawić ją przeciwko mnie. Zaprzeczysz, że ją kochasz? - Pochylił się ku Danielowi, pewien swego.

Daniel ścisnął w dłoni czapkę.

- Nie, nie zaprzeczę. - Kiedy spojrział na Emily, jego błękitne oczy emanowały żarem. - Miłość to jedyny powód, dla którego tu przyszedłem. Ale ona już wybrała. Ciebie. - Podniósł wzrok na Phillipa. - Nie jestem dla ciebie zagrożeniem, Saltonstall. Ale Emily zasługuje na to, by poznać prawdę.

- To twoja wersja prawdy, nie moja - powiedział Phillip, zapalając kolejną cygaretkę.

- No cóż, pójdę już. Panie Canton, przyszedłem tutaj, by porozmawiać tylko z panem. Nie spodziewałem się, że spotka mnie ten zaszczyt i będę mógł rzucić Saltonstallowi oskarżenie prosto w twarz. - Daniel zrobił krok w kierunku drzwi. - Po prostu powiedz jej, Saltonstall. O aresztowaniu. I o Włoskim Ogrodzie.

Phillip skoczył do przodu, strzepując popiół na dywan matki.

- Włoskim Ogrodzie?! Ty! - Jego szyja i kark zapłonęły czerwienią. - To byłeś ty. Baseballista. To ty jesteś tym Danielem, z którym Emily spotykała się na uniwersytecie?

- Zgadza się. Widziałem cię w restauracji z Emmeline Graves. A od tamtego czasu moi przyjaciele widzieli cię z nią jeszcze dwukrotnie.

- Ty kłamliwy...

Nawet ojciec nie zdołał powstrzymać Phillipa. Walnął głową w pierś Daniela, otoczył go ramionami i wepchnął na fotel, strącając lampkę od Tiffany'ego, własność matki. Pośród dźwięku tłuczonego szkła mężczyźni z hukiem spadli na podłogę.

- Przestańcie, obaj! Przestańcie! - Emily podniosła rękę, a potem zacisnęła pięści. Stała z zamartwym sercem, z oczami pełnymi łez. - Jesteście dżentelmenami.



Ojciec chwycił ją i odciągnął pod ścianę, przy której stały regały pełne książek.

- Zostaw ich.

Daniel odepchnął Phillipa i zerwał się na równe nogi.

- Nie chcę się bić, Saltonstall.

- Sam zacząłeś. — Phillip dobiegł do Daniela, zamierzając się na jego oko. Ten jednak pochylił się, zrobił unik, gwałtownie skręcając całym ciałem, i zszedł mu z drogi, przerzucając ciężar ciała na drugą nogę.

Phillip znów zamachnął się na Daniela, ale potknął się o przewróconą lampę i wylądował twarzą na podłodze.

- Wstawaj, Phillipie - powiedział ojciec, nie okazując litości. - Na nogi.

Phillip z głośnym jękiem wsparł się na rękach i kolanach, próbując się podźwignąć.

- Zabieraj stąd Ludlowa.

Emily stała wciśnięta w regał. Serce waliło jej w piersi. Łzy napływały do oczu.

- Cóрко, wysłuchałaś obu stron. - Ojciec podniósł stłuczoną lampę matki. - Czas zadać pytania. I podjąć decyzję.

- Ja... nie wiem... — Patrząc na ojca, wycofywała się z pokoju. Bolało ją całe ciało. Ostre bóle przeszywały jej pierś. - Muszę pomyśleć, ojcze. Kazałeś mi pomyśleć.

- Emily. — Szczeka Daniela poruszyła się, a oczy zwięzły. — Nie okłamałbym cię, wiesz o tym. Nie z miłości. Ani z zemsty. To tani sposób, żeby zdobyć serce dziewczyny.

- Danielu, nie możesz oskarżać kogoś bez dowodu. Tak się nie robi.

- Mam dowód — wskazał palcem na Phillipa. — Och, i to jaki.

- Nic nie masz. Nie słuchaj go, Emily.

- Zamilcz, Phillipie. - Odwróciła się do niego gwałtownie. - Daniel nigdy mnie nie okłamał. A ty... nie jestem pewna, czy mogę powiedzieć to samo o tobie.

- Emily! To niedorzeczne. Jak możesz mu wierzyć?

Nie wiedziała, w co i komu wierzyć. Wypadając z biblioteki ojca, Emily trzymała głowę wysoko, choć jej serce było w rozsypce. Skreśliła na szerokie schody i pomknęła na górę. W dole, w korytarzu rozbrzmiewały głosy ojca i Daniela. Potem pana Saltonstalla i Phillipa.

Emily zatrzymała się na półpiętrze i zerknęła w dół. Daniel zawahał się w drzwiach, patrząc na nią. Jedną sekundę, dwie, potem trzy. Jego niewzruszone spojrzenie wypaliło prawdę w jej duszy. To Phillip zlecił ją aresztować.

- Dobranoc, Emily - powiedział Daniel. Głuchy odgłos zamykanych frontowych drzwi wibrował jej w piersi.

Odwróciła się w kierunku korytarza i ruszyła do swojego pokoju. Jeśli Daniel miał rację, byłaby głupia wychodząc za Phillipa. Ale niezależnie od tego, jak bardzo chciała wierzyć, że jest silna - tak jak mówiła jej matka - i zaakceptować prawdę, była słaba.

Dała słowo. Zobowiązała się. Nie tylko wobec Phillipa, ale i wobec całej rodziny Saltonstallów. Gazety ogłosiły już jej zaręczyny. Ludzie z towarzystwa czekali. Za dziesięć dni zostanie panią Phillipową Saltonstall.

Emily zaczęła biec. W pokoju upadła na podłogę.

*O Boże, co ja zrobiłam?*

22.

*Sylwester*

- Nie ruszaj się, Emily. Ostatnie zdjęcie - powiedział fotograf i zanurkował pod czarną zasłonę. Zapach siarki palił ją w nosie.

Matka i ojciec postawili Birmingham na głowie, by ten dzień był wyjątkowy. Państwo Saltonstall zamówili orchidee z palmiarni na Florydzie i udekorowali nimi Phoenix Club, by wyglądał dostojnie i bogato.

Dlaczego zatem Emily czuła się tak, jakby powoli tonęła w ciemnej otchłani? Podeszła do okna i spróbowała je otworzyć.

- Kochanie, co robisz? - Jej pierwsza drużna, Bernadette, podniosła dolną część okna. - Zamarzniesz na śmierć, jeśli będziesz stała na tym zimnie. Wyglądasz blado - powiedziała przykładając dłoń do czoła Emily.

- Tak mi gorąco w tej sukni. - Po konfrontacji z Danielem Emily przestała walczyć. Poślubi Phillipa w sukni, którą wybrała matka. - Nie jestem pewna, czy zdołam dojść do ołtarza.

Wystawiła głowę przez okno, na chłód późnego popołudnia. Była niedziela. Dzień miłości.

Kochać Pana. Kochać drugich. Kochać Phillipa. Dziś wieczorem zostanie panią Phillipową Saltonstall. Poddała się, a Phillip po

sprzeczcze z Danielem zmienił się nie do poznania, istne marzenie. Zalecał się, zabiegał o nią. Był dobry, wyrozumiały, uległy. Czują.

Zapewniał o swojej niewinności. Nie zleciłby przecież jej aresztowania. Nie teraz. Nigdy. Emily wzięła głęboki, oczyszczający oddech. *Wierzę ci, Phillipie. A Emmeline? To już przeszłość. Skończone.*

*Wierzę ci Phillipie. Wierzę. Muszę wierzyć.*

Brzęk łańcuchów dochodzący z ulicy przykuł jej uwagę. W poprzek drogi przeszła grupa czarnoskórych mężczyzn. Szli jeden za drugim, ciężko i nieporadnie, skuci zbyt krótkim łańcuchem.

Beznadzieja.

Emily zeszywniała pod wpływem uczucia, które zawirowało jej w piersiach. Wtuliła głowę w ramiona.

- Gdzie jest ojciec? - Z trudem uśmiechnęła się do Bernadette. - Powinien tu być. Za piętnaście minut ma poprowadzić córkę do ołtarza.

Bernadette chwyciła Emily za ramiona i pocałowała ją w policzek.

- Jesteś najpiękniejszą panną młodą, Emily. Odpoczywaj. Znajdę twojego ojca.

Emily usiadła na kanapie, w salce parafialnej Zjednoczonego Kościoła Metodystycznego, drżąc i pocąc się w ciężkiej atlasowej sukni. Szarpnęła za wysoki, wąski kołnierz. Och, gdyby tylko mogła wyzwolić się z tego okropieństwa. Suknia od Taffy wisiała na wieszaku w kącie, Emily miała włożyć ją po ślubie.

Już samo patrzenie na nią sprawiało, że Emily chciała czuć się wolna, lekka, kochana.

Gdyby to było możliwe, zrezygnowałaby z tej pompy i pozorów: wzięłaby ślub w domu, w otoczeniu najbliższej rodziny i przyjaciół. Molly, a nie Bernadette, byłaby jej druhną. Ale Emily nie mogła pozwolić, żeby podczas największego wydarzenia towarzyskiego w tym sezonie u jej boku stała służąca.

Drzwi się otworzyły i do salki wszedł ojciec. Wyglądał urodziwie i majestatycznie w czarnym smokingu i z białym goździkiem w butonierce. Ale nie uśmiechał się. Z jego oczu biła troska.

- Kościół jest wypełniony po brzegi. Właśnie przyjechał gubernator z żoną.

- O mój Boże. - Emily zadrżała. - Tyle osób znalazło dla nas czas w sylwestra.

- To wspaniała okazja na przyjęcie. - Ojciec pocałował Emily w czoło i przytulił ją. Następnie zrobił krok w tył i przyjrzał jej się z odległości wyciągniętego ramienia. - Wyglądasz zupełnie jak twoja matka w dzień naszego ślubu. Piękna i słodka.

- Więc dlaczego się nie uśmiechasz, ojcze? — Emily uszczypnęła go w brodę. — Nie tracisz swojej córeczki, zyskujesz drugiego syna.

- Tak, wiem. — Ojciec podszedł do okna z rękoma założonymi na plecach i wychylił się na zewnątrz. - Jaki jasny, zimny wieczór - zawołał lekko podniesionym głosem. — Święta noc.

Emily zaśmiała się cicho.

- Ojcze, do kogo tak wołasz? Do zmiataczy na ulicy? Spojrzał w jej stronę.

- Pamiętasz Warda Willoughby'ego? Pewnie nie. Byłaś jeszcze małą dziewczynką, kiedy go poznałem. Dopiero co zaczynałem rozkręcać interes i potrzebowałem kapitału. Wtedy zjawił się Ward i zaoferował mi pomoc.

- Myślałam, że twoim inwestorem był wuj Lars.

Wuj Lars nie był tak naprawdę jej wujkiem. Był mądrym człowiekiem, który uwierzył w ojca i zainwestował w niego.

- To prawda, ale dopiero po tym, jak odciąłem się od Willough-byego.  
- Ojciec przemierzał wolno salę, z rękoma założonymi na plecach. Zatrzymał się przed suknią od Taffy, udrapowaną na manekinie. - To jest ta suknia od pani Hayes? Bardzo twarzowa.

- Wolałabym właśnie ją mieć teraz na sobie. Naprawdę, od tego ciężaru już mnie rozboleła głowa.

Ojciec znów zaczął chodzić.

- Willoughby był wówczas ważną postacią w Birmingham. Nasze miasto było młode i chciało się rozwijać. Ward przyjechał z Filadelfii, jak twoja matka i ja, i tak jak ja był absolwentem college'u w Haverford. Podobało mu się to, co robię. To, że zakładam bank. Chciał się dołączyć, zainwestować. Zaproponował mi sporą sumę.

Ojciec umilkł. Coś w jego zachowaniu wywołało poruszenie w sercu Emiły.

- Mów dalej.

- To taki typ człowieka, w towarzystwie którego chciało się przebywać. Leżeliśmy kiedyś z matką w łóżku i nie mogliśmy się nadziwić, jakie szczęście nas spotkało, że poznaliśmy Warda Willoughby'ego.

- Co było potem?

- Ward postawił nam warunki. Aby otrzymać pieniądze i wsparcie, musiałbym przepisać na niego Canton Exchange na pierwsze trzy lata. Albo do momentu, w którym Willoughby odzyska zainwestowane pieniądze. Ale kiedy już przyszło do podpisania umowy, nie byłem w stanie tego zrobić. Czułem, że twoja matka i nasi pracownicy będą zawiedzeni. Miasto rozwijało się tak szybko. Miałem świadomość, że jeśli się nie zdecyduję, może mi przejść koło nosa wielka szansa. Pojechałem do miasta, wstydząc się własnego niezdecydowania, ale czułem, że muszę odrzucić propozycję Warda. Nie mogłem powierzyć mu kontroli nad firmą. Minęło kolejne pięć lat, zanim pojawił się Lars. Przez ten czas nie wiedziałem, czy to, co odziedziczyłem, wystarczy, by utrzymać firmę i zapewnić nam dach nad głową. Ale pewnego popołudnia zjawił się Lars. Wszedł do mojego biura z miną: „No cóż, w końcu jestem”.

- A co z Wardem?

- Zamierzał zaproponować mi bezwartościowe obligacje. Emiły, gdybym podpisał z nim umowę, straciłbym wszystko.

- Ojczy, za chwilę mam wyjść za mąż, a ty mi opowiadasz o jakichś bezwartościowych ludziach z bezwartościowymi obligacjami. — Emily przeszła przez pokój i stanęła przy oknie, obok ojca.

- Czasem trzeba zaufać przeczuciu.

- Nawet jeśli to oznacza, że zawiedziesz wiele osób?

- Czasami nie powinno nas obchodzić, co myślą inni. Ty musisz zrobić to, co jest dla ciebie dobre. - Ojciec patrzył przed siebie, kołysząc się lekko w przód i w tył na obcasach.

- Ale jak dostrzec różnicę pomiędzy strachem a zaufaniem własnemu przeczuciu, ojczy? Skąd wiedziałeś, że w sprawie Willoughbyego przeczucie cię nie zawiedzie?

- To się nazywa wiara. Zaufanie Bogu - mówił powoli. - Musimy być gotowi na to, by Go wysłuchać i odpowiedzieć. W każdej chwili, niezależnie od konsekwencji.

- Ojczy, proszę. - Emily położyła mu dłoń na ramieniu i obróciła go ku sobie, by spojrzeć mu w oczy. - Co tak naprawdę próbujesz mi powiedzieć?

- Emily, kochanie, jesteś gotowa? - Matka wpadła do pokoju. W szkarłatnej sukni wykończonej futrem wyglądała pięknie i tak młodo. Na każde Boże Narodzenie szyła nową i cieszyła się, że tegoroczną mogła włożyć na ślub Emily. - Howardzie, Bernardette cię szuka. Och, Em, wyglądasz po prostu bosko. - Oczy matki wypełniły się łzami. — Twoja suknia jest doskonała.

- Nie chcę tej sukni, matko. Proszę, rozepnij ją. - Emily odwróciła się do matki plecami, sięgając po szpilki przytrzymujące długi welon.

- Nie zaczynaj znowu, Emily. Jesteś dorosłą kobietą. Przestań zachowywać się jak dziecko. Jako trzyletnia dziewczynka zachowywałaś się o wiele lepiej. — Zirytowana matka chwyciła Emily za ręce, a potem wpięła dopiero co wyjęte szpilki w welon. - A poza tym jest już za późno na zmianę.

Emily uśmiechnęła się do ojca.  
- Na zmianę nigdy nie jest za późno.

### *Tim*

Na wzgórzu wydawało się, że lipcowe słońce jest bliżej niż w mieście. Obcasy butów Tima stukały po kamiennej ścieżce, gdy szedł w kierunku domu, w powiewach chłodnego powietrza, które wiatr przyniósł aż z Jones Valley.

Choć minęło już kilka dobrych lat, odkąd poznał to miejsce, ta konstrukcja z kamienia i belek za każdym razem robiła na nim wrażenie. Dom wydawał się przedłużeniem Red Mountain, jakby wychodził ze skały pokrytej lasami.

Wprawne ręce ujarzmiły dziką i przebiegłą naturę, tworząc architektoniczne dzieło sztuki.

Nacisnął klamkę. Ciężkie orzechowe wrota otworzyły się ze zgrzytem i Tim wszedł do środka. Dostojne wnętrze ze szkła i litego drewna skąpane było w naturalnym świetle. Tylną ścianę domu od podłogi aż po sufit przecinały okna, wychodzące na dolinę.

Tim omiół wzrokiem przestrzeń nad czubkami drzew i uśmiechnął się, czując w żołądku dziwny ciężar, zupełnie jakby unosił się w powietrzu nad miastem. To musiało być niesamowite - mieszkać w takim miejscu. Architektoniczny cud. Tim studiował jego projekty w college'u.

- Witam, w czym mogę pomóc? - Cleo Favorite była typową kobietą z Południa. Blond włosy, sznur pereł dookoła szyi. - Co cię do nas sprowadza, Timie Rose? Przyjechałeś, by oddać mi zdjęcie?



- Jeszcze nie. Spotkanie odbędzie się dopiero za kilka godzin. — Tim znał Cleo ze spotkań miejskiej Komisji ds. Konserwacji. — Zastanawiałem się, czy mógłbym ci zadać kilka pytań na temat Colby'ego Ludlowa.

- Oczywiście, dlaczego nie. - Przyglądała mu się, czekając na ciąg dalszy. - Nieczęsto odwiedzają mnie przystojni mężczyźni. Nadal jesteś zaręczony? - Zaśmiała się cicho i gestem poprosiła, by szedł za nią.

- Już nie - odpowiedział i podążył za nią korytarzem, który wił się i skręcał niczym tajne przejście, biegł pod schodami, obok kuchni i kończył się w jasnej bibliotece z mnóstwem okien. Żołądek znów pojechał w dół. Tim czuł się tak, jakby stał na czubkach drzew.

- Przykro mi to słyszeć. Całkiem niedawno widziałam tutaj Charlotte Malone. — Cleo oparła się o swoje biurko i skrzyżowała ręce na piersiach. - Urocza dziewczyna.

- Chciałbym zapytać cię o Colbyego Ludlowa. - Tim ruszył wolno przez bibliotekę. Przy jednej ze ścian stały ogromne regały, na których tłoczyły się książki w skórzanych oprawkach.

Ścianę po prawej zajmowała galeria zdjęć i portretów. W centrum znajdowało się zdjęcie Emily w sukni ślubnej. Zatrzymał się, nie mogąc oderwać oczu.

Charlotte. Jak mógł to przeoczyć? Cóż za podobieństwo...

- Jest urocza, nieprawdaż? - odezwała się Cleo. - To Emily w dniu swojego ślubu w 1912 roku. Miała dwadzieścia dwa lata.

- Jest piękna.

Czyste, pogodne oczy na prośbę fotografa trwały w bezruchu. Ciemne włosy były upięte wysoko, a la Pompadour, i ozdobione koronkowym welonem.

- Podobno nie chciała włożyć tej sukni. Uważała, że jest zbyt zwalista i ciężka.

- Ale i tak ją włożyła.

To nie była suknia, którą znalazła w kufrze Charlotte. Tamta nie ma takiego wysokiego kołnierza i obcisłych rękawów. Emily miała ręce splecione na kolanach. Serdeczny palec lewej ręki zdobił ogromny diamentowy pierścień z pojedynczym kamieniem. Na prawej widniał owalny kamień otoczony maleńkimi diamentami. Tim przybliżył twarz do zdjęcia, żałując, że nie wykonano go w kolorze.

- Pytałeś o Colby'ego? — Cleo przeszła wzdłuż rzędu fotografii i portretów i zatrzymała się prawie na końcu. Wskazała na jeden z nich. - To jest Colby Ludlow, wnuk Daniela i Emily. Syn Emily, Daniel Canton Ludlow, był jego ojcem. Zginął w Normandii, kiedy Colby był jeszcze dzieckiem.

- Czy wiesz coś o tej fotografii? - Tim podał jej zdjęcie Phoebe Malone w gronie Geniuszów Profesora Ludlowa.

- Profesor Ludlow. Tak, rzeczywiście... Colby był wykładowcą na tutejszym uniwersytecie - powiedziała i odwróciła zdjęcie. - W latach osiemdziesiątych wziął urlop naukowy, ale nie wiedziałam, że pracował w tym czasie na uniwersytecie stanowym na Florydzie.

- Czy to on? W środku?

- Tak. Skąd to masz? - Cleo przeszła wzdłuż galerii zdjęć i obrazów, podchodząc do obramowanego płótna, jednego z ostatnich.

- To jest Colby w dniu swoich pięćdziesiątych urodzin. - Podniosła do obrazu małe zdjęcie, które Tim znalazł w pudełku na buty. - To on. Powiedziałabym, że w podobnym wieku. Ma oczy Cantonów.

- Oddała Timowi fotografię. - To co, powiesz, skąd to masz?

- Z pudełka. Należało do Phoebe Malone. Znasz to nazwisko?

- A powinnam?

- Jej córka to Charlotte Malone.

- Właścicielka butiku ślubnego? Twoja była narzeczona?

- Tak, ona. A to jej matka - Tim wskazał Phoebe na zdjęciu.

- Aha - zaśmiała się Cleo. - A co łączy Phoebe Malone, matkę Charlotte Malone, z Colbym Ludlowem?

- Zastanawiałem się, czy... - Tim zawahał się. Nie był pewien, czy Cleo ma dziś chęć słuchać jego szalonych teorii. — Czy wiesz, że Charlotte znalazła w kufrze kupionym na waszej aukcji suknię ślubną?

- Interesujące... - Cleo stanęła za biurkiem. - Czyżbyś chciał się dowiedzieć, skąd wzięliśmy ten kufer? Na naszą aukcję spływają przedmioty z całego Południa. Ale prowadzimy spis. - Cleo poruszyła myszką i pochyliła się nad monitorem. Wpisała coś i spojrzała na ekran. Zmarszczyła brwi i usiadła. - Nie widzę tu żadnego kufra, który miałby być sprzedany na wiosennej aukcji. Jesteś pewien, że kupiła go u nas?

- Tak, na pewno. Była zła, bo wcale nie chciała ani nie potrzebowała starego, zniszczonego kufra. Zamek był zaspawany i musieliśmy go przepiłować.

Cleo wyprostowała się, jej twarz była napięta.

- I mówisz, że Charlotte znalazła w nim suknię ślubną?

- Tak, i to całkiem ładną. Licytator twierdził, że pochodzi z 1912 roku.

- Tim przysiadł na tapicerowanym krześle naprzeciw Cleo. - Od tamtego czasu Charlotte odnalazła dwie inne kobiety, które miały na sobie tę suknię.

- O mój Boże... Czyżby to była... - Cleo wstała i wyszarpnęła z kieszeni spodni pęk kluczy. Otworzyła wąską szafkę, zniknęła za jej drzwiczkami i wyłoniła się po chwili, trzymając w ręku ramkę ze zdjęciem. - Czy to ta suknia?

Za szkłem było stare zdjęcie z gazety, z dużym ziarnem, wyblakłe. Emily siedziała na koniu i trzymała się kurczowo ciemnowłosego mężczyzny. Uśmiechnięta, z głową odrzuconą do tyłu. Promieniejąca, radosna. Tim niemal fizycznie odczuwał jej emocje.

Miała na sobie *tę suknię*. Zaraz jednak emocje opadły i jakiś wewnętrzny głos kazał mu milczeć. Powiedział już wystarczająco dużo. Może za dużo?

- Tim, powiedz. Czy to jest ta suknia? - Cleo postukała paznokciem w zdjęcie. - Z atlasu i jedwabiu, z perłami w talii. Z drapowaną spódnicą. Z przodu nieco krótszą, wyciętą w kształcie litery V.

- Jestem architektem, nie krawcem. - Tim wstał i ruszył w stronę wyjścia. - Dziękuję za pomoc, Cleo. Muszę już lecieć.

- Nie tak szybko, kolego. Skąd to nagle zainteresowanie Ludlo-wami? O co chodzi z tym kufrem? Coś ukrywasz. — Cleo minęła go i stanęła w drzwiach. - Emily Canton miała wyjść za Phillipa Salton-stalla, z rodziny właścicieli Saltonstall Industries.

- Wiem, kim byli Saltonstałowie - odparł Tim.

- Ale w dniu ślubu zmieniła zdanie i zamiast wyjść za Phillipa, wybiegła z kościoła, dosiadła konia Daniela Ludlowa i odjechała z nim. Poślubiła Daniela jeszcze tego samego dnia. Niestety, jedyne, co mamy, to ta fotografia - wskazała na wycinek z gazety. - Emily twierdziła, że nie wie, co się stało z suknią. Co dziwne, nie mamy też sukni, w której miała poślubić Phillipa. A jaka posiadłość chciałaby mieć portret panny młodej w niewłaściwej sukni ślubnej? - Cleo wpatrywała się w Tima. - Wiesz, co mam na myśli?

- Tak, wielka szkoda, że jej nie macie. A spadkobiercy majątku Ludlowów? — Tim przesuwał się powoli w kierunku drzwi.

- Wszyscy zmarli. Colby był ostatni. - Cleo skradała się teraz za nim jak kot. - Fundacja jest spadkobiercą.

- Nigdy się nie ożenił?

- Miał żonę. Ożenił się Woodwardówną, ale nie mieli dzieci. Pod koniec lat dziewięćdziesiątych wzięli rozwód, a ona przeniosła się do Florence, żeby być blisko rodziny swojej siostry. Colby zatrudnił mnie, bym zajęła się majątkiem po śmierci jego babki. Nasze matki

przyjaźniły się. Kiedy Colby zmarł, powiernicy przejęli majątek, a mi zaproponowali, bym doglądała spraw fundacji.

- A jeśli znalazłby się spadkobierca? - Tim trzymał już rękę na klawiszu.

- A skąd niby miałby się wziąć? Spadłby z nieba? - prychnęła, przyciskając fotografię do piersi. - Nie ma żadnego spadkobiercy, Tim. Nie rozumiem, do czego zmierzasz. Szukaliśmy spadkobiercy, jeszcze zanim zmarł Colby. Nawet jeśli teraz jakiś by się znalazł, majątek jest już w rękach powierników. Poza tym, Tim, historia Ludlowów to nie opowieść z czasów biblijnych. W tym mieście nadal żyją ludzie, którzy znali Daniela, Emily i Colby'ego. Uwierz mi, jeśli istniałby jakiś spadkobierca, wiedzielibyśmy o tym. Niestety, linia Ludlowów wymarła. — Cleo zdecydowanym krokiem podeszła do szafki i odłożyła na półkę ramkę ze zdjęciem z gazety. Odgłos jej kroków zdawał się potwierdzać jej słowa: *Nie ma żadnego spadkobiercy.*

- Co się stało z Colbym? - zapytał Tim. Może to było tylko złudzenie, ale za każdym razem, kiedy patrzył na zdjęcie Phoebe i profesora Ludlowa, widział Charlotte. - Odszedł na emeryturę i co dalej?

- Grał dużo w golfa. Przeżył życie tak, jak chciał.

- Był dobrym człowiekiem?

- Najlepszym. Hojnym, uprzejmym, przyzwoitym - powiedziała Cleo.

- Widzisz, Tim, jeśli to jest suknia, którą Emily miała na sobie na tym zdjęciu z gazety, to należy ona do Fundacji Ludlowów. Należy także do miasta i do muzeum praw obywatelskich. To była pierwsza suknia ślubna uszyta na Południu przez czarnoskórą projektantkę. Emily dała się za nią aresztować. Ta suknia musi do nas wrócić.

- Aresztowana z powodu igły, nitki i kilku metrów materiału?

- Trudno nam to sobie wyobrazić, ale tak. Wtedy prawo „odosobnieni, ale równi” traktowano całkiem poważnie. Jeśli zatem wiesz, gdzie jest ta suknia... Będzie ucziwie, jeśli przyniesiesz ją tutaj.

- Jeszcze raz dzięki za pomoc, Cleo - powiedział, otwierając drzwi. Żałował, że w ogóle tu przyszedł. - Muszę już iść na spotkanie. Nie odprowadzaj mnie.

Cleo Favorite była ostatnią osobą, wobec której miałby jakiegokolwiek zobowiązania. Najważniejsza jest Charlotte Malone. A Tim musiał znaleźć sposób, by udowodnić, że Colby Ludlow był jej ojcem.

23.

*Charlotte*

Charlotte wyszła z biura. W rękę niosła magazyn „News” otwarty na rubryce *Styl Życia*.

- Dix, jesteśmy w przełomowym momencie. Artykuł o ślubie Tawny to majstersztyk.

Ale zamiast Dixie w sklepie zastała mężczyznę w purpurze.

- Dzień dobry. To znowu pan.

- Suknia należy do ciebie, wiesz o tym - wypalił prosto z mostu.

Charlotte złożyła gazetę i podeszła do kontuaru.

- Może w końcu dowiem się, kim pan jest i jaki ma pan związek z suknią?

- Przymierzyłaś już?

- Nie. I szczerze powiedziawszy, nie zamierzam. Nie wychodzę za mąż. Ale znajdę dla niej odpowiednią pannę młodą. Choć to nie pańska sprawa.

Kontuar tworzył idealną barierę ochronną.

- Ty jesteś moją sprawą. - Jego spojrzenie, ten sam intensywny błękit, wydawało się zapuszczać korzenie w sercu Charlotte i kruszyć kamienie, które dotąd tworzyły fundament jej osoby. Kamienie, które

mówiły: „Charlotte jest samowystarczalna. Charlotte nikogo nie potrzebuje. Nikt nie zdoła jej złamać serca”.

Nie mogła na niego patrzeć. Tak czy siak, nie za długo. Była niepokojna, jakby stanęła wobec jakiejś świętości. Czuła, że jeśli postoi tak sekundę dłużej, ugnie się.

Albo jeszcze gorzej: zacznie płakać.

A jednak te fale gorąca i chłodu rozlewające się w jej piersi przyniosły poczucie głębokiego spokoju

- Jak to możliwe? W ogóle mnie pan nie zna. Myślę, że powinien pan już iść.

- Dobrze, pójdę już. - Cofnął się do drzwi, nie odwracając się. - Ale pamiętaj, suknia jest twoja.

- Nie sądzę, by ktoś zamierzał się o nią procesować.

- Suknia jest twoja.

Sklepowy telefon zabrzmiał delikatną, cichą melodyjką. Kiedy Charlotte odebrała, w uszach zadźwięczał jej ostry głos.

- Tu Cleo Favorite z Fundacji Ludlowów.

- Cześć, Cleo. Jak się masz? - Charlotte chciała spojrzeć jeszcze raz na mężczyznę w purpurze. Ale salon był pusty. Gdzie on się podział? Jakim cudem zdołał wejść i wyjść zupełnie bezszelestnie?

- Chcę zobaczyć suknię.

- Jaką suknię? - Charlotte rozejrzała się po salonie i ruszyła na piętro po schodach, trzymając przy uchu słuchawkę bezprzewodową. Zniknął.

- Suknię z kufra, który kupiłaś na naszej aukcji w kwietniu.

- Skąd wiesz, że była w nim...

- Masz ją w salonie?

- Nie, w mieszkaniu. Cleo, skąd wiesz, że znalazłam suknię?

- Mogę być u ciebie o ósmej?

- Tak... Myślę, że tak.

- Podaj mi tylko adres. Zorientuję się, jak do ciebie dojechać.



Kiedy odłożyła słuchawkę, była dziwnie spięta. Miała mieszane uczucia. O co w tym wszystkim chodzi? Najpierw znikąd pojawia się ten mały człowiek w purpurze. „Suknia jest twoja”. Wkrótce znika (dosłownie) i natychmiast dzwoni Cleo i żąda, by pokazać jej suknię.

Charlotte podeszła do kontuaru.

- Proszę pana? Halo, proszę pana?

Ruszyła przez sklep. Nie było go ani w przymierzalni, ani w magazynie. Ani w kuchni, ani w biurze.

- Proszę pana? Pan w purpurowej koszuli? Na górze pusto. W łazience też.

Wyjrzała przez drzwi frontowe i omiotła wzrokiem chodnik i ulicę. Ani śladu. Wiatr gwizdał głośno, przyprawiając ją o gęsią skórę. Cofnęła się do salonu i zatrzymała w miejscu, gdzie jeszcze przed chwilą stał ten człowiek. Wciągnęła w płuca powietrze. Tuż nad jej głową unosił się delikatny, subtelny i jednocześnie wyraźny zapach przypraw.

- Char, już jestem. - Dixie wyłoniła się z kuchni, stukając ciężkimi obcasami, z torebką Dolce & Gabbana na ramieniu. Odwinęła z papierka lizaka i wsadziła go sobie do ust.

- Był tu ten dziwny facet. Ten w purpurowej koszuli i Nike'ach.

- Charlotte podniosła stopę i poruszyła palcami.

- Zaczynam się bać. Czego chciał? - zapytała Dixie, znikając w magazynie. Po chwili pojawiła się ubrana w żakiet Malone & Co.

- Widziałeś gazety? Ten dziennikarz świetnie się spisał. A zdjęcie Tawny jest po prostu piękne. Char, jesteś ślubnym geniuszem.

- Dixie stanęła za kontuarem i wzięła do ręki gazetę, którą położyła tam Charlotte.

- Powiedział, że suknia jest moja.

- Kto? Dziennikarz? - Dixie otworzyła czasopismo i przesunęła lizaka w kącik ust. Jej policzek miał teraz kształt idealnej kulki.

- Nie, Dix. Skup się! - Charlotte klasnęła w dłonie. - Ten dziwny facet. Purpurowy koleś. Powiedział, że suknia z kufra jest moja.

Dix skrzywiła się.

- Oczywiście, że jest twoja. Czy ktoś miał co do tego jakiegokolwiek wątpliwości?

- Nie wiem, ale ten koleś nie powiedział, „Hej, suknia, którą znalazłaś w kufrze, jest twoja”. Oczywiście, że jest. On to powiedział bardziej wymownie: „Jest twoja”. — Charlotte wymówiła to nisko i powoli. - I dosłownie minutę później dzwoni Cleo Favorite z Fundacji Ludlowów i pyta mnie o kufer i o suknię. Chce przyjść dziś o ósmej.

- A skąd ona wie, że w środku była suknia?

- Dobre pytanie, moja droga. - Charlotte odłożyła na miejsce słuchawkę telefonu, którą cały czas trzymała w ręce. - Ale mały dziwny facecik obstawał przy jednym. Ta suknia jest moja.

Ostatnie słowo poruszyło jej serce.

Za pięć ósma Charlotte próbowała otworzyć drzwi swojego mieszkania, zonglując torebką, tabletem, siatką z zakupami i kluczem. W końcu upuściła siatkę, a zawartość - chleb, jabłka, pomarańcze, paczka krakersów — rozsypała się po podłodze.

- Może pomóc? - Obok niej stał Tim. Schylił się, by pozbierać owoce. W rękę trzymał tekturową teczkę. Jego długie kasztanowe włosy zwisały luźno dookoła twarzy, a policzki pokrywał lekki zarost.

— Co ty tu robisz?

Ten dzień - 19 lipca - wydawał się jakiś nie taki. Obudziła się jako zwykła dziewczyna w zwykły poranek. Lubiła to. Ale odkąd pojawił się Pan Purpurowy, czuła, że coś się w niej zmieniło. Jak tamtego ranka, gdy pojechała na górę, by się pomodlić.

- Zastanawiałem się, czy nie miałabyś ochoty gdzieś wyskoczyć, by coś zjeść. - Tim wkładał kolejno jabłka i pomarańcze do miski stojącej na blacie kuchennym. Odwrócił się do Charlotte i odgarnął włosy z twarzy.

- Nie mogę. - Charlotte unikała jego wzroku. Uwielbiała włosy Tima. I te pełne usta. Jeśli będzie na niego patrzeć zbyt długo, serce zacznie jej bić, Charlotte straci oddech i znów poczuje się jak dziewczynka. - Już się z kimś umówiłam. - Otworzyła spizarkę i położyła na półce rozdartą torbę. Nie chciało jej się nawet wszystkiego z niej wyjąć. - A gdzie twoja dziewczyna?

- Nie mam dziewczyny. - Podskoczył, by usiąść na kuchennym blacie, i położył teczkę obok siebie. Zawsze to robił. Siadał na blacie. Zawsze potrafił się rozgościć i poczuć jak u siebie w domu. Gdziekolwiek był.

- Och, no cóż. Takie rzeczy się zdarzają. - Charlotte spojrzała na niego, a Tim w uśmiechu odsłonił perłowe zęby.

- A co powiesz na kolację, kiedy twój gość już sobie pójdzie?

- zapytał unosząc ręce. - Albo zanim przyjdzie?

- Nie mogę. Nie wiem, jak długo *on* tu będzie. Pewność siebie Tima nieco przygasła.

- Masz randkę? - Ześlizgnął się z blatu.

- Nie, ale warto było poudawać, żeby zobaczyć twoją minę.

- Charlotte ruszyła przez kuchnię do pokoju. - Mało fajne uczucie, prawda?

- Nigdy z ciebie nie zrezygnowałem, Charlotte. - Chwycił ją, gdy przechodziła. - Hej, a ty dokąd?

- Do pokoju. Muszę się przebrać. Masz coś przeciwko temu? Kiedy zamknęła za sobą drzwi sypialni, oparła się o nie plecami

i odetchnęła głęboko. Na jej ustach pojawił się uśmiech. Kiedy usłyszał, że Charlotte ma randkę, *był zazdrosny*, czyż nie? A więc Pan Zawsze Opanowany i Pewny Siebie też się zmagał z zielonookim potworem.

Przebrała się w dzinsy i sweter i wsunęła stopy w ulubione znoszone japonki.

Gdy ruszyła w stronę łazienki, jej uwagę przykuła fala złotego światła. Suknia. Wciąż wisiała w widocznym miejscu. Jedwabna spódnica migotała, a złote szwy emanowały światłem. Pasek wyszywany perłami obejmował talię niczym żarząca się rzeka.

Charlotte przysiadła na krawędzi łóżka.

- Cześć, magiczna sukienko. Za chwilę będzie tu Cleo, żeby cię zobaczyć. Co ona takiego wie, czego ja nie wiem? I kim jest twój purpurowy przyjaciel? - Charlotte pochyliła się, żeby lepiej usłyszeć. - Hmm... Może ty też nie wiesz. W końcu Hillary zamknęła cię w kufrze na czterdzieści lat. Ach, jest tu Tim. *Wiem*. O co mu chodzi? Pewnie go pamiętasz. Pomógł wydobyć cię z kufra. - Musnęła palcami kremowe fałdy sukni. — Umiesz dotrzymać tajemnicy? — Charlotte zaśmiała się cicho. - Oczywiście, że potrafisz. Zobacz, z kim, a raczej z *czym* rozmawiam. Kocham Tima. Nie powinnam, ale kocham. Każdą częścią ciała.

Opadła na łóżko. Przez dłuższą chwilę gapiła się w sufit. Potem na suknię. Dlaczego nie mogła o nim *zapomnieć*? I dlaczego martwe przedmioty miały swoją historię, której nie mogły opowiedzieć?

Usiadła, odrzuciła włosy do tyłu, zgasiła światło i wróciła do kuchni, do Tima. Było już po ósmej i Cleo mogła wpaść tu lada moment.

- To co u ciebie? - Charlotte włączyła światło nad stołem i poszła po tablet. *To tylko przyjaciel, traktuj Tima jak przyjaciela*. Jak kolegę.

- Co w pracy? Dobrze wam idzie z Davidem?

- W firmie wszystko w porządku. - Tim zsunął się z blatu.

- U Davida też. Więc kto do ciebie przychodzi?

- Jeśli będziesz tu, jak ona przyjdzie, mogę was sobie przedstawić. - Posłała Timowi nieszczerzy uśmiech i położyła tablet na stole.

- A może już ją znasz.

- To Cleo Favorite, prawda? - Tim położył ręce na biodrach i westchnął.

- Skąd wiedziałeś? Tim, o co tu chodzi?

- Chce zobaczyć suknię. Cwana bestia.

- Tim. - Charlotte powoli zaczynała rozumieć. - Powiedziałeś jej o sukni?

- W pewnym sensie. Pojechałem tam dzisiaj. Kurczę, szybko działa. - Odgarnął włosy z twarzy.

Charlotte podeszła do przybornika z ołówkami, stojącego przy telefonie, wygrzebała z niego gumkę do włosów i podała Timowi.

- Po co tam pojechałeś?

- Chciałem coś sprawdzić - powiedział, związując włosy. Charlotte westchnęła. Kiedy miał tak związane włosy, jego błękitne oczy wciągały ją jak ruchome piaski.

- Ale co konkretnie? Chcą zlecić renowację? W kwietniu, gdy tam byłam, posiadłość wyglądała nienagannie.

- Kiedy zbierałem materiały do tego projektu w śródmieściu, znalazłem zdjęcie Emily Ludlow. - Tim otworzył teczkę i wyjął zdjęcie. Podał je Charlotte.

Spojrzała na fotografię. Emily stała między innymi kobietami w wielkich kapeluszach i workowatych sukniach, rodem z lat dwudziestych.

- Co im przyszło do głowy, by tak się ubierać? Ten opuszczony stan... Ale po niemal stu latach gorsetów byt to pewnie jedyny możliwy krok.

- Emily jest tutaj, pośrodku - Tim postukał w zdjęcie.

- Wiem, jak ona wygląda. - Charlotte zmarszczyła brwi. - Po co mi to pokazujesz?

- Spotkałaś ją kiedyś?

- Emily Ludlow? Kiedy się urodziłam, była już starszą panią. - Charlotte szarpnęła drzwi lodówki i wyjęła colę. - Gdzie miałabym ją poznać? I po co?

Odezwał się dzwonek u drzwi. Charlotte odstawiła colę do lodówki.

- To Cleo.

Tim miał minę człowieka zdeterminowanego.

- Zostanę. Dobrze?

- Jak chcesz. - Charlotte posłała mu wymowne spojrzenie i poszła otworzyć drzwi. — Cześć, Cleo! Wejdz, proszę.

- Przepraszam, że jestem tak późno. Mój mąż nalegał, żebyśmy jeszcze coś zjedli, zanim tu przyjadę. Objadłam się jak prosię. - W kostiumie i na obcasach Cleo wyglądała perfekcyjnie. Na pewno nie jak prosię. W ręce trzymała czarną dyplomatkę. - Witaj, Tim. Nie spodziewałam się ciebie tutaj.

- Ani ja ciebie.

- No to oboje macie szczęście. - Charlotte stanęła między nimi. - Cleo, suknia jest w sypialni. Przyniosę ją.

Weszła do sypialni, przystanąła tuż za drzwiami i zaczęła nasłuchiwać. O co im obojgu chodzi? Tim i Cleo nie zamienili jednak ze sobą ani słowa. Delikatnie wyjęła manekin z suknią zza łóżka i przeniosła do salonu.

Gdy tylko się tam pojawiła, Cleo westchnęła głośno.

- To jest ta suknia. Tim, mówiłeś, że nic o tym nie wiesz. Do licha, to takie oczywiste. - Cleo obeszła suknię, gdy Charlotte postawiła ją obok kanapy. - Jakby czas stanął w miejscu. Jest... idealna.

- O czym ty mówisz? - Charlotte spojrzała na Tima. On delikatnie pokiwał głową i zmrużył oczy, jakby próbował coś powiedzieć Charlotte.

- Znasz tę suknię, Cleo?

- Oczywiście. Należała do Emily Ludlow.

Otworzyła dyplomatkę i wyciągnęła z niej oprawioną fotografię. Pod szkłem znajdowało się żółte, wyblakłe zdjęcie wycięte z gazety: uśmiechnięta Emily Ludlow, wsparta na jakimś męskim ramieniu, odzianym na czarno.

Miała na sobie *tę* suknię.

- Skąd to masz?

- Charlotte, to część historii Fundacji Ludlowów. Tę suknię od kilkudziesięciu lat uważano za zaginioną. Kiedyś zapytałam Emily, czy wie, gdzie ona jest, ale miała wtedy prawie dziewięćdziesiąt lat i nie była do końca pewna, o czym mówię. Albo udawała. Przypuszczam, że to drugie. - Cleo przyklęła i uniosła rąbek sukni, przeciągając palcami wzdłuż szwów. — Mój Boże, są.

Charlotte pochyliła się i ujrzała inicjały.

- Wiesz, co oznaczają te inicjały? Nie mogłyśmy z Dixie do tego dojść.

- Taffy Hayes. Czarnoskóra krawcowa z Birmingham. Urodziła się jako niewolnica, ale jeszcze w dzieciństwie została wyzwolona. Emily chciała, żeby suknię ślubną uszyła Taffy, ale jej rodzice i narzeczony sprzeciwiali się temu. Jej matka wynajęła znaną białą krawcową, Caroline Caruthers. Emily w sukni jej autorstwa widnieje na portrecie ślubnym, który wisi w posiadłości. Ale pięć lat temu znalazłam to zdjęcie pośród jakichś staroci na strychu. Jest tu z Danielem. A podpis mówi: „Emily Canton opuszcza kościół po ślubie”.

- Słyszałam o Taffy Hayes. - Charlotte uważnie przyglądała się wycinkowi z gazety. Emily Canton miała na sobie *tę* suknię. To ona była panną młodą, o której mówił człowiek w purpurze. — Była znana ze swoich sukni ślubnych, ale tylko wśród kolorowych.

- Emily była pierwszą białą kobietą, która włożyła suknię ślubną uszytą przez czarnoskórą projektantkę. Były czarne praczki i szwaczki, ale Taffy była *projektantką*. Uszyła tę suknię specjalnie dla Emily. W 1912 roku to był skandal. - Cleo krążyła wokół sukni, a w jej oczach narastała fascynacja. - Szukaliśmy jej bardzo długo.

- To dlaczego sprzedałaś kufer? - zapytała Charlotte i spojrzała przelotnie na Tima. Choć stał za jej plecami, czuła jego obecność dzięki zapachowi mydła i wody kolońskiej.

- Ja go nie sprzedałam, Charlotte. Kufra nie ma nawet w spisie przedmiotów wystawionych na aukcji. - Cleo schowała zdjęcie do dyplomatki. - Tim, pomożesz mi zanieść suknię do samochodu? Charlotte, wypłacimy ci pieniężną rekompensatę.

- Hola, hola! Zanieść suknię do samochodu? - Charlotte rozłożyła ramiona i stanęła między Cleo a suknią. - Ta suknia nigdzie nie jedzie.

Teraz słowa człowieka w purpurze nabrały sensu. *Ta suknia należy do ciebie.*

- Obawiam się, że jednak pojedzie. Ten kufer, skądkolwiek się wziął, nie powinien być zostać sprzedany na aukcji.

Tim stanął u boku Charlotte.

- Cleo, nawet nie miałaś tego kufra w spisie. Gdybym do ciebie dziś nie przyszedł, nigdy byś się o nim nie dowiedziała.

- Ale przyszedłeś i już wiem.

- Cleo, kupiłam kufer *wraz z zawartością*, to nie podlega dyskusji. Nie należał do ciebie wcześniej, nie należy do ciebie i teraz.

- Masz rację, ten kufer nigdy nie należał do posiadłości. Ale ta suknia należy do Fundacji Emily Ludlow i do Instytutu Praw Obywatelskich.

- Należy do mnie.

Fala królewskiej purpury oblała serce Charlotte.

- Według rozporządzenia władz miejskich przedmioty historyczne znalezione w danym miejscu przynależą do niego. Jeśli nie zostały znalezione w danym miejscu, ale udowodniono, że należą do historycznej posiadłości, miejsca lub archiwum, prawo własności powraca do posiadłości albo miejsca. - Cleo szarpała się ze swoją dyplomatką, wyciągając stopy papierów. - I nawet jeśli te przepisy nie robią na tobie wrażenia, Charlotte, ta suknia należy do Instytutu Praw Obywatelskich w Birmingham dzięki przełomowemu posunięciu



Emily, która założyła suknię ślubną zaprojektowaną i uszytą przez Afroamerykankę.

- Cleo, proszę cię. Chyba o czymś zapominasz - przerwał jej Tim. - Według tego rozporządzenia historyczny przedmiot powraca do miejsca *albo* do spadkobiercy.

- Tim, nie ma żadnych spadkobierców. - Cleo skrzyżowała ręce na piersi i tupnęła nogą. - O co ci znowu chodzi?

- Twoi ludzie powinni lepiej przykładać się do pracy. - Tim pokiwał głową i posłał Charlotte łobuzerski uśmiech. - Spadkobierczyni majątku Ludlowów istnieje. I właśnie na nią patrzę.

### *Tim*

— O czym ty mówisz? - Charlotte spojrzała na niego, jakby postradał zmysły. - Nie jestem z nikim spokrewniona. Pamiętasz, z kim rozmawiasz? Moje drzewo genealogiczne ma tylko jedną gałąź. A już na pewno nie jestem spokrewniona z rodziną Ludlowów. - Uniosła ręce w geście zdumienia, łapczywie łapiąc powietrze w płuca. - Przez ten wypadek na motorze straciłeś chyba resztki rozumu.

- Dzięki temu wypadkowi miałem czas, by sobie wszystko przemyśleć. - Otworzył teczkę i wyjął zdjęcie przedstawiające Charlotte i jej mamę. — Zadzwoiłem do Montego Fillmore, żeby zapytać, czy między rzeczami Gert nie znalazł niczego, co mogłoby należeć do ciebie lub twojej mamy.

- Ale po co, Tim? - Charlotte gapiała się na zdjęcie. - Nie widziałam tego zdjęcia od dwudziestu lat. Skąd je masz?

- Monte przyniósł mi pudełko z rzeczami twojej mamy. Z jej biura. Chciał je dać tobie, ale zapomniał i... Tak czy siak, Charlotte,

tam było to zdjęcie. Było także mnóstwo wycinków z gazet o Ludlowach. Co wydało mi się dziwne, dopóki nie zobaczyłem tego.

Tim podał jej zdjęcie z uniwersytetu na Florydzie. Oczywiście, były to jedynie poszlaki, ale nie potrzebował więcej, aby dowieść swojej racji. Musi powstrzymać Cleo. Nie dopuści, by wyszła stąd z suknią. Powinien był porozmawiać z Char przed jej przyjściem. Wziął ze sobą te papiery, planując, że zaprosi Charlotte na kolację, ogrzeje nieco atmosferę, a potem powie jej, że Colby Ludlow był jej ojcem.

- To mama — Charlotte pokazała na zdjęcie.

- Tim, proszę cię, nie będę tu stać z założonymi rękami. I nie pozwolę ci omamić tej biednej dziewczyny swoją historyjką. - Cleo krążyła wokół nich dumnie, głośno oddychając. - Nie masz żadnych dowodów...

- Stop. - Charlotte podniosła ręce, jakby chciała stawić opór czemuś niewidzialnemu. Lub słowom Cleo. - Tim, o czym ty mówisz?

- Charlotte, myślę, że Colby Ludlow jest twoim ojcem.

- Co? Jak? On jest... on jest.... stary - powiedziała Charlotte, pokazując na zdjęcie.

- W 1981 miał czterdzieści pięć lat - wymamrotała Cleo. Chodząca Encyklopedia Ludlowów.

- Chcesz mi powiedzieć, że moja matka miała romans ze swoim profesorem? - Charlotte potrząsnęła głową, oddając Timowi zdjęcie.

- Nie chcę w żaden sposób kwestionować jej charakteru, Char, ale Colby Ludlow, kiedy miał urlop naukowy w Birmingham, przez rok wykładał na uniwersytecie na Florydzie. A zdjęcie należy do ciebie. Zatrzymaj je.

Cleo skrzyżowała ręce, jakby chciała powiedzieć: „A nie mówiłam”.

- Znałam Colby'ego i jego żonę, Noelię. Była prawdziwą damą, elegancką kobietą z elit Birmingham. Colby może i był panem samego siebie, ale cudzołożnikiem? Nie wydaje mi się.

Tim westchnął. Jego cierpliwość się kończyła.

- Kiedy zaczynałem łączyć fakty, wykonałem jeszcze kilka telefonów. Również do Noelii Ludlow. - Tim podał Charlotte skrawek papieru. Zapisał na nim nazwisko, adres i telefon Noelii.

- Zadzwoiłeś do niej? Po co? Tim, po co to robisz?

- Kiedy zapytałem ją o rok, który Colby spędził na Florydzie, westchnęła. Wiesz, co mi odpowiedziała?

- No mówże!

- Zapytała: „Chcesz się czegoś dowiedzieć o Phoebe Malone, prawda?”.

Charlotte uderzyła go lekko.

- Bzdura! To niemożliwe, by jakaś siedemdziesięcioletnia kobieta wiedziała, co moja matka robiła w 1981 roku! - Porwała papier i rzuciła skrawkami w Tima. - Przestań już! Co z tobą? Jakim prawem bez mojej wiedzy prowadzisz śledztwo na temat mojego życia? - Chwyła go za ramiona i zaczęła nim potrząsać, ale Tim stał niewzruszony. Musiała się wyładować.

- No to ja już będę leciała. Biorę tę suknię. - Cleo odważyła się sięgnąć do guzików na plecach sukienki. W tym samym momencie na jej ramieniu zacisnęła się ręka Charlotte.

- Odsuń się. Ręce precz od sukni. Jest moja. A jeśli mi nie wierzysz, znajdź tego małego gościa w purpurowej koszuli, który mi ją sprzedał. On ci powie.

- Małego gościa w purpurowej koszuli?

- Tego, który sprzedał mi kufer. Na *twojej* aukcji.

- Dlaczego tak ci zależy na tej sukni? - zatrajkotała Cleo. - Nie wychodzisz za mąż. A nawet jeśli... Choć, mój Boże, nie wiem, Tim, czy jest do czego wracać... Skoro jesteś właścicielką salonu z sukniami ślubnymi, Charlotte, to na pewno znasz wielu projektantów, którzy wręcz błagają, żebyś włożyła jedną z ich sukien. Ta stara suknia nic dla ciebie nie znaczy.

Tim zrobił krok do przodu i chwycił Cleo za łokieć. Musiała stąd zniknąć. Nie chciał, by Charlotte się zdenerwowała, a widział, że Cleo zaraz doprowadzi ją do ostateczności.

- Lepiej już idź, Cleo. - Chwycił jej dyplomatkę i powoli poprowadził kobietę w stronę drzwi. - Jeśli chcesz suknię, będziesz musiała zdobyć nakaz sądowy.

- Z ust mi to wyjąłeś. - Cleo uwolniła się z jego uścisku. - Nie masz żadnego dowodu, że Charlotte Malone jest córką Colby'ego Ludlowa. Żadnego. Zdjęcie i rzekome zeznanie jego byłej żony? Ja mam więcej argumentów.

Tim zamknął za nią drzwi i wrócił do salonu. Charlotte opadła na kanapę, wlepiając oczy w suknię.

- Pojechałam tam tylko po to, żeby pomyśleć i pomodlić się. I zobacz, co się stało.

- Przepraszam. Myślałem... sam już nie wiem. - Tim przeczesał włosy palcami. — Kiedy zobaczyłem w pudełku wszystkie te wycinki o Ludlowach, zacząłem się nad tym zastanawiać, bo wydawało mi się to dziwne.

- Powinieneś być najpierw porozmawiać ze mną.

- Tak, teraz już wiem. Chciałem zrobić dla ciebie coś miłego, Char.

Przysiadł na kanapie obok niej. Pachniała latem. Kiedy na niego spojrzała, dostrzegł w jej oczach cień przebaczenia.

- Miałam jakieś sześć lat, kiedy zrozumiałam, że w naszym domu nie ma mężczyzny, ojca. Po raz pierwszy nocowałam wtedy u koleżanek, Gracie i Suzanny Rae. Ich ojciec był strażakiem. Zabrał nas na przejażdżkę wozem strażackim, a potem na lody. Na kolację ich mama podała smażonego kurczaka i upiekła ciastka. Pamiętam, że piłyśmy wówczas najśłodszą herbatę na świecie, z takich wysokich szklanek. W połowie kolacji pan Gunter wstał po coś i kiedy przechodził obok pani Gunter, pocałował ją i powiedział: „Kocham cię

bardzo". Ona odpowiedziała: „Ja kocham cię bardziej". Serce zaczęło mi bić mocniej i przez resztę wieczoru nie mogłam oderwać od nich oczu.

- Charlotte opadła na poduszki kanapy. - Zastanawiałam się, o co chodzi.

- Twoja mama nigdy nie mówiła o twoim tacie? Nie wspomniała o nim ani słowem?

- Kiedy wróciłam do domu, zapytałam mamę, gdzie jest mój tata strażak. Odpowiedziała, że ojciec mnie kochał, ale nie mógł być moim tatą. Nie wiem, po prostu to zaakceptowałam. Kiedy podrosłam, zaczęłam zadawać więcej pytań.

Tim otarł łzy z jej policzków, jakby przepraszając za to, że mimowolnie do nich doprowadził.

- Któregoś dnia mama powiedziała mi, że umarł. A później przyszła do mojego pokoju i przeprosiła mnie za to, że kłamała. Obiecała, że pewnego dnia powie mi więcej. Miałam wtedy dziesięć lat i nadal niewiele z tego rozumiałam. Byłam zadowolona ze swojego życia. Mama mnie kochała, naprawdę dobrze się mną opiekowała. Świetnie się bawiłyśmy. Kiedy po raz pierwszy zobaczyłam jakiś odcinek *Kochanych kłopotów*, mogłam przysiąc, że producenci przenieśli na ekran nasze życie.

- I wtedy umarła.

- Tęsknię za nią. - Charlotte odchyliła głowę do tyłu i zasłoniła ręką oczy. - A teraz mam tyle pytań, które chciałabym jej zadać

1 na które tylko ona zna odpowiedź. Na przykład dlaczego, dlaczego, dlaczego nie dogadywała się z moimi dziadkami. Dlaczego jej matka odeszła od męża? Przeprowadziłyśmy się do Birmingham z Tallahassee, kiedy miałam trzy lata, i nigdy nie tam wróciłyśmy. Później widziałam dziadka tylko dwa razy. - Spojrzała na Tima. - Więc czego się od niej dowiedziałeś? Od żony Colby'ego?

- Poprosiłem jedynie o jej adres i zapytałem, czy zechciałaby z tobą porozmawiać. Tu kończy się moja podróż i zaczyna twoja.

Ale jeśli się nie mylę, twoja mama zakochała się w Colbym i przeprowadziła się, by być blisko niego. Może liczyła na jakieś wsparcie albo na to, że wy dwoje będziecie mogli się poznać?

- O mój Boże, Tim... Myślę teraz o tych wszystkich piknikach, które urządzałyśmy sobie w posiadłości Ludlowów. - Charlotte wyprostowała się i przycisnęła palce do skroni. - Można tam dojechać boczną drogą.

- No wiem.

- Tam parkowałyśmy. Podchodziłyśmy na obrzeża posiadłości, rozkładałyśmy koc i zjadałyśmy kubeczek kurczaka albo coś z McDonalda. Ani razu nie wspomniała, że zna Ludlowów lub że kiedykolwiek z nimi rozmawiała. Z reguły pytała mnie: „Charlotte, nie sądzisz, że to wspaniały dom?”, „Nie chciałabyś mieszkać w takim domu, Charlotte?”. Kiedy byłam w szkole średniej, wybraliśmy się tam na wycieczkę klasową, w ramach lekcji wiedzy o społeczeństwie. Wtedy dowiedziałam się - Charlotte spojrzała na suknię - że Emily Ludlow była pierwszą kobietą z Południa, która brała ślub w sukni od czarnoskórej projektantki. Od tamtej chwili dorastałam w przekonaniu, że tym właśnie chcę się zajmować. Sukniami ślubnymi.

- Rozumiem. I co zamierzasz?

- Nie wiem, ale... Tim, dlaczego ta suknia do mnie trafiła? Odchrząknął. Ponieważ miała wyjść za mąż. Ale on udaremnił

Boży plan. Głupek. Głupek. Głupek.

- Ponieważ Emily Ludlow jest twoją prababką.

- Moją... prababką. Ale nie wiemy tego na sto procent. To tylko spekulacje. I nie jestem pewna, Tim, czy chcę to wiedzieć. Nauczyłam się żyć z tym, co zostało mi dane.

- Charlotte, każdy z nas powinien znać swoje korzenie. Nie możemy żyć w próżni. Chcesz mi powiedzieć, że ci to nie przeszkadza? To, że nie wiesz nic o dziedzictwie swojej rodziny, o ludziach, którzy

byli przed tobą? To musi być niesamowite uczucie, być spokrewnioną z Emily Ludlow.

- Tim, nie tęskni się za tym, czego się nigdy nie miało. Nigdy nie miałam rodziny. Tylko mamę. To był mój cały świat. A twój świat to bracia i kuzyni, i przyjaciele z pierwszej klasy, wyścigi żużlowe i czterdzieste rocznice ślubu. Lubię swoją samotność. Jest w porządku. To coś, co znam.

Wstała, żeby podnieść rozdarte kawałki kartki.

- Jak ona się nazywała?

- Noelia Ludlow. Masz taśmę klejącą? - Tim wstał z kanapy, gotów do działania.

- W kuchni.

Razem stali przy blacie kuchennym i sklejali kawałki kartki taśmą.

- Nie chciałem tego, Charlotte.

- To dlaczego zadzwoniłeś do Montego?

- Ok, może tego chciałem, ale Monte powiedział, że nic nie wie, więc opuściłem. I wtedy przyniósł mi to pudełko. Zobaczyłem zdjęcia Ludlowa. Wycinki z gazet. Kawałki zdawały się układać w całość. - Przed nimi na blacie leżała sklejona kartka. Tim przesunął ją w stronę Charlotte. - Nie sądzę, żeby był to mój pomysł, Char. Myślę, że to pomysł Boga.

Milczała przez chwilę. Jej klatka piersiowa opadała i podnosiła się wraz z oddechem.

- Dlaczego teraz?

- Skąd ja mam wiedzieć? Ale, Charlotte, to ty sama ocaliłaś swoje dziedzictwo.

- Kupiłam kufer.

- Kupiłaś suknię swojej prababki. Ni z tego, ni z owego. Nie mieści mi się to w głowie. To niesamowite. - Tim podszedł do drzwi, wyciągając z kieszeni kluczyki od samochodu. Charlotte stała w kuchni

i patrzyła, jak naciska klamkę i otwiera drzwi. - Byłem głupi, że dałem ci odejść. To jest mój sposób, żeby cię przeprosić.

- Niektóre rzeczy nie są nam pisane. Tim zatrzymał się w otwartych drzwiach.

- Ale niektóre są. Musimy być tylko wystarczająco mądrzy, żeby je dostrzec.

Następnego popołudnia Charlotte siedziała w ciepłym mieszkaniu Mary Grace i Thomasa. W powietrzu unosił się zapach mentolu.

Marzyła o tym, by ktoś włączył klimatyzację, ale zdawała sobie sprawę, że to mało realne. Thomas miał na sobie gruby sweter, a Mary Grace szlafrok i wełniane kapcie. Na stoliku między fotelami stały talerze po śniadaniu. Telewizor był włączony - transmitowano właśnie jakieś nabożeństwo.

Kiedy zadzwoniła do niej Mary Grace, Charlotte była po uszy zakopana w nowej dostawie i nie myślała o Timie, Cleo, Colbym Ludlow i jego żonie.

- Chciałabym ci opowiedzieć ciąg dalszy mojej historii.

I gdy Dixie pojawiła się w salonie, Charlotte natychmiast czmychnęła ze sklepu i ruszyła do Kirkwood.

Z wdzięcznością przyjęła pretekst, by się wyrwać, cofnąć się w czasie, spojrzeć w roziskrzone i zapraszające niebieskie oczy Mary Grace.

- Suknia trafiła do mnie niemal tak samo jak do ciebie i do tej drugiej kobiety.

- Hillary - powiedziała Charlotte.

- Tak, Hillary. Piękne imię, prawda, Tommy? Po waszej ostatniej wizycie nie mogłam przestać myśleć o tej sukni. Obudziłyście wspomnienia z czasów, kiedy byłam młoda i pełna życia. Kiedy chodziłam



bez laski. Kiedy podróżowaliśmy, pracując dla Boga. - Jej głos zmiękł. - Och, jakże On nas kocha.

- Jak się poznaliście? - Charlotte przysiadła na krawędzi kanapy, wachlując się jedną z ulotek ośrodka. Opowieść Mary Grace pełna była wigoru i energii.

- Chodziliśmy do tej samej szkoły. Och, Charlotte, szkoda, że go wówczas nie widziałaś. Był taki silny i przystojny. I ta jego burza loków. Mógł prześcignąć każdego chłopaka.

- Bo jakiś dorosły często gonił nas z różgą. - Thomas otworzył jedno oko i mrugnął do Charlotte.

- Tommy, bądź poważny.

- Dobrze, że szybko biegałem, inaczej nigdy bym cię nie dogonił, Gracie.

- Dajże spokój. Przecież byłam cały czas w tym samym miejscu i czekałam. — Spojrzała na Charlotte. — Czekałam piętnaście lat, ale był tego wart. Miałam dwadzieścia jeden lat, kiedy w końcu się oświadczył.

- Zrobiłem w życiu wiele głupot. Moje serce było puste.

- Najlepszy przyjaciel Thomasa utonął w Black Warrior River.

- Dzień po naszym absolutorium stary Cap, Fido i ja (nazywaliśmy go Fido, bo wyglądał jak buldog i był równie twardy) poszliśmy nad rzekę, żeby się napić, jak to często robili chłopcy z bractwa, nawet w tamtych czasach. Po wiosennych deszczach rzeka wystąpiła z brzegów, ale byliśmy przekonani, że pokonamy Matkę Naturę, i wypłynęliśmy łodzią taty Capa o północy. Byliśmy tacy głupi...

- Cap wypadł za burtę i utonął - powiedziała cicho Mary Grace, niemal szeptem.

- Właśnie tam, właśnie wtedy spotkałem Jezusa.

- Thomasie, to musiało być trudne. - Charlotte zauważyła jego suche usta, poszła więc do kuchni po szklanekę wody dla niego, zabierając po drodze talerze ze stołu.

- Thomas zdecydował, że pójdzie do seminarium.

- Ale nie sam. O nie, zamierzałem zabrać ze sobą najładniejszą dziewczynę, jaką Bóg stworzył. Wiedziałem, że da sobie radę ze mną i z posługą kapłańską. Była przy mnie po śmierci Capa. Kiedy policja prowadziła śledztwo. Kiedy mój tata tak się na mnie wściekł za moją głupotę, że długo nie chciał ze mną rozmawiać, przez wiele dni. To Mary Grace szeptała za mnie modlitwy. Jak mogłem zginąć z taką kobietą?

Charlotte postawiła szklankę z wodą na stoliku, obok Thomasa.

- Więc poprosił mnie o rękę, a ja się zgodziłam. - Mary Grace zakołysała się w swoim fotelu. Jej twarz była pogodna i pełna spokoju. - Moja matka nie chciała wydawać pieniędzy na suknię ślubną. Ojciec pracował w kopalni i liczyliśmy każdy cent z jego wypłaty, żeby związać koniec z końcem. Miał dobre serce, ale był szorstki. Lubił wypić. Więc matka nalegała, bym zamiast sukni wybrała jakiś ładny, praktyczny kostium. Wiesz, był kryzys, ładny kostium mógł długo służyć żonie seminarzysty.

Thomas sięgnął po szklankę wody, którą Charlotte przy nim postawiła. Ręka mu drżała, gdy wolno podnosił ją do ust.

- Ale Mary Grace marzyła o ślubie od długiego czasu.

- I nie chciałam wychodzić za mąż w czymś, w czym równie dobrze mogłabym pójść na pogrzeb.

Charlotte uśmiechnęła się i odprężyła. Zsunęła buty i podkulila stopy pod siebie. Podobała jej się ta historia. O wiele bardziej niż ta, którą opowiedział jej Tim. Że Colby Ludlow jest jej ojcem.

- Pracowałam jako ekspedientka w domu towarowym Lovemana i miałam trochę oszczędności. Ale miałam za nie kupić bieliznę stołową i sprzęty do domu. Mama nie pozwoliła, żebym wydała z nich choćby centa. Ale wiesz, pewnego popołudnia pani Ludlow...

- Emily Ludlow? - zapytała Charlotte.

— Właśnie ona. Weszła do sklepu i zatrzymała się przy ladzie. Była jedną z moich najlepszych klientek. Jej mąż dopiero co przejął interesy jej ojca, a ona zawsze chciała zrobić coś dobrego dla Magicznego Miasta. Była z niej taka dobra, dobra kobieta. Usłyszała, że się zaręczyłam, i ni stąd, ni zowąd zaproponowała mi swoją suknię ślubną. Natychmiast się zgodziłam.

- Ale irlandzka duma jej mamy prawie wszystko zniszczyła... Nie chciała nawet o tym słyszeć - odezwał się Thomas. - Po jej trupie.

24.

*Mary Grace*  
*Birmingham 1939*

Księżyc spoczywał na grani Red Mountain, gdy Mary Grace weszła cicho na werandę, jak najdalej od okien sypialni rodziców, w której właśnie się kłócili.

Skuliła się na huśtawce, wsuwając poduszkę między głowę a łańcuch, na którym huśtawka wisiała.

Głos mamy przenikał przez cienkie szyby.

- Nie będę się płaszczyć przed tą kobietą. Emiły Ludlow przychodzi tak sobie do Lovemana i nabija głowę Mary Grace marzeniami. Proponuje, że da naszej córce, *naszej córce*, Ciem, suknię ślubną. *Używaną* suknię ślubną.

- Podejrzewam, że Mary Gracy już od dawna marzyła o sukni ślubnej. I co w tym złego, że pani Ludlow okaże nam trochę życzliwości?

- Nie potrzebujemy życzliwości, nie potrzebujemy jałmużny. W tym rzecz. Pracujemy ciężko, utrzymujemy rodzinę i może nie mamy tyle, co Cantonowie i Ludlowowie, ale mamy więcej, niż nam potrzeba. Dzięki tobie i Jezusowi. Życie to nie bajka czy marzenia.

Mary Grace powinna pamiętać, że wychodzi za duchownego. Będzie wyglądała uroczo, biorąc ślub w ładnym, praktycznym kostiumie.

- Vie, ale ty miałaś suknię ślubną.

- I Mary Grace pewnie też mogłaby pójść w niej do ślubu. Ale oboje dobrze wiemy, że to już niemożliwe, prawda?

Mary Grace zamknęła oczy, gdy drzwi do sypialni trzasnęły, wstrząsając całym domem i kołysząc huśtawką. Deski podłogowe zajączowały i zaskrzypiały pod ciężkimi krokami taty, który przeszedł do salonu.

Tata sprzedał suknię mamy. Przegrał ją wraz z chińską porcelaną i srebrami, i swoją wypłatę, stawiając wszystko na Jacka Dempseya w walce z Gene'em Tunneyem.

- Jezu, nie potrzebuję sukni ślubnej - szeptała swoją modlitwę wiatrowi szumiącemu w konarach drzew. - Jest niepraktyczna. I zbyt ekstrawagancka. - Ale wiatr nie przyjął wyznania. Opadło na kolana Mary Grace, ponieważ nie było w nim ani krzty prawdy. - Ale byłoby miło ją mieć.

*Chciała* mieć suknię ślubną. Piękną, białą. Taką, jaką widziała w czasopiśmie. Taką jak suknia, którą widziała u Lovemana. Ale kosztowała siedemdziesiąt pięć dolarów. Całe jej miesięczne wynagrodzenie.

Mary Grace wróciła do swojej modlitwy, ale bez wiary. I nie mogła mówić dalej.

Drzwi frontowe trzasnęły i na werandzie stanął tata. Patrzył daleko za ogród i uderzał paczką papierosów o rękę. Wyjął jednego i zapalił, opierając się o balustradę werandy. Gdy się zaciągnął, koniuszek białej bibuły zamigotał czerwono i uwolnił szary płomień.

- Dempsey powinien był go pokonać — powiedziała Mary Grace. Tata wypuścił stróżkę dymu z kącika ust.

- Zrobiłby to, gdyby zaczęli odliczać, gdy Tunney padł na deski. Dempsey powinien był odejść do rogu, jak kazał mu sędzia.

- Tato, nie przejmuj się tą suknią. Mama ma rację. Nie potrzebuję czegoś tak wyszukanego. Wychodzę za pastora i potrzebny mi będzie porządny kostium na śluby i pogrzeby.

Jego orzechowe oczy spojrzały na nią przez smużkę dymu.

- To dlaczego o nią prosiłaś? Wzruszyła ramionami.

- Byłam taka podekscytowana, kiedy pani Ludlow zaproponowała mi swoją suknię.

- Przecież każda dziewczyna chce mieć suknię ślubną. Twoja babcia nie pozwoliła nam się pobrać, dopóki nie uszyła sukni dla twojej mamy. Dopiero co wróciłem z wojny i ożeniłbym się z nią tak, jak stała.

- Wszystkie dziewczęta chcą wyglądać pięknie w dniu swojego ślubu.

- Mary Grace, jesteś śliczną dziewczyną, kiedy tak siedzisz sobie na huśtawce. Wiem, że Thomas tak by powiedział.

Mary Grace zamknęła oczy, wyobrażając sobie swojego dobrego, postawnego Thomasa, jego serdeczny uśmiech i oczy w kolorze zielonych jabłek. I to, jak odgarnia z czoła złote loki, które nigdy nie dały się przygładzić. Najbardziej lubiła sposób, w jaki z nią rozmawiał. Zawsze dawał jej do zrozumienia, że jej opinia się liczy. I jak spoglądał jej w oczy tuż przed pocałunkiem.

Zadrżała i usiadła prosto.

- Wszystko w porządku?

- Wszystko dobrze, tato.

Ciepły rumieniec rozlał się po jej policzkach. Studiowała deski werandy, podążając wzrokiem wzdłuż zwietrzałych długich pęknięć aż do butów taty, wdzięczna, że nie może odczytać jej myśli.

- Mary Grace - odchrząknął - nie byłem najlepszym ojcem, jakiego mogłaby chcieć dziewczyna. Czasem byłem zbyt szorstki. Zbyt często kłóciłem się z twoją matką i zaprzepaściłem zbyt wiele wypłat,

goniąc za butelką. — Spojrzał na nią. — Wiem, że z matką modlicie się w każdą niedzielę, żeby Pan uwolnił mnie od moich demonów, ale ja się nie zmienię. Dobrze mi z tym. Ale czasem przychodzą chwile takie jak ta, kiedy żałuję. Gdybym nie miał tylu długów, mogłabyś mieć swoją suknię i wystawny ślub.

- Przestań, tato. Jest dobrze.

Podszedł do niej, robiąc trzy długie kroki.

- Proszę. Weź to, zanim wydam. Nie jestem pewien, co mogłabyś z tym zrobić, ale...

Wsunął zwinięty banknot w dłoń Mary Grace i zacisnął na nim jej place. Krótki błysk w zamglonym oku powiedział więcej niż tysiąc słów. Był wart więcej niż banknot, który ojciec wcisnął jej w dłoń.

- Dziękuję — wyszeptała, przelykając łzy.

- Cłem. - Mama wyjrzała na werandę. - Co tam robisz?

- Rozmawiam z córką. Masz coś przeciwko temu, Vie? Mama spuściła z tonu.

- Chyba nie. Przygotowuję kolację. Co chcesz?

- Cokolwiek podasz, będzie dobrze. - Tata podszedł do drzwi, otworzył je przed mamą i słuchał, jak proponuje podgrzaną duszoną wołowinę. Zanim wszedł do domu, spojrzął na Mary Grace.

Kiedy zniknął, rozprostowała banknot drżącymi palcami. Dziesięć dolarów. Usiadła głębiej. Dziesięć dolarów. Wystarczy na tort i poncz, i płócienny obrus, który widziała na wyprzedaży u Lovemana.

Ale nie na suknię ślubną.

Złożyła pieniądze i wsunęła je w cholewkę buta. Oczy zasły jej łzami. Och, tato. Pod tą zrzędliwą powierzchownością ukrywał się wrażliwy człowiek.

Na żużlu na podjeździe zaszumiały opony samochodu. Mary Grace podeszła do balustrady i wychyliła się, patrząc jak pani Ludlow wysiada z wielkiego, lśniącego buicka.

- Dobry wieczór, Mary Grace.

- Dobry wieczór, pani Ludlow. Co panią sprowadza do East Thomas, taki kawał drogi? - Mary Grace spojrzała przelotnie na swoją wyblakłą, znoszoną domową sukienkę i zdarte buty.

- Czy twoi rodzice są w domu?

Mary Grace nie musiała odpowiadać, bo tata i mama wyszli na werandę.

- W czym mogę pani pomóc? - odezwał się tata.

- Słyszałam, że państwa córka wychodzi za mąż.

- To prawda — odpowiedział i zrobił krok w kierunku eleganckiej pani Ludlow, ubranej w lekki wełniany płaszcz, idealny na wiosenny wieczór.

Mama przysunęła się do taty. Wyglądała naprawdę ładnie w swojej bawełnianej domowej sukni z plisowaną spódnicą; i ze zmarszczkami, które zmartwienia wyryły na jej piegowatej twarzy.

- Słyszeliśmy, że zaproponowała pani Mary Gracy suknię ślubną. Doceniamy pani dobroć, ale nie potrzebujemy jałmużny.

Mary Grace oparła się plecami o słup werandy i zamknęła oczy. *Nie przynosź nam wstydu, mamo.*

- Pani Fox, to nie jest jałmużna. To prezent.

- Prezent? Nawet pani nie znamy. Mary Grace obsługuje panią u Lovemana. Proszę mi wybaczyć, ale dawać taki kosztowny prezent dziewczynie, której pani praktycznie nie zna, która panią obsługuje, to jest jałmużna.

- Vie! — zagrzemiał tata.

Mary Grace wyjrzała zza słupa przekonana, że zobaczy panią Ludlow odjeżdżającą. Ale ona stała niewzruszona na zakurzonej ścieżce. Banknot ojca, który Mary Grace schowała w bucie, drapał w kostkę przy najmniejszym ruchu.

Po chwili, która wydawał się wiecznością, pani Ludlow powiedziała.

- A więc sprzedam pani tę suknię.



Policzki mamy poczerwieniały.

- Nie stać nas na taką suknię, pani Ludlow. Proszę mi powiedzieć, od dawna nosiła się pani z zamiarem, by tu przyjechać i nas wszystkich upokorzyć, czy to taki chwilowy kaprys?

- Odnoszę wrażenie, że pani sama się upokarza, pani Fox. Ja przynoszę prezent, a pani go odrzuca. Nie jest dla pani dość dobry?

- Chwileczkę...

- Następnie proponuję, że sprzedam suknię, a pani mi od razu mówi, że jest zbyt droga. Nawet nie zapytała pani o cenę.

- Dobrze, proszę zatem podać cenę. Tylko proszę nie mówić, że chce pani dolara. To byłoby jeszcze bardziej upokarzające niż jałmużna.

Mama zeszła po schodach, by zmierzyć się z panią Ludlow. Tata tylko potrząsnął głową.

- Mamo, proszę cię, czy nie możemy po prostu przyjąć...

- Dziesięć dolarów. — Dwa słowa zabrzmiały w powietrzu i uderzyły w serce Mary Grace jak dwa pociski. Pani Ludlow powtórzyła kwotę: — Proszę o dziesięć dolarów.

- Dziesięć dolarów? - zadrwiła mama. - Za wystawną suknię w sam raz dla kogoś z elit towarzyskich?

- To moja cena. — Pani Ludlow uniosła głowę. — Uczciwa cena. Miałam tę suknię już raz na sobie. Ale nie ma na niej żadnych zabrudzeń. Została zaprojektowana i uszyta przez Taffy Hayes.

- Przez tę kolorową, która dla pani szyje? - Mama spojrzała spod czoła i wcisnęła rękę w kieszenie. — O nie. Nie ma mowy. Nawet za dziesięć dolarów. — Zacisnęła szczękę. Mocno.

- Wezmę ją. Mam dziesięć dolarów, pani Ludlow. - Mary Grace ruszyła w jej stronę, wyciągając banknot z buta i rozwijając go. Spojrzała w przelocie na tatę. Jego oczy błyszczały.

- Mary Grace, nie... i skąd ty masz dziesięć dolarów? — Mama wyciągnęła rękę po pieniądze, ale Mary Grace schowała banknot za plecy. - Czy słyszałaś, kto uszył tę suknię?

- Tak. I nie obchodzi mnie to. A pieniądze dał mi tata. *Boże, dziękuję Ci.*

- Taffy jest najlepszą projektantką w tym mieście. Może i na całym Południu. Masz szczęście, że posiadasz jedną z jej sukien. — Pani Ludlow wzięła pieniądze. - A teraz: umowa to umowa. Panno Fox, interesy z panią to sama przyjemność - powiedziała, podając Mary Grace rękę.

- I nawzajem, pani Ludlow.

Miała suknię. Suknię pani Ludlow. Szytą na zamówienie. Mary Grace uśmiechała się szeroko. Ale nie ośmieliła się spojrzeć na mamę.

- Panie Fox, czy mógłby pan? - Pani Ludlow podniosła w jego stronę kluczyki do samochodu. - Suknia jest z tyłu.

Tata przydepnął papierosa i wziął od niej kluczyki.

- Panie Fox, pana córka to wyjątkowa dziewczyna. To dla mnie zaszczyt, że mogę dać jej suknię, którą miałam na sobie w dniu mojego ślubu. Daniel i ja byliśmy i jesteśmy bardzo szczęśliwi. Proszę przyjąć ją z radością.

Mama pociągnęła nosem, przygryzając dolną wargę. Nie odezwała się ani słowem.

- Jesteśmy do siebie bardzo podobne, pani Fox - powiedziała pani Ludlow. - Obie oddychamy powietrzem tego miasta, obie chcemy jak najlepiej dla naszych mężów i dzieci, i naszej społeczności. Stoję tu teraz przed panią, jak kobieta przed kobietą, i chcę pobłogosławić pani córkę. Ja nie mam córki i od jakiegoś już czasu podziwiam Mary Grace. To pani zasługa, Vie.

Tata minął je z kufrem w rękach.

- Jest pani pewna, że to nie jest puste? Ten kufer jest lekki jak piórko. Vie, czy masz mrożoną herbatę w kuchni? Zaszło mi w gardle.

- Zapewniam, że suknia jest w środku. Należy teraz do ciebie, Mary Grace. Panie Fox, dziękuję za pomoc.

Pani Ludlow podała mu rękę. Kiedy tata ją uściskał, uśmiechnęła się, opierając swoje palce mocno na jego dłoni.

- Mary Grace, pamiętaj, to nie jest zwykła suknia. Była wyjątkowa dla mnie i dla kobiety, którą ją uszyła. Noś ją z miłością. Życzę ci wszystkiego najlepszego.

Gdy odjechała, mama nadal stała na ścieżce. Delikatny wiatr unosił jej spódnicę i owiewał kurzem jej buty.

- Mamo?

Nie ruszyła się z miejsca. Stała trzęsąc się, z palcami przyciśniętymi do ust. Miała łzy w oczach. Mary Grace objęła ją i położyła głowę na jej ramieniu.

- Nie włożę jej, jeśli nie chcesz.

- Mój Boże — mama ożyła. — Mary Grace, dopiero co zapłaciłaś tej kobiecie dziesięć dolarów. Czy myślisz, że pozwolę tej sukni zgnić w kufrze? I jeśli była wystarczająco dobra dla pani Ludlow, choć uszyła ją kolorowa, to chyba będzie dobra również dla ciebie. — Otarła twarz spracowanymi rękoma. - A teraz chodźmy zobaczyć to dzieło sztuki. Będę miała trochę roboty, żeby ją dopasować. Pani Ludlow wychodziła za mąż dwadzieścia pięć lat temu, nie wiadomo, w jakim sukniu jest stanie.

Kiedy się odwrócili, kufer był otwarty, a tata stał na werandzie z suknią w rękach, tańcząc na palcach.

- Wcisnęła mi to do ręki — powiedział, wręczając dziesięć dolarów mamie. - Kup, co potrzebujesz, żeby dopasować suknię czy co tam się robi z ubraniami z drugiej ręki.

- To nie jest ubranie z drugiej ręki, tato. — Mary Grace padła na kolana. Biały, gładki jedwab zamigotał, a pomarańczowa poświata zachodzącego słońca rozblysnęła na wyszywanym perłami pasie. - Och, mamo. Jest idealna.

Tata zrobił krok w tył i odchrząknął, z ogłupiałym wyrazem twarzy.

- No dobrze. Wejdźmy do środka i ją przymierzysz. Ciem, daj mi kilka chwil. Zaraz ci zrobię kolację.

- Nie śpiesz się, Vie. Nic mi nie będzie. - Tata poklepał Mary Grace po ramieniu. - Nigdy nie przestawaj wierzyć, Mary Grace. Nigdy. Ani przeze mnie, ani przez żadnego innego człowieka.

Zszedł z werandy i ruszył ścieżką przez ogród w kierunku lasu za domem.

### *Charlotte*

Napięcie, które czuła, ustępowało, gdy Mary Grace coraz cichszym głosem kończyła swoją opowieść.

- A więc suknia należała do Emily Ludlow?

- Oczywiście. - Z oczu niegdysiejszej panny młodej biło światło miłości. - Włożyła ją, by poślubić Daniela Ludlowa. Mówię ci, ta suknia to był istny cud. Dzień później mama i tata pogodzili się. I wiesz, mama i pani Ludlow zaprzyjaźniły się. Później mama przyjęła od niej wiele prezentów. A co najlepsze - Mary Grace zastukała w powietrze, żeby upewnić się, że Charlotte nadal słucha - suknia leżała idealnie, jakby została uszyta dla mnie. Pani Ludlow była szczupłą kobietą. Ja mam toporne niemieckie kości, po babci. Nie wiem, czy dasz wiarę, ale nie musiałyśmy niczego popuszczać ani wszywać. Niczego. Uwierzysz?

- Tak, Mary Grace, wierzę. - Na rękach Charlotte pojawiła się znajoma gęsia skórka. - Wierzę, i to jak.

25.

*Emily*

Ojciec wysłał Bernadettę po doktora. Biedna druhna stała się dziewczyną na posyłki. Matka opadła na kozetkę, kiedy Molly pomagała Emily wydostać się z sukni od pani Caruthers.

- Przepraszam, ojcze - wyszeptała Emily, gdy Molly poluźniła sznurowanie gorsetu. Wreszcie mogła oddychać. Niemal wyznała, że warto było poświęcić dobre samopoczucie matki. Odczucie ciężkości, które powodowała pierwsza suknia, zniknęło, gdy Molly zapięła lekką jak piórko, jedwabistą suknię od TarTy.

- Wszystko w porządku. — Ojciec klęczał przy matce i klepał ją po dłoni. — Jeśli ty jesteś pewna...

- Jestem pewna.

- To będę cię wspierał. Choć nie będzie łatwo.

- Ojcze, czy odbije się to na twoich interesach?

- Poradzę sobie. Emily, wybacz mi, że nie powiedziałem ci wcześniej.

- Chyba zawsze wiedziałam, ojcze. Ale myślałam, że zdecydowaliśmy się kochać siebie nawzajem. Wiedziałam o Emmeline, ale

o tym, że jego rodzice zagrozili, że wydziedziczą go, jeśli się ze mną nie ożeni, nie miałam pojęcia.

- Nie jestem pewien, czy Cam zamierzał mi to wyznać. Ale brandy ma nad nim większą władzę niż on nad brandy. Wydawał się ukontentowany całym tym układem i przekonany, że i ja będę rad.

Zeszłej nocy ojciec dołączył do „chłopców” w klubie, żeby świętować — lub opłakiwać — wraz z Phillipem pożegnanie stanu kawalerskiego. Wrócił do domu wcześniej, niż się go spodziewano, poważny i poruszony, i poszedł do swojego pokoju, nie zamieniając z Emily ani słowa. Ale kiedy mijała drzwi sypialni rodziców, usłyszała, jak szorstkim szeptem mówił do matki: „Cam chce tylko dobrej partii dla swojego syna. Mało ich obchodzi to, że Phillip ją zdradza”.

Drzwi otworzyły się szeroko i do salki wpadł doktor Gelman. Natychmiast skierował kroki w stronę matki.

- Co się stało?

- Zemdląca. - Ojciec, pragmatyczny, ale czuły, ustąpił miejsca doktorowi. - Chyba z emocji. - Mrugnął do Emily.

Na pewno z emocji. Ojciec wyznał jej całą prawdę o Phillipie. Rzeczywiście, to on podpisał się pod oskarżeniem i na nakazie aresztowania. Podczas wieczoru kawalerskiego ojciec był świadkiem przechwałek Phillipa, jak to zrećźnie załatwił sprawę.

Duma zawsze puszy się jak paw, mawiał ojciec. Duma nie potrafi milczeć.

Doktor Gelman machał matce przed nosem solami trzeźwiącymi. Podniosła się, kaszląc i łapiąc oddech. Ojciec pomógł jej usiąść prosto, ale wyrwała mu się, by podejść do Emily. Kiedy doktor znów podstawił jej sole pod nos, stanowczo je odsunęła.

- Jestem już przytomna. Emily, posłuchaj. - Matka oddychała głęboko, kaszląc i próbując się pozbierać. - To *oni* zlecili cię aresztować.

- Wiem, mamó. Ojciec już mi powiedział.

- Jak możesz nawet myśleć o założeniu *tej* sukni? — Machnęła gniewnie ręką. - Obrazisz Saltonstallów. Nieodwracalnie.

- Maggie. - Ojciec przytulił matkę do piersi. - To jest ślub naszej córki. Dajmy już spokój. Co się stało, to się nie odstanie. Jesteśmy spóźnieni. Czas zacząć ceremonię.

Pomógł matce stanąć prosto, podziękował doktorowi i zatrzymał się przy drzwiach.

- Emily, wróć za pięć minut.

Emily została sama. Próbowwała głęboko oddychać. Kiedy otworzyła drzwi, usłyszała muzykę organową dobiegającą z kościoła.

Już wiedziała. Nie poślubi dziś Phillipa Saltonstalla. Zaśmiała się cicho. I zaraz przyłożyła palce do ust. Ale śmiech wygrał.

Była wolna. Wymknęła się z sali i przeszła przez korytarz na palcach, by nie było słyhać jej obcasów na kamiennej posadzce. Wychyliła się z za rogu i z westchnieniem ulgi zobaczyła, że drzwi oddzielające korytarz od kościoła są zamknięte. Potem wyjrzała przez okno.

Był tu. Czekał, tak jak powiedział ojciec. Siedział na swoim wspaniałym mustangu, Dwugłosie. Słyszała wcześniej, jak ojciec zawołał z okna „Święta noc”. Dał znak Danielowi, że ma szansę.

Ale Emily brakowało odwagi, póki nie włożyła sukni od Taffy. A wtedy - jakby wszystkie jej modlitwy zeszyły się razem w jednej chwili i obudziły jej serce.

Pani Potter, sekretarka wielebnego, wychyliła się z za drzwi prowadzących do kościoła.

- Emily, kochanie, tu jesteś. Ceremonia już się zaczęła. Phillip stoi już przy ołtarzu.

- Droga pani Potter - Emily śmiejąc się złapała ją za ręce - wychodzę za mąż.

- Ależ oczywiście, moja droga. — Pani Potter uśmiechnęła się i poklepała Emily po ramieniu. - Pozwól, że poszukam twojego ojca.

- Kiedy go pani znajdzie, proszę mu powiedzieć, że przemyślałam wszystko i podjęłam decyzję. Posłuchałam głosu swojego serca.

Nie czekając na odpowiedź, Emily pchnęła drzwi prowadzące na zewnątrz i wypadła na zimne, orzeźwiające powietrze sylwestrowego dnia. Daniel stał obok swojego konia. Wyglądał olśniewająco w smokingu, z przyczesanymi włosami, z gładko ogoloną twarzą. Uwielbiała ten błysk w jego oczach.

Kiedy schodziła ku niemu po schodach, suknia dryfowała lekko i wolno wokół jej nóg.

- Ojciec powiedział mi, że rozmawiał z tobą.

- Tak. - Uklęknął na jedno kolano i jakby wrósł w chodnik przed kościołem. - Czy wyjdiesz za mnie? Proszę.

- Och, Danielu... - Emily spojrzała za siebie, na szerokie dębowe drzwi kościoła. Stał w nich ojciec i kiwał głową.

Czekała na ten dzień. Marzyła o nim. Ale czy mogła porzucić Phillipa przed ołtarzem? Niezależnie od tego, jak okazał się dla niej okrutny, był człowiekiem. Nie chciała zniżyć się do poziomu jego gier.

Dała Phillipowi słowo. Przyjaciele i rodzina, goście i współpracownicy - wszyscy czekali w środku, aż go poślubi. Przysłali prezenty. Wyprawiali dla nich podwieczorki i kolacje, zapraszali na partyjkę brydża.

- Emily? - W głosie Daniela, dotąd pewnym, dał się słyszeć niepokój.

- Poczekaj... proszę... - Emily obróciła się i uniosła łokieć w stronę ojca, jakby prosząc, by podał jej ramię. - Ojczy, proszę, wejdź ze mną do środka.

Gdy wspinali się po stopniach, spojrzała przez ramię na Daniela. Stał bez ruchu obok swojego rumaka.

- Czy tego właśnie chcesz? - Ojciec przystanął przed drzwiami kościoła. Organy wygrywały niecierpliwe dźwięki.



- Jak mogłabym porzucić Phillipa. Nie w dzień ślubu. - Uczepiła się jego ramienia, drżąc. Welon i bukiet zostawiła w salce, ale nie chciała już po nie wracać.

- Więc za niego wyjdiesz?

- Nie zostawię go bez słowa przy ołtarzu.

Gdy kroczyła nawą u boku ojca, goście powstali, wzdychając i szepcząc.

*Piękna... suknia...*

*Nie, nie pani Caruthers...*

*Tajfy Hayes... ta kolorowa...*

Przed nią jak grecki posąg stał Phillip w smokingu, ze złożonymi dłońmi, przystojny jak zawsze. Jego uśmiech przyćmiewał blask migoczących świec.

Drzwi do przedsionka otworzyły się z hukiem. Stukot końskich kopyt zagłuszył dźwięki organów.

Podniosły się krzyki. Dało się słyszeć wrzaski.

- Proszę pana, nie może pan wejść. Zabraniam panu.

Emily obróciła się gwałtownie i zobaczyła panią Potter, która biegła za Dwugłosem wzdłuż szerokiej nawy. Zaśmiała się. *Och, Danielu.*

- Emily. - Daniel siedział w siodle wyprostowany i dumny. - Wyjdź za mnie. Wyjdź *za mnie.*

Kościół eksplodował okrzykami protestu. Phillip popędził wzdłuż nawy, przecinając ręką powietrze. Jego drużba deptał mu po piętach.

- Wyprowadźcie go stąd. To mój dzień, Ludlow.

Chaos wstrząsnął świątynią. Dwugłós cofał się, machając kopytem w powietrzu. Daniel mocniej ściagnął wodze.

Przenikliwy gwizd uciszył zamieszanie. Wszystkie oczy spoczęły na ojcu, który stał na stopniach ołtarza.

- Tu chodzi o Emily. To jej decyzja. Co zamierzasz zrobić? Wyjdiesz za Ludlowa czy za Saltonstalla?

Och, dobroć wylewała się z serca jej ojca.

- Phillipie - Emily czule chwyciła jego ramię - zleciłeś, by mnie aresztowano. I wiem, że nadal masz kochankę. Twój rodzice zagrozili, że cię wydziedziczą, jeśli się ze mną nie ożenisz. Więc, drogi Phillipie, nie mogę cię poślubić. A ty nie możesz poślubić mnie. Wiesz o tym, głęboko w sercu.

- Co to ma znaczyć? - przerwał pan Saltonstall. Jego podbródek drgał jak u szalonego koguta. - Phillipie, czy tak cię wychowałem? Żeby pokonała cię ta...

- Ona ma rację. Ona nie może mnie poślubić. I ja nie mogę poślubić jej. - Wzrok Phillipa powędrował przez kościół ku smukłej Emmeline.

- Och, Phillipie - Emily wspięła się na palce i pocałowała go w policzek. - Życzę ci jak najlepiej.

Potem odwróciła się do Daniela, chwyciła rękę, którą jej podał, i z niewielką pomocą... matki!... wsiadła na grzbiet Dwugłosa. Daniel zebrał wodze i spiął mustanga piętami.

- Wio!

Dwugłos uderzył kopytami i pognał przez wysokie drzwi przedsionka i schody świątyni, unosząc Emily ku wolności.

Fotograf z „Age-Herald” wyskoczył ze swojego sennego stanowiska przy słupie latarni. Jego wielki aparat rozbłysnął i obłok dymu zakłębił się w powietrzu zimnego poranka.

Emily odrzuciła głowę i roześmiała się.

- Szczęśliwego Nowego Roku. - Przycisnęła policzek do mocnych pleców Daniela. — Wiedziałam, że przyjedziesz. Kocham cię, Danielu Ludlow.

Rozbrzmiały dzwony, a Dwugłos galopował ulicą, zwalniając przed nadjeżdżającym tramwajem i krocząc dumnie, jakby wiedział, jakiej wartości skarb niesie na swoim grzbiecie. I wtedy, na rogu Piątej alei i Dziewiętnastej ulicy, Emily zobaczyła *jego*.

Pana Dziwaka. Starszego pana z purpurowym fularem pod szyją. Kiedy ich oczy się spotkały, ukłonił się i uniósł kapelusz.

26.

*Charlotte*

Wracając z pensjonatu dla seniorów do Mountain Brook, Charlotte podjęła decyzję. Kufer, suknia... Tim wyważył drzwi do ciemnego tunelu jej życia i nie mogła już dłużej chować się przed światłem.

Zlepiony taśmą skrawek papieru z nazwiskiem Noelii leżał na półce przed przednią szybą samochodu. Charlotte nabrała odwagi. Poczwała, że jest gotowa. Ale nie chciała wejść w to nieznane sama.

Wybrała numer Hillary.

- Cześć, to ja. Masz ochotę na wycieczkę? Żeby trochę powęszyc?

- Chodzi o suknię? - zapytała Hillary krótko i rzeczowo, gotowa do działania.

- Tak, i o mnie. Chodzi o mnie.

- Jak dojedziesz, będę gotowa.

Pół godziny później Charlotte i Hillary jechały w ciszy drogą 157-N w kierunku Florence, każda pogrążona we własnych myślach.

- Nie wiem, dlaczego to robię.

- Bo chcesz wiedzieć.

- Nigdy wcześniej nie chciałam wiedzieć. - Charlotte zacisnęła palce na kierownicy.

- To coś innego. Ta sytuacja sama do ciebie przyszła. Kupiłaś kufer i twój świat, mój świat, zmienił się.

- Czy powinnam oddać suknię Cleo? Nawet jeśli nie uzyska nakazu sądowego?

- Myślę, że po swojej stronie masz większy sąd, niż ten, do którego odwoła się Cleo, żeby postawić na swoim.

Charlotte spojrzała w bok na Hillary.

- Jaki to niby sąd?

- Niebiański.

- A odkąd ty jesteś taka uduchowiona?

- Nie jestem. - Hillary poprawiła się na siedzeniu. Ukryła uśmiech. - To słowa Thomasa.

- Thomasa? - Charlotte podniosła brew, przyglądając się przyjaciółce.

- Odwiedzałam ich. Może i są starzy, ale serca mają młode, pełne życia i tego, co, wydaje mi się, może być Bogiem. — Zaśmiała się cicho.

- Co jakiś czas Mary Grace wyłącza się z rozmowy i wpatruje w ścianę. Na początku myślałam, że to jakiś objaw zniedołężnienia. Śmieje się, uśmiecha, ma szeroko otwarte oczy. I ni stąd, ni zowąd zaczyna śpiewać hymny uwielbiana. Jestem pielęgniarką na tyle długo, żeby wiedzieć, że kiedy ludzie się starzeją, kiedy nadchodzi ich czas, dzieją się różne rzeczy. Ale ona... Charlotte, myślę, że ona coś widzi.

- Gert mawiała, że kiedy człowiek traci rozum, to dopiero wtedy naprawdę widać jego serce.

- W takim razie Mary Grace jest cała zanurzona w Jezusie. Tylko w Jezusie. Czasem coś bredzi. Myślałam, że to objaw szaleństwa, ale teraz...

- Charlotte spojrzała na Hillary i zobaczyła, że ta patrzy na nią z wahaniem. - Myślę, że ona mówi językami.

Charlotte zaśmiała się.

- Mówisz to, jakby była z innej planety.

- Może ona jest z innej planety. Albo ja.

Okolo pierwszej Charlotte wjechała na posesję Noelii. Pomiedzy drzewami stał dom w stylu Tudorów.

- Wreszcie. - Charlotte wysiadła. Pokłóciły się z Hillary o to, gdzie powinny zjechać z drogi okręgowej numer 24. Charlotte uległa i zabłądziły. Musiały nadłożyć osiemdziesiąt kilometrów.

- Nie zaczynaj. Dopiero co się pogodziłyśmy. - Hillary zatrzasnęła drzwi samochodu.

- Nie zaczynam. Powiedziałam tylko „wreszcie”.

- Chodzi o twój ton, młoda damo. - Hillary przyglądała spodnie i bluzkę. — Urocze miejsce.

Charlotte uśmiechnęła się, patrząc na przyjaciółkę. Na „siostrę od sukni”. Tak, to miejsce było urocze.

Ruszyła pierwsza pod górę, w stronę wejścia. Zwolniła kroku, gdy drzwi się otworzyły i stanęła w nich Noelia.

Noelia Ludlow mogłaby być siostrą mamy. Szczupła sylwetka, krótka, wąska talia i długie nogi, badawcze oczy osadzone nad krótkim nosem i wysokie kości policzkowe. Była pełna wdzięku.

- Zapraszam, dziewczyny, wejdźcie. - Noelia chwyciła Charlotte za oba ramiona, gdy ta weszła na werandę. - No cóż, w końcu się spotykamy.

- Dziękuję, że pozwoliła nam pani przyjechać od razu. Charlotte weszła do domu i przedstawiła Hillary.

Noelia krzątała się, odgarniając długie, proste włosy z twarzy i związując je z tyłu głowy gumką. Kiedy usiadła w fotelu, westchnęła.

- Tak mi przykro w związku z tym, co Colby zrobił tobie i twojej mamie.

- Proszę, nie sądę, żeby to była pani wina - powiedziała Charlotte. Siedząc z nią w jednym pokoju, czuła się surrealistycznie, ale dobrze.

- Tak, kochanie, była. To była moja wina. - Łzy popłynęły jej z oczu. — To była wyłącznie moja wina.

Wszystko, co dotąd wiedziała na temat swojego życia, zbladło w świetle nowych odkryć. Dwa dni temu była tylko Charlotte Malone. Zwykłą, prostą dziewczyną. Niczym nadzwyczajnym. Nie miała nikogo. Poza Dix i Doktorem Ciacho.

Teraz była częścią sieci. Hillary, Mary Grace i Thomas. I Noelia.

Miała ojca - człowieka, który miał nazwisko i reputację. Jej prababka łamała prawa w imię swoich przekonań. Pradziadek Daniel był szanowanym w Birmingham bankierem i filantropem.

Jej drzewo genealogiczne zaczynało ujawniać nowe konary. Wspinała się i grube.

Kiedy Noelia przerwała, by podać mrożoną herbatę, rozmowę zdominowały uprzejmości. Pogoda. Letnie wakacje. Wieści z miasta. Ale gdy znów usiadła w fotelu, Hillary przeszła od razu do sedna.

- Noelio, co się stało?

- Och, w małżeństwie tyle się może wydarzyć. Zwłaszcza w takim, które ma rysy. Jak moje i Colby'ego. Nie mieliśmy dzieci, więc byliśmy bardziej oddani karierom niż sobie nawzajem. Kiedy nadarzyła się okazja, by Colby wykładał na Florydzie, oboje stwierdziliśmy, że powinien to wziąć. Ja zostałam tutaj i dalej pracowałam w Instytucie Sztuk Pięknych. Widywaliśmy się w weekendy i święta. To tylko rok. Byliśmy małżeństwem od dwudziestu lat, myśleliśmy więc, że przetrwamy. Ale w tym czasie wszystkie wcześniejsze pęknięcia zaczęły się powiększać.

- Czy wiesz, dlaczego zainteresował się mamą? - Charlotte trzymała w rękę swoją herbatę, nie pijąc. Znalazła oparcie w zimnej szklance.

- Oczywiście. Była młoda, piękna, inteligentna. Zaintrygowała Colby'ego i nie pozwoliła sobą poniewierać. Colby zawsze lubił wyzwania.

Charlotte uśmiechnęła się.

- To podobne do mamy.

- Jak zrozumiałam - powiedziała Noelia - dość mocno się w niej zaturzył. Był nią zafascynowany, ale przyznanie się do romansu ze studentką zrujnowałoby mu karierę. Do cholery, prawie zrujnowało nasze małżeństwo, ale wierz mi, Colby o wiele bardziej troszczył się o karierę niż o Phoebe czy o mnie.

- To dlaczego zaryzykował utratę tego wszystkiego?

- Kryzys wieku średniego? Chciał znów poczuć się młodo? Co ty byś zrobiła, gdybyś była czterdziestopięcioletnim mężczyzną, a piękna dwudziestolatka chciałaby ci się oddać? Colby miał wiele mocnych stron, ale w tamtym czasie opieranie się pokusie do nich nie należało.

- Czy kiedyś spotkałaś mamę?

- Nie. Choć Colby i ja nie byliśmy szczęśliwi w małżeństwie, kochałam go i nie chciałam nigdy spotkać kobiety, która niemal mi go odebrała. Wtedy dowiedziałam się o tobie. - Noelia spojrzała na Charlotte i sięgnęła po kopertę. - Phoebe wysłała Colbyemu list polecony. - Podała jej list przez Hillary. - Prosiła o wsparcie, bo chciała kupić większy dom, w ładniejszej dzielnicy. Chciała, żeby Colby cię poznał. Pisała, że jesteś jego córką.

Ręce Charlotte drżały, nie mogła wyjąć listu. Surrealistyczne przekonanie, że dobrze robi, przyjeżdżając tutaj, zaczęło znikać. Zimno bijące od szklanki powędrowało prosto do jej serca.

- A ja nie chciałam ani jej, ani ciebie w naszym życiu - mówiła dalej Noelia. - Zalepiliśmy kilka pęknięć i jakoś funkcjonowaliśmy. Mieliśmy ułożone życie, planowaliśmy podróże i, szczerze mówiąc, mając pięćdziesiątkę na karku, nie chciałam spędzać co drugiego weekendu w towarzystwie małej dziewczynki, która będzie pochłaniać czas mojego męża. Zniszczyłam zdjęcie, które Phoebe przysłała, ale nie mogłam się zmusić, żeby pozbyć się listu.

- Nigdy nie pokazałaś go Colby'emu? - Hillary postawiła herbatę na podkładce i spojrzała zza ramienia Charlotte, żeby przeczytać list.

- Nie. Ale, Charlotte, on wiedział o tobie. Niestety, co z oczu, to z serca. W pewnym sensie doszliśmy do tego niewypowiedzianego porozumienia, że twoja matka na pewno o nim zapomniała, znalazła sobie jakiegoś dobrego mężczyznę, wyszła za męża, urodziła więcej dzieci. Ja chciałam w to wierzyć. A ponieważ Colby nigdy temu nie zaprzeczył, założyłam, że on też chce w to wierzyć. Słyszałam, że Phoebe zginęła rok później. Powiedział nam o tym przyjaciel Colby'ego.

- Więc wiedziałaś, że nie żyje? Że nie mam nikogo? A jednak nadal trzymałaś ojca z dala ode mnie? - Kobieta, która przed chwilą zdobyła Charlotte swoim zapraszającym wyglądem, podobieństwem do mamy, teraz wzbudzała w niej gniew.

- Wmówiłam sobie, że lepiej ci bez nas. Że nie potrzebujesz znać Colby'ego. Po co motać wszystkim w życiu? Siac zamęt?

- Miałam dwanaście lat. I nie miałam życia. A tę odrobinę, którą miałam, przerwał ktoś, kto wjechał w samochód mojej matki i ją zabił.

- Nie jestem z tego dumna, Charlotte. - Głos Noelii drżał. - Po prostu staram się być z tobą szczerą. Kiedy Colby i ja rozwiedliśmy się, zdałam sobie sprawę, jak bardzo oboje byliśmy samolubni. Ale nie do mnie należało powiedzieć mu, żeby się z tobą skontaktował. Ani powiedzieć tobie o nim.

- Ale chowanie listu od mojej mamy już do ciebie należało? Żeby upewnić się, że nie skontaktuje się ani ze mną, ani z mamą?

- Kiedy byłam jego żoną, tak. Broniałam tego, co moje. Ale nie było miesiąca, żebym o tobie nie myślała.

Charlotte zaczęła krążyć wokół stolika do kawy. Siedzenie sprawiało jej ból. Ale nogi miała jak z waty, a kolana ledwo ją utrzymywały.



- Nie jestem pewna, co mam z tym wszystkim zrobić... Ja...

- W zeszłym roku wysłałam ci trochę pieniędzy.

Doznała olśnienia. Kawałki układanki zaczęły do siebie pasować.

- Sto tysięcy - wyszeptała Charlotte.

- Żeby jakoś... żeby jakoś... — Noelia otarła pierwsze łzy z policzków, jędrnych, gdzieniegdzie tylko pokrytych delikatnymi zmarszczkami. Nie wyglądała na swoje siedemdziesiąt lat. Jej ramiona skuliły się pod ciężarem opowiadanej historii. - Po rozwodzie przeprowadziłam się do Florence, żeby być blisko dzieci mojej siostry. Wydałam mnóstwo pieniędzy na dom, który jest dla mnie zbyt duży, i na rozpieszczanie siostrzenic i siostrzeńców. Pewnego dnia, kiedy szukałam jakichś bankowych dokumentów, znalazłam list twojej matki. Pomyślałam, mój Boże, gdzie podziały się te wszystkie lata? Zaczęłam szukać informacji o tobie w internecie. Nie spodziewałam się, że coś znajdę, ale odkryłam twój salon. Byłam z ciebie dumna. Więc załatwiłam, żeby mój bank przekazał na twoje konto, anonimowo, sto tysięcy dolarów.

- Spłacę cię. - Teraz, gdy już wiedziała, skąd wzięły się te pieniądze, nie sprawiały jej tyle radości.

- Nie rób tego.

- Nie chcę twoich pieniędzy. Próbujesz odkupić swoją winę.

- To nie z poczucia winy, Charlotte. One nie zdołają zmazać mojej winy, nawet nie pomogą mi udawać, że zdobyłam uczucie dziewczyny, która mnie nie zna. To był prezent. Ale to i tak za mało, żeby zadośćuczynić ci dorastanie bez Colbyego. - Uśmiechnęła się. - Podałabyś mu się.

Charlotte gapiała się przez okno w dal, ponad wypielegnowanym trawnikiem. W piersi czuła coraz większy ciężar. Sto tysięcy dolarów. Prezent od żony jej ojca. Oddałaby wszystkie te pieniądze za szansę spotkania z nim.

Na skraju pięknych ziem posiadłości Ludlowów Charlotte przystanąła i wzięła głęboki wdech czystego powietrza. Patrzyła na błękitne niebo, letnie drzewa, odbicie promieni słońca w lśniących oknach.

Trzy miesiące temu przyjechała tutaj, żeby pomyśleć, zbliżyć się do nieba. Do mamy. Nieświadoma tajemnicy wiszącej nad tym wzgórzem.

Poza wiatrem nie było słyhać nic. Charlotte podeszła pod górę i weszła do wspaniałego domu, który zbudowali jej pradziadkowie. Domu, w którym Emily wychowała jej dziadka.

Domu, w którym bawił się jej ojciec.

- Charlotte, co ty tu robisz? Przyniosłaś moją suknię? — Kroki Cleo rozniosły się po błyszczącej, nieskazitelnej drewnianej podłodze.

- Chciałabym zobaczyć bibliotekę.

- Proszę bardzo. - Cleo wpatrywała się w nią przez dłuższy moment, by potem gwałtownie się odwrócić. - Pracuję jeszcze nad wezwaniem do sądu w związku z suknią.

- I skąd to opóźnienie?

- Sędzia chce więcej dowodów. - Zmarszczyła się. - Twierdzi, że zdjęcie to za mało.

Weszły do jasnej, białej biblioteki, w której okna, wysokie od podłogi aż po sufit, stanowiły ramę dla zapierającego dech w piersiach widoku na dolinę. Charlotte wyjęła z torebki dwie fotografie.

- Pomyślałam, że chciałabyś je zobaczyć. - Podała Cleo zdjęcia Mary Grace i Hillary, w sukni. - Emily dała tę suknię Mary Grace, która z kolei zostawiła ją Hillary. Jeśli uważasz, że zdjęcie jest dowodem własności, co zamierzasz z nimi zrobić? — Następnie wyjęła z torebki list mamy do Colbyego. - I z poleconym listem mojej

matki do Colby'ego, w którym prosi o wsparcie dla dziecka? Dała mi to jego żona.

- O Boże, co u licha... - Cleo podeszła do okna, czytając list przy świetle. Kiedy skończyła odwróciła się do Charlotte. - Więc zamierzasz odebrać tę piękną posiadłość miastu? Odzyskać swój majątek? Prawdopodobnie jest już za późno. Poza tym nie dasz rady zarządzać tym miejscem. Gdy tylko posiadłość przejdzie w prywatne ręce, ode-tną jej państwowe fundusze.

Charlotte zaśmiała się. Biedna Cleo. Za bardzo utożsamiała się ze swoją pracą.

- Cleo, ja nie chcę tego miejsca. Chcę tylko suknię. Legenda mówi...

- Jaka legenda?

- Legenda, według której suknia pasuje na każdą pannę młodą, której jest przeznaczona. Nigdy nie była przerabiana. - Charlotte przeszła wzdłuż ściany pełnej portretów i zdjęć, starając się uchwycić twarze i imiona, które w pewien sposób należały do niej.

Zatrzymała się przed fotografią Colby'ego. Zrobiono ją w czasach jego profesury. Mogła dostrzec coś z siebie w jego oczach.

- Myślisz, że przewraca się w grobie, bo jego córka nie poszła do college'u?

- Najprawdopodobniej... Charlotte, to Noelia powiedziała, że jesteś córką Colby'ego?

- Tak, ona. - Charlotte zatrzymała się przed zdjęciem Emily w sukni ślubnej. - To jest ta, którą miała włożyć?

- Kiedy miała jeszcze wyjść za Phillipa Saltonstalla. Charlotte odwróciła się do Cleo.

- Wiesz, że Hillary Saltonstall miała na sobie suknię Taffy w 1968? Phillip był jej stryjecznym dziadkiem.

Cleo zacisnęła usta, jej ramiona opadły. Przestała walczyć. Charlotte uśmiechnęła się. Tylko Bóg mógł utkać tak piękny gobelin.

- No cóż, Charlotte, co w tej sytuacji zamierzasz zrobić z suknią? Sprzedasz ją? Nie możesz tego zrobić... to... to nie w porządku.

- Sprzedać? Nie, Cleo. Nie zamierzam jej sprzedać. Zamierzam ją włożyć.

### *Tim*

Tim wymiół resztki pyłu i brudu z garażu. Pusta przestrzeń, zdolna pomieścić trzy samochody, sprawiła, że w sobie też poczuł pustkę. Czuł się nieswojo, chyba. Ale był niesamowicie wolny.

Oparł się o miotłę i patrzył długo na zachód słońca, przedzierający się pomiędzy drzewami. Z Charlotte albo bez niej, nadszedł czas, żeby dorosnąć. Może jeśli kiedyś będzie miał dzieci, powróci do jazdy na motorze.

Kiedy załadował ostatni motocykl na ciężarówkę kupca, napięcie w jego klatce piersiowej ustąpiło i zrozumiał, że zbyt długo trzymał się czegoś, co Bóg chciał, żeby poświęcił.

Był wolny. Myślał, że wyścigi motocyklowe dają mu wolność, zaspokojenie. Że pozwalają rozładować stres i energię. Że świadczą o jego odwadze. Nie. Stał się ich niewolnikiem. Nie mógł się *nie* ścigać. Inne sprawy straciły dla niego smak. Ale odłożone na bok czekały spokojnie, aż do nich wróci.

Aż znów zacznie grać na gitarze. Poświęci więcej uwagi swojej pracy. Ustatkuje się. Ożeni. Znów będzie spędzał więcej czasu z najlepszym przyjacielem, Jezusem.

Na podjeździe zamruczał silnik ciężarówki. Tim podniósł głowę i patrzył, jak David wyłącza silnik i wysiada z samochodu.

- I jak się czujesz? - zapytał starszy brat, wchodząc do garażu.

- Jakbym stracił siedemset kilogramów.

- Nie wierzę, że to zrobiłeś. - David klepnął Tima w ramię. - Dobre wieści. Komisja zachwyciła się twoimi projektami przebudowy starych biur i pieców Saltonstallów. I pomnikiem upamiętniającym skazańców.

Tim uśmiechnął się i przybił bratu piątkę. Dobrze. Wszystko dobrze.

- I jeszcze... Gotowy na więcej dobrych wieści? Brody Smart zadzwonił do mnie, gdy byłem w drodze. Planują jakieś nowe rozbudowy w zachodniej części miasta. Chce, byśmy stanęli do przetargu. Powiedział, że mamy tę robotę, chyba że przyślemy im dziecinne obrazki. *Chcą* ją nam dać. - David wykonał śmieszny taniec radości wokół garażu.  
- W końcu zbijemy fortunę.

Tim zamachał miotłą, niepewny, skąd wzięła się ta fala uczuć w jego sercu. Jeden akt posłuszeństwa, a Bóg już uchyla mu nieba. Jego garaż był pusty, ale nie jego serce.

- Wpadniesz do nas na kolację? Katherine robi kanapki z mięsem i keczupem i placki ziemniaczane. Twoje ulubione.

Tim potrząsnął głową.

- Musi zacząć przyzwyczajać się do myśli, że jest tylko twoją żoną, Dave.

- Nie bądź taki, Tim. Jesteś dla niej jak brat. Chce dla ciebie jak najlepiej.

- Gdyby tak było, polubiłaby Charlotte. David spojrzął w stronę ulicy.

- Znów będziesz startował do Charlotte?

- Nie wiem. Nie mam pewności, czy jeszcze będzie chciała ze mną gadać, po tym jak jej powiedziałem, że Colby był jej ojcem.

- Jestem z tobą, jeśli będziesz próbował, Tim. Czegokolwiek będziesz potrzebował.

Gawędzili jeszcze kilka minut. Potem David spojrział na zegarek i stwierdził, że musi już lecieć.

Tim odstawił miotłę w kąt, włączył radio i postawił składane krzesło na środku garażu, na wprost posesji sąsiadów.

Przestrzeń. Cudowna przestrzeń. Był gotów wejść na drogę, na którą popychał go Bóg.

Sąsiad, przejeżdżając na swoim motocyklu, zatrąbił na powitanie. Tim pomachał mu. Był spokojny. Nie było w nim ani krzty zazdrości. Ani odrobiny.

27.

*Charlotte*

Sypialnię wypełniało ciepłe światło lampy. Charlotte zdjęła suknię z manekina. Jeszcze kilka sekund i będzie wiedziała. Czy suknia pasuje na nią? Czy będzie kolejną panną młodą?

- Charlotte, co tak długo? - Hillary zastukała w drzwi.

- Potrzebujesz pomocy? - zapytała Dixie.

- Cicho tam, dajcie mi minutkę.

Wzięła prysznic. Włożyła czystą bieliznę. Potem podeszła do sukni. Powoli. Ostrożnie. Suknia miała w sobie przecież serca trzech innych kobiet. Stuletnią historię.

Póki nie wsunęła nóg w spódnicę, nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo chciała stać się częścią tej historii. Historii sukni.

*Proszę, oby pasowała.* Zawahała się, gdy już miała wciągnąć spódnicę na biodra.

- A jeśli nie będzie pasować?

- O matko, litości. Będzie pasować — krzyknęła Hillary. Bez cienia wątpliwości. - Myślisz, że to wszystko wydarzyło się tylko po to, żebyś mogła oddać ją komuś innemu? Będzie pasowała. Zaufaj mi.

- A jeśli nie, to na pewno znajdziesz dla niej idealną pannę młodą, Char. Jesteś w tym najlepsza.

- Cicho, Dix. Co to za gadanie. To *ona* jest idealną panną młodą. Charlotte uśmiechnęła się i wyobraziła sobie przekomarzenia po drugiej stronie drzwi. Ostrożnie wsunęła ręce w rękawy. Kochała Hillary jak siostrę. Nie. Jak matkę.

Zbierając suknię z tyłu rękoma, wstrzymała oddech. Będzie pasować? Talia z pereł przylgnęła do jej brzucha i objęła żebra. Idealnie. Pasowała. Suknia pasowała. *Nie będę płakać. Nie będę płakać.*

Serce dudniło jej jednak w piersiach i kiedy próbowała coś powiedzieć, łzy ciążyły na każdym jej słowie.

- Hej, pasuje. Pasuje. Chodźcie mnie zapiąć. Drzwi do sypialni otworzyły się z hukiem.

- Nie wierzę, że we mnie wątpiłaś. - Hillary podeszła do razu do guzików na plecach.

- Och, Char. - Dixie przyglądała jej się z pewnej odległości, z szerokim uśmiechem na twarzy, z blaskiem w oczach. - Jest cudowna. Ty jesteś cudowna.

- Ale jak to możliwe? Emily musiała nosić gorset. Mary Grace powiedziała przecież, że była szczupła. Och, Hillary, suknia będzie za ciasna.

- Charlotte, uspokój się i zacznij myśleć, co zrobisz, jak się przekonasz, że na ciebie pasuje. - Hillary zapięła resztę guzików w ciszy. Słyszeć było jedynie oddechy kobiet.

Charlotte obserwowała w lustrze, jak suknia idealnie dopasowała się do jej figury, a góra akcentowała jej krągłości. Dekolt w łódeczkę mościł się tuż nad jej obojczykiem. Perły spoczywały w równych szeregach, nie napinały się ani nie zwisały. Ramiona zwięzały się, przechodząc w obcisłe rękawy, i opadały luźno zaraz za łokciem.



- Proszę, włóż te buty. - Dixie postawiła parę kremowych czółenek z salonu. - Obcas jest mniej więcej taki, jaki wybrałaby Emily.

- Wszystkie zapięte. - Hillary przechyliła się, żeby zobaczyć twarz Charlotte, i delikatnie chwyciła ją za ramiona. - Oddychaj - szepnęła.

Kiedy Charlotte wypuściła powietrze, jej żebra wtuliły się w materiał sukni, a każde włókno tkaniny spoczęło na swoim miejscu.

Lustro odbijało coś więcej, niż tylko kobietę w pięknej sukni. Odbijało serce Charlotte. I już wiedziała.... że znów położy swoje serce na szali.

- Muszę iść. - Szarpnęła torebkę z podłogi sypialni.

- Dokąd?

- Po moją miłość.

Wybiegła z mieszkania, prosto do samochodu. W jej sercu i umyśle wszystko stało się jasne. Ona nie należała do sukni. Należała do Tima. I to właśnie suknia starała jej się powiedzieć od samego początku, od tego dnia na wzgórzu.

Ostrożnie usiadła za kierownicą, włączyła silnik i piętnaście minut później, o mało co po drodze nie zderzwszy się z betoniarką, wjechała na podjazd przed domem Tima.

Drzwi garażu były otwarte, a on siedział na środku pustego pomieszczenia. Długie kosmyki włosów powiewały wokół jego twarzy, a z nogawek pomiętych džinsów wystawały bosa stopy.

- Tim? — Rzuciła kluczyki na siedzenie kierowcy i wyszła z samochodu, unosząc rąbek sukni ponad ziemią.

- Charlotte! — Skoczył na równe nogi i ruszył w jej kierunku. - Masz na sobie tę suknię?

- Tak, pasowała... pasowała na mnie. - Minęła go i weszła do garażu. - Tim, gdzie się podziały twoje motocykle?

- Sprzedałem. W końcu posłuchałem tego małego upartego głosu w mojej duszy. - Zapatrzył się na nią. - Dlaczego masz na sobie suknię swojej prababci?

Widziała, że lubił to mówić - prababcia.

- Bo... ja...

Nie zastanowiła się, co mu powie, kiedy już go spotka. Przywiodła ją tu potrzeba, by go zobaczyć.

Tim wycelował w nią palec, pędząc bokiem do drzwi domu.

- Nie ruszaj się. Zaraz... będę...

Otworzył drzwi i zniknął w środku. Jego kroki zadudniły na schodach, gdy biegł tam i z powrotem. Po chwili wypadł przez drzwi, a jego oczy lśniły, tańczyły, gdy ruszył w kierunku Charlotte. Bez słowa czy zawahania, przyklęknął na jedno kolano i sięgnął po jej rękę.

- Wyjdź za mnie, Charlotte. Proszę, wyjdź za mnie. - Wsunął pierścionek babki na jej palec.

- Po to tu jestem, Tim. W sukni mojej prababci.

Kiedy Tim podniósł ją i zakręcił w powietrzu, Charlotte krzyknęła i zaczęła się śmiać, odchylając głowę do tyłu i pozwalając radości odbić się echem w garażu.

Tim wtulił głowę w zagłębienie jej szyi i przez chwilę bicie ich serc zlało się w jedno.

- Pierścionek pasuje, suknia pasuje. - Opuścił jej stopy na podłogę garażu. — My pasujemy, kochanie, my pasujemy do siebie. — Pocałował ją, obejmując ją rękoma i trzymając przy sobie. - Charlotte, twój zapach, twój dotyk. Tak powinno być.

- Hej, przyjacielu Timie?

- Tak?

- Powiedz narzeczonemu Timowi, że cieszę się, że go odzyskałam.

- Charlotte. - Gwałtownie podniósł głowę, trzymając jej twarz w dłoniach. - Która godzina?

- Szósta trzydzieści.

Jego oddech, który czuła na swojej twarzy, sprawiał, że mrowiały jej palce u stóp.

- Wyjdź za mnie. Teraz. Dziś wieczorem. Masz suknię. Piękną suknię. Ja mam smoking. Nasze zezwolenie na ślub wciąż jest ważne.

- Tim, poważnie? Teraz? Dziś? - Charlotte spojrzała na sierpniowy wieczór. Dzień nadal miał sporo światła w zanadru. - Ale kto poprowadzi ceremonię?

Kochała ten błysk w jego oku.

- Zostaw to mnie. To co, zgadzasz się?

- Tak. Tak!

Jej usta spoczęły na jego, najpierw delikatnie i z drzeniem, potem z narastającą pewnością i namiętnością. Przyciągnął ją do siebie i przelał w nią całą swoją miłość.

Powiew wiatru, zmiana w fakturze tego, co niewidzialne, zmiana w fakturze jej serca sprawiła, że spojrzała w górę.

Była gotowa. Charlotte ruszyła niezachwianym krokiem wśród buków wprost na zalaną światłem ścieżkę. Księżyc w pełni roztaczał swój perłowy blask nad Red Mountain, spalając zasłony nocy.

Ślub o północy.

Charlotte chwyciła swój bukiet, gdy kwintet zaczął grać *Alleluja*. Kolejny fala radości zawirowała w jej sercu. Poczowała mrowienie w ramionach i nogach. Jej serce drżało z miłości. Jej umysł odczuwał pokój.

— Charlotte, jesteś gotowa? — Cleo wyłoniła się z cienia. Perły dookoła jej szyi były niczym esencja księżyca.

— Tak... jestem gotowa.

Zza pleców Cleo wynurzyła się jej eskorta. Jej „siostry od sukni”, Hillary i Mary Grace.

Dźwięk skrzypiec spotężniał. Powiew wiatru przyniósł na chwilę zapach jaśminu i cedru. Zapach mamy. Charlotte zamknęła oczy i wzięła głęboki oddech.

— Muszę przyznać, że Daniel, Emily i Colby byliby z ciebie dumni. - Śmiały zazwyczaj głos Cleo drżał od emocji. - Tak jak ja.

- Moja mama też byłaby dumna. — Charlotte wzięła ostatni oddech, próbując zatrzymać umykający zapach.

- Na pewno. Ja z pewnością jestem z ciebie dumna. — Hillary stanęła po jej lewej i wsunęła rękę pod ramię Charlotte. Stała prosto i spoglądała przed siebie. Charlotte przysunęła swój policzek do jej ramienia, widząc, że Hillary delikatnie drżą wargi.

- To może być drugi najlepszy dzień w moim życiu - powiedziała Mary Grace. Stała po prawej stronie Charlotte i mocno trzymała się panny młodej.

- Mój też. - Hillary rozprostowała welon Charlotte, welon *Emily*, i pocałowała ją w policzek, odsuwając Cleo na bok. - No to wydajmy tę dziewczynę za mąż.

Muzyka narastała. Pośród mnóstwa białych lampionów i świec Charlotte zobaczyła, jak Tim i David podnoszą się z krzeseł i stają przed klęcznikiem wraz z dumnym, uśmiechniętym Thomasem.

Tim spojrzał na nią, stojącą na drugim końcu ścieżki. W przytłumionym świetle dojrzała błysk w jego oczach. Czowała promienie wychodzące z jego serca.

To on tego dokonał. Od początku do końca. Zadzwoił do Cleo. Zebrał swoją rodzinę i przyjaciół. W ciągu kilku godzin zaplanował i zorganizował ślub oraz przyjęcie.

Kiedy Tim zadzwonił, Hillary ruszyła do akcji. Pojechała do Kirkwood, by namówić Mary Grace i Thomasa na przyjazd. „Za nic byśmy tego nie przegapili” - powiedzieli.

Ślub o północy.

David skontaktował się z klientem Firmy Rose, który grał w orkiestrze symfonicznej w Birmingham. On z kolei skrzyknął kwintet smyczkowy - dwóch skrzypków, altowiolistkę i dwóch wiolonczelistów, których w pełni ujęła spontaniczna ceremonia o północy.

Smyczki wydobywały ze strun radosne „Alleluja, alleluja”. Charlotte ruszyła do ołtarza i ustawionych w krąg białych krzeseł. Do Tima. Do miłości.

Suknia szeleściła wokół jej nóg. Gors w stylu empire obejmował serce. W oczach zebrały jej się łzy. Obok niej Hillary pociągała nosem i odchrząkiwała, natomiast Mary Grace pozwalała łzom płynąć bez wstydu.

- Nigdy bym nie pomyślała... och, mój kochany, słodki Jezu. Nigdy bym nie pomyślała, że w wieku dziewięćdziesięciu czterech lat... — wyszeptała.

- Ja też nie, Mary Grace - powiedziała Hillary cichym, łzawym głosem. - Ja też nie.

Zaś Charlotte nigdy nie wyobrażała sobie, że będzie aż tak szczęśliwa, zadowolona z życia. Pogodziła się już z przeciętnością, z życiem z dnia na dzień. Ale dziś zdała sobie sprawę, że Bóg przygotował dla niej o wiele więcej.

Przeszła obok taty i mamy Rose'ów, obok Katherine i dzieci. Obok braci Tima. Obok męża Hillary, Grega. Kiwnęła Noelii i Tawny, która przyjechała tu ze swoim ukochanym.

Kiedy doszła do ołtarza, Dixie pojawiła się na końcu pierwszego rzędu i zajęła miejsce głównej drużny i matrony. Biła od niej wielka radość.

Tim wpatrywał się w Charlotte z czułością. Oczy mu błyszczały. Dźwięki strun, porwane przez wiatr, łączyły się z promieniami księżyca.

Thomas podniósł Biblię i oparł się na swojej lasce.

- Najmilsi bracia i siostry. - Jego głos był silny i czysty. - Zgromadziliśmy się tutaj z powodu przeznaczenia. Z powodu sukni ślubnej i potęgi miłości. Sam Jezus czeka na ślub. Ewangelia Mateusza, rozdział dwudziesty piąty, mówi nam, że o północy rozlegnie się wołanie: „Pan młody idzie”. A ten ślub jest zapowiedzią owego wielkiego dnia. Nie przez pomyłkę zgromadziliśmy się tutaj, wokół Charlotte i Tima, o północy. Ale nie po to wyciągnęli mnie z łóżka, bym prawil im kazania. - Thomas mrugnął do Charlotte. - Połączmy tych dwoje

świętym węzłem małżeńskim. Jak wielką rzecz im Pan uczynił. Cieszę się, że dane mi było tego dożyć.

Thomas poprosił, aby Tim chwycił rękę swojej narzeczonej. Hillary i Mary Grace puściły ją. Pociągając nosami, ucałowały ją w oba policzki i odeszły na swoje miejsca w pierwszym rzędzie.

Thomas mówił, że Jezus uczynił swój pierwszy cud na ślubie. Opowiedział historię stuletniej sukni i czterech wyjątkowych panien młodych.

- Zabawna rzecz. - Jego głos brzmiał wyraźnie i młodo. - Suknia pasowała na każdą z nich, jakby była dla niej przeznaczona. Żaden szew nigdy nie był poprawiany. Nie znać na niej zniszczeń. Nigdy nie poszarzała ani nie pożółkła. I mogę powiedzieć w swoim imieniu, że wygląda równie dobrze i modnie na Charlotte, jak siedemdziesiąt cztery lata temu na mojej Mary Grace. Jest jak Ewangelia Jezusa. Zawsze pasuje. Nie wymaga zmian. Nigdy nie niszczy i, powiadam wam, zawsze jest w modzie. Czyż nie potrzebujemy jej teraz bardziej niż kiedykolwiek? - Stary kaznodzieja zachichotał. - I znowu się zapędziłem. Głoszę kazanie. Powróćmy zatem do ślubu.

Charlotte obróciła się twarzą do Tima. Był przystojny, włosy okalały jego piękny uśmiech i wydobywały blask jego oczu. W dopasowanym czarnym smokingu wyglądał po królewsku.

- Jesteś piękna - wyszeptał, gdy Thomas kazał mu wziąć ją za rękę.

- Hej, przystojniaku, jesteś gotowy?

- Bardziej niż gotowy.

- Tim, czy bierzesz sobie tę kobietę...

O wpół do pierwszej, na krawędzi chłodnego sierpniowego poranka, Charlotte Malone powiedziała „Tak” miłości i reszcie życia, stając się tym, kim zawsze miała być.

Ocaloną. I Rose, czyli różą.

## *Podziękowania*

Początkiem tej książki były wpisy na Twitterze. Liczące 140 znaków, albo i mniej, wiadomości, które wysyłały sobie znajome z serwisu.

*Następnym razem, jak będziesz w mieście, zadzwoń do mnie.  
Spotkamy się.*

*Hej, ja też chcę jechać.*

*Ja też.*

*No to dalej.*

Dziesięć wpisów i kilka e-maili później cztery przyjaciółki wprowadziły słowa w czyn i prysnęły do Tennessee na babski weekend.

Tami Heim, Kim Cash Tate, Jennifer Deshler z uroczą córką Jordan oraz ja spędziłyśmy czterdzieści osiem godzin gadając, jedząc i śmiejąc się. Przetrwałam szesnaście godzin w pidżamie - wyczyn bezprecedensowy. Ale chyba zdradzam już zbyt wiele.

Córka Tami niedawno wyszła za mąż, więc rozmowa popłynęła ku ślubom i sukniom ślubnym. Coś ze wspomnień Tami... o jej własnym ślubie, o szukaniu idealnej sukni dla córki - przeniosło mnie w świat opowieści. Wyłączyłam się z rozmowy i zaczęłam marzyć.

A gdyby tak była sobie suknia, w której szły do ślubu cztery różne kobiety... na przestrzeni... stu lat?

Kim były te kobiety? Co się z nimi stało? I z suknią? Jak suknia do nich trafiła? Dlaczego miały włożyć właśnie tę? Czy zszarzała, zniszczyła się? Czy pasowała na każdą z nich? Rozmyślałam o tej opowieści przez resztę weekendu.

Moja mama, brat, szwagierka i mąż zarzucili mnie pomysłami i entuzjazmem, kiedy po powrocie opowiedziałam im o swoim projekcie.

Myślałam, że odłożę go na inny czas, ale tydzień później, stojąc na środku supermarketu w piątkowe popołudnie, zadzwoniłam do wydawcy i przedstawiłam swoją propozycję. Dziękuję ci, Ami, że zrozumiałaś moje serce i zaakceptowałaś pomysł na książkę.

Miałam szczęście spędzić weekend z niesamowitymi mistrzyniami pióra Debbie Macomber i Karen Young. Dziękuję wam bardzo, Debbie i Karen, za to, że poświęciłyście mi sześć godzin waszego czasu, dzieląc się swoim geniuszem i literackim sprytem! Wasze wsparcie i pomysły sprawiły, że świetnie się bawiłam, pisząc tę książkę! Gdyby nie wy, spędziłabym wieki, zastanawiając się, jak suknia wędrowała od jednej kobiety do następnej, przez kolejne dziesięciolecia.

Dziękuję Susan May Warren, która była dla mnie nie tylko wsparciem moralnym, ale również utalentowaną autorką cudownych opowieści, która codziennie, godzinami, używała mi swojego talentu. Zawsze dziękuję za ciebie Bogu. Jesteś klejnotem mojego serca!

Dziękuję Amy McConell za jej sugestię, by uczynić Emily i Charlotte wyrazistszymi postaciami. Dziękuję ci, Amy, za ten wkład w książkę.

Dziękuję Rachelle Gardner, która trwała ze mną w redaktorskich okopach. Rachelle, twoje spostrzeżenia, zachęty i uwagi ocaliły mnie!

Dziękuję Beth Vogt za jej niewyczerpany entuzjazm dla książki, której jeszcze wówczas nie przeczytała. Dziękuję ci, droga przyjaciółko.

Dziękuję Tish Patton, mojej „starszej siostrze” ze stanu Ohio, a od niedawna mieszkance Birmingham. Tish, dzięki za cudowne szczegóły dotyczące tego miasta. Kocham cię.

Dziękuję mojej siostrze i braciom, którzy zgodzili się zaistnieć na kartach tej książki jako jej postaci. Wszystkich was kocham.



Mamo, Babciu, dziękuję, że słuchałyście moich pomysłów i opowieści. Byłyście moimi największymi fankami. I tobie też, Ciociu Betty!

Dziękuję mojemu mężowi, który mógłby napisać dowcipny bestseller o życiu z pisarką. Czytając go, inni mężowie pisarek w całej Ameryce kiwaliby głowami ze zrozumieniem. Kocham cię za to, że przypominasz mi, że robię to dla Jezusa, nie dla siebie. I żeby dobrze się bawić.

Dziękuję też mojemu agentowi Chipowi MacGregorowi za to, że pomógł mi zobaczyć, uwierzyć, osiągnąć.

Dziękuję Allenowi Arnoldowi, Natalie Hanemann, Becky Monds, Ericowi Mulletowi, Katie Bond i całemu zespołowi wydawnictwa Nelson. Wszyscy byliście dla mnie wspaniałą, pomocną i motywującą drużyną. Dzięki wam zwykli pisarze czują się jak gwiazdy rocka!

I facetowi od Scivenera, który stworzył tak niesamowity program do pisania!

## *Kilka słów wyjaśnienia*

Gdy modliłam się nad tą książką, zaczęłam postrzegać suknię ślubną jako symbol Ewangelii Jezusa Chrystusa. Nigdy nie niszczeje. Pasuje na każdego, kto ją przymierzy. Nie trzeba jej przerabiać. I zawsze jest w modzie.

Prawda i miłość Jezusa są dziś żywe. Dostępne dla każdego. Nieważne, czy jesteś tłamszona przez kulturę i rodzinę jak Emily, obdarowana Dobrą Nowiną jak Mary Grace, zraniona jak Hillary czy zagubiona i szukająca ocalenia jak Charlotte - Jezus każdej z nas daje uzdrowienie i odpowiedzi, których poszukujemy. On jest Drogą, Prawdą i Życiem. Nie dla nielicznych wybranych. Dla każdego z nas.

Dla ciebie.

*Rachel Hauck*